



CHICAGO
W OGNIU

ELIZABETH CAMDEN

Elizabeth Camden

Chicago w ogniu

tłumaczenie Martyna Żurawska

I

Chicago

8 października 1871 roku

Przed Mollie wyrosła ściana ognia. Miasto płonęło od wielu godzin, a gorący wiatr nieprzerwanie rozprzestrzeniał pożar mknący po wąskich ulicach i rozświetlający nocne niebo. Trudno było oddychać. Powietrze wypełniał dym i popiół, drapiąc gardło tak dotkliwie, że pragnienie zaczęło doskwierać Mollie bardziej niż duchota. Napierający tłum ludzi uciekających na północ utrudniał utrzymywanie się na nogach.

Miasto, które tak mocno kochała, przestawało istnieć. Ogień pochłaniał budynki, zamieniając je w sterty gruzu, co z kolei odcinało ludziom drogę ucieczki i potęgowało panikę. Przed nastaniem poranka Chicago mogło się zamienić w dymiącą ruinę.

– Mollie, uważaj! – krzyknął Zack.

Podążyła za jego spojrzeniem. Oszałały koń bez jeźdźca pędził wprost na nią, tratując przy okazji kilka osób tłoczących się na ulicy. Jakaś kobieta wrzasnęła i uskoczyła w bok, lecz Mollie była unieruchomiona przez stojący obok niej wóz. Bezradnie cofnęła się na dźwięk końskich kopyt, aż wtem ręce Zacka owinęły się wokół jej talii i w ostatniej chwili usunęły ją z pola zagrożenia.

– Dziękuję – wysapała, nim dopadł ją gwałtowny atak kaszlu.

– No, dalej – rozkazał, chwytając dziewczynę za rękę i ciągnąc za sobą. – Musimy przejść przez rzekę, zanim most spłonie. Uda nam się, Mollie. – Uśmiechnął się do niej, a biel zębów kontrastowała z czarną od sadzy twarzą.

Zack Kazmarek okazał się prawdziwym wybawieniem w całym tym chaosie. Dzięki nieprzeciętnej budowie ciała potrafił przebijać się przez wzburzoną ciżbę i zapewnić im obojgu szybszą ewakuację na północ. Popiół zdążył już pokryć jego płaszcz dość grubą warstwą, nadal jednak dało się dostrzec wykwintność samego ubioru oraz wysoką pozycję społeczną mężczyzny, który go nosił. Zack towarzyszył Mollie w drodze przez prawdziwe piekło, a mimo to nie usłyszała od niego ani słowa skargi.

Dlaczego człowiek, który jej nie cierpiał, okazał się nagle tak wspaniałomyślny? Przez trzy ostatnie lata Zack trzymał dystans z lodowatą obojętnością – czemu zatem teraz ratował ją z narażeniem życia?

Tłum zgęstniał jeszcze bardziej przy moście na Rush Street. Jacyś ludzie przed nimi

wrzeszczeli i nakłaniali tę wielką, ruchomą masę do odwrotu. Wykrzykiwanych przez nich słów nie sposób było jednak dokładnie usłyszeć, gdyż zagłuszał je ryk wiatru oraz dźwięk dzwonów alarmowych, ale zbliżywszy się nieco, Mollie zrozumiała, w czym tkwi problem.

Most się palił.

– Jeszcze możemy przez niego przebiec – powiedziała, rzucając się naprzód.

Most był długi mniej więcej na sto metrów, a pomarańczowe płomienie lizały już drewniane balustrady. Deski zaczynały się gdzieś tam tlić, lecz całość nadal sprawiała dość solidne wrażenie. Kilku śmiazków ruszyło już pędem na drugi brzeg rzeki, Mollie zaś – mając świadomość ściany ognia pozostającej za nią – zbierała siły, aby podążyć ich śladem.

Ręka Zacka zamknęła ją w mocnym uścisku. Zatrzymał dziewczynę na miejscu i zmusił do spojrzenia mu w twarz. Jego oczy lśniły, a skórę pokrywała sadza zmieszana z potem, kiedy przysuwał się bliżej i usiłował przekrzyczeć ryk wiatru i ognia:

– Mollie, ten most nie wytrzyma! Nie zamierzam patrzeć, jak idziesz na śmierć! Musimy się jakoś przedostać do mostu na Clark Street.

W ciągu wszystkich lat pobieżnej znajomości z nieskazitelnym Zackiem Kazmarkiem nigdy nie zauważyła cienia wahania pod jego szytymi na miarę garniturami i nakrochmalonymi kołnierzykami koszul. Teraz lustrował ją od stóp do głów oszalałym wzrokiem. Chwycił ją za ramiona w sposób sugerujący, iż za nic w świecie nie pozwoli jej stanąć na moście, a to z kolei kazało jej pomyśleć, że... że przejmuje się jej losem. To było niemożliwe... zbyt słabo się przecież znali.

Zaledwie sześć dni temu odbyli pierwszą prawdziwą rozmowę. Wcześniej Zack był tylko prawnikiem wypłacającym jej pieniądze i przyprawiającym o onieśmienie.

Sześć dni wydawało się teraz wiecznością.

Sześć dni wcześniej

Papier był gruby i kremowy, zapisany ekskluzywnym atramentem, z nazwą firmy wytłoczoną złotymi literami. Mollie po raz drugi odczytała wiadomość.

Panno Knox,

chciałbym się z Panią spotkać i przedyskutować potencjalne posunięcia biznesowe.

Jeszcze dzisiaj, około godziny czternastej, pojawię się w Illinois Watch Company.

Zachariasz Kazmarek,

Prawnik Hartman's, Inc.

Mimo urzędowego tonu tej krótkiej notatki Mollie była wystarczająco bystra, żeby się wystraszyć.

Zack Kazmarek posiadał opinię prawniczego geniusza, a na co dzień wspierał jedno z największych imperiów handlowych w całym stanie. Trzymał w szachu pół Chicago, podczas gdy druga połowa miasta się go bała. Mollie należała do obu kategorii jednocześnie. Zawsze zachowywał wobec niej lodowatą uprzejmość, co bynajmniej nie oznaczało, że czuła się przy nim bezpieczna. Plotki na temat Kazmarka krążyły z ust do ust i stały się już niemal legendami.

Pracownię wypełniał warkot tokarek, a robotnicy w pocie czoła wykonywali maleńkie części do zegarków, jednak miarowy stuk laski Franka Spencera wyraźnie odcinał się od innych dźwięków.

– Dobre wieści? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Mollie. Przysunęła się do niego nieco bliżej, aby nikt w pracowni nie mógł ich podsłuchać, i cicho odczytała Frankowi krótki list.

Puste oczy słuchacza spoczęły nieruchomo na jakimś punkcie w oddali, kiedy pochłaniał kolejne słowa, zapisując je w swoim bystrym umyśle. Niewiele osób zdecydowałoby się zatrudnić niewidomego w charakterze adwokata, jednak Mollie wciąż odczuwała wobec Franka wdzięczność za uratowanie życia jej ojcu podczas bitwy pod Winston Cliff. Mógł się zatem czuć w 57th Illinois Watch Company jak w domu. Był dla niej kimś w rodzaju drugiego ojca, ufała mu bezgranicznie.

Frank potarł dłonią policzek, przetwarzając w głowie usłyszane informacje.

– W ciągu tych wszystkich lat naszej współpracy z firmą należącą do Hartmana nikt nigdy nie pofatygował się osobiście do fabryki. To dziwne. – Jego ton zdradzał zatroskanie. Frank był, poza Mollie, jedyną osobą w firmie, która знаła kruchość ich finansowego położenia.

57th Illinois Watch Company wytwarzała najpiękniejsze zegarki w Ameryce. Ze

swoim lakierowanym cyferblatem oraz ręcznie zdobionym, złotym etui, każdy z nich był majstersztykiem, który zachwycał artyzmem wykonania. W ślad za tym podążała oczywiście bardzo wysoka cena. W całym Chicago tylko sklep Hartmana mógł sobie pozwolić na rozprowadzanie tak luksusowych artykułów. Zdobiony marmurowymi podłogami i żyrandolami z kryształu, zaopatrywał milionerów w indyjskie szafiry, francuskie perfumy oraz włoski zamsz, tak delikatny, że w dotyku do złudzenia przypominał jedwab. U Hartmana sprzedawano także wysadzone szlachetnymi kamieniami czasomierze wychodzące z pracowni 57th Illinois Watch Company.

Kiedy trzy lata wcześniej odziedziczyła interes, Mollie zdała sobie sprawę z jego specyficznej rynkowej sytuacji. Wszystkie zegarki sprzedawali Louisowi Hartmanowi. Posiadanie tylko jednego klienta oznaczało, że gdy król biznesu zdecyduje się nawiązać współpracę z kimś innym, oni pójdą z torbami. Firma pozostawała na łasce Hartmana – wizyta jego prawnika budziła więc w Mollie zrozumiałe obawy.

Pan Kazmarek przyprawił ją swoim listem niemal o atak paniki; bezwiednie zaczęła mieć elegancki papier w dłoniach.

– Za chwilę miałam wyjść na lunch, ale teraz jestem zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek przełknąć – wyznała.

Frank także wyglądał na przestraszonego, gdy poprawiał kamizelkę i nerwowo kręcił głową, jakby nadal mógł wodzić wzrokiem po warsztacie.

– Czy wszystko jest na swoim miejscu? Skoro chce się z nami zobaczyć prawnik, może mu zależeć na kontroli naszego stanu posiadania.

Mollie rozglądnęła się badawczo po pracowni. Kochała każdy milimetr tego budynku, łącznie z jego ceglanyścianami i wysokimi oknami. Wielkie pomieszczenie, w jakim się znajdowali, wypełniało dwadzieścia stołów do pracy – wystarczająco wysokich, by robotnicy mogli wykonywać swoje zajęcia bez nadwyreżania pleców. Każdy z nich był zaopatrzony w lupę jubilerską, pincety i szpilki, aby łączyć ze sobą delikatne części mechanizmu. Po drugiej stronie warsztatu rzemieślnicy grawerowali złote pokrywy do zegarków. Najcenniejszym nabytkiem Mollie okazało się małżeństwo Ulyssesa i Alice Adairów, których artystyczne dzieła ze złota, emalii i szlachetnych kamieni stanowiły strzeliste hymny do piękna.

Pierwsze wspomnienia Mollie wiązały się z zabawą pośród tych stołów oraz z obserwowaniem, jak ojciec wyczarowuje najpiękniejsze zegarki na świecie. Kiedy była malutka, miała silne przeświadczenie, że tata jest inteligentny niczym Leonardo da Vinci, skoro z drgających i tykających fragmentów metalu potrafi stworzyć niewielkie maszyny, idealnie odmierzające czas. W przeciwieństwie do zwykłych zegarmistrzów ze Wschodniego Wybrzeża, Silas Knox stawiał na wyroby pretendujące do miana dzieł

sztuki, na które chicagowskie elity chętnie wydawały fortunę.

Mollie przejawiała tyle zacięcia artystycznego co główka kapusty, ale za to wyśmienicie znała się na prowadzeniu biznesu oraz na samej produkcji zegarków. Sprężynki nauczyła się wytwarzać w wieku dziesięciu lat. Dwa lata później umiała już łączyć śrubki w wewnętrznych mechanizmach i opanowała cały proces produkcyjny. Teraz, gdy została właścicielką firmy, głównie pilnowała rachunków i przeprowadzała transakcje. Nadal jednak uwielbiała przykładać do oka lupę, by składać w całość maleńkie uszczelki, kółeczka i sprężynki, a ostatecznie otrzymywać z nich zgrabny zegarek kieszonkowy. Najlepsza w tym wszystkim była pewność, że następnego dnia obudzi się i zacznie robić dokładnie to samo.

Ale tylko pod warunkiem, że zdoła ocalić interes.

– Alice, mogłabyś mi pomóc przygotować biuro na wizytę pana Kazmarka? Wszystko musi wyglądać idealnie.

Alice odłożyła grawerkę.

– To ważne spotkanie, prawda? – spytała. W jej głosie nadal dał się słyszeć lekki irlandzki zaśpiew. Artystyczny talent Alice sprawił, że dzisiaj była kimś zupełnie innym niż tamta biedna dziewczyna, jedząca przed dwudziestoma laty surowe ziemniaki w ojczystej Irlandii.

Nie należało wywoływać paniki, zanim się nie dowiedzą, czego właściwie chce pan Kazmarek.

– To tylko zwykła rozmowa z kimś od Hartmana – odparła niedbale Mollie.

Alice podniosła się z miejsca.

– W takim razie musimy cię przygotować. Z tą fryzurą i w takim stroju wyglądasz jak strażnik więzienny, który ma właśnie sprawdzać cele przed pójściem spać.

Mollie zerknęła na swoją nakrochmaloną bluzkę i prostą spódnicę.

– A co jest nie tak z moim wyglądem?

– Warkocze nie pasują do żadnej kobiety mającej więcej niż dwanaście lat – chyba że chce nimi straszyć dzieci.

Mając na głowie burzę niesfornych, ciemnych loków, Mollie musiała zaplatać je w warkocze, jeśli chciała nadać fryzurze choć minimalne pozory ładu.

– To jest spotkanie biznesowe, nie prywatna pogawędka.

Alice chwyciła ją za ramię i zaciągnęła do starego lustra wiszącego na ścianie.

– Kiedy spotykasz się z pracownikami sklepu Hartmana, musisz wyglądać porządnie. Stylowo, elegancko i majętnie. – Alice zdjęła swój jedwabny japoński szal i zarzuciła go Mollie na ramiona.

Dziewczyna przejechała palcem po ręcznie drukowanym motywie na materiale.

– Pasowałyby do ekspozycji w Luwrze.

– Najlepiej pasuje do twojej szyi – zapewniła Alice. Jednym ruchem uwolniła atramentowe włosy koleżanki, które rozsypały się bezładnie na plecach. Ze swoją bladą twarzą i niebieskimi oczami Mollie była dosyć ładna, ale te włosy wydawały się jej zawsze koszmarem, ignorowały bowiem wszelkie próby układania ich w staranne, schludne warkocze.

– Alice, spotykałam się już z Kazmarkiem dziesiątki razy ze związanymi włosami i nigdy od tego nie umarł.

Frank przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Jaki on jest, ten pan Kazmarek?

Mollie przyglądała się paznokciowi swojego kciuka, podczas gdy Alice nadal pracowała nad ułożeniem jej fryzury. Ilekroć musiała się spotkać z prawnikiem Hartmana, zawsze czuła się przytłoczona.

– Nie wiem o nim zbyt wiele. Ustalamy wysokość wynagrodzeń na kolejny kwartał, przedstawiam mu modele z nowej kolekcji, a potem się żegnam.

– Ale jaki on jest? – naciskał Frank. – Czy ma poczucie humoru? Czy nawiązuje z tobą kontakt wzrokowy? A może cały czas gapi się w ścianę?

– W sumie nie wiem – wyznała. – Staram się załatwić sprawę tak szybko, jak to możliwe, i uciec. Trzyma w biurze małego ptaszka imieniem Lizzie, który nieustannie obja się o klatkę, a czasami zaczyna śpiewać.

Frank lekko kręcił głową.

– Och, Mollie, spotykasz się z tym człowiekiem od trzech lat i masz o nim do

powiedzenia tylko tyle, że hoduje u siebie ptaka w klatce?

Takie naświetlenie faktów sprawiło, że nagle zawstydzila ją własna głupota. Znacznie łatwiej przychodziła jej obserwacja pierzastego stworzonka niż patrzenie w oczy człowiekowi, od którego w dużym stopniu zależała przyszłość jej firmy. Nawet lodowce na Morzu Północnym wydawały się emitować więcej ciepła niż pan Kazmarek. Był to przystojny mężczyzna, mierzący sobie niemal dwa metry wzrostu, o czarnych włosach i ciemnych oczach. A może jego włosy miały odcień kasztanowy? Tak naprawdę tego nie wiedziała... Po prostu bała się na niego patrzeć.

– Cóż, plotki krążące na jego temat są dość szokujące – rzekła. Pochyliła się nieco w przód, aby przekazać garść niepotwierdzonych informacji na temat metod, którymi Kazmarek miał się ponoć posługiwać w chicagowskim półświatku handlowym.

Alice skończyła układać jej włosy.

– No – mruknęła z satysfakcją. – Wyglądasz teraz jak arcydzieło Botticellego.

Mollie w zadziwieniu obejrzała rezultaty tych zabiegów. Jej włosy ogromnie zyskały na atrakcyjności, Alice uformowała je bowiem tak, jak robiły to owe kobiety z płócien wielkich romantyków, obecnie bardzo popularnych w Europie. Dwie złote wsuwki podtrzymywały część włosów na czubku głowy, reszta zaś opadała swobodnie na plecy. Całość wydała się jednak Mollie skrajnie niepraktyczna.

– To uczesanie przetrwa może z pięć minut – oznajmiła. Już w tej chwili zauważyła pierwsze niesforne kosmyki, które należało natychmiast odgarnąć.

– Zostaw! Tutaj nie chodzi o porządek – powiedziała Alice. – Wiem, że coś takiego nie mieści się w twoim matematycznym mózgu, ale zaufaj mi: wyglądasz wspaniale.

– Olśniewająco – potwierdził Frank.

Mollie posłała niewidomemu prawnikowi rozbawione spojrzenie.

– A ty skąd wiesz?

– Znam Alice Adair i jej artystyczny kunszt. Mollie, zostaw włosy w spokoju. Musisz zrobić dobre wrażenie na pracowniku Hartmana.

Z drugiej strony pomieszczenia doszedł ich jakiś hałas. Metalowa miska stuknęła o podłogę, a gruba warstwa pyłu wysypała się z niej wprost na nogi Declana McNabba. Proszek diamentowy! Declan, firmowy specjalista od polerowania metalu, używał mieszanek tego proszku i oleju migdałowego, aby nadać materiałowi lustrzany połysk.

Teraz rozsypał porcję proszku o wartości stu dolarów, Mollie zaś wcale nie była pewna, czy zdołają zgarnąć cenny surowiec z podłogi.

Ale nie o to chodziło. Bardziej zaskoczyła ją panika w spojrzeniu Declana.

– Dla... dla... dlacze... dlaczego...

Mollie uklękła i położyła mu dłoń na kolanie. Z trudem zmuszała się, aby patrzeć, jak dorosły mężczyzna rozkleja się w taki sposób. Declan był dobrze zbudowany i przystojny, lecz podczas każdego ataku spazmów sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz rozpaść na kawałki.

– Uspokój się, Declanie. Jeśli nie dasz rady nic powiedzieć, napisz mi to.

Declan sięgnął po stos kartek leżących na biurku i zaczął bazgrać drżącą dłonią: „Po co przychodzi prawnik? Mamy kłopoty?”.

Takie pytania były dla Mollie ciosem w samo serce. Na razie nie mieli żadnych kłopotów, ale to się z pewnością zmieni, jeżeli Hartman zerwie kontrakt. Ludzie tacy jak Frank czy Declan stracą zatrudnienie. Sam Declan być może już nigdy nie znajdzie innej pracy. Cierpiał na tę samą tajemniczą chorobę, jaka trapiła wielu innych weteranów wojny domowej – nagłe ataki paniki połączone z drżeniem, które nadchodziły znikąd i wisały nad nieszczęśnikiem niczym trująca chmura, uniemożliwiająca mu dostęp do światła dziennego.

W trakcie wojny ojciec Mollie służył w 57. Pułku Piechoty Stanu Illinois, który w wyniku błędnych decyzji dowódców został przygwożdżony do nadmorskich skał i zdziesiątkowany po trzydniowych walkach. Większość żołnierzy zginęła albo uległa poważnym okaleczeniom. Ci, którzy przeżyli, stali się dla ojca Mollie jak bracia. Ogłosił, że każdy weteran owej pamiętnej bitwy zostanie przyjęty do pracy w chicagowskiej fabryce zegarków, jeśli tylko wyrazi takie życzenie. Swojej firmie Knox nadał nazwę nawiązującą do niegdysiejszego batalionu, zaś piętnastu spośród czterdziestu pracowników to dawni żołnierze z różnymi obrażeniami. Mąż Alice stracił prawą nogę, co nie przeszkadzało mu teraz być jednym z najlepszych grawerów świata. Gunner Wilson, znany powszechnie jako Stary Gunner, przeszedł amputację ręki, a jednak na co dzień utrzymywał warsztat w czystości, jakiej nie powstydziliby się żadna sala operacyjna. Franka z kolei oślepił szrapnel. Kiedy brakowało dla niego zadań zgodnych z jego prawniczym wykształceniem, zajmował się polerowaniem metalu. Declan zaś był zdrowym, sprawnym mężczyzną, lecz skołatany umysł fundował mu często irracjonalne napady lęku.

Mollie znalazła szufelkę i zgarnęła na nią część drogiego proszku. Nie nadawał się on już jednak do użytku.

– Nie chcę, żebyś się tym martwił – zwróciła się do Declana. – Pozostaję w stałym kontakcie z ludźmi Hartmana, bo muszę mieć pewność, że wysyłamy mu towar, jakiego oczekują klienci. Dzisiaj będzie tak samo.

Tak do końca w to nie wierzyła, ale stan Declana z sekundy na sekundę się pogarszał: strużki potu spływały mu po twarzy, a każdy jej mięsień drgał. Jak to jest żyć z permanentnie rozchwianym umysłem? Declan miał zaledwie trzydzieści dwa lata, kiedy – jako obiecujący wykładowca uniwersytecki – zaciągnął się w szeregi oddziałów Północy. Mollie z trudem odnajdywała w swoim pracowniku ślady tamtego odważnego chłopaka, którego znał niegdyś jej ojciec. Żal jej było Declana, choć z drugiej strony obawiała się wrażenia, jakie może on wywrzeć na panu Kazmarku.

Mollie strzepnęła resztki proszku diamentowego na szufelkę. Nie po raz pierwszy (i z pewnością nie ostatni) drżące dłonie Declana przyczyniły się do małej katastrofy. Mężczyzna stanowił dla firmy problem, rzeczą roztropną wydawało się zatem poprosić go, aby na resztę dnia poszedł do domu. Jakie wrażenie mógłby zrobić nerwowy, niestabilny emocjonalnie pracownik na Zachariaszu Kazmarku? Instynkt podpowiadał jej, by natychmiast usunęła Declana z pola widzenia. Należało przecież zaprezentować jednemu klientowi kompetentną, wiarygodną twarz przedsiębiorstwa.

Ale nie mogła odesłać Declana do domu. Będąc człowiekiem inteligentnym, natychmiast odgadłby, o co chodzi. Nie miała serca mu tego robić. Nie śmiałyby deptać godności tych, którzy całymi latami pracowali na sukces jej firmy.

Niech Zack Kazmarek zobaczy warsztat w jego pełnej, niedoskonałej krasie. Mollie mogła zagwarantować ludziom pracę tak długo, jak długo będą wypuszczać na rynek najpiękniejsze zegarki świata.

~
Wziąwszy sobie do serca delikatne wyrzuty Franka, Mollie bacznie przyjrzała się Zackowi Kazmarkowi, gdy po raz pierwszy przekraczał próg ich pracowni. Był to wysoki mężczyzna o potężnej posturze, ciemnych włosach oraz przenikliwych oczach, którymi wodził po warsztacie niczym jastrzęb w poszukiwaniu ofiary. Wyglądał nieskazitelnie i onieśmielająco w szytej na miarę marynarce z kamizelką oraz w białej koszuli ze sztywnym kołnierzem. Nawet wiatr wiejący od otwartych drzwi nie zdołał wyrządzić najmniejszej szkody jego starannie uczesanym włosom. Mollie pośpieszyła mu na spotkanie, pędem pokonując kilka schodów prowadzących na półpiętro.

– Panie Kazmarek, witam w siedzibie Fifty Seventh Illinois Watch Company. To dla nas zaszczyt, że możemy pana tutaj gościć.

Podał jej rękę i spojrzawszy na nią badawczo, nie powiedział ani słowa. Ten wzrok

na co dzień przyprawiał o drżenie miejscowych biznesmenów i działaczy związków zawodowych, toteż Mollie odruchowo skinęła głową w nerwowym geście. Dosięgnął ich kolejny powiew wiatru i dziewczyna poczuła, jak wsuwki Alice zaczynają się przesuwać na jej głowie. Dlaczego dała się koleżance namówić na tę bzdurną fryzurę?

– Wygląda pani inaczej – rzekł Kazmarek beznamiętnym tonem.

Był to pierwszy osobisty komentarz, jaki kiedykolwiek od niego usłyszała.

– Zechce pan wejść do środka? Z przyjemnością pokażę panu nasze stanowiska pracy. Zatrudniamy ogółem czterdzieści osób, podzielonych na osiemnaście różnych specjalizacji. – Wolno pokonywała kolejne stopnie, wskazując na rozstawione stoły. – Wszystkie etapy produkcyjne, począwszy od cięcia metalu, a na pracach zdobniczych skończywszy, wykonujemy w warsztacie.

Nie potwierdził najlżejszym ruchem zamiaru towarzyszenia jej czy chociażby zamknięcia drzwi, mimo że dmący od nich wiatr stawał się uciążliwy. Zawróciła więc i zatrzasnęła je własnoręcznie.

– Musimy tu bardzo uważać na miejskie odpady – oświadczyła przepraszająco. – Mechanizmy zegarków są wyjątkowo czułe.

Cień rozbawienia przemknął mu po twarzy.

– Naprawdę powiedziała pani „miejskie odpady”?

Uśmiechnął się do niej po raz pierwszy od początku ich znajomości i zauważyła niewielką szczelinę między jego przednimi zębami. Ot, drobna niedoskonałość. Jak to się stało, że wcześniej jej nie dostrzegła?

Gdyby nie czuła się taka zdenerwowana, może nawet podzieliłaby jego wesołość.

– Każdy zegarek składa się ze stu piętnastu oddzielnych części wielkości ziarenka ryżu – rzekła. – Kiedy te części zostają ze sobą połączone, najmniejszy pyłek albo... no tak... miejskie odpady mogą spowodować tarcie i zakłócić pracę mechanizmu. Musimy zatem dbać o nienaganną czystość w fabryce.

Gdy po raz kolejny schodziła po stopniach, poczuła, jak ciężar wsuwek zaczyna się przemieszczać we włosach. Ona tymczasem musiała oprowadzić Kazmarka po zakładzie.

– Wszystkie śrubki, uszczelki i sprężyny wykonujemy na miejscu. Zaraz pan zobaczy nasze nowe tokarki do polerowania metalu.

Gość wykazywał brak zainteresowania.

– Czy moglibyśmy gdzieś usiąść i porozmawiać na osobności? Tak jak napisałem w liście, chciałbym pani przedstawić pewną propozycję.

Jego słowa nie zdawały się sugerować chęci zerwania kontraktu, ale Mollie nie była jeszcze niczego pewna i czuła, jak serce wyrywa się jej z piersi. Z trudem zachowywała spokój.

– Mam biuro na tyłach zakładu. Poproszę mojego adwokata, by nam towarzyszył. Nigdy nie podejmuję żadnych istotnych decyzji bez konsultacji z Frankiem Spencerem.

– Naturalnie – rzekł Kazmarek.

Gdy kierowali się w stronę gabinetu, Mollie zdała sobie sprawę, że warsztat nie jest mu tak do końca obojętny. Lustrował go bacznie swoimi ciemnymi oczami, rejestrując rozkład stołów do pracy, skrzyń z materiałami, a nawet kule Ulyssesa Adaira oparte o jego biurko. Kiedy mijali Ulyssesa, poprosiła go, aby wezwał Franka do jej gabinetu.

Wiedziała, że w środku będzie im strasznie ciasno. Nie miała żadnego biurka, jedynie ogromny stół, który zajmował większość pomieszczenia. Mollie dokonywała przy nim wszelkich kalkulacji niezbędnych do funkcjonowania przedsiębiorstwa. Na stole piętrzyły się zazwyczaj stosy ksiąg rachunkowych, a także przeróżne instrukcje obsługi, ale – w oczekiwaniu na tę dzisiejszą wizytę – zebrała je wszystkie razem i wyniosła do magazynu.

– Proszę usiąść – powiedziała, wpuszczając go do środka. – Napije się pan czegoś? Zawsze trzymamy w pogotowiu dzbanek ciepłej herbaty.

Czy on jej w ogóle słuchał? Nie patrzył Mollie w oczy, lecz jego wargi rozciągnęły się w półuśmiechu.

– Nawet pani nie przypuszcza, jak mocno mnie kusi, żeby wyjąć tę wsuwkę.

Wytrzeszczyła oczy. Jego głos był miękki i cichy, przyjemny jak gorąca czekolada z bitą śmietaną. Zupełnie nie pasował do oficjalnego charakteru tego spotkania. Podczas gdy Kazmarek mówił, wsuwka wciąż wędrowała w dół, uwalniając coraz więcej zbuntowanych loczków. To było idiotyczne. Nie zdoła skupić się na interesach ze świadomością, że lada chwila cała fryzura ulegnie zniszczeniu.

– Mogę pana na moment przeprosić? Pójdę sprawdzić, co zatrzymało mojego współpracownika.

Skoro tylko drzwi się za nią zamknęły, natychmiast wytrząsnęła z włosów obie wsuwki. Gęste loki rozsypały się na wszystkie strony, ona zaś w popłochu dopadła biurka Alice.

– Szybko! Za chwilę czeka mnie najważniejsza rozmowa biznesowa w całym moim życiu, a wyglądam jak nierządnica babilońska!

Alice zdusiła w sobie śmiech i poprawiła włosy koleżanki.

– Tym razem użyję spinek.

~
Jak to możliwe, że jej bystry adwokat natychmiast poczuł awersję do tego obcego człowieka? Wróciwszy do gabinetu, usłyszała, że Frank i pan Kazmarek wymieniają uszczypliwości.

– A zatem nigdy nie uczęszczał pan na studia prawnicze – rzekł Kazmarek bez ogródek.

Frank wyprostował się na krześle.

– Zdobyłem uprawnienia do wykonywania zawodu, pracując u boku dwóch sędziów Sądu Najwyższego Stanu Illinois – odparł sztywno. – To całkowicie legalna ścieżka edukacyjna. W ten właśnie sposób Abraham Lincoln został prawnikiem.

Kazmarek lekko uniósł czarną brew.

– Porównuje się pan do Abrahama Lincolna?

– Taka metoda przyswajania wiedzy jest znacznie bardziej efektywna niż ślęczenie w salach wykładowych na Yale. – Ton, jakim Frank wymówił nazwę „Yale”, mógłby się równie dobrze odnosić do pary brudnych skarpetek.

Mollie zapało dech. Czy nie wspominała już dziś Frankowi o kiepskiej reputacji Kazmarka? I o krążących na jego temat plotkach?

– Wielkie nieba! – powiedziała przymilnym tonem. – Wychodzę na dwie minuty, a po powrocie zastaję pojedynkę Gotów z Wizygotami.

Kazmarek skoczył na równe nogi. Czyżby się zarumienił? Nie miała co do tego całkowitej pewności. Mężczyzna odchrząknął, poprawił kołnierzyk koszuli i przybrał ową rzeczową minę, która zawsze jej się z nim kojarzyła. Po chwili odsunął dla niej krzesło, ona zaś splotła dłonie na oparciu, żeby choć na chwilę przestały drżeć.

– Od razu przejdę do sedna – oświadczył Kazmarek, ponownie siadając. Wcześniejszy przeblask humoru zniknął, a z rozmówcy zaczął znowu emanować zawodowy profesjonalizm, do jakiego Mollie była już przyzwyczajona.

– Kilka lat temu firma Hartman's podjęła decyzję o stopniowym przejmowaniu swoich kluczowych dostawców. Wydaje się nam rzeczą sensowną, aby mieć coś do powiedzenia w przedsiębiorstwach, które świadczą dla nas usługi. Od dawna pozostajemy pod wrażeniem pani zegarków, w związku z czym pragnęlibyśmy odkupić Fifty Seventh Illinois Watch Company.

Mollie odjęło mowę. Podejrzała, że usłyszy narzekania na jakość produktów, a w najgorszym wypadku groźbę zerwania kontraktu. Zupełnie nie spodziewała się natomiast propozycji sprzedaży firmy. Kiedy pan Kazmarek wyłuszczał szczegóły oferty, siedziała cicho w absolutnym oszołomieniu.

– Chcemy całego przedsiębiorstwa, włączając w to sprzęt i zawartość magazynów. Umowa obejmowałaby nieruchomości, wiedzę technologiczną oraz prawa do poszczególnych modeli – zarówno tych wchodzących w skład poprzednich kolekcji, jak i aktualnych.

W miarę wypowiedzania przez niego kolejnych słów mózg Mollie budził się z letargu i zaczynał w pośpiechu kalkulować. Mieli na stanie niesprzedany dotąd towar o wartości piętnastu tysięcy dolarów, jednak o rzeczywistym znaczeniu firmy decydował nowoczesny sprzęt oraz wielość artystycznych rozwiązań. Sama renoma przedsiębiorstwa również zasługiwała na uwzględnienie w rachunkach. Nie należało zatem przystawać na kwotę niższą niż czterdzieści tysięcy. Przy odrobinie szczęścia może nawet czterdzieści pięć.

Gdy Kazmarek na nowo podjął swoją przemowę, serce Mollie stanęło.

– Biorąc pod uwagę aktualny stan magazynu oraz waszą nienaganną reputację, jesteśmy skłonni zaoferować sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Płatne w gotówce. Niezwłocznie.

Mollie ledwo siedziała na miejscu – zwłaszcza że Kazmarek nie przestawał mówić, czyniąc propozycję coraz bardziej kuszącą.

– Chcemy, aby panna Knox nadal zajmowała się bieżącymi projektami, zgadzamy się także płacić trzyprocentowe honorarium za każdą następną kolekcję. Zależy nam na szybkim dokonaniu transakcji, a zatem oferta straci ważność w przyszły poniedziałek, dokładnie za tydzień.

W sercu Mollie na moment zagościła nadzieja, zasnuta jednak prędko przez ciemną chmurę. Ten warsztat to nie tylko piękne modele zegarków z emaliowanymi tarczami.

– A moi pracownicy? Co z nimi? – W oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymała oddech.

– Proszę ich u siebie zatrzymać – rzekł. – Nie zamierzamy ingerować w nic, co przyczynia się do kunsztownego wykonania zegarków zdobiących wystawy sklepowe sieci Hartman's.

Jakaż to byłaby dla niej ulga, gdyby mogła zrzucić z siebie ciężar zarządzania interesem i znowu skupić się wyłącznie na produkcji zegarków! Nigdy więcej zarywania nocy w obawie przed niewystawionymi fakturami czy nadprogramowymi wydatkami. Uśmiechnęła się tak szeroko, że zabołały ją usta.

– Co o tym myślisz, Frank?

– Dlaczego tak panu zależy na szybkiej odpowiedzi? – spytał jej adwokat. – Ta firma należy do rodziny Knoxów od trzydziestu lat. Jej sprzedaż nie powinna następować z dnia na dzień.

Miał słuszość. Bez problemu potrafiłaby obliczyć wartość magazynu czy maszyn, ale co z precyzyjnymi mechanizmami wewnętrznymi zegarków stworzonymi przez jej ojca? Długie dziesięciolecia pracował na reputację producenta dbającego o piękno i jakość wyrobów, a taka opinia to rzecz absolutnie bezcenna.

– Może przełożymy tę rozmowę na koniec miesiąca? – zaproponowała. – Przez ten czas zdołam dokonać odpowiednich wyliczeń. Chciałabym sporządzić długoterminowe prognozy w kwestii popularności rynkowej naszych artystycznych rozwiązań. Jednocześnie da mi to oczywiście wyobrażenie o faktycznej wartości posiadanego przez nas sprzętu.

Pan Kazmarek pozostawał dla niej zagadką. Jak to możliwe, że potrafił godzić pełen serdeczności wygląd z bezlitosnym tonem wypowiedzi?

– Poniedziałek rano. Punkt dziewiąta. Jeśli do tego czasu nie zajmą państwo jednoznacznego stanowiska, będziemy zmuszeni złożyć podobną ofertę innemu producentowi zegarków.

Te słowa przyprawiły ją o skurcz żołądka. Nie mogła sobie pozwolić na utratę Hartmana, ale z drugiej strony samobójstwem byłoby okazanie mu, jaki jest dla niej ważny. Gdyby wiedział, że trzyma ją w szachu, mógłby pozostawić jej jeszcze mniej czasu do namysłu.

– Doceniam państwa ofertę i wezmę ją pod rozwagę.

Jego oczy rozjaśnił błysk rozbawienia.

– Dlaczego wypowiada pani słowo „rozwaga” takim samym tonem jak „miejskie odpady”? To jest znakomita propozycja i dobrze pani o tym wie.

Nawet nie drgnęła.

– Sama oferta mi się podoba. Nie podoba mi się termin poniedziałkowy.

– Jest nierozsądny – dorzucił Frank. – Takie metody działania doradza się być może na Yale, ale na pewno nie tutaj.

Kazmarek udał, że nie dostrzegł kąśliwości tej ostatniej uwagi, i wciąż nie spuszczał wzroku z Mollie.

– Proszę nie pozwolić Panu Promykowi zwieść się na manowce. Właśnie staje pani przed szansą, jaka zdarza się najwyżej raz w życiu: może pani oddać swoją firmę pod opiekę najlepiej prosperującemu sklepowi na zachód od Nowego Jorku. Niektórzy sprzedaliby własne pierwородne dziecię w zamian za taką sposobność.

Rachunek bankowy Mollie był dosyć pokaźny, ale sześćdziesiąt tysięcy dolarów i tak stanowiło dla niej fortunę. A przecież mogłaby nadal tu pracować, co miesiąc odbierać pensję i ciągnąć trzyprocentowe profity od każdej udanej transakcji. Jedyna rzecz, jaką bezpowrotnie utraci po podpisaniu kontraktu, to poczucie kontroli. W ciągu ostatnich trzech lat witała każdy nowy świt z obawą, jak długo jeszcze zdoła ochronić swoich pracowników przed zwolnieniami. Jej ojciec okazał się katastrofalnie złym biznesmenem i interes z pewnością już dawno poszedłby na dno, gdyby nie trzeźwy osąd Mollie oraz narzucona przez nią finansowa dyscyplina. Obecnie odpowiedzialność za firmę spoczywała już wyłącznie na jej barkach, a Kazmarek wpatrywał się w nią tak, jakby była dojrzałą gruszką, w każdej chwili gotową spaść z drzewa.

Nie mogła spokojnie przeanalizować sytuacji, siedząc naprzeciw niego w tym mikroskopijnym biurze. Za mocno ją przytłaczał i odbierał tlen. Z pewnością nie przestałby gadać, wybijając ją z rytmu przemysłów, które zalewały jej biedną głowę i walczyły – każda z osobna – o skupienie na sobie całej uwagi Mollie.

– Rozważę pańską propozycję i wkrótce się odezwę – obiecała, dumna z rzeczowego tonu, na jaki się właśnie zdobyła.

Kazmarek wciąż się jej przyglądał. Zdziwiał się, jak szybko potrafił przybierać ów

kamienny wyraz twarzy, wprawiający ją w popłoch.

– Robię z panią interesy od trzech lat – powiedział oficjalnym tonem. – Zawsze uważałem panią za pewnego siebie przedsiębiorcę o niezłomnym charakterze. Proszę mnie teraz nie zawieść.

Wstał i skierował się do wyjścia.

II

Zachariasz Kazmarek obserwował ogród położony na tyłach posesji Hartmana, otoczony smukłymi topolami i zachwycającymi pnączami wisterii. Trudno mu było uwierzyć, że znajduje się w samym sercu Chicago. Przynajmniej czterdzieści osób zebrało się na uroczystym wieczorku zorganizowanym przez Josephine Hartman na kamiennym ogrodowym tarasie. Kojąca muzyka sączyła się przez otwarte drzwi, które prowadziły do bogato urządzonego domu. Światło latarni migotało pomiędzy zielenią liści i dodawało przyjęciu ciepłego blasku.

– Spróbuj tego – zaproponował Louis Hartman, podsuwając Zackowi kieliszek pod nos. – To pięćdziesięcioletni koniak, sprowadzony wprost z zamglonych wzgórz południowej Francji. Moja żona uważa, że przyjmie się także na naszym rynku.

Zack pociągnął łyk. Rzadko pijał tego typu trunki, jednak pracując u Hartmana, musiał się już dawno pogodzić ze słabostkami chlebodawcy. Coroczne wyprawy Josephine do Europy zawsze skutkowały dostawami nowego asortymentu do sklepu, a testowanie owych ekskluzywnych wyrobów odbywało się tutaj, w ich okazałym domu. Tego wieczoru gospodyni serwowała kopenhaski kawior oraz koniak w kieliszkach z Wenecji. Obrusy na ogrodowych stolikach pochodziły z Irlandii, a świece pełgające w latarniach sprowadzono specjalnie z hiszpańskiego klasztoru. W zeszłym roku Zack towarzyszył Hartmanom w ich europejskich wozajach, odwiedzając między innymi dom towarowy Harrods [1] i starając się nauczyć jak najwięcej o sektorze luksusowych usług.

Zack potrząsnął trzymanym w dłoni kieliszkiem.

– Twoja żona twierdzi, że ten koniak jest najlepszy?

Louis wzruszył ramionami.

– Jeśli wziąć pod uwagę sumę, jaką na niego wydała, to dość prawdopodobne.

– Skoro zyskał aprobatę pani Hartman, na pewno będzie się świetnie sprzedawał.

Zupełnie jak tamte olśniewające zegarki, których kwestią zajmował się w ciągu ostatniego tygodnia. Odkąd został głównym adwokatem firmy Hartman's, Zack nie posiadał się ze zdumienia, ile bogaci ludzie są gotowi zapłacić za flakonik perfum albo kawałek jedwabiu. Ale te zegarki to już luksus, jakiego nie powstydziliby się dziedzic rodu Medyceuszy. Zack nie zamierzał bynajmniej rozliczać bogaczy z tego, jak wydają swoje pieniądze; cieszył się, że po prostu to robią, i z radością dołączył do ich grona. Nie żeby sam zachowywał się lekkomyślnie. W ciągu tego kilkuletniego okresu, odkąd zaczął dobrze zarabiać, pozwolił sobie zaledwie na jeden mały wybryk. Była to szokująca

ekstrawagancja, lecz zarazem coś, na co uwielbiał patrzeć każdego dnia.

Louis przysunął się nieco bliżej.

– Czy zapoznałeś Mollie Knox z naszą propozycją? – zapytał przyciszonym głosem.

Na dźwięk tego nazwiska Zack zeszywniał, starannie zamaskował jednak własną reakcję.

– Spotkałem się z nią dziś po południu – powiedział lekko. – Zna już sprawę.

– Niezłe z niej ziółko.

Zack nieznacznie skinął głową.

– Myślę, że doceni tę propozycję. Nie spodziewam się żadnych problemów.

Stąpał po grzaskim gruncie i musiał zachować ostrożność. Louis Hartman okazywał wręcz przesadny brak zaufania wobec jakichkolwiek związków między swoimi dostawcami i pracownikami. Przyłapał niegdyś poprzednika Zacka na braniu łapówek od zaopatrzeniowców zaniepokojonych statusem swoich towarów na półkach wiodącego sklepu w Chicago. Hartman był bardzo bogaty, ale – podobnie jak większość ludzi, którzy z najwyższym trudem wdrapali się na szczyt sukcesu – obsesyjnie sprawdzał sumy na rachunku bankowym i drżał na myśl o tym, że ktoś mógłby go oszukać. Zack starannie zatem ukrywał swoją absurdalną słabość do Mollie Knox. Zdradzenie się z nią kosztowałoby go zapewne utratę pracy.

– Sprowadź ją do nas jak najszybciej – rzekł Louis. – Dobrze znałem jej ojca, chciałbym więc, aby ta umowa doszła do skutku. Natychmiast. Nie pozwól jej się zanadto roztkliwiać i dopilnuj, żeby połknęła haczyk.

Ostatnie słowa pokazywały, że Louis niewiele wie na temat Mollie Knox. Była to najbardziej stanowcza i pragmatyczna osoba, jaką Zack kiedykolwiek spotkał. Z pewnością przeanalizuje każdy punkt umowy przynajmniej sześciokrotnie, nim zdecyduje się złożyć na niej podpis. Mogła sobie prowadzić najbardziej niepraktyczny biznes świata, lecz jej posunięcia były logiczne i precyzyjne niczym słupki sprzedaży.

– Zostawiłem jej tydzień na podjęcie decyzji – oświadczył Zack.

– Tydzień? Ja kazałbym się jej zdecydować w ciągu jednego dnia.

Zack potrząsnął głową.

– Tego rodzaju pośpiech wzbudziłby podejrzenia. Zaufaj mi, ona nie zrobi absolutnie niczego, co zagroziłoby bezpieczeństwu tej całej hołoty, która u niej pracuje. Skusi ją komfort, jaki zapewnia umowa z nami. Ale jeśli zaczniemy za mocno naciskać, zbuntuje się. A przecież nie znajdziemy w tym kraju drugiego tak dobrego producenta zegarków.

Na taras wyszedł kelner, jednak nie niósł ze sobą szampana ani żadnych smakołyków sprowadzanych zza oceanu. Wyraz zakłopotania na jego twarzy przykuł uwagę Zacka, podczas gdy mężczyzna szedł wprost w jego kierunku i pochylił się nad nim, zniżając głos do szeptu.

– Sir, kobieta podająca się za pańską matkę chciałaby się z panem widzieć.

Ani jeden mięsień w twarzy Zacka nie drgnął.

– Jest sama?

Mogły istnieć tysiące powodów – jeden gorszy od drugiego – dla których matka zdecydowała się go odwiedzić. Zwrócił się do Louisa, przywołując na twarz zrelaksowany uśmiech.

– Przepraszam na chwilę. Sprawy rodzinne – powiedział, by następnie ruszyć za kelnerem w głąb domu, przez hol oświetlony kryształowymi kinkietami, wprost do pomieszczenia dla służby. Czyżby w porcie zdarzył się jakiś wypadek? Od lat błagał ojca, by ten zmienił pracę. Sześćdziesięcioletni mężczyzna nie powinien się już zajmować załadunkiem elewatorów zbożowych, lecz Zack stracił nadzieję, że zdoła wbić mu to do głowy.

Matka ze zdenerwowania przechadzała się po pokoju. Miała na sobie barwny, choć podniszczony szal, mocno kontrastujący z nienaganną czernią stroju służących Hartmana.

– Czy z tatą wszystko w porządku? – zapytał Zack, wstrzymując oddech.

Uśmiech na twarzy matki nieco go uspokoił.

– O tak – odparła i podeszła bliżej, aby go uściskać. – Cóż, został aresztowany, ale poza tym czuje się świetnie.

Z rezygnacją opuścił ramiona.

– Co zrobił tym razem?

Można by przypuszczać, że matka Zacka będzie w takim momencie czuła dojmujący smutek, ona jednak wydawała się dziwnie podniecona. A nawet dumna. Oczy jej lśniły, bezwiednie spłotła ze sobą dłonie.

– Hm, na pewno wiesz, że w mieście przebywa teraz rosyjska delegacja...

– Rosyjska delegacja handlowa – doprecyzował Zack.

Matka lekceważąco machnęła ręką.

– Wszystko jedno. W mieście jest rosyjska delegacja, więc twój ojciec nie mógł przepuścić takiej okazji. Poszedł do ratusza, żeby ich zobaczyć...

Kobieta dość bezładnie kontynuowała opowieść, jednak jej syn już nie słuchał. Poprzedniej nocy wytłumaczył rodzicom, że Rosjanie pojawili się w Chicago jedynie po to, by uzgodnić warunki handlu wołowiną. Ta delegacja nie miała żadnych kontaktów z carem, nie była też odpowiedzialna za krwawe stłumienie powstania styczniowego, jakie wybuchło osiem lat wcześniej w Polsce.

Żadne z rodziców nigdy nie postawiło stopy na polskiej ziemi, ale wspomnienie ojczyzny wciąż było wśród chicagowskich imigrantów bardzo żywe. Dziadkowie Zacka należeli do grona uchodźców, zmuszonych uciekać z własnego kraju po tym, jak Rosja zredukowała jego autonomię właściwie do zera. Silne przywiązanie dziadków do Polski wpłynęło także na postawę rodziców Zacka. Kiedy w 1864 roku ostatnie ślady polskiej samodzielności zostały stłamszone, matka i ojciec podwoili wysiłki, aby jakoś ratować swój kraj.

Znowu skupił uwagę na rodzicielce, która nie przestawała szczebiotać o tym, jakim bohaterstwem wykazał się jej mąż, torując sobie drogę do sali, gdzie rosyjscy dygnitarze rozmawiali z burmistrzem Chicago.

Opowiadała tak obrazowo, jakby była tam osobiście.

– Mamo, proszę, powiedz mi, że nie poszłaś razem z nim do ratusza.

– Oczywiście, że poszłam! Potrzebowaliśmy jak najwięcej ludzi, żeby wyrzucić na Rosjanach odpowiednie wrażenie. Było z nami jeszcze siedem innych osób z Towarzystwa Polskiego. Jako jedyna kobieta w grupie, nie zostałam aresztowana, ale wszystkich mężczyzn zabrali. Powiedziałam im, że niedługo się tam pojawisz i wyciągniesz ich z więzienia. Mój syn, mówię, jest znanym prawnikiem w firmie Hartman's. Oni zresztą wiedzieli to już wcześniej, bo przecież chwalimy się tobą przy każdej okazji. – Uszczypnęła go w policzek. – Jesteśmy z ciebie tacy dumni.

Zack zagryzł wargi. Nie po raz pierwszy – i z pewnością nie ostatni – przyjdzie mu wnieść kaucję za członków polskiej społeczności, którzy trafili do aresztu. Czy oni naprawdę myśleli, że machając tutaj szabelką, zwrócą na siebie uwagę cara? Że ktokolwiek się nimi przejmie? Dobrze przynajmniej, że mama nie trafiła za kratki i nie musiała znosić więziennych niewygód. Zack przycisnął ją mocno do siebie i pocałował w czoło. Serce mu się krajało, gdy obserwował jej poświęcenie dla sprawy, której i tak nigdy nie zdoła wygrać. Angażowała się w nią przez całe swoje sześćdziesięcioletnie życie i zapewne nie złożyłby broni aż do śmierci.

– Coś się stało? – zapytał Louis Hartman, który pojawił się w drzwiach, u boku obwieszanej biżuterią żony. Zack poczuł, jak matka kuli się w sobie, nagle zawstydzona swoim lichym ubiorem wobec wyzywającej elegancji Josephine. A przecież nie musiała się wstydzić. Hartmanowie doskonale wiedzieli o poplątanych korzeniach tej rodziny.

Zack wyprostował się.

– Ojciec potrzebuje mojej obecności w domu – powiedział wymijająco.

Hartman zaciągnął się cygarem, które zarzyło się coraz jaśniej na tle zapadającego zmroku.

– Jakież problemy w zakładzie? Czy on nadal tam pracuje, po tych wszystkich latach?

Zack przytaknął.

– Tak, ciągle pracuje. Postaram się to szybko załatwić.

Nie miał przed Louisem tajemnic, nie chciał jednak narażać matki na współczujące spojrzenie Josephine Hartman. Nigdy nie zapomni tamtego dnia przed szesnastoma laty, kiedy państwo Hartman złożyli wizytę w ich brudnej robotniczej kamienicy. W owym czasie Zack pracował jako pomagier portowy i rozładowywał potężne skrzynie z towarami należącymi do firmy Hartmana. Po raz pierwszy zabłysnął w oczach przełożonego dzięki kilku inteligentnym sugestiom, które ułatwiły przepływ towaru. Ale dopiero incydent z rybą skłonił Hartmana do tych pamiętnych odwiedzin.

Oprócz ekskluzywnego sklepu Louis prowadził także kilka najlepszych restauracji w Chicago. Do uszu Zacka dotarła plotka, że jeden z dostawców podmienia prawdziwego białego okonia na znacznie tańszego pstrąga. Młody Kazmarek był oburzony. Wtargnął do biura nieuczciwego kupca, brudny i spocony po całodziennej pracy w porcie. W rękach taszczył wielki kosz pstrągów. Wysypał ryby na ręcznie rzeźbione biurko oszusta, dzięki czemu dobitnie wyraził własne zdanie w dręczącej go sprawie.

– Tak właśnie wyglądają pstrągi. Proszę ich już więcej z niczym nie pomylić. – Upuścił mokry kosz na jedwabny dywan i wrócił do doków.

Zack był zwykłym, ale za to bardzo sprytnym dwudziestoletnim magazynierem. Zdążył już przyczynić się do zaoszczędzenia przez Hartmana całkiem pokaźnej sumki dzięki udanym negocjacjom z Irlandczykami, którzy dostarczali im towary. Louis cenił lojalność ponad wszystko w świecie, kiedy więc dotarła do niego wieść o aferze z rybami, ujrzał w zuchwałym robotniku ogromny potencjał. zaproponował Zackowi, że pokryje koszt jego studiów, a następnie zatrudni go w zarządzie swojego coraz potężniejszego imperium. Potrzebował oddanego prawnika, obdarzonego dziką, agresywną naturą, nieodzowną do życia w dynamicznym świecie chicagowskiej finansjery.

Całe dzieciństwo Zack spędził wraz z rodzicami oraz dwiema innymi polskimi rodzinami w skromnym mieszkaniu w kamienicy, która znajdowała się pośród sieci magazynów i stojących w porcie klatek dla bydła. Louis osobiście pojawił się w ich spartańskim lokum, aby pomówić z rodzicami Zacka i zapewnić ich, że nie tylko pokryje w całości koszty studiów chłopaka na Yale, ale będzie także wypłacał Kazmarkom comiesięczną rentę, która zrekompensuje im utratę części dotychczasowych zarobków syna. Rodzice byli nazbyt dumni, by przyjąć rentę, lecz Zack całym sobą uchwycił się sposobności do podjęcia studiów. Wydawało się przy tym rzeczą oczywistą, że po ich zakończeniu wróci do Chicago i zacznie pracować dla Hartmana.

Zarobiwszy już sporo pieniędzy, Zack mógł sobie pozwolić na zakup domu. Zaprosił rodziców do zamieszkania z nim i choć przystali na tę propozycję, ojciec nadal odmawiał rezygnacji z pracy w porcie.

– Czy mogę państwu zaoferować powóz? – spytał Louis. – O tej porze złapanie tramwaju graniczy już chyba z cudem.

Miał rację. Wprawdzie mogli jeszcze zdążyć na ostatni kurs, dzięki któremu dostaliby się do więzienia, jednak droga powrotna – już w towarzystwie uwolnionego z opresji ojca – musiałaby się odbyć pieszo.

– Będę zobowiązany – westchnął Zack.

III

Mollie zajmowała trzypokojowe lokum nad warzywniakiem. Było to przytulne gniazdko z salonem oraz dwiema sypialniami. Jedna z nich posiadała wielkie okno zapewniające wspaniały widok na panoramę miasta, które Mollie kochała całym sercem. W głównym pokoju zainstalowano pompę do świeżej wody, brakowało jednak kuchni. Ale któż potrzebowałby kuchni w tym mieście, gdzie na każdym rogu ulicy sprzedawano bułki z gorącymi kielbaskami, pachnące precle oraz *sauerkraut* [2], równie smaczne jak to berlińskie? Kiedy Mollie zaczynała odczuwać głód, zawsze mogła się poratować świeżymi produktami z warzywniaka – wystarczyło tylko zejść po schodach.

Minęły już trzy lata od śmierci ojca, a mimo to jego sypialnia nadal pozostawała nietknięta. Ubrania, dokumenty, wszystko leżało dokładnie tak, jak tamtego strasznego poranka, kiedy znalazła go martwego w łóżku. Dzielny Silas Knox, właściciel firmy zatrudniającej kilkadziesiąt osób na przestrzeni trzech dekad, weteran wojny domowej, zmarł cicho w trakcie snu.

Tego wieczoru, kiedy wróciwszy do domu, Mollie nadal nie mogła uwierzyć w zdumiewającą propozycję pana Kazmarka, z wahaniem przekroczyła próg ojcowskiej sypialni i zaczęła wertować kolejne pudła wypełnione papierami. Przez trzydzieści lat zdążyło się ich uzbierać całkiem sporo. Frank mieszkał na tym samym piętrze budynku, po drugiej stronie korytarza. Dołączył do niej przy niewielkim stoliku w salonie, gdzie przeglądała dokumenty, czytając na głos pierwsze zdanie z każdej kartki. Frank wymyślił naprędce, że zaczną sortować papiery według trzech kategorii: sprawozdania finansowe, rejestry sprzedaży oraz koszty produkcji.

– Myślisz, że możemy im ufać? – zapytała Mollie.

Jak na niewidomego, Frank posiadał nadzwyczajną zdolność świdrowania ludzi na wylot. Może osiągał to dzięki zwracaniu bacznej uwagi na ton głosu rozmówcy? Możliwe jednak, że po sześćdziesięciu latach spędzonych na tej planecie nabrał po prostu owego życiowego doświadczenia, jakiego Mollie ciągle brakowało. Tak czy inaczej, obecnie Frank był dla niej równocześnie ojcem, doradcą i przyjacielem.

– Za słabo ich znam, by odpowiedzieć na twoje pytanie – rzekł. – Jesteś właścicielką dużej firmy, a ich oferta wydaje się sugerować, że to doceniają.

– Myślisz, że powinnam się zgodzić?

Frank uśmiechnął się smutno.

– Nie wiem, co masz robić, Mollie. To twoja firma. Znasz się na prowadzeniu

interesów lepiej niż niejeden facet. Sądzę, że cena jest uczciwa, a właśnie o to zapewne ci chodzi. – Zaczął się wiercić na krześle. – Jestem wykończony. Która godzina?

Mollie wyjęła ciężki złoty zegarek z kieszeni w spódnicy.

– Prawie ósma. – Pogłaskała kciukiem niewielkie wgniecenie w pokrywie, zanim ją zamknęła.

Ten zegarek należał do ojca i teraz stanowił dla niej jedną z najcenniejszych pamiątek. Wgniecenie pochodziło od uderzenia szrapnela – a zatem na zegarku starego Knoxa również odcisnęły się owe straszliwe dni, gdy wraz z resztą 57. pułku walczył o życie pośród skał. Sam zegarek, mimo uszkodzonej pokrywy i nieco zmaltretowanego wyglądu, nadal znakomicie odmierzał godziny.

– Wiem, że ta transakcja okazałaby się od strony finansowej rozsądnym posunięciem – zaczęła, nerwowo obracając w dłoniach chłodny metal. – Obawiam się jednak utraty kontroli nad przedsiębiorstwem. Boję się, że ktoś obcy zacznie się wtrącać w cykl produkcyjny. Albo na siłę obniży ceny. Ale najbardziej niepokoi mnie myśl, że nowemu właścicielowi nie spodoba się jednoręki lakiernik. Albo specjalista od obróbki metalu o trzęsących się dłoniach.

– Albo ślepy prawnik. – Frank wypowiedział te słowa bez emocji, z wysoko uniesionym czołem.

– Tak – potwierdziła. – Takie myśli dręczą mnie szczególnie.

Frank ciężko westchnął.

– Mollie, tamtego dnia, kiedy straciłem wzrok, spędziłem wiele godzin pośród błota, zastanawiając się, czy dożyję kolejnego poranka. A kiedy już zyskałem pewność, że się wyliżę, pojawiło się w mojej głowie kolejne paraliżujące przypuszczenie: życie na zawsze straci dla mnie sens. Ten rodzaj lęku poznali wszyscy okaleczeni żołnierze, ale twój ojciec zrobił wspaniałą rzecz, zatrudniając nas tutaj. Przy tym nigdy się nad nami nie użalał, nie zaniżał sztucznie poprzeczki. Oczekiwał uczciwej pracy, a my codziennie spełnialiśmy te oczekiwania. – Frank pochylił się nieco w przód, a jego mętne oczy kierowały się wprost na nią. – Mollie! Nie obniżaj poprzeczki. Jeśli będziesz nas niańczyć, ucierpi na tym nasza męskość. Stracimy swoją dumę, a to przecież najcenniejsza rzecz, jaką posiada mężczyzna. Duma buduje mosty. Stanowi podstawę marzeń oraz ochronę przed nawałnicami. Sprawia, że co rano mamy ochotę wstawać z łóżka i wyruszać na poszukiwanie dam, które moglibyśmy ocalić przed atakiem smoków. Dopóki posiadamy dumę, dopóty nosimy w sobie światło, które rozjaśni nasze życie na kolejne tysiąc dni.

Mollie podeszła do okna i zerknęła na uliczne latarnie zalewające chodnik

łagodnym złotem. Co za postawa! Ale Frank zawsze był bardzo silnym człowiekiem, nieustraszenie podejmującym wyzwania zgotowane mu przez los. Pozostali nie mieli aż tyle odwagi, zatem czuła się w obowiązku, by ich ochraniać. Jeżeli sprzeda firmę, pan Kazmarek może się tu pojawić któregoś dnia w jednej ze swoich idealnie skrojonych marynarek i bez mrugnięcia okiem zwolnić weteranów 57. pułku. Ona nie zdoła go już powstrzymać. Ale jeśli nie podpisze umowy, bezpowrotnie utraci kontrakt z Hartmanem i ukochane przedsiębiorstwo jej ojca pogąrzy się w niebycie.

Dlaczego nie może zarządzać firmą jak dawniej? Do tej pory wszystko układało się znakomicie. Produkowali wyjątkowe zegarki, a ich zyski były imponujące. Gdyby zdobyła skądś magiczną różdżkę, na wieczność zamroziłaby świat w obecnej formie. Posiadała dom, który kochała, a także firmę, którą uwielbiała. Mieszkała w najdynamiczniej rozwijającej się metropolii w Ameryce, olśniewającej bogactwem, ambicjami oraz wielością kultur. Oferta Kazmarka zagrażała wszystkiemu, co przedstawiało dla niej jakąkolwiek wartość.

Mollie obawiała się, że nadchodzące zmiany wniosą zbyt dużo chaosu w jej misternie utkane, idealne życie.

≈

Planowanie kolekcji zegarków na kolejny sezon należało do ulubionych zajęć Mollie. Zgodziła się więc bez wahania, gdy Alice i Ulysses zaproponowali jej spotkanie w czwartkowy wieczór w Krause Biergarten, w trakcie którego mogliby podyskutować nad szkicami nowych projektów.

Pracownicy firmy spotykali się w tym kultowym miejscu jeszcze w czasach, gdy ojciec nosił kilkuletnią Mollie na rękach. Tłumy przedstawiciele klasy robotniczej zasiadały na potężnych ławach przy stołach z drewna kasztanowego. Słuchano muzyki, grano w szachy, ale przede wszystkim oddawano się degustacji specjałów niemieckiej kuchni, takich jak *sauerkraut* czy *bratwurst* [3]. Przy sąsiednich stolikach Mollie słyszała zawsze słowa niemieckie, polskie i włoskie, wymawiane gdzieś z irlandzkim akcentem. Chicago przypominało kocioł narodowości i języków, ale najliczniejszą grupę spośród imigrantów stanowili Niemcy, którym udało się spopularyzować w Ameryce tradycyjne bawarskie ogródki piwne.

– Zbliżają się czterechsetne urodziny Mikołaja Kopernika – oznajmił Ulysses. – Co powiesz na to, żebyśmy zaprojektowali okolicznościowy model nawiązujący do Układu Słonecznego? Rubin na środku pokrywy symbolizowałby Słońce, a inne szlachetne kamienie – planety.

Mollie zmarszczyła brwi. Takie okolicznościowe zegarki przeważnie dobrze się sprzedawały, ale jeśli chcieliby je ozdobić drogimi kamieniami, cena znacząco wzrośnie. Należało tu zachować ostrożność.

– Dla mnie to brzmi dość dziwnie. Jak myślisz, Alice? – zwróciła się do koleżanki.

– Jeśli się postaram, te zegarki będą piękne – odparła. – Ale czy naprawdę sądzicie, że Kopernik kogoś interesuje?

Frank pochylił się w jej stronę.

– Ciii... – szepnął z uśmiechem. – Słyszałem grupę Polaków przy stoliku za nami. Dostaną szału, kiedy się zorientują, że szargasz ich narodowe świętości.

Ulysses zerknął przez ramię na grupę polskich imigrantów, którzy nie zwracali najmniejszej uwagi na otoczenie, pochłonięci partią warcabów. Mężczyzna nie mógł sobie jednak odmówić nadarzającej się okazji podgrzania atmosfery.

– Mikołaj Kopernik był człowiekiem o odwadze lwa! – ryknął na cały głos. – Polskim wojownikiem, który podbił nocne niebo, uzbrojony jedynie w teleskop oraz siłę własnego umysłu. – Chwyciwszy kulę, Ulysses z wysiłkiem podniósł się z krzesła, a następnie znowu spróbował przekrzyczeć tłum: – Tak jak Prometeusz wykradł bogom ogień, tak Kopernik wydarł ciałom niebieskim ich tajemnice i przekazał je rodzajowi ludzkiemu! Rewolucja kopernikańska będzie rozbrzmiewała do końca istnienia świata. A geniusz zasługuje na to, by upamiętnić go rubinem, szafirem i diamentem.

Po tych słowach udało mu się już dotrzeć do świadomości obecnych na sali Polaków, którzy wzniesli swoje kufle i zaczęli tupać nogami na znak aprobaty. Jeden z nich wezwał do siebie kelnerkę i szepnął jej coś na ucho. Po chwili dziewczyna wróciła z wielkimi kubkami cydru i zakręciła się z nimi między stolikami.

– To na koszt dżentelmenów grających w warcaby – oświadczyła, stawiając napój przed Ulyssesem.

Znowu się uśmiechnął, z wdzięcznością kiwając Polakom głową, nim pociągnął pierwszy potężny łyk.

Mollie spojrzała na Alice.

– Zaprojektuj ten nowy model, a ja skalkuluję koszty – rzekła. – Inwestycja musi się zwrócić przynajmniej w trzydziestu procentach, inaczej szkoda się tym w ogóle zajmować. Nie chcę wpakować się w taką samą katastrofę jak mój ojciec, kiedy wypuścił na rynek zegarki z królową Wiktoria.

Nie musiała dodawać nic więcej: wszyscy pamiętali lekkomyślność Silasa Knoxa, który utopił ogromne pieniądze w produkcji zegarków ozdobionych dwudziestoma

pięcioma diamentami dla uczczenia jubileuszu królowej. Mollie starała się go powstrzymać, argumentując, że nikt w Ameryce nie kupi tak ekstrawaganckiego zegarka z obcym monarchą. Miała rację. Ostatecznie stanęło na tym, że musieli rozmontować gotowe egzemplarze i odesłać diamenty jubilerowi. Oczywiście ze stratą dla siebie.

Ojciec okazał się nader kiepskim biznesmenem, lecz Mollie najczęściej potrafiła poskramiać jego zapędy. Podczas gdy inne dziewczęta chodziły na randki i znajdowały mężów, ona zaprawiała wojennych weteranów w sztuce wyrabiania zegarków oraz stawiała na głowie, by bronić interesu przed upadkiem. Nie żeby miała o to jakiś żal – uwielbiała osobiście doprowadzać do końca każdy kolejny cykl produkcyjny. Czuła się także powołana do niesienia pomocy owym odważnym mężczyznom poszukującym nowego celu w swoim życiu. Firma spoczywała teraz wyłącznie na jej barkach. Przyszłość rysowała się dość niepewnie, Mollie drżała więc w obliczu każdej zmiany bądź niespodzianki mogącej zepchnąć ją ze ścieżki, jaką świadomie obrała.

Podmuch wiatru poruszył drzewami, porywając ze sobą kaskadę jesiennych liści. W październiku bywało już przeważnie chłodno, ale tego lata panowała niesłychana wręcz duchota i susza, która rozciągnęła się także na jesień. Dziewczynę cieszyła ta ciepła aura, sprawiająca, że mogą spokojnie siedzieć wieczorem w piwnym ogródku, przy świetle lamp. W domu czekały na nią jedynie obawy i odosobnienie.

Nie zdołała zbyt długo ukryć przed Adairami szczegółów oferty Hartmana. A kiedy Ulysses i Alice dowiedzieli się o propozycji sprzedaży firmy, wieść rozeszła się lotem błyskawicy po całym warsztacie.

Ulysses pociągnął kolejny okazały łyk cydru, po czym otarł usta z piany za pomocą rękawa koszuli.

– Jeśli nie podpiszesz tych papierów, to czy Hartman odbierze od nas w poniedziałek kwartalną dostawę?

To pytanie prześladowało Mollie od kilku dni. W magazynie leżała spora partia zegarków z oferty świątecznej. Jeżeli Kazmarek spełni swoją zawołowaną groźbę i zerwie z nimi współpracę, będą pozostawieni sami sobie, z niesprzedanym towarem wartym fortunę.

– Nie mam pojęcia.

Twarz Franka spochmurniała.

– I podejrzewam, że wyznaczenie ostatecznego terminu na dzień dostawy to czysty zbieg okoliczności.

Alice otoczyła Mollie ramieniem.

– Nie wierzę, że zerwą kontrakt, jeśli nie wyrazisz zgody na sprzedaż. Twój ojciec i Louis Hartman byli przyjaciółmi, jeszcze zanim przyszedł na świat. Prawda, Mollie?

Nie całkiem. Mollie miała dziesięć lat, gdy Hartman po raz pierwszy odwiedził skromny zakład jej ojca, mieszczący się na Columbus Avenue. W tamtym czasie Louis nabywał nieruchomości na całej ulicy, przygotowując grunt pod swój sześciopiętrowy pałac z marmuru i kryształu. Ojciec Mollie należał do grona kupców, którzy musieli ustąpić miejsca domowi towarowemu Hartmana, lecz owa okoliczność okazała się na dłuższą metę błogosławieństwem. Bogatego biznesmena tak zauroczyła jakość produktów Knoxa, że zaczął je rozprowadzać w swoim sklepie. Unikając wydatków wiążących się z prowadzeniem handlu, tata zarabiał coraz więcej i stał się szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Zażyła więź z Hartmanem sprawiała, że Silas Knox nie musiał się już troszczyć o kwestie finansowe, skupił się zatem na wypuszczaniu na rynek coraz piękniejszych zegarków.

Frank wyglądał na zamyślonego, gdy obracał w dłoniach swój kufel.

– Firma należała do rodziny Knoxów przez trzydzieści lat – przypomniał chmurnie.
– Coś mi tu nie gra z tą chęcią błyskawicznego uzyskania odpowiedzi.

Miał rację. Nie musieli przyjmować warunków Kazmarka bezkrytycznie. Pozostawały im cztery dni na podjęcie decyzji, jednak Mollie nie zamierzała o niczym przesądzać, nie zasięgnąwszy wcześniej dodatkowych informacji u wyniosłego prawnika Hartmana.

~
Siadając przy wielkim, wypolerowanym na błysk biurku z włoskiego orzecha, Zack Kazmarek wyglądał przez okno na szóstym piętrze handlowego imperium Hartmana i usiłował pohamować gniew.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem – zaczął, przesuwając się niecierpliwie na krześle. – Futra z szynszyli o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów utknęły w porcie w Nowym Jorku, ponieważ nadal nie zapłacono cła.

Anthony Willis, jego podwładny, odchrząknął.

– Tak, sir.

Futra powinny były zostać załadowane w pociąg i wysłane do Chicago. Dom towarowy Hartman's notował największy popyt na tego rodzaju produkty w miesiącach poprzedzających Boże Narodzenie, zaś każdy dzień zwłoki wiązał się dla nich ze stratami.

Niemniej jednak uzgodnione warunki kontraktu nie pozostawiały cienia wątpliwości. Cło powinni opłacić brazylijscy eksporterzy, co znalazło wyraz w wynegocjowanej cenie. Zack mógłby wprawdzie wysłać telegram do nowojorskiego oddziału banku Hartmana i uiścić zaległą opłatę w ciągu godziny, ale nie licowało to z jego sposobem prowadzenia interesów.

– Wyślij im natychmiast depeszę z odmową przyjęcia towaru – poinstruował Willisa. – Daj kapitanowi statku dwadzieścia cztery godziny na zapłatę cła. Jeśli tego nie zrobi, może zabierać swoje futra z powrotem do Brazylii.

Zack nie zamierzał się ugiąć przed jakimikolwiek próbami szantażu inicjowanymi czasem przez ludzi, którzy go nie znali. Owszem, chciał dostać te futra, ale ich nie potrzebował.

– Kilka lat temu współpracowaliśmy z handlarzem lisich futer z Quebecu, nazwiskiem Babineaux – powiedział. – Każ komuś z działu handlowego sprawdzić, czy Babineaux zdążyłby nas zaopatrzyć przed okresem świątecznym.

Lisie futra nie były tak rozchwytywane, jak te z szynszyli, szukał jednak awaryjnego planu na wypadek, gdyby brazylijski towar przepadł.

Zgodnie z przewidywaniami cały dział handlowy wpadł we wściekłość. Po niespełna dwudziestu minutach do jego biura wtargnął Mario Girard, czerwony na twarzy, i zaczął mu wymachiwać tuż przed nosem rachunkami z okresu zeszłorocznych świąt.

– Lisie futra! Lisie futra na Boże Narodzenie! – Mężczyzna był tak oburzony, jakby Zack zaproponował właśnie podawanie mlecznej kaszki na bankiecie u królowej. – Proszę popatrzeć na te wykazy! W ubiegłym roku wyprzedaliśmy wszystkie futra z szynszyli w ciągu trzech tygodni od daty ich otrzymania. Potrzebujemy tych futer!

Zack wyjął dokumenty z drżących rąk Girarda.

– Po pierwsze, nie zamierzam trwonić firmowych pieniędzy na jakiegoś kapitana z Rio de Janeiro. Po drugie, jeśli jeszcze raz ciśnie mi pan w twarz jakieś papiery, podścielę nimi klatkę Lizzie. – Oddał plik kartek nieco oszołomionemu rozmówcy, który natychmiast przytknął je do piersi, jakby w obawie przed ich rozrzuceniem przez wiatr. Na domiar złego Zack dowiedział się właśnie, że brazylijski statek przewoził także trzysta par ręcznie wykonanych butów ze skóry, przeznaczonych dla sklepu Hartmana. Buty znajdowały się w tym samym niewesołym położeniu prawnym co futra, ze względu na niezapłacone cło.

– I jak ja mam przekonać chicagowskie damy, że futro z lisa jest równie luksusowe, jak to z szynszyli? – spytał Girard. – Która kobieta zdecyduje się kupić rzecz stanowiącą

zaledwie substytut czegoś innego?

Zack uśmiechnął się lekko.

– Niech pan nieco mocniej wysili swój wybitny intelekt, a wyjście samo się znajdzie. Proszę nie zmuszać mnie do wyręczania pana w pracy.

Jego własna matka dorastała w warunkach, w których posiadanie jakiegokolwiek kurtki uchodziło za wielkie szczęście. Przez myśl by jej nigdy nie przeszło, żeby kłócić się o rodzaj materiału. Nawet teraz matka nie pozwalała mu kupić dla niej przyzwoitszych ubrań, upierając się przy tych samych łachmanach, które nosiła w czasach, gdy była zwykłą praczką.

Myśli Kazmarka przerwało nagle pukanie do drzwi. Znów stanął w nich Willis.

– Tak? – zapytał Zack.

– Jakaś kobieta chce się z panem widzieć. Przedstawiła się jako panna Knox z Fifty Seventh Illinois Watch Company.

Zack zamrugął.

– Była umówiona?

Doskonale wiedział, że nie. W życiu by nie zapomniał o spotkaniu z Mollie Knox, potrzebował jednak chwili, żeby zebrać myśli. W języku angielskim istniały tylko dwa słowa posiadające moc wytrącania go z równowagi: Mollie i Knox.

– Nie, sir. Chciałaby poprosić o więcej czasu na podjęcie decyzji w kwestii sprzedaży przedsiębiorstwa.

Zack miał nadzieję, że jego pracownik nie widzi rumieńca, który czuł na twarzy. Jakim musi być mięczakiem, skoro serce łomocze mu na samą myśl, że ta kobieta stoi po drugiej stronie ściany! Ów niezrozumiały pociąg do Mollie Knox może go kosztować utratę pracy, jeśli nie zdoła go jakoś zwalczyć. Podszedł do klatki Lizzie i wsunął do środka kawałek jabłka, co ogromnie przypadło ptakowi do gustu. Ze świergotem porwał owoc, czekając na następną porcję.

Był w zasadzie zaskoczony, że panna Knox tak długo zwlekała ze złożeniem mu wizyty. Niektóre punkty kontraktu rzeczywiście brzmiały dość dziwnie. Ale akurat termin nie podlegał negocjacji i Zack oświadczyłby jej to bez owijania w bawełnę.

– Przekaż, że jestem nieosiągalny – poprosił.

Chłopak westchnął.

– Próbowałem, sir, ale ona nalega.

Zack zrobił pauzę i to wystarczyło, żeby na nowo wprowadzić Mario Girarda w stan podniecenia.

– Za moment stracimy bożonarodzeniową dostawę futer, a pan tu marnuje czas na dokarmianie ptaków i pogaduszki z kobietami. Chcę wiedzieć, kiedy dostanę moje futra z szynszyli.

Zack wsunął do klatki kolejną ćwiartkę jabłka, a potem obserwował, jak Lizzie dziobie ją z zapamiętaniem. Każdy dzień pracy wymagał od niego dużej podzielności uwagi, a ta katastrofa z brazylijską dostawą stanowiła nadprogramową, zupełnie zbędną komplikację. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była doza chaosu wprowadzona przez Mollie Knox.

Dlaczego oszalał na jej punkcie? Twarde, wycofane kobiety generalnie wcale go nie pociągały, tyle że ona już przy pierwszym spotkaniu przykuła jego uwagę – zawsze sztywna, powściągliwa, niedostępna. I, w co nie wątpił, autentycznie zafascynowana światem zegarków. Każdy, kto słyszał, jak Mollie rozprawia o precyzji mechanizmów sprężynowych, z pewnością zachwycał się jej miłością do własnego rzemiosła. Zack wiedział wszystko o beznadziejnych romantykach; dwoje spośród nich zostało jego rodzicami. Do dzisiaj musiał wyciągać starszków z tarapatów, w jakie co rusz wpędzała ich wierność narodowowyzwoleńczej idei. Mollie była jednak inna: po części pochłonięta pracą, po części zaś gotowa z zimną krwią ubijać coraz to nowe interesy. Ta kombinacja cech wprawiała go w stan gorączkowego zachwyty.

– Kazmarek! – nie przestawał czekać Girard. – Kiedy dostanę moje szynszyle? I skórzane buty?

Zack wrócił do biurka.

– Kiedy kapitan z Brazylii zapłaci cło. Nie wcześniej. Proszę pomyśleć nad jakimś alternatywnym rozwiązaniem na wypadek, gdyby jednak odmówił.

Choć Zack miał niezmaconą pewność, że kapitan zapłaci, wiedział także i to, iż prowadzenie biznesu wymaga czasami walki na gołe pięści. Uwielbiał te rozgrywki. Dorastał w strugach potu, w towarzystwie największych chicagowskich zbirów i nigdy nie uchylał się od pojedynków. Ten biedny kapitan nie zdawał sobie sprawy, z kim przyszło mu się zmierzyć.

Anthony Willis nadal zerkał z korytarza, nieco onieśmielony podniesionymi głosami.

– Co mam powiedzieć pannie Knox?

– Powiedz, żeby wróciła po południu. Przyjmę ją o czternastej.

Miał nadzieję, że w starciu z Mollie Knox okaże się równie pewny siebie, jak w przypadku brazylijskiego kapitana.

~
Ręcznie rzeźbione mahoniowe drzwi prowadzące do domu towarowego Hartman's wyglądały na ciężkie, Mollie nie miała jednak nigdy okazji tego sprawdzić, jako że elegancko ubrany odźwierny zawsze wyręczał stałych bywalców sklepu. Uwielbiała zapach cytrynowej pasty do podłogi oraz świeżo przyciętych róż, który witał ją tuż przy wejściu. Kryształowy żyrandol wraz z nowym gazowym oświetleniem zapewniał całemu wnętrzu niepowtarzalny blask. Budynek liczył sobie ponad osiem tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Na pierwszym piętrze można było znaleźć nieprzebrane bogactwo rozmaitych dóbr ze wszystkich stron świata. Kobietom oferowano perskie dywany albo francuskie perfumy. Nigdy nie potrafiła się powstrzymać przed dotknięciem zamszowych botków czy jedwabnych szali w dziale kobiecym. Inne sektory przykuwały wzrok wspaniałymi wystawami biżuterii, porcelany, wyrobów skórzanych, a nawet jedzenia i wina.

Pójście do Zacka Kazmarka na kolanach wydawało się jej rzeczą równie pociągającą co atak ospy wietrznej, ale Mollie rozumiała, że musi to zrobić. Włożyła na tę okazję swój ulubiony strój: idealnie dopasowany fioletowy żakiet z tkaniny moiré oraz płaszcz z regulowanym paskiem. Wokół szyi zawiązała bujną koronkową chustę – dla dodania sobie animuszu.

Po wdrapaniu się na pięć kondygnacji schodów brakowało jej tchu. Najwyższe piętro zajmowały już wyłącznie biura – część z nich należała do firmy Hartman's, pozostałe wynajmowano osobom z zewnątrz. Hol był przestronny i dobrze oświetlony, nie posiadał jednak tego przepychu, który na pierwszym piętrze przyprawiał klientów o zawroty głowy. Mollie poczuła przyspieszone bicie serca, gdy zbliżała się do ostatniego gabinetu, ukrytego na końcu korytarza.

Kazano jej wejść do środka, gdzie Zack Kazmarek siedział za biurkiem niczym król. Nawet nie raczył wstać, gdy przekroczyła próg.

– Panna Knox znowu z warkoczem? Jaka szkoda.

Odruchowo dotknęła dłonią włosów. W domu zwinęła dwa ciężkie warkocze

w jeden zgrabny kok na karku. Uważała, że jest bardzo ładny, ale jednocześnie pamiętała słowa Alice na temat fryzur. Uniosła podbródek.

– Słyszałam, że warkocze to ostatni krzyk mody wśród strażniczek pracujących w więzieniach dla kobiet. Dzięki nim wyglądają bardziej władczo.

– I to chyba wszystko w tym temacie. – Zack dał Mollie znak, by usiadła.

Poprawiła spódnicę, aby zamaskować zdenerwowanie.

– Chciałam przedyskutować termin zawarcia umowy – powiedziała.

Mając za sobą panoramę Chicago, przed sobą zaś potężne biurko, Zack przypominał jej cesarza gotowego negocjować warunki przejścia władzy nad światem. Albo mogącego zdeptać obcasem malutką firmę produkującą zegarki. Mollie przełknęła kulę w gardle.

– Potrzebuję więcej czasu na podjęcie decyzji.

– Z jakiego powodu? – Jego twarz pozostawała niewzruszona, głos był zimny.

Spojrzała w okno za plecami mężczyzny, wprost na zapierającą dech panoramę metropolii. Przecięte przez rzekę śródmieście układało się w kształt litery Y, z dzielnicą biznesową obejmującą wybrzeża jeziora Michigan. Mollie wskazała palcem stację kolejową, leżącą na południe od rzeki.

– Widzi pan ten punkt, gdzie East Street przylega do torów kolejowych?

Dało się słyszeć szelest drogiego materiału, kiedy Kazmarek odwracał głowę, by spojrzeć w okno.

– Tak, widzę.

– Te tory są nowe, znajdują się kilka kroków od mojego warsztatu – oznajmiła. – Po tym jak zostały położone, wartość naszego budynku znacznie wzrosła. Potrzebuję więcej czasu na jej oszacowanie. Muszę też policzyć przypuszczalny dochód ze Wschodniego Wybrzeża. To wszystko wymaga czasu.

Jego twarz pozostawała nieruchoma, kiedy obracał w palcach ołówek.

– Panno Knox, chociaż jestem zafascynowany tymi dochodami ze Wschodniego Wybrzeża – a naprawdę jestem, proszę mi wierzyć – nie istnieje możliwość przesunięcia naszego terminu. Poniedziałek rano. Punkt dziewiąta. Jeśli nie wyrazi pani zgody na

sprzedaż, o dziesiątej złożę ofertę innemu producentowi zegarków.

Jej oczy zwęziły się w szparki.

– Byt moich pracowników zależy od tej decyzji. Ci ludzie są dla mnie jak rodzina.

– Ci ludzie to pani podwładni, nie rodzina. Proszę nigdy nie mylić tych dwóch rzeczy.

– Chcę zatem posiadać kontrolę nad przyszłym składem załogi warsztatu.

Potrząsnął głową.

– Mollie, nic z tego. Oczekujemy całego kapitału Fifty Seventh Illinois Watch Company, a więc wszystkich sprzętów, gotowych egzemplarzy produktu, każdej zapalki w szufladach. Nie mam zamiaru zaśmiecać kontraktu zbędnymi wyjątkami. Oferta dotyczy odstąpienia całego przedsiębiorstwa. Albo ją pani akceptuje, albo nie.

– Dlaczego tak pan obstaje przy poniedziałku? Dodatkowy tydzień nie zrobiłby państwu różnicy.

Odpowiedział obojętnym tonem:

– Jeśli zwyczajnie martwi się pani o pracowników, proszę przyjąć propozycję. Ona jest bardzo dobra i z pewnością pani o tym wie. Podejrzewam, że w następnym tygodniu żywiłaby pani dokładnie te same obawy co teraz. Czyż nie?

Miał słuszność, choć nie zamierzała tego przyznać. Podniosła się z krzesła i podeszła do okna. Chciałaby to wszystko przerwać. Udawać, że ten ostatni tydzień w ogóle się nie wydarzył i że zaraz wróci beztrąsko do swoich zegarków, zapewniając przyzwoity standard życia zależnym od niej ludziom. Markotnie zerknęła przez szybę.

– Zgodnie z planem powinnam przesłać państwu kolejną paletę zegarków w poniedziałek. Czy przyjmiecie ją, jeśli nie podpiszę kontraktu?

– Nie – odparł po prostu. Za plecami Mollie jego głos brzmiał łagodnie i kusząco.
– Oczywiście może pani uniknąć wszelkich stresów i po prostu sprzedać nam firmę.

Wzdrygnęła się i dla niepoznaki zaczęła skubać trzymaną w dłoniach rękawiczkę.

– Dlaczego czuję się jak Ewa, której wąż proponuje jabłko?

Nawet jeśli uraziło go to porównanie, nie dał nic po sobie poznać. Oparł się na

krześle i obserwował ją ciemnymi, roześmianymi oczami. Na początku błędnie uważała te oczy za czarne; przy dokładniejszych oględzinach ujawniały bursztynowe refleksy. Jak obsydian.

– Panno Knox, jest pani bezdenną studnią niepokoju. Fortuna puka właśnie do pani drzwi. Normalny człowiek rozważałby teraz otwarcie butelki szampana albo wycieczkę na południe Francji. Ale nie panna Knox. Co to, to nie. Ona bez końca oblicza wartość przychodu i drenuje najmniejsze choćby zadowolenia z życia.

Zacisnęła usta.

– Walczę o przetrwanie swoich pracowników, a pan nazywa to „drenażem radości życia”.

– Aż do ostatniej kropli. Nie twierdzę przy tym, że pani to lubi. Zamiast ślęczyć o zmierzchu nad księgami rachunkowymi, proszę obejrzeć dzisiaj zachód słońca. Nawet lepiej: można wziąć udział w rozgrywkach baseballu. Jutro w roli głównej White Stockings. Proszę zrobić coś innego, radośniejszego niż to nieustanne pławienie się w niepokoju.

– Trzymam w swoich rękach los czterdziestu pracowników i ich rodzin, a pan uważa, że powinnam pójść na mecz baseballowy?

Odwrócił się na krześle.

– A jeśli jutro uderzy w Ziemię kometa i wszyscy umrzemy? Czy nie byłaby pani bardziej zadowolona, wiedząc, że ostatnie godziny życia spędziła pani w towarzystwie przyjaciół, przy zimnym napoju i pachnącym pieczywie, oglądając pojedynek najlepszej drużyny baseballowej po tej stronie Missisipi z Philadelphia Athletics? Czy naprawdę woli pani zgłębiać te swoje kolumny liczb? Sądząc po bladeści pani twarzy, tak. Ale to niezdrowe.

Gdyby nie czuła się tak marnie, ostatnie słowa by jej nie zabolowały, ale on chyba nie zdawał sobie sprawy, jaka to odpowiedzialność zatrudniać czterdzieści osób. Być może nie miała czasu na baseball czy zachody słońca, lecz to przecież nie oznaczało, że nie umie czerpać z życia przyjemności.

Mollie odruchowo poprawiła na szyi koronkę, która wcale się nie obsunęła.

– Możecie szukać przez następne dziesięć lat, a i tak nie znajdziecie na tym kontynencie lepszej wytwórni zegarków niż moja. Dam panu znać, kiedy podejmę decyzję.

IV

Dopiero w niedzielę Mollie odkryła, dlaczego Hartman tak rozpaczliwie pragnął zakupić jej firmę.

Tego wieczoru umysł dziewczyny okazał się na tyle zdrętwiwały, że nie była już w stanie wykonywać obliczeń. Pozwoliła sobie zatem na skromną rozrywkę w postaci przetrząśnięcia wielkiego kufra ojca wypełnionego starymi szkicami zegarków. Właśnie wtedy zobaczyła dokument wciśnięty pomiędzy poźółkle kartki jakiegoś podręcznika.

Ręce jej drżały, kiedy przysunęła do oczu certyfikat. Na grubym papierze, opatrzonym godłem stanu Illinois oraz podpisanym przez burmistrza, widniało potwierdzenie własności kawałka gruntu przy Columbus Street. Był to ten odcinek, na którym znajdowała się dawna pracownia ojca, zlikwidowana następnie – podobnie jak pięć innych punktów usługowych – na rzecz powstającego imperium Hartmana.

Dokument stanowił, że ojciec posiada prawo do dwóch tysięcy metrów kwadratowych gruntu. Do firmy Hartman's należała reszta, czyli osiem tysięcy metrów kwadratowych.

Chwyciwszy papier w obie dłonie, Mollie wybiegła z mieszkania i zapukała do drzwi Franka po drugiej stronie korytarza. Łuski opadły jej z oczu. Propozycja Kazmarka obejmowała „całe wyposażenie, maszyny, szkice i nieruchomości należące do 57th Illinois Watch Company”. Był to zatem szybki i podstępny sposób na wyłudzenie od nich tego kawałka ziemi.

Skoro tylko Frank otworzył, od razu przeszła do rzeczy.

– Frank... – zaczęła uroczystym tonem. – Czy sprzedając komuś nieruchomość, zrzekasz się tytułu posiadania?

– Tak. Przenosisz na kogoś prawo własności, czyli dana rzecz przechodzi w ręce osoby kupującej.

Palce Mollie zaczęły drżeć.

– Nie wydaje mi się, aby taka transakcja doszła do skutku w przypadku ziemi mojego ojca – rzekła drżącym głosem. – Mam tu akt własności gruntu.

Frank wyprostował się.

– A zatem, zgodnie z prawem, umowa nigdy nie została zawarta.

– Jeśli wciąż jesteśmy właścicielami tego kawałka ziemi, jakie ma to konsekwencje dla budynku, który na nim stoi?

Ton Franka był pewny:

– W części należy on do ciebie.

Dech jej zaparło. Jeżeli Frank miał słuszość, dwadzieścia pięć procent owego pałacu z marmuru i kryształu stanowiło jej własność. Nic dziwnego, że Kazmarek usiłował tak szybko to rozegrać!

Nigdy wcześniej nie widziała Franka Spencera w stanie wzburzenia, teraz jednak, gdy dotarła do niego powaga sytuacji, wydawał się bardzo poruszony.

– Wiedzieli o tym. To by wyjaśniało ich nieuzasadniony pośpiech. Czekali na dzień, w którym miałaś zrealizować kolejną dostawę towaru, aby cię tą okolicznością dodatkowo pogrążyć. Zepchnęli cię do narożnika, żeby nie pozostało ci nic innego, jak tylko zaakceptować ich propozycję.

Nagle zrobiło jej się gorąco i zaczęła się wachlować cennym dokumentem. Tata kompletnie nie miał głowy do interesów. Opłaty pobierał w wekslach, a pokwitowania wypisywał na serwetkach. Nie wszyscy klienci przejmowali się ich opłacaniem. Jednak ten akt własności przebijał wszelkie inne jego dokonania.

– Mój ojciec sądził, że sprzedał tę ziemię, ale zawsze był okropnie roztargniony, jeśli chodzi o kwestie finansowe. Dlaczego ten papier miałby ciągle u nas leżeć?

– Kto wie? – Frank wzruszył ramionami. – Hartman byłby gotów wykupić jeszcze kilka innych sklepików, byle tylko stworzyć przestrzeń dla tego swojego giganta. Po drodze pomylił się pewnie jakiś księgowy. Nawet jeśli twój ojciec otrzymał pieniądze, transakcja mogła nigdy nie zostać oficjalnie zarejestrowana w sądzie. Masz prawo do tej ziemi. Kazmarek o tym wie i dlatego tak usilnie namawia cię do sprzedaży firmy.

Mollie nie czuła się bynajmniej właścicielką domu towarowego. W ogóle go nie chciała, nie interesował jej. Jednak to, co zrobił Zack Kazmarek, było nieuczciwe i podłe. Podczas gdy jej umysł pracował w przyśpieszonym tempie, Frank wyrzucał z siebie kolejne informacje. Nie mogli być całkowicie pewni co do słuszości własnego rozumowania, dopóki nie pójda jutro rano do sądu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie istnieje jakaś dalsza dokumentacja w tej sprawie. Sąd zaczyna pracę o dziewiątej. Kazmarek zagroził, że jeśli nie uzyska od niej pozytywnej odpowiedzi, zerwie kontrakt i przed dziesiątą rozmówi się z innym przedsiębiorcą.

Frank przybrał surowy wyraz twarzy.

– Nie ufaj im, Mollie. Z pewnością nie chciałabyś pracować dla kogoś, kto stosuje chwyt poniżej pasa. Jeśli przystaniesz na ich warunki, będą nas mieli w garści. Uciekaj od nich. Szybko.

Jak mogła tak po prostu uciec, skoro nazajutrz miała im dostarczyć kolejną partię towaru? Potrzebowała zysków, aby móc dalej funkcjonować. Znalezienie innego partnera biznesowego na Wschodnim Wybrzeżu zajęłoby pewnie kilka miesięcy, bo niewiele sklepów mogło sobie pozwolić na rozprowadzanie tak ekskluzywnego asortymentu, jak jej zegarki. Hartman zaś dawał dziewczynie czas do namysłu, ponieważ miała coś, na czym mu ogromnie zależało.

Akt własności ziemi, na której stał jego sklep.

Przejeżdżając tramwajem przez most usytuowany niedaleko miejsca zamieszkania Zacka Kazmarka, Mollie wpadła w prawdziwy gniew. Nie chodziło o pieniądze. Po prawdzie nie czuła się ani trochę upoważniona do władania owym pełnym przepychu pałacem na Columbus Street. Do szału doprowadzał ją natomiast fakt, że prawnik Hartmana dopuścił się wobec niej bezczelnej manipulacji.

Powietrze było gorące i jakby zadymione. Zdawało się jej, że gdzieś w mieście wybuchł pożar, co w Chicago nie należało do rzadkości. Albo może po prostu ktoś palił liście – potrząsnęła głową na myśl o takiej głupocie w warunkach, gdy miasto od kilku miesięcy nieprzerwanie trawiła susza.

Zack Kazmarek mieszkał w pięknym domu z białego kamienia. Podobnie jak inne okoliczne budynki, składał się on z trzech pięter z mansardą i kwiatami w oknach. Na szczęście na mosiężnych skrzynkach pocztowych stojących przed każdym domem wygrawerowano nazwiska ich posiadaczy. Ułatwiło to Mollie zlokalizowanie rezydencji Kazmarka. Zapukała metalową kołatką, czując, że znowu rośnie w niej wzburzenie. Ludzie, którzy pracowali w jej firmie, w okresie wojny poświęcali się dla dobra ojczyzny, podczas gdy uprzywilejowani pajace w typie Kazmarka siedzieli w swoich wygodnych fotelach, licząc pieniądze.

Kiedy drzwi się uchylły, od razu chciała na niego naskoczyć, jednak ze zdziwieniem zobaczyła przed sobą drobną postać starszej kobiety.

– W czym mogę panience pomóc?

Mollie z zaskoczeniem spojrzała na jej ubiór. Zastanawiała się, czy pan Kazmarek nie powinien zadbać o wygląd swoich służących. Szal tej kobiety wyglądał, jakby

pochodził z innego stulecia, zaś jej spódnica stanowiła pstrokatą kombinację różu, fioletu i błękitu układających się w bliżej nieokreślone kwiatowe wzory. Mollie odchrząknęła.

– Chciałabym się zobaczyć z panem Kazmarkiem. Wiem, że jest późno, ale to sprawa służbowa.

– Produkuje pani zegarki? – Oczy starszej kobiety nabrały blasku i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się. Z jej ust popłynął strumień obcej mowy. Jakiś staruszek o podobnie roześmianym spojrzeniu podszedł do drzwi.

– Panna Mollie Knox? – zapytał.

Czyżby na nią czekali?

– Tak. Przyszłam się zobaczyć z panem Kazmarkiem. Zastałam go w domu?

– Proszę, proszę wejść – zachęcił ją mężczyzna. – Jestem Józef Kazmarek, ale wszyscy mówią mi po prostu Józef. A to moja żona, Joanna. – Józef delikatnie ujął łokieć Mollie w swoją dłoń o stwardniałej od pracy skórze i wciągnął ją do środka. Podobnie jak żona, miał na sobie ubiór charakterystyczny dla przedstawicieli klasy robotniczej.

– Pan też ma na nazwisko Kazmarek? – Mollie nie kryła ciekawości. – Czyli musi pan być spokrewniony z panem Zackiem Kazmarkiem?

– Zack to nasz chłopiec – oświadczył z dumą starszy pan.

– Nasz syn – dodała Joanna. – Czy nie jest przystojny? Oczywiście zdaje sobie z tego sprawę, więc...

– Więc odrobinę przewraca mu się w głowie – powiedział pan Kazmarek senior. – Wyszedł posłuchać zespołu grającego polkę w ogródku piwnym i na pewno otacza go już wianuszek dziewcząt.

Mollie przyjrzała się im obojgu. Pani Kazmarek miała twarde, mocne ręce, takie same jak jej mąż. Zupełnie jakby przez całe życie wieszala pranie albo pompowała wodę ze studni. Podczas gdy starsze małżeństwo rozprawiało w najlepsze o tabunach dziewczyn z sąsiedztwa próbujących usidlić ich przystojnego syna, Mollie rozglądała się po wnętrzu tego osobliwego domu. Pomimo okazałego holu salon po prawej zrobił na niej wrażenie dość chaotycznego – wyglądał, jakby urządzono go dzięki temu, co znajdowało się akurat na składzie jakiejś pobliskiej graciarni. Mebli praktycznie w nim nie było, wszędzie natomiast wały się papiery, drewniane skrzynie oraz książki poupychane we wszystkich możliwych kątach. I nie były to bynajmniej książki zachęcające do lektury; większość z nich wyglądała tak nędźnie, jakby przyniesiono je tu wprost ze śmietnika.

Gazety formowały potężne stosy, gotowe w każdej chwili runąć. Pan Kazmarek podążył za wzrokiem Mollie i szybko zamknął drzwi, tak że straciła ów dziwny pokój z oczu.

Jadalnia, na szczęście znacznie schludniejsza, znajdowała się po przeciwnej stronie korytarza. Nad stołem wisiał duży olejny obraz. To było... po prostu zachwycające.

Młoda kobieta stała w letnim ogrodzie, w kaskadach zieleni i bursztynu, spoglądając na trzymany w dłoni zegarek. Promienie słońca przesączały się przez liście, podkreślając biel jej sukni w taki sposób, iż wydawała się emanować własnym światłem. Pociągnięcia pędzla były zbyt rozedrgane, aby ujawnić szczegóły jej wyglądu, a mimo to, skąpana w słonecznym blasku, sprawiała niewinne i urocze wrażenie. Spokojna. Świetlista.

– Jaki piękny obraz – powiedziała Mollie.

– Monet – odparła pani Kazmarek tonem znawczyni. – Jest teraz ogromnie modny w Paryżu. Zack podróżował po Europie w ubiegłym roku i uparł się, by go kupić. To miło, że się pani podoba. – Joanna wzięła męża pod ramię.

Było widać, że rozumieją się bez słów. Zanim Mollie zdążyła pomyśleć nad sensem ich gestów, pani Kazmarek lekko popchnęła ją z powrotem w kierunku kuchni.

– Proszę, zapraszam tutaj. Może uda się nam nieco lepiej poznać – rzekła. – Zack tyle nam o pani opowiadał.

– Naprawdę? – Dlaczego ktokolwiek miałby opowiadać własnym rodzicom o osobie, którą zamierzał oszukać?

– O tak. Mój syn mówił, jakie piękne ma pani włosy. Ale... – Pani Kazmarek skrzywiła się nieznacznie, łypiąc na warkocze Mollie. – Ach tak, już widzę, co miał na myśli. Proszę, musi mi pani pozwolić zatroszczyć się o swoją fryzurę. Byłabym zachwycona. Zawsze chciałam...

– Zawsze chciała mieć córkę – dopowiedział Józef.

– Uciszyć się! To sprawa między dziewczętami.

Mollie zapragnęła już stąd wyjść. Jeśli nie mogła porozmawiać z Zackiem Kazmarkiem, musiała wracać do domu, do Franka. Nagle jednak usłyszała z holu świergot. Zerkając zza drzwi, ujrzała małego niebieskiego ptaszka latającego po klatce.

– Czy to zięba z biura pana Kazmarka?

Nie wiedzieć czemu, Mollie zawsze lubiła firmową towarzyszkę Zacka. Podeszła bliżej i z rozbawieniem przyglądała się jej błękitnemu upierzeniu.

– Tak, to Lizzie – odparła pani Kazmarek. – Zachariasz trzęsie się nad nią, jakby była jakąś księżniczką. Nie może znieść myśli o pozostawieniu jej samej w ciemnym biurze na cały weekend, więc w piątkowe wieczory przywozi ją do domu.

Mollie wetknęła palec pomiędzy metalowe pręty i pozwoliła stworzonku dziobać opuszek. Z trudem mogła sobie wyobrazić, że ten onieśmielający mężczyzna potrafi się troszczyć o cokolwiek... a zwłaszcza o niepozorną ptaszynę. Nagle z dołu dobiegł ich dźwięk otwieranych drzwi i stuk ciężkich kroków w holu. Niski głos Zacka Kazmarka zabrzmiał tyłem donośnie, co niepokojąco:

– W południowej części miasta wybuchł pożar. Na pewno poczuliście już dym w powietrzu. Nie wygląda to dobrze.

Mollie ruszyła w stronę schodów i zobaczyła, jak Zack całuje matkę w oba policzki. Tkliwość dla starszej kobiety ujawniła się w całej pełni, gdy obejmował ją w uspokajającym geście.

– Nie martw się, mamó – poprosił kojącym tonem. – Wszedłem na dzwonnice Świętego Marka, żeby lepiej widzieć. Pożar wybuchł po drugiej stronie rzeki i na pewno do nas nie dotrze.

Kiedy wypuścił matkę z objęć i wreszcie dostrzegł Mollie, jego rysy stężały. Humor zniknął, zastąpiony przez lodowatą uprzejmość, do jakiej zdążyła już przywyknąć.

– Panna Knox – zaczął ostrożnie. – Co też sprowadza panią do tej części miasta w niedzielny wieczór?

Poczuła się niezręcznie na samą myśl o prowadzeniu rozmowy w obecności pogodnych rodziców Zacka, ale uznała, że nie ma wyjścia.

– Przyszłam w interesach.

Cofnął rękę z matczynego ramienia.

– Mamó, czy mogłabyś nam przygotować coś do picia? Umieram z pragnienia.

Gdy państwo Kazmarkowie wyszli do kuchni, przypomniał sobie wreszcie o zdjęciu płaszcz.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – zaczął, odwrócony do niej tyłem i zajęty

wieszaniem odzienia w szafie – ale na przyszłość wolałbym, żeby nie nachodziła mnie pani w domu. To kiepsko wygląda.

– Troska o przyzwoitość – prychnęła. – Cóż za ironia.

Sarkastyczny wydźwięk tych słów spowodował, że mężczyzna się odwrócił.

– Co to ma oznaczać? – zapytał.

Mollie podeszła bliżej i zniżyła głos, aby jego matka nie mogła jej usłyszeć.

– Rozumiem już, dlaczego naciskacie na błyskawiczny termin sprzedaży. Nic z tego. Jutro o dziewiątej rano wybiorę się do sądu i udowodnię, że kłamaliście. Chcieliście nas pozbawić fortuny.

Zesztywniał. Cała jego uprzejmość nagle wyparowała, a oczy zwęziły się w szparki.

– Nie zwykłem puszczać takich słów płazem.

– Proszę sobie darować – powiedziała ostrym szeptem. – Znaleźliśmy akt własności.

– Akt własności czego? – zdziwił się.

– Fragmentu Columbus Street. Jutro o dziewiątej stawię się w sądzie wraz z moim adwokatem, aby potwierdzić, że dwa tysiące metrów kwadratowych gruntu pod domem towarowym Hartman's należą do mnie. A jeśli ośmieli się pan zerwać kontrakt na dostawę zegarków, będę się także domagać prawa do części samego lokalu.

– Proszę mi nie grozić. – Gdyby jego ton mógł być jeszcze odrobinę chłodniejszy, w powietrzu zaczęłyby wirować bryłki lodu.

Uniosła podbródek.

– To pan mi groził przez cały ubiegły tydzień.

Kazmarek rzucił okiem przez hol na rodziców, ale oni nadal byli zajęci w kuchni i nie zwracali najmniejszej uwagi na całą scenę. Nie powstrzymało go to przed zaciśnięciem szczęki i znizeniem głosu do nieprzyjemnego syku.

– Panno Knox, udzielę pani darmowej porady prawnej. Proszę nie nachodzić mnie w domu i nie nazywać kłamcą w obecności moich rodziców.

– Nie znam ładniejszego określenia – rzekła Mollie. – No bo dlaczego dał nam pan tak mało czasu do namysłu? I oczekiwał odpowiedzi w terminie kolejnej dostawy towaru?

Kazmarek odwrócił się do niej plecami, jakby nie był w stanie znieść jej wzroku. Nerwowym szarpnięciem zdjął marynarkę, niechcący odrywając spinę od mankietu koszuli. Metalowy dodatek upadł z brzękiem na podłogę. Rzucił marynarkę na stół, by go podnieść. Znowu na nią spojrzał.

– Panno Knox, jest pani piękną kobietą i zawsze podziwiałem pani przywiązanie do pracy. Ale w ogóle nie potrafi pani postępować z ludźmi. Gdyby było inaczej, z pewnością nie przyszłaby pani tutaj i nie ciskała mi w twarz słów takich jak „oszust” czy „kłamca”.

Mówił zjadliwym tonem, zaś złowrogie błyski w jego oczach zmusiły ją do zrobienia pauzy. Zacerpnęła powietrza, chcąc zaproponować, aby wyszli na zewnątrz i porozmawiali otwarcie, gdy nagle donośny huk przedarł się przez noc.

Mollie jęknęła i przysłoniła uszy. Szyby w oknach zadrżały, a ozdobna waza spadła ze stołu, roztrzaskując się na milion kolorowych kawałków. Z kuchni dobiegł pisk pani Kazmarek.

– Co się stało? – wrzasnęła.

Zack ruszył do okna, choć było to w zasadzie zbędne – nawet ze swojego kąta pokoju Mollie widziała na niebie ognistą, pomarańczową kulę oraz płomień gnające naprzód. Twarz mężczyzny zbladła.

– Gazownia wybuchła.

– Nie! – Mollie z przerażenia wytrzeszczyła oczy.

Gazownia znajdowała się jakieś pięć kilometrów od nich, lecz taka eksplozja mogłaby oznaczać katastrofę. Chicago przywykło już do walki z pożarami – sprzyjały im zwłaszcza suche dni jesienne, kiedy to niemal codziennie dochodziło do zaprószenia ognia – żaden jednak nie zdołał rozświetlić nocnego nieba tak jak ten. Gaz stanowiłby dla płomieni pożywkę na długie godziny.

Pani Kazmarek załamała rękę.

– I co z naszą pracą? Z całą naszą pracą? – spytała apatycznie.

– Chodźcie, wejdziemy na dach, żeby lepiej widzieć – zarządził jej syn ponurym

tonem.

Mollie wdrapała się za całą rodziną po dwóch rzędach schodów. Gdy znalazła się na górze, jej nozdrza zaatakował gryzący dym. Po drugiej stronie rzeki nocnym niebem zawładnął potężny płomień, a fragmenty domów unosiły się w powietrzu.

Pani Kazmarek splotła dłonie i wydała z siebie cichy jęk, ale syn usiłował ją pocieszyć:

– To dzieje się po drugiej stronie rzeki, mamó. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Twoja praca jest bezpieczna.

Z wysokości dachu można było bez trudu dostrzec, jak rzeka dzieli miasto na trzy wyraźne części. Znaczna połać ziemi na południu stanęła w ogniu, ale woda stanowiła naturalną ochronę dla dzielnic północnych i zachodnich. Jej mieszkanie znajdowało się na północ od rzeki, biorąc jednak pod uwagę kierunek wiatru i siłę płomieni, wszystkie obiekty położone na południe były zagrożone.

Z przerażeniem obserwowała kłęby dymu sunące w stronę jej fabryki.

– Muszę się stąd wydostać – oznajmiła, odwracając się i wkraczając z powrotem na schody.

Ciężkie kroki podążyły za nią.

– Proszę powiedzieć, że nie chce pani zrobić tego, o czym myślę – odezwał się Zack.

– W zakładzie mam sporo towaru. I sprzętu. Nadal jest dużo czasu, aby to wszystko uratować.

Znajdowali się już na parterze, ale zagroził jej drogę do wyjścia. Silne dłonie zacisnęły się na ramionach dziewczyny, potrząsając nią energicznie.

– Proszę nie robić z siebie idiotki – warknął. – Chce pani stamtąd wynieść te rzeczy mocą modlitwy czy co? Niech pani zostanie tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

– Panie Kazmarek – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Mam w tym budynku zegarki warte piętnaście tysięcy dolarów. Stacja kolejowa znajduje się kilka kroków od zakładu. Podejrzewam, że wszystkie fabryki z East Street pakują teraz cały swój dobytek do wagonów i wysyłają go pociągiem za miasto. Zamierzam zrobić to samo. Proszę zejść mi z drogi.

Państwo Kazmarkowie również zbiegli ze schodów i w pośpiechu wpadli do salonu. Cisnęli na środek dwie walizki podróżne i zaczęli się przedzierać przez stosy papierów – niektóre z nich ze zniecierpliwieniem odrzucali na bok, inne upychali w walizkach. Zack nie puszczał ramion Mollie, posłał jednak rodzicom zirytowane spojrzenie.

– Mamo, przecież ci mówiłem. Nasz dom jest bezpieczny.

Drobna pani Kazmarek wyprostowała się z żarem w oczach. Wysoko nad głowę uniosła garść papierów.

– To dorobek całego mojego życia! – ryknęła. – Ludzie liczą na te dokumenty. To nasza nadzieja. Nasze marzenia!

Pan Kazmarek senior odsunął się od kolejnej papierowej wieży. Jego oczy rozszerzyła panika, lecz popatrzył na Mollie bardzo przytomnie.

– Pociąg? – zapytał. – Myśli pani, że jakiś pociąg wyjeżdża z miasta?

Mollie przytaknęła.

– Przypuszczam, że każda fabryka na południe od rzeki pakuje swój towar do pociągów właśnie teraz, kiedy my rozmawiamy. Muszę się tam dostać, żeby uratować dobytek.

Pani Kazmarek zrobiła krok naprzód.

– Czy mógłbyś zabrać nasze torby? Zack! Musisz wziąć torby i zabrać je do tego pociągu. Musisz!

Usta Zacka zacisnęły się, tworząc cienką kreskę. Zerknął na wypchane do połowy walizki, następnie zaś na Mollie.

– Panno Knox, rad byłbym udać się z panią do fabryki i pomóc w ratowaniu jej wyposażenia, o ile zgodzi się pani zabrać do pociągu walizki moich rodziców.

W takiej chwili towarzystwo silnego mężczyzny okazałoby się dla niej wybawieniem. Mollie próbowała powstrzymać atak paniki, wkraczając w chaos salonu.

– Proszę się pośpieszyć. Postaram się wziąć państwa torby, ale musicie się pośpieszyć.

Cicha wściekłość co chwilę ogarniała Zacka, gdy szedł obok Mollie. Przynajmniej nie musieli rozmawiać. Kościelne i szkolne dzwony były bez ustanku, starając się wyrwać miasto ze snu. Zbliżała się północ, zatem ludzie wylegający na ulice nierzadko mieli na sobie jedynie piżamy czy cienkie koszule.

Dobłą chwilę zajęła im przeprawa przez rzekę. Po drugiej stronie mostu ludzie biegali w panice i korkowali chodniki. Zack odniósł wrażenie, jakby wraz z Mollie płynęli pod prąd, wydawali się bowiem jedynymi osobami pędzącymi w stronę ognia. Wszyscy inni podążali w przeciwnym kierunku, niosąc na plecach rozmaite pakunki, ciągnąc za sobą kufry, lawirując pomiędzy wózkami i furmankami wypełnionymi stosami mebli, toreb czy nawet materaców. Z jedną wielką walizką w ręku i drugą nieco mniejszą pod pachą, Zack parł naprzód, a Mollie szła tuż za nim.

Nie miał najmniejszej ochoty na nią patrzeć. Chciał tylko jak najszybciej dotrzeć do tej przeklętej fabryki, załadować zegarki do pociągu i raz na zawsze się od niej uwolnić. Oferta kupna firmy była nieaktualna. Przed nastaniem świtu fabryka pójdzie z dymem, a Mollie nie będzie już miała gdzie produkować tych absurdalnie drogich dziwactw.

– Mógłby pan iść trochę szybciej? – rzuciła zza jego pleców.

Już trzeci raz kazała mu przyśpieszyć. Przedzierał się przez ogromną ludzką ciżbę, torując jej drogę, a ona miała jeszcze czelność narzekać. Rzut oka na niebo wystarczył, aby stwierdzić, że ogień znajdował się jakieś dwa kilometry od fabryki.

Zack dostał cios w żebro, kiedy facet niosący klatkę z kurczakami przewrócił się tuż obok niego na chodniku. Spojrzał wymownie na Mollie.

– Może chciałaby pani iść pierwsza?

Nie spodziewał się odpowiedzi, żadnej też nie uzyskał.

Dobrze, że jej nie widział. Gdyby była mężczyzną, wyrzuciłby ją za drzwi zaraz po tym, jak nazwała go kłamcą. A tak mógł tylko stać w osłupieniu na środku pokoju i słuchać, jak kobieta, którą skrycie ubóstwiał od trzech lat, rzucała w niego jakimiś nedorzecznymi oskarżeniami.

– Panie Kazmarek, czy mógłby pan iść trochę szybciej? Mam w tym magazynie zegarki warte piętnaście tysięcy dolarów. Pogodziłam się już z utratą sprzętu, ale jeśli się pośpieszymy, uratujemy przynajmniej zegarki.

Zatrzymał się gwałtownie. Upuścił bagaż spod pachy, a wielkiej walizce pozwolił grzmotnąć o ziemię. Łapczywie zaczerpnął powietrza.

– Niosę w rękach sto kilo. Może chce pani wziąć jedną z tych toreb?

Zanim udało mu się dokończyć pytanie, chwyciła mniejszy pakunek i zaczęła go taszczyć przed sobą. Nigdy by nie przypuszczał, że to w ogóle możliwe, ale całkiem nieźle sobie radziła, przepychając się w tłumie.

– Co jest w tej walizce? – wysapała.

– Dokumenty.

Z widocznym wysiłkiem wlokła przed sobą torbę, lecz ani na moment nie zwolniła tempa marszu.

– Wiem, że to dokumenty – widziałam, jak pańscy rodzice upychali je do środka. Ale czego one, do cholery, dotyczą? Poszukiwań Świętego Graala?

W pewnym sensie tak.

– Nieważne, czego dotyczą. Niech pani idzie.

Nie spodziewał się, by trzeźwy umysł Mollie zaaprobował postawę jego rodziców, szaleńczo owładniętych własną misją. Zack od lat wyciągał ich z przeróżnych kłopotów, ale musiał przyznać, że jedyna sensowna rzecz, jaką w życiu zrobili, znajdowała się teraz w tych dwóch walizkach. I wyścielała podłogę w salonie. Zapelniała strych. Tkwiła pod każdym łóżkiem, w każdej szafie. Rodzice nie po raz pierwszy struchleli wobec perspektywy wybuchu pożaru. W takich wypadkach pakowali najcenniejsze dokumenty do kufrów, błagając Zacka, by ukrył je gdzieś w bezpiecznym miejscu.

I zamierzał to zrobić, choćby nawet za cenę godzinnego marszu z Mollie Knox. Matka nie zdawała sobie sprawy, jak wielki dług u niego zaciągnęła.

Podmuch wiatru cisnął mu w twarz strumień ciepła. Ogień przesunął się szybko, a rzut oka na Mollie wystarczył, aby zaświadczyć o jej autentycznym przerażeniu. Bez skargi ciągnęła za sobą walizkę, zdołała nawet jeszcze przyspieszyć kroku.

Żadnych przekleństw, żadnych jęków. Z pewnością okropnie się bała, ale kroczyła naprzód. Mimo całego wzburzenia poczuł przyływ litości.

– Proszę mi oddać tę głupią torbę – burknął. Z powrotem wepchnął ją sobie pod ramię i nadal szedł przed siebie.

– Na pewno? – Ledwo oddychała, starając się za nim nadążyć. – Musi pan być

wykończony dźwiganiem.

– Panno Knox, przez siedem lat pracowałem jako magazynier, taszcząc stukilogramowe skrzynie w chicagowskim porcie. Kilka teczek z papierami to przy tym pestka.

– Naprawdę pracował pan w porcie? – Wydawała się tak zaszokowana, jakby właśnie oznajmił jej, że brał udział w budowaniu piramid. – Nigdy nie myślałam o panu inaczej niż jako o prawniku.

Zacisnął usta. On myślał o niej często jako o kobiecie, w której włosach chciałby zanurzyć dłonie. O kobiecie zerkającej na zegarek w letnim ogrodzie.

– A ja nigdy nie wyobrażałem sobie, że potrafi się pani oderwać od ksiąg rachunkowych.

Trochę mijał się z prawdą. Wyobrażał sobie, jak siedzi z nim na kocu pod niebem pełnym gwiazd. Albo na meczu baseballowym. Trzymając w ramionach dziecko. Już dawno pogodził się z faktem, że kompletnie oszalał na punkcie tej kobiety, nie zamierzał jednak dać po sobie tego poznać.

Nocne niebo oświetlała jedynie niesamowita pomarańczowa luna. Kiedy wreszcie doszli na East Street, tłum się nagle przerzedził. Większość ludzi już dawno uciekła, zatem Zack i Mollie bez problemu dotarli do fabryki. Pustka na ulicy w pewnym sensie wydała się im obojgu znacznie straszniejsza niż ludzkie masy. Bez zgiełku głosów zaczęli z o wiele większą łatwością rozróżniać trzask drewna i nieustający ryk ognia znajdującego się teraz zaledwie kilkaset metrów dalej. Niekończące się bicie kościelnych dzwonów przypominało im o pośpiechu.

Gdy tylko Mollie zobaczyła fabrykę, rzuciła się pędem do metalowych drzwi. Zanim jednak zdążyła sięgnąć do kieszeni spódnicy po klucz, ktoś otworzył od wewnątrz.

– Podejrzywałem, że niedługo się zjawisz – odezwał się jakiś mężczyzna kuśtykający o kulach.

– Ulysses! – Mollie wpadła mu w objęcia, a Zack zauważył pustą przestrzeń w miejscu, gdzie nieznajomy powinien mieć nogę. – Przyszliśmy zabrać towar.

– Jesteśmy o krok przed tobą. Spakowałem zegarki i tokarki. Już są w pociągu. Declan układa właśnie sprzęt w pudłach, ale potrzebowaliśmy pomocy, żeby przetransportować je na stację.

Zmiana na twarzy Mollie była zdumiewająca. Jej oczy nabrały takiego blasku,

jakby w głowie dziewczyny ukrywało się słońce.

– Niech cię Bóg błogosławi, Ulyssesie!

W warsztacie panowała ciemność, lecz pomarańczowa poświata wpadająca przez wysokie okna wystarczyła, aby Zack zdołał dojrzeć we wnętrzu grupkę ludzi. Nie miał pojęcia, kim są, jednak domyślał się, że lojalność względem firmy musiała skłonić ich do pozostawienia własnych gospodarstw domowych i ratowania przedsiębiorstwa.

Jakiś łysy facet podszedł do niego z wyciągniętą ręką, przedstawiając się jako Oliver Wilkes.

– Pracuję tutaj, odkąd skończyłem piętnaście lat – powiedział. – Dopóki serce bije w mojej piersi, wyposażenie tej fabryki nie pójdzie z dymem.

Sprzęt do wytwarzania zegarków miał przeważnie niewielkie rozmiary, więc szybko uwinęli się z jego pakowaniem. Pięć minut później Zack i Oliver przynosili już pudła na stację. Nadal tkwił tam jeden pociąg, do którego pracownicy okolicznych fabryk ładowali zwoje tkanin, niedokończony meble lub fragmenty maszyn. Stos zegarków i kilka pudeł ze sprzętem z łatwością dało się dołożyć do większych rzeczy. Wnętrze wagonu było zatęchłe i ciemne, lecz Zack zdołał wrzucić pudła w kąt, a następnie zabezpieczyć je pasami. Na szczycie położył dwie torby należące do jego rodziców.

– Wie pani, dokąd właściwie jedzie ten pociąg? – zagadnął Mollie.

Zerknęła przez ramię.

– Ktoś z fabryki fortepianów powiedział, że skład zatrzyma się w Evanston i tam przeczeka pożar. Jeśli tory nie ulegną zniszczeniu, powinien wrócić jutro bądź pojutrze. Nie wiem, co zrobię później.

Jej usta drgnęły, kiedy znów spojrzała na pustą fabrykę. Zanim pociąg wróci, zapewne nic z niej już nie zostanie. Dwie godziny wcześniej Zack miał ochotę porządnie wytarmosić Mollie za te jej głupie warkocze, teraz jednak trudno mu było gniewać się na kobietę, która tak dzielnie się trzymała w obliczu zagłady własnego świata.

– Czy ktoś mógłby nam pomóc? – krzyknął jakiś głos.

Zack wybiegł z wagonu. Przy sąsiednim boksie dwaj mężczyźni pocili się, usiłując wepchnąć do niego pianino. Zack złapał za tył instrumentu i mocno zaparł się nogami. Dwa płynne ruchy i wcisnęli go na miejsce. Za ich plecami czekały na transport jeszcze trzy pianina. Ich załadunek potrwał niecałe pięć minut.

Kierownik dworca pojawił się nagle nie wiadomo skąd, zatrzasnął z łoskotem ostatnie metalowe drzwi.

– Koniec, ruszamy! – zawołał.

Tymczasem jakiś człowiek biegł przez peron, wymachując czapką.

– Zostało wam jeszcze trochę miejsca? – Oddychał z takim trudem, że dosłownie zginał się wpół, lecz zdołał się opanować na tyle, by mówić dalej: – Mam około trzydziestu perskich dywanów niecały kilometr stąd. Mogę je przynieść za dziesięć minut. Proszę. Proszę.

Pracownik potrząsnął głową.

– Nie możemy dłużej czekać. Właśnie dotarła do nas wieść, że Michigan Avenue stoi w ogniu. Muszę wyprawić ten pociąg, zanim zaczną płonąć tory. Proszę spróbować złapać jakiś inny skład, w północnej części miasta.

Mężczyzna westchnął z rezygnacją.

– Nie jest dobrze. State Bridge też płonie. Nie ma jak się stąd wydostać.

Zack nie wierzył, że mogłoby przytrafić się im coś jeszcze gorszego. A jednak mogło. Handlarz dywanów bez tchu relacjonował, iż fabryka farby stanęła w ogniu, a pochodzące z niej oleiste odpady wylały się do rzeki.

– To absolutna katastrofa – orzekł handlarz. – Rzeka płonie, a most lada chwila może runąć. Ogień przedostał się do północnej części miasta.

Zack spojrzał na Mollie. Jej twarz pobiadła.

– Czyli zmierza wprost do mojego domu – wyszeptała.

Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył, jak jej cera traci kolor. Dom Zacka na zachodzie nadal był bezpieczny, ale wszystko wskazywało na to, że lokum Mollie nie zostanie oszczędzone.

– Proszę wrócić ze mną do domu – zwrócił się do niej. – Tam będzie spokojnie.

Przełknęła gulę w gardle. Wyprostowała się.

– Idę na północ. – Podniosła spódnicę i ruszyła przed siebie, zanim zdążył ją powstrzymać.

– Panno Knox! – Nagle sam się zorientował, że w tych okolicznościach silenie się na oficjalny ton jest absurdem. – Mollie! Mollie, nie bądź głupia! – krzyczał w jej kierunku.

Nawet jeśli go słyszała, zupełnie zignorowała ten przekaz i biegła coraz szybciej. Spódnica owijała się jej wokół kolan, on zaś patrzył, jak połyka ją tłum ludzi uciekających na północ.

Grupka mężczyzn zebrała się wokół handlarza dywanów, który próbował prognozować dalszy kierunek rozprzestrzeniania się ognia. Żar i wiatr przybrały postać ognistej burzy pędzącej przez wąskie uliczki. Wzbijała ona słupy ognia, które przypominały tornada – porywały ze sobą płonące belki i ciskały je na wszystkie strony. Belki lądowały na drewnianych dachach, co skutkowało zapaleniem się kolejnych domostw. Pożoga przekroczyła już granicę rzeki w kilku miejscach na północy miasta. Co najgorsze, ogniem zajął się dach fabryki terpentyny. Jeśli ten dach nie wytrzyma, dojdzie do następnej eksplozji.

A Mollie zmierzała w sam środek tego wszystkiego. Czy zdawała sobie sprawę, w co się pakuje?

Nie przestając rozmyślać, rzucił się za nią biegiem.

Im dalej przemieszczał się na północ, tym wyraźniejszy stawał się dla niego chaos. Ulice zostały zawałone kanapami, komodami i różnymi wariantami kuchenek. Właściciele wystawiali je na zewnątrz i uciekali w przeświadczeniu, że przedmioty będą bezpieczniejsze na chodnikach niż wśród drewnianych ścian. Porzucone elementy wyposażenia mieszkań spowalniały przepływ tłumu i dodatkowo potęgowały panikę. Zack zahaczył stopą o ramę łóżka, zachował jednak równowagę i nie przestawał przedzierać się na północ.

– Mollie! – krzyczał, rozglądając się na próżno wokół siebie. Unoszący się w powietrzu popiół był niczym igiełki kłujące go w twarz. Podrapał się po policzku i zmrużył oczy, aby dostrzec w kłębach dymu tę odważną i głupią jak but dziewczynę w jasnoniebieskiej spódnicy. Nadal parł do przodu, mijając konia, który padł z wyczerpania, oraz kobietę targającą stalowy kocioł.

W pewnym momencie wypatrzył ją w tłumie.

– Mollie!

Pozbawiona ciężaru toreb i walizek, jakie dźwigała większość osób, Mollie posuwała się dosyć prędko. Ale i tak ją dogonił.

– Zwariowałaś? – zapytał, zrównując z nią krok. – Most stoi w płomieniach, wszędzie zrobiło się niebezpiecznie. Wróć ze mną do domu.

Ledwo zaszczyliła go spojrzeniem.

– Idę na most na Rush Street. Słyszałam, że nadal jest otwarty.

Złapał ją za ramię, tak że musiała się zatrzymać.

– Mollie, naprawdę dużo ryzykujesz. Pali się dach fabryki terpentyny. Dalsza ekspansja pożaru to tylko kwestia czasu, a ty zmierzasz w sam środek kataklizmu. Nie ocalisz swojego domu. Musisz się z tym pogodzić.

– Nic nie rozumiesz! – niemal wrzeszczała. – Frank Spencer został w mieszkaniu. Jest niewidomy. Nie mogę go tam zostawić.

Nagle pojął wszystko. Wokół nich panował kompletny chaos, Zack z trudem utrzymywał się na nogach w tym oceanie ciał. Dzieci płakały, jakiś koń zrzucił z siebie jeźdźca i pomknął w dal. Co kilka minut wiatr przynosił z nieba garść iskier i popiołów. Żaden niewidomy, niezależnie od stopnia swojej życiowej zaradności, nie mógłby się samodzielnie poruszać w tym zgiełku.

Zamiast uciekać z nim w bezpieczne miejsce, Mollie podążała wprost na spotkanie ognia. Nie był pewien, czy należało ją przytulić, czy raczej udusić.

– W takim razie idę z tobą.

~
Mollie nie ufała Zackowi Kazmarkowi w najmniejszym stopniu, ale w tej chwili mógł się jej bardzo przydać. Wyglądał na wściekłego, choć nie powiedział nic, gdy chwycił jej dłoń. Szedł nieco z przodu i torował dziewczynie drogę. Był od niej o wiele wyższy, więc siłą rzeczy lepiej sobie radził z przepychaniem się przez tłum ludzi i dziesiątki porzuconych wozów. Ostry ból łokcia, wywołany uderzeniem o metalową szafkę, niemal rzucił ją na kolana, jednak silny uścisk Zacka utrzymał ją w pionie. Dlaczego ludzie byli aż tak głupi, że pozostawiali swoje kłamoty na środku ulicy?

Chyba każdy dzwon w mieście bił już nieustannie. Dudnienie niosło się z gmachu sądu, ze szkół, z kościołów. Czy w takich warunkach ktokolwiek mógłby jeszcze spać? Mollie wyjęła z kieszeni zegarek ojca. Była pierwsza. Z najwyższym trudem zdołała w to uwierzyć, przez chwilę obserwując rzekę ludzi sunących przez ulice.

Jeżeli ona się bała, z jakim przerażeniem musiał się teraz mierzyć Frank? Czy nadal

siedział w mieszkaniu? Niebo nad południowymi dzielnicami miasta naznaczał złowieszczy czerwony blask, lecz wydawało się, że ogień nie dotarł jeszcze do jej domu. Na końcu ulicy garstka strażaków podjęła nierówną walkę z żywiołem, dzierżąc w dłoniach gumowe węże, z których lały się strumienie wody.

Brodaty facet dźwigający maszynę do pisania popchnął Mollie do przodu tak mocno, że upadła, kalecząc dłonie o żwir. Zack po raz kolejny pomógł jej odzyskać pion.

– Spokojnie, już dobrze – rzucił w jej kierunku, by następnie ostro zwyzywać tamtego obcego mężczyznę.

Ulice całkowicie opanował chaos. Jakiś chłopiec przyciskał do piersi oszalałego ze strachu szczeniaka, podczas gdy jego ojciec targał ogromnych rozmiarów rodzinny portret, nie dostrzegając, że na płótno opadła iskra i obraz zaczyna płonąć. Wozy wypakowane po brzegi dobytkiem mieszkańców gnały przed siebie tak szybko, jak to tylko w tych warunkach możliwe. Mollie kurczowo trzymała się Zacka, bojąc się choćby chwilowej rozłąki.

Gorące, zadymione powietrze utrudniało oddychanie. Dwaj mężczyźni wyszli przez rozbite okno pobliskiej knajpy, pociągając whisky prosto z butelki. Któryś z nich cisnął w powietrze do połowy pełne szkło, jego kompan zaś wyjął pistolet i zestrzelił je, rozpryskując alkohol w tłum.

– Odlooot! – zawył z uciechy.

Jakiś zmoczony przechodzień rzucił się na pijanego strzelca, zdzielił go pięścią w twarz i odciągnął na bok.

Ci ludzie zamieniali się w zwierzęta. Mollie patrzyła na nich w osłupieniu. Czy tak właśnie zachowują się ci, których życie rujnuje kataklizm?

Zack ciągnął ją do przodu.

– Wyświadczył nam wszystkim przysługę! – krzyknął. – Pijani idioci strzelający w tłum dodatkowo potęgują panikę, więc trzeba się śpieszyć. Fabryka terpentyny może w każdej chwili wybuchnąć.

Miał rację – nie należało sobie zawracać głowy bzdurami. Musiała uratować Franka, choć tłumy przed nią zaczęły niepokojąco zwalniać. Pobliskie skrzyżowanie zatarasowała pompa strażacka stojąca obok dużego kościoła. Kłębił się przy niej oddział ludzi, kręcąc korbami i kierując strumienie wody z gumowych węży wprost na rozszalałe języki ognia.

Na twarzach strażaków malowało się ogromne zmęczenie. Ci dzielni mężczyźni ani na moment nie opuszczali swoich stanowisk, chociaż ich własne domy zapewne także już płonęły. Stali tutaj, wydani na pastwę piekącego żaru, i próbowali ocalić miasto.

– Niech pana Bóg błogosławi, sir – zdążyła rzucić Mollie do wyczerpanego mężczyzny w hełmie, zanim rozjuszony tłum popchnął ją naprzód.

Na każdego pijanego idiotę przypadało kilkanaście roztropnych osób pomagających omdlałym kobietom podnieść się z ziemi albo niosących na plecach zagubione dziecko. A także mężczyzn poświęcających własne domy i bohatercko obsługujących pompy. Mollie zerknęła na Zacka. Bezinteresownie przedzierał się z nią przez umierające miasto, śpiesząc na ratunek niewidomemu prawnikowi, którego prawie nie znał. Może zatem zbyt wcześnie go skreśliła?

Nagle ziemia się zatrzęsła i z tyłu dobiegł ich ogłuszający huk. Rzuciła się na brzuch, zatykając dłońmi uszy. Zack nakrył ją własnym ciałem, chroniąc przed nadciągającą katastrofą.

Wybuchła fabryka terpentyny.

„Boże, wybacz mi. Żałuję, że nie byłam lepszą osobą”.

Piski i krzyki wypełniły powietrze, a fala gorąca omiotła jej skórę. Odór płonących chemikaliów zaczął ją drapać w gardło. Dziki wiatr smagał ich ciała i szarpał za włosy.

„Proszę Cię, Boże, nie pozwól mi tu spłonąć żywcem”.

Wśliznęła się w ramiona Zacka, splatając dłonie na jego plecach i przyciskając twarz do piersi mężczyzny. Nie chciała umierać sama.

Z nieba sypały się iskry. Czy za nimi podążała ściana ognia? Mocno zacisnęła powieki. Jeśli płomienie się zbliżały, wołała o tym nie wiedzieć.

Jeszcze bardziej przyłgnęła do Zacka. Czy ten człowiek umrze, dlatego że chciał jej pomóc?

– Przepraszam – wyszeptała mu w ramię.

– Ja też przepraszam. – Zacieśnił uścisk, gdy kolejny potężny ryk przeszył powietrze.

Ten drugi odgłos brzmiał jednak nieco inaczej. Zerknęła na ulicę akurat w momencie załamania się kościelnej wieży. Kamienna konstrukcja runęła w dół, ciągnąc

za sobą resztę budynku. W ciągu kilku sekund potężny kościół zamienił się w rumowisko z cegieł i szkła.

Znad gruzów świątyni podniosła się chmura wapiennego pyłu. Mollie zanurzyła twarz w płaszczu Zacka, aby uchronić się przed kredowym pudrem. Znowu poczuła, że ma problem z oddychaniem. Zack podniósł ją i pociągnął za sobą.

– Mollie, uważaj! – wrzasnął.

Podążyła za jego spojrzeniem. Oszałały koń bez jeźdźca pędził wprost na nią, tratując po drodze przypadkowych ludzi. Otoczona ze wszystkich stron dzikim tłumem i unieruchomiona przez stojący obok niej wóz, nie miała dokąd uciekać. Białka końskich oczu błyszczały, gdy oszołomione zwierzę gnało przed siebie. Mollie cofnęła się na coraz głośniejszy łoskot kopyt. Nagle ręce Zacka owinęły się wokół jej talii i w ostatniej chwili usunęły ją z pola zagrożenia.

– Dziękuję – zdążyła jeszcze wysapać, nim dopadł ją gwałtowny atak kaszlu.

– No, dalej – zarządził Zack, chwytając ją za rękę i ciągnąc za sobą. – Musimy przejść przez rzekę, zanim most spłonie. Uda nam się, Mollie. – Uśmiechnął się do niej, a biel jego zębów kontrastowała z czarną od sadzy twarzą.

Zamieszanie okazało się jeszcze potężniejsze przy moście na Rush Street. Daleko przed nimi jacyś ludzie wrzeszczeli i rozkazywali tłumowi, by się cofnął. Wykrzykiwanych przez nich słów nie dało się jednak dokładnie usłyszeć, bo zagłuszał je ryk wiatru oraz dźwięk dzwonów alarmowych. Gdy podeszli trochę bliżej, Mollie zrozumiała, w czym tkwi problem.

Most się palił.

– Jeszcze możemy przez niego przebiec – powiedziała, rzucając się naprzód.

Most był długi mniej więcej na sto metrów, a pomarańczowe płomienie lizały już drewniane balustrady. Deski zaczynały się gdzieś tlić, lecz całość nadal budziła umiarkowane zaufanie. Kilku szaleńców popędziło już na drugi brzeg. Mollie, mając świadomość ściany ognia za nią, zbierała siły, aby podążyć ich śladem.

Ręka Zacka zamknęła ją w mocnym uścisku. Zatrzymał dziewczynę na miejscu i zmusił do spojrzenia mu w twarz. Jego oczy lśniły, a skórę pokrywała sadza zmieszana z potem, kiedy przysuwał się bliżej i usiłował przekrzyczeć ryk wiatru i ognia:

– Mollie, ten most nie wytrzyma! Nie zamierzam patrzeć, jak idziesz na śmierć! Musimy się jakoś przedostać do mostu na Clark Street.

W ciągu wszystkich lat pobieżnej znajomości z nieskazitelnym Zackiem Kazmarkiem nigdy nie zauważyła cienia wahania pod jego szytymi na miarę garniturami i nakrochmalonymi kołnierzykami koszul. Teraz mierzył ją oszalałym wzrokiem. Chwył Mollie za ramiona w sposób sugerujący, iż za nic w świecie nie pozwoli jej stanąć na moście, a to z kolei kazało jej pomyśleć, że...

Poruszyła się nerwowo. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę wrzucić ją do rzeki.

– Dlaczego jesteś na mnie taki wściekły? – zapytała.

To pytanie rozdrażniło go jeszcze bardziej.

– Ponieważ, z jakichś niewiadomych przyczyn, cię uwielbiam. Przez trzy ostatnie lata widziałem w tobie ucieleśnienie ideału, więc nie mogę ci pozwolić wejść na ten most!

Czy aby na pewno dobrze zrozumiała? Po wszystkich tych miesiącach lodowato uprzejmych spotkań w biurze oczy Zacka załśniły nagle na usmolonej twarzy. Przysunął się do niej jeszcze bliżej, przekrzykując narastające wokół zamieszanie:

– Oszalałem na twoim punkcie, kiedy trzy lata temu po raz pierwszy weszłaś do mojego biura w tym dziwacznym zakiecie i w dodatku z włosami sztywnymi jak u nauczycielki. – Zacerpnął tchu i krzyczał jeszcze głośniej: – Ani się waż zabijać tutaj, na moich oczach!

Mollie zaniemówiła. Żar zawładnął jej skórą bez reszty, zaś każdy oddech palił płuca... Zack Kazmarek ją wielbił?

– Nie zamierzam się zabijać – zapewniła – ale przejdę przez ten most.

Łatwiej było puścić się biegiem przed siebie niż ciągnąć tę niepojętą rozmowę. Odwróciła się więc i pozwoliła pracować nogom, wyłączając umysł. Jej buty łomotały o drewnianą nawierzchnię. Za wszelką cenę usiłowała unikać miejsc, w których iskry zdążyły już nadwątlić deski. Po chwili usłyszała obok siebie ciężkie stąpanie Zacka. Gdy wreszcie poczuła pod podszewkami twardą ziemię, zachłysnęła się powietrzem. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że w trakcie biegu przez cały czas wstrzymywała oddech.

Padła na kolana, nie panując nad drżeniem kończyn. Po chwili Zack do niej dołączył.

– Nie brakuje ci powietrza? – zapytał. Uklęknął przy dziewczynie i zamknął jej ręce w swoich. – Mollie, czy możesz oddychać?

Kiwnęła głową. Powoli się podniosła i Zack również wstał z kolan, nadal jednak trzymał jej ręce. Utkwił w niej spojrzenie pełne ulgi, nadziei i czegoś bliżej nieokreślonego.

– Dlaczego mnie przeprosiłaś? – spytał. – W tamtej chwili, kiedy fabryka wybuchła. Przyłgnęłaś do mnie i wyszeptałaś przeprosiny. Co miałaś na myśli?

Uwolniła ręce z uścisku. Nie miała powodów, by taić prawdę. Poza tym łatwiej było udzielić odpowiedzi na to pytanie niż mierzyć się z jego dziwną deklaracją.

– Chodziło o to, że nie miałam prawa cię tu ciągnąć. Powinieneś teraz siedzieć w domu z rodzicami. Przykro mi, bo naraziłam twoje życie.

Jego ramiona nieco opadły, a po twarzy przemknął cień zawodu. Poczul się niemal tak, jakby go uderzyła, natychmiast jednak przywołał własne rysy do porządku. Skinął głową i głośno nabrał powietrza w płuca.

– Dobrze – mruknął. – Chodźmy dalej.

V

Zaczynało już świtać, kiedy Mollie dotarła wreszcie do swojego mieszkania. Smutki światła z trudem przenikały przez warstwę gęstego dymu i ognia. Mollie wdrapała się po schodach i pędem minęła hol.

Frank otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać. Rzuciła mu się w ramiona.

– Bogu dzięki! Bałam się, że już cię tu nie zastanę.

Przycisnął ją do piersi uspokajającym ruchem.

– Właśnie zamierzałem wyjść – rzekł. – Sądząc po odgłosach, jakie słyszałem w środku nocy przez okno, nie miałbym najmniejszych szans uratować się w tym początkowym zamieszaniu. – Nieznacznie przechylił głowę. – Kto z tobą jest?

Zack wszedł do przedpokoju.

– Zack Kazmarek. Mollie była u mnie w domu, kiedy wybuchł pożar.

Frank uniósł podbródek. Jeśli o niewidomym człowieku można powiedzieć, że patrzy na kogoś wilkiem, stary prawnik właśnie to robił.

– Ach, chłoptaş z Yale.

Zack uniósł ręce.

– Nie musi mi pan dziękować. Ten budynek za kilka minut spłonie, nie pora więc na uprzejmości.

– Później sobie pogadacie – powiedziała Mollie, gmerając przy zamku w drzwiach. Jeśli się pośpieszy, może zdoła powrzucać do torby kilka najcenniejszych rzeczy.

– Przez całą noc stałem przy oknie i nasłuchiwałem – opowiadał Frank, idąc za nią w głąb mieszkania. – Jakies dwadzieścia minut temu ktoś powiedział, że runął dach wodociągów i wszystko stanęło. Czyli brakuje wody do gaszenia płomieni. Strażacy odeszli od pomp i zajęli się ewakuacją ludności.

Ostatnia nadzieja przepadła. Miasto posiadało wprawdzie niewyczerpane zasoby wody z jeziora, lecz skoro pompy przestały pracować, stracili możliwość jej wydobywania. Chicago zostało skazane na zagładę.

Mollie poczuła potrzebę natychmiastowego działania.

– Muszę zabrać kilka rzeczy, zanim stąd uciekniemy – oświadczyła, kierując się do swojej sypialni. Jednym szarpnięciem zdjęła poszewkę z poduszki z zamiarem wykorzystania jej jako prowizorycznej torby. Ale co do niej wrzucić? Ubrania. Buty. Ręce jej drżały, kiedy sięgała po bluzki i bieliznę. Odruchowo chwyciła także zielony szal, modląc się w duchu, aby zdołał ochronić jej włosy przed wszechobecnym popiołem.

Nic jednak nie było tak ważne jak fotografia ojca. Pobieгла do salonu, aby zdjąć ją ze ściany.

– Nie możesz jej zabrać – zaprotestował Zack. – Jest za duża.

Mollie spojrzała na zdjęcie migoczące w blasku ognia. Wykonano je na miesiąc przed decydującą bitwą pod Winston Cliff: grupa mężczyzn w poważnych pozach, spokojnie patrzących w obiektyw. Na tej fotografii Frank wciąż cieszył się dobrym wzrokiem, a Ulysses stał prosto na obu nogach. W pierwszym rzędzie przeżył się słynny Richard Lowe, jeden z najmłodszych pułkowników, jacy kiedykolwiek służyli w amerykańskiej armii. Za Lowe'em stał jej ojciec – jedyny w tym towarzystwie mężczyzna, który zdobył się na uśmiech. Tak właśnie Mollie na zawsze zapamięta tatę. Jako człowieka dostrzegającego pozytywy w każdej godzinie życia.

– Biorę ją – rzekła.

Fotografia nie chciała się zmieścić w poszewce, dziewczyna musiała więc wyrzucić jakąś spódnicę i parę butów – ostatecznie stwierdziła, że jednak się bez nich obejdzie. Zdjęcie w dalszym ciągu niebezpiecznie wystawało. Gdy usiłowała je na siłę upchnąć w skromnej torbie, Frank ukląkł przy niej.

– Akt własności ziemi przy Columbus Street ukryłem w kieszeni płaszcza – szepnął.

Spojrzała na niego zaskoczona. Zważywszy na okoliczności, dokument okaże się już zapewne bezużyteczny, ale Frank miał rację – ten akt to najcenniejsza rzecz, jaką Mollie posiadała.

– Dzięki, Frank – powiedziała tym samym konspiracyjnym szeptem, nim wstała z klęczek i ruszyła, nieporadnie taszcząc na plecach wielką fotografię w ramce.

– Gotowa? – niecierpliwił się Zack.

Przytaknęła i chwyciła Franka za rękę. Jeszcze na moment stanęła w drzwiach, mając ochotę rzucić ostatnie spojrzenie na swój dom, ale nie mogła tego zrobić. Jej

książki... okno ze wspaniałym widokiem... Zaczęłyby szlochać jak dziecko, gdyby rozejrzała się teraz po mieszkaniu, które opuszczała na zawsze.

– Chodźmy – powiedziała.

~
Ogień rósł w siłę z każdą chwilą. Mollie, wciąż trzymając dłoń Franka, prowadziła go przez ulice wypełnione ludźmi oraz ich tobołami, powozami i taczkami. Paraliżowała ją obawa, że mogłaby zgubić Zacka. Niósł w rękach jej prowizoryczną torbę, ona zaś trzymała się brzegu jego płaszcza, brnąc naprzód. Dwukrotnie zostali już zresztą rozdzieleni, lecz zaalarmowany jej rozdzierającym krzykiem mężczyzna przystawał i czekał na nią.

Skrawki płonącej papy wirowały w powietrzu. Jeden wylądował na ramieniu Zacka i zdążył podpalić materiał, zanim Mollie strząsnęła go w panice.

Ich trzykilometrowa ekspedycja ratunkowa okazała się niezwykle wymagająca. Ogień tańczył wokół nich, utrudniając oddychanie. Bicie kościelnych dzwonów mieszało się z ludzkim krzykiem oraz z psioczeniem furmanów usiłujących nakłonić oszalałe ze strachu konie do parcia naprzód.

Nagle Mollie dostrzegła kątem oka dziewczynkę w piżamie, chlipiącą na schodach prowadzących do jakiegoś pensjonatu.

– Zack, stój! – wrzasnęła.

Odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę. Przystanął, Mollie zaś kilkoma susami pokonała odległość dzielącą ją od jasnowłosej dziewczynki.

– Gdzie twoi rodzice, skarbie?

– Zgubiłam ich! – załkało dziecko. – Potknęłam się i upadłam, a kiedy udało mi się podnieść, nigdzie ich nie było!

Mollie nie umiała sobie nawet wyobrazić przerażenia, jakiego doświadczyła ta mała. Na oko miała nie więcej niż dziewięć lat. Nic dziwnego, że przystanąła na tych schodach, chroniąc się przed chaosem na ulicy.

– Jak dawno ich zgubiłaś?

– Strasznie dawno – powiedziała dziewczynka, zanosząc się płaczem. – Szukam ich od kilku godzin i zaczęły mnie boleć nogi, więc przyszedłam tutaj.

Mollie skurczyło się serce. Gdyby dziecko usiadło w jednym miejscu, być może rodzicom udałooby się je odnaleźć – choć, biorąc pod uwagę setki ludzi na ulicach, trudno o tym przesądzać. Wszyscy ciągnęli na północ, zatem marsz w przeciwnym kierunku okazałby się ogromnie trudną rzeczą.

Zack podprowadził Franka do kamiennej balustrady, sam zaś wbiegł po schodach.

– Musimy iść dalej – powiedział poważnym tonem.

– Ta dziewczynka zgubiła rodziców – wyjaśniła Mollie, pytając samą siebie, co powinni teraz zrobić. Nie mogli jej tu przecież tak zostawić, lecz nie wyobrażała sobie także wzięcia dziecka ze sobą. Wystarczającym obciążeniem było już dla nich prowadzenie Franka.

Zack strzepnął popiół z policzka.

– Mogę ją nieść na rękach – zadeklarował. – Ale musimy zostawić twoją poszewkę z rzeczami. Nie dam rady nieść i jej, i dziewczynki.

Mollie przyknęła oczy. Jeśli zostawi tę nędzną torbę, straci jedyną fotografię ojca. Nie zostanie jej nic prócz ubrania, które ma na sobie. Wiedziała jednak, co należy zrobić. Gula w gardle uniemożliwiła jej mówienie, zatem skinęła tylko głową na znak przyzwolenia.

Zack cisnął torbę na werandę i ukląkł, aby wziąć dziewczynkę na ręce. Wciąż wyglądała na zrozpaczoną i pełną lęku, ale przynajmniej przestała płakać. Zack objął wzrokiem sceny rozgrywające się przed nimi – płomienie po lewej nie przygasały. Miasto przypominało teraz sieć ślepych uliczek, gdzieniegdzie poprzetykanych zepsutymi pojazdami i gruzami domów.

– Myślę, że powinniśmy pójść nad jezioro – rzekł. – Nawet jeśli całe miasto spłonie, możemy to przeczekać w wodzie.

Mollie czuła się tak zmęczona, że nie miała sił na protesty.

– W porządku – powiedziała.

~
Dziewczynka nazywała się Sophie i miała dziesięć lat. Kiedy Zackowi zabrakło sił, by nieść ją na rękach, zażyczyła sobie podróży w ramionach Franka.

– Nie widzę przeszkód – powiedział adwokat i pochylił się, aby dziecko mogło zająć wygodną pozycję.

Dotarcie nad jezioro zajęło im kolejne pół godziny – w tym czasie minęli nieprzebrane ilości porzuconych wozów i sprzętów domowego użytku. Nad wodą znaleźli się późnym popołudniem.

Tysiące ludzi tłoczyły się na nabrzeżu; niektórzy zebrali się w grupki, inni samotnie siedzieli lub leżeli w skrajnym wyczerpaniu. Zack prowadził ich przez tę ludzką ciżbę do nieco bardziej ustronnej części jeziora. Odwróciwszy się na moment, Mollie aż otworzyła usta ze zdumienia. Niebo nad miastem płonęło na czerwono i pomarańczowo, a obraz kłęski dopełniały snujące się po nim kłęby dymu. Dziewczyna musiała raz po raz otrzepywać ubranie i włosy z rozżarzonego popiołu. Co najgorsze, pożar pełzył nieubłaganie w ich kierunku.

Nikt nie miał ochoty wchodzić do jeziora. Co prawda ogień rozgrzewał powietrze, ale był październik, więc temperatura wody nie zachęcała do kąpieli. Mollie położyła się na brzegu, czując pod palcami chłodną trawę i drżąc na całym ciele ze zmęczenia. Pomyślała, że ludzie zebrani tutaj stanowią nader osobliwą mieszaninę; pożar całkowicie zniwelował różnice klasowe. Kobieta w jedwabnej sukni, ze sznurem pereł na szyi, siedziała obok cygańskiej rodziny. Wcześniej, na ulicach, mieszkańcy wymieniali się nieustannie najświeższymi plotkami, teraz jednak byli już na to zbyt zmęczeni. Wpatrywali się w niebo w ponurym milczeniu, a straszliwe pomarańczowe światło migotało w ich oczach.

Jeden po drugim dzwony przestawały bić. Oznaczało to albo całkowite zniszczenie zabytkowych budynków, albo ucieczkę pracujących tam ludzi. Jedynym odgłosem przerywającym ciszę stał się teraz huk płomieni. Mollie pomyślała, że choćby miała dożyć setki, do końca swoich dni nie zapomni owego upiornego ryku.

Frank usiadł obok niej.

– Czy będziemy musieli wejść do jeziora? – zapytał.

Mollie rozejrzała się wokół. Ogień otaczał ich teraz z trzech stron, dzielił go od nich mniej więcej kilometr.

– Nie wiem – przyznała.

– W takim razie mamy problem – ciągnął przyjaciel. – Ten dokument nie przetrwa nurkowania. Musimy go gdzieś schować. W miejscu niewidocznym dla prawnika Hartmana.

Trudno się było kłopotać o jakiś świstek papieru w momencie, kiedy marzenia Mollie sprowadzały się do zaczerpnięcia świeżego haustu powietrza. Śmiertelnie

zmęczona, położyła głowę na własnych kolanach.

– Nie mam żadnych praw do tego sklepu. Nie wiem nawet, czy on nadal istnieje. Podejrzewam, że większa część miasta spłonęła.

Frank z trudem odnalazł jej dłoń.

– Ci faceci próbowali cię oszukać – przypomniał zdenerwowanym tonem. – Zawdzięczam twojemu ojcu więcej, niż kiedykolwiek zdołam spłacić, ale najlepsze, co mogę zrobić, to zatroszczyć się o byt jego córki. Nie zamierzam stać cicho, pozwalając, by ktoś robił ją w konia. Mollie, musimy ukryć ten papier w bezpiecznym miejscu. Teraz. Zanim ten wąż w przebraniu prawnika zorientuje się, że go w ogóle posiadamy.

Mollie znów rozejrzała się wokół siebie. Zakopanie dokumentu nie wchodziło w grę. Woda zaczęłaby tworzyć kałuże, gdy tylko zabraliby się za drążenie dziury w piasku.

– Jak długie są twoje włosy? – zapytał Frank.

Rozpromieniła się. Rozpuszczone, sięgały ramion. Nawet gdyby musieli uciekać przed ogniem do jeziora, z pewnością nie będzie konieczności zanurzania w nim głowy.

– Podaj mi dokument – szepnęła. Powinna oddalić się od Zacka, żeby móc zwinąć papier w rulonik i wpleść we włosy. – Chodź, Sophie, pójdziemy na spacer. Może dojrzysz w tłumie jakąś znajomą twarz.

Zack łypnął na nią z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz.

– Przejdziemy się tylko po nabrzeżu – powiedziała do Sophie, podnosząc ją na nogi.

Zack przewrócił oczami, choć nadal się nie ruszał.

– Jak tam sobie chcesz – mruknął, kierując całą uwagę na przybliżającą się linię ognia.

– Chodź szybko – upomniła Mollie dziewczynkę. Czowała się okropnie, wzbudzając w dziecku nadzieję, potrzebowała jednak przekonującej wymówki, aby uwolnić się na kilka minut od Zacka.

Nie przeszły nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy Sophie zaczęła marudzić.

– Jestem zmęczona. I głodna.

Mollie zmagala się z takimi samymi myślami. Nie wiedziała, która jest godzina, ale szli przecież przez pół nocy, cały poranek i większą część popołudnia. W ciągu ostatniej doby nie miała nic w ustach. Ignorując jednak ssące uczucie głodu, klęknęła na piasku, zdjęła z głowy szal i uwolniła strumień włosów. Trzymając w ustach kilka spinek, ukryła dokument między pasemkami, następnie zaś ułożyła spinki na poprzednich miejscach.

Sophie stanęła przed nią i nadepnęła jej na nogę.

– Powiedziałam, że chcę dostać coś do jedzenia! Natychmiast!

Mollie w całym swoim życiu nie słyszała takiego tonu, a teraz to niewdzięczne dziecko patrzyło na nią jak królewna z jakiejś ponurej baśni. Wsunęła we włosy ostatnią spinkę, podniosła się z kolan i wskazała palcem jezioro.

– W takim razie zanurkuj i złap dla nas rybę. Jeśli nie umiesz, wracamy do Zacka i Franka.

Sophie rzuciła się na ziemię jak szmaciana lalka, ciężkie buty wystawały spod jej koronkowej nocnej koszuli.

– Podoba mi się tu. Jestem zmęczona, nigdzie nie idę.

Mollie owinęła szal wokół głowy i odwróciła się.

– Gdzie uciekasz!?! – Dziewczynka skoczyła na równe nogi. – Jak możesz mnie tu zostawiać?

– Sophie, albo wracasz ze mną, albo zostajesz tutaj. Nie zamierzam się z tobą kłócić.

Nawet nie zdążyła dokończyć, kiedy Sophie znów znalazła się przy niej.

– Niespecjalnie was lubię – odparła, zrównując krok z przybraną opiekunką.

Mollie odgarnęła sobie pasemko włosów z czoła. Cenny dokument wydawał się na razie bezpieczny, a ona zamierzała przetrwać kolejny dzień – choćby po to, żeby w niedalekiej przyszłości pokonać Hartmana w sądzie.

– A ja myślę o tobie jako o niewyczerpanym źródle radości i otuchy – powiedziała przyjaźnie.

– Hę?

Mollie wzięła dziewczynkę za rękę.

– Nieważne. Zobaczmy, co robią pozostali.

≈

Kiedy wróciły nad jezioro, zdążyło się już ściemnić. Frank i Zack znowu byli w trakcie kłótni – tym razem spierali się o fale na jeziorze Michigan.

– Musimy się odsunąć od brzegu – powiedział Frank. – Niedługo nadejdzie wysoka fala, a woda jest lodowata.

– Usiłuje mi pan wmówić, że na jeziorze Michigan są fale? Fale? – W głosie Zacka pobrzmiwało absolutne niedowierzenie, a zważywszy na jego doświadczenie w pracy w porcie, Mollie była gotowa stanąć po jego stronie w tym sporze.

– Fale wywołuje przyciąganie księżyca na dużej powierzchni wody – pouczał go Frank. – Dziwne, że nie nauczyli tego pana na studiach.

– Twój szal się pali! – krzyknęła zniecierpliwiona Sophie.

Popiół osiadł na materiale nakrycia głowy Mollie, błyskawicznie wywołując pomarańczową poświatę. Dziewczyna w popłochu zrzuciła szal i przyciskała go do ziemi aż do całkowitego zduszenia ognia. Potem znów obwiązała materiał wokół głowy. Wołała poświęcić szal niż włosy.

Napotkała wzrok Zacka. Popiół unosił się w powietrzu niczym płatki śniegu, nie dało się go w żaden sposób uniknąć. Żar bijący ze wschodu był coraz potężniejszy, a ogień sięgnął już linii drzew nieopodal jeziora. Nikt nie miał ochoty zanurzać się w wodzie, jednak nadszedł ku temu najwyższy czas.

Poczuła dziwne ssanie, rozdeptując przybrzeżne błoto. Minęła krótka chwila, zanim lodowata woda zdołała przemoczyć jej buty. Starła się nie wzdrygać. Szła przed siebie. Woda sięgnęła już rąbka jej spódnicy, zmroziła kostki i łydki, następnie dobrała się do ud. Była koszmarnie zimna!

Następne godziny zupełnie zamazały się w pamięci Mollie. Woda była zbyt lodowata, aby stać w niej choćby przez chwilę. Zanurzona do pasa, ze szczękającymi zębami, obserwowała, jak jej miasto płonie. Potężna ściana wściekłego czerwonego ognia wyrosła na nocnym niebie. Jutro o tej samej porze najładniejsze nabrzeże w Ameryce będzie już tylko dymiącymi zgliszczami. Kiedy zimno stało się nie do wytrzymania,

wygramoliła się z powrotem na piasek. Mokre ubranie uchroniło ją na chwilę przed wszechobecnym popiołem.

W miarę upływu godzin ogień kontynuował swój pochód na północ. Będąc u kresu sił, Mollie ostatecznie wyszła z jeziora. Brudna, posiniaczona, wyczerpana. Położywszy się na dywanie z popiołu, zasnęła.

VI

Ktoś szarpał ją za ramię.

– Mollie, deszcz pada!

Miała tyle piasku pod powiekami, że z trudem otworzyła oczy. Co się właściwie stało? Każdy mięsień był z bólu, gdy obracała się na plecy.

– Frank?

Przyjaciel wyglądał okropnie: umorusana błotem twarz, podkrążone oczy. Ale rozciągał usta w uśmiechu.

– Mollie, pada! – powtórzył.

Spojrzała w górę. Rzeczywiście, czuła na skórze zimną wodę. Zamrugła, nie umiając rozstrzygnąć, czy jej oczy wypełniają krople deszczu czy łzy. Może zresztą i jedno, i drugie. Ludzie nad jeziorem budzili się z letargu. Zack pojawił się nie wiadomo skąd i stanął nad nią.

– Niedługo to wszystko się skończy – zapewnił cicho.

Mollie skinęła głową. Powinna czuć ulgę z powodu deszczu, jednak ulewa pojawiła się za późno. Dziewczyna straciła absolutnie wszystko i nie miała gdzie się podziać.

Frank, zupełnie jakby czytał w jej myślach, usiadł przy niej i objął ją ramieniem.

– Zapamiętamy tę chwilę do końca życia – odezwał się sentencjonalnie. – Która godzina?

Mollie sięgnęła do przemoczonej kieszeni spódnicy po zegarek ojca. Jak zawsze, dotknęła najpierw palcem wgłębienia w pokrywie, zanim ją otworzyła.

Zegarek przestał chodzić. Zapomniała o nim, wkraczając do jeziora. Niestety nie przetrwał kontaktu z wodą. 9 października 1871 roku, w poniedziałek, o godzinie 20.24 wspaniały zegarek Silasa Knoxa ostatecznie zakończył swój żywot. Tym razem Mollie nie miała już wątpliwości, że jej oczy wypełniają się łzami. Ten niewielki przedmiot ocalił ojcu życie i służył mu przez trzy lata wojny, lecz nie zdołał przetrwać zanurzenia w jeziorze podczas wielkiego, straszliwego pożaru Chicago.

– Która jest godzina? – ponownie zapytał Frank.

Zamknęła pokrywę, ściskając w dłoni zimny metalowy owal i instynktownie dotykając wgłębienia.

– Nie wiem.

– Chyba minęła już północ. Jest wtorek – orzekł Zack. – Musimy znaleźć jakieś schronienie.

Mollie przyznała mu rację, ale dokąd mogliby pójść? Nad jeziorem tłoczyło się mnóstwo ludzi, bezdomnych i wydanych na pastwę deszczu. Ogień przemieścił się już dalej, na północ, więc zrobiło się zimno. Pierwszy nieuszkodzony dach mógł się znajdować wiele kilometrów od nich, ale przydałyby się chociaż cztery ściany, żeby uciec przed siekącym wiatrem.

– Trzeba wrócić do miasta – stwierdził Zack. – Niektóre budynki pewnie nadal stoją. Tutaj lada chwila utoniemy w błocie.

Poruszył ramieniem Sophie, której udawało się nadal drzemać mimo silnego deszczu. Odepchnęła jego rękę.

– Nie chcę nigdzie iść – wymamrotała.

Zack podniósł ją z ziemi.

– Mogę cię wziąć na barana albo pójdiesz na nogach. Ale nie pozwolę ci tu zostać. Co wybierasz?

Siedząc w błocie, w koszuli ubabranej popielatym brudem, Sophie posłała mu wrogie spojrzenie.

– Możesz mnie nieść – zgodziła się wspaniałomyślnie.

Zack pochylił się nad nią.

– To dla mnie zaszczyt.

Mollie wzięła Franka pod rękę i ruszyli z powrotem w stronę miasta. Ulice wyglądały na wymarłe. Im głębiej się w nie zapuszczali, tym trudniej przychodziło im znieść prawdę. Oddech Mollie stawał się ciężki od potrzeby łkania, które jednak nie nadchodziło.

– Nie płacz – poprosił Frank.

Gdyby mógł zobaczyć to, co działo się wokół nich, na pewno też zaniósłby się szlochem. Czy to rzeczywiście Chicago? Nic z niego nie zostało. Kompletnie nic. Tylko sterty gruzu i fragmenty ścian. Żaden budynek w zasięgu wzroku Mollie nie zachował się w całości. Żadne drzewo czy skrawek trawnika. Miasto, które kochała, przepadło. Kataklizm uczynił zeń dymiącą ruinę.

Zack wskazał palcem na zachód.

– Tam zniszczenia wydają się trochę mniejsze.

Mollie spróbowała przebić wzrokiem ciemność. W słabnącym świetle ognia widziała kilka ścian majaczących w oddali. Jej buty całkowicie przemokły, a każdy krok powodował nieznośny ból opuchniętych stóp. Zack nie narzekał, poruszał się jednak w sposób sugerujący podobne dolegliwości. Ta okropna dziewczynka kurczowo się go uczepiła, a musiała sporo ważyć.

Szli ku tamtym nieco lepiej wyglądającym ruinom. Mollie nie miała zbyt dobrej orientacji w terenie, sądziła jednak, że pokonali już kilka kilometrów.

– To chyba kościół przy Livingston Street – odezwała się.

Szyby świątyni wypadły z okien, ale ściany nadal mocno się trzymały. Dach runął, więc kościół nie mógł zapewnić im osłony przed deszczem, jednak coś ciągnęło ją do środka. Otwory okienne w gotyckim stylu zdołały zachować swój pierwotny kształt. Sam gmach przypominał jej ruiny starych europejskich katedr, jakie widywała na rysunkach. Kiedy znaleźli się bliżej Livingston Street, zauważyli, że przetrwało więcej budynków. Nie miały wprawdzie ani sufitów, ani szyb w oknach, lecz posiadały przynajmniej ściany, mogące ich chronić przed wiatrem.

Zamrugła, chcąc pozbyć się osiadłych na rzęsach kropel deszczu, po czym spojrzała na Zacka.

– Dalej już chyba nie zajdziemy – rzekła. – Jeśli w kościele jest w miarę bezpiecznie, powinniśmy tu zostać.

Zack skinął głową. Odgłosy z wnętrza budynku podpowiedziały Mollie, że nie ona pierwsza wpadła na pomysł schronienia się w świątyni. W środku było tak ciemno, że niemal nic nie widziała, gdy ostrożnie prowadziła za sobą Franka. Ludzie gnieździli się pod ścianami, za wszelką cenę próbując uniknąć kontaktu z deszczem. Zack jęknął z wysiłku, postawiwszy wreszcie Sophie na ziemi. Padł ze zmęczenia pod jedną ze ścian, a jego oddech nadal był ciężki. Niektórzy z obecnych głośno chrapali, a jakaś kobieta – Irlandka, sądząc po akcencie – odmawiała różaniec. Inna kobieta rozdzierająco łkała

w kącie.

Mollie odsunęła stopą zalegające na podłodze kawałki drewna.

– Możesz się tu przespać – poradziła Sophie szeptem.

Dziewczynka popatrzyła sceptycznie we wskazanym kierunku, musiała być jednak bardzo zmęczona, bo położyła się bez słowa skargi. Mollie zaczynała już przygotowywać miejsce dla Franka, gdy wtem Sophie odzyskała mowę.

– W moim domu jest zawsze czysto – wyszeptała z pretensją.

Mollie postanowiła tego nie komentować. Zajęła się dalszym oczyszczaniem podłogi z drewna i szkła. Ona również sypiała zawsze w czystych i przytulnych miejscach, lecz owe czasy należały już do przeszłości. Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby jeszcze kiedyś miała zasnąć w schludnym łóżku.

Podprowadziła Franka do uprzątniętego kawałka posadzki.

– Połóż się tutaj, usunęłam gruz – szepnęła.

– Dziękuję ci, moja mała – odparł, sadowiąc się powoli na podłodze. – Dziękuję za wszystko. Ojciec byłby z ciebie dumny.

Zadrżały jej wargi i odwróciła głowę. Nie chciała, by Frank się domyślił, że znowu płacze.

Niezależnie od zmęczenia, czuła teraz zbyt duże napięcie, aby tak po prostu zasnąć. Straciła swoją fabrykę. Jej dom przestał istnieć. Nie posiadała nic prócz przemoczonych ubrań oraz zegarka, który przestał działać.

Nic prócz aktu własności ziemi.

Mollie zaczęła po kolei wyjmować spinki z włosów, pozwalając drogocennemu dokumentowi upaść na podłogę. Papier odrobinę się zmarszczył, ale poza tym pozostał w stanie nienaruszonym. Obolała ze zmęczenia, wcisnęła go ostatkiem sił za gorset.

Życzyłyby sobie, aby tamta kobieta siedząca w rogu przestała wreszcie płakać. Czyż oni wszyscy nie byli i bez tego wystarczająco sponiewierani? W normalnych okolicznościach moment taki jak ten skłoniłby ją do modlitwy, ale teraz jakoś nie potrafiła się na nią zdobyć. Dlaczego Bóg miałby ją wszystkiego pozbawić? Mollie zamknęła oczy i obróciła się do ściany, a łzy spływały po jej policzkach. Teraz już nie różniła się niczym od zawodzącej kobiety.

Wtem jej uwagę przykuł jakiś odgłos na zewnątrz. Czyżby ktoś tam krzyczał? Głos dochodził z oddali, z pewnością należał do człowieka wrzeszczącego w ciemności.

Jeżeli na horyzoncie pojawiło się nowe nieszczęście, Mollie nie chciała o nim wiedzieć. Ale... czy ten mężczyzna się przypadkiem nie śmiał?

Z trudem stanęła na nogi i podeszła do okna. Uwiesiła się na gzymsie i nadstawiła uszu.

– Nie rozpaczajcie! – krzyczał ów tajemniczy głos. – Jutro słońce znowu wstanie i ozłoci to miasto! – Wiatr niósł poszczególne słowa poprzez noc, Mollie zaś słyszała zaledwie skrawki tej żarliwej przemowy. Deszcz chlustał ją po twarzy, kiedy wychyliła się przez okno, pragnąc usłyszeć więcej. – Podniesiemy się z ruin! Zaczniemy nowe życie!

Mollie głęboko zaczerpnęła powietrza. Jak to możliwe, że ktoś wykrzesał z siebie tyle energii w takiej chwili? Nieznajomy widocznie się zbliżał, bo słyszała go coraz wyraźniej. Zack stanął tuż za nią, poczuła na ramionach jego dłonie. Frank również się zbliżył.

– Nic mi nie pozostało! – wołał ten dziwny mężczyzna przy wtórze wiatru. – Utraciłem cały dobytek, ale moja żona i moje dwie ręce to źródło nieustającej nadziei. Bóg daje tę nadzieję każdemu z nas, bracia! Dzisiaj śpimy, jutro zaczynamy odbudowę. To jest Chicago! Słyszycie mnie, bracia? To jest Chicago!

– Amen! – odpowiedziała kobieta wlokąca się przez ulicę.

– Dla ciebie też amen, siostrze! – krzyknął mężczyzna, nadal krocząc naprzód i zbliżając się do kościoła. – Jesteśmy ludźmi o szerokich barach i silnych plecach. Nadal żyjemy, a Bóg jest dobry. Zapamiętajcie moje słowa: za rok to miasto stanie się większe i potężniejsze niż kiedykolwiek. Nie rozpaczajcie!

Mollie odchyliła głowę pod dość niebezpiecznym kątem, ze wszystkich sił starając się zobaczyć twarz mężczyzny, gdy ten przechodził obok budynku świątyni. Światło rzucane przez ogień zbladło już niemal całkowicie, więc nieznajomy okazał się jedynie ulotnym cieniem, niczym herold z dawnych czasów. Przyniósł im smuzkę światła w godzinie niezgłębionego mroku. Wszyscy w kościele wstali ze swoich miejsc, by słuchać.

– Bóg ofiarował naszym duszom skrzydła! – kontynuował herold. – Dzięki nim wzbijemy się ku światłu dnia. Chmury się rozstąpią. Chmury się rozstąpią, bracie mój, i wyrzy spoza nich radosne słońce.

Mężczyzna szedł dalej, ofiarując słowa pocieszenia tysiącom ludzi tłoczących się w zrujnowanych budynkach pod szmatami udającymi koce. Mollie uczepliła się kamiennej ścianie, prosząc w duchu, aby herold powrócił.

– Mów dalej, bracie! – poprosił ktoś z czeluści.

Tajemniczy pocieszyciel kontynuował swoje kazanie na tle zdewastowanego krajobrazu:

– Nasze miasto wstanie z kolan! Na przekór tej tragedii zbudujemy tu coś wspaniałego! Nie rozpaczaj, Chicago! Nie rozpaczaj!

Kobieta wciśnięta w narożnik kościoła przestała chlipać. Zack pochylił się nad Mollie i przemówił do niej szeptem:

– Wszystko, co powiedział ten człowiek, jest prawdą. Jutro zaczniemy odbudowę. Na nowo zabrzmie muzyka. Będziemy tańczyć. Obiecuję.

Przylgnęła do niego, usiłując wchłonąć w siebie część jego siły i dziękując Bogu, że wysłał na ulicę tego tajemniczego pocieszyciela. Zrozumiała, iż popełnia błąd, oddając się rozpaczom – i nagle poczuła w sobie nową energię. Zapragnęła coś powiedzieć, lecz jej gardło okazało się zbyt ściśnięte ze wzruszenia. Nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać. Co do jednej rzeczy miała natomiast niezmaconą pewność.

Ten pożar nie oznaczał dla niej końca świata.

VII

Zack obawiał się wyrwać Mollie ze snu. W świetle dnia chaos panujący w kościele stał się aż nazbyt widoczny. Katakлизmu nie przetrwały ani ławki dla wiernych, ani okna. Na podłodze zalegały sterty gruzu z zawalonego sufitu. Uciekinierzy spali oparci o ściany, zanadto wycieńczeni, aby martwić się brudem oblepiającym ich twarze. Wszyscy oni stracili swój dobytek. Mollie nie posiadała już nawet tych kilku drobiazgów, które poprzedniego dnia wrzuciła w biegu do poszewki. Pozostało jej to, co miała na sobie, oraz na wpół spalony szal służący jej teraz za poduszkę. Zack miał nadzieję, że sny dziewczyny są spokojne, bo za chwilę obudzi się w samym sercu katastrofy.

Czy by zdołał ją przekonać, aby zamieszkała u niego? Ludzie mówili, że dzielnice zachodnie pozostały nietknięte przez ogień, więc jego dom także powinien ocaleć. Pragnął zapewnić Mollie bezpieczeństwo. Nigdy nie spodziewałby się, że jakakolwiek kobieta potrafi wykazać się taką odwagą, jak ona w ciągu tych ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Potwierdziło to jedynie wcześniejszą opinię Zacka na jej temat. Mollie była kimś, o kogo warto zabiegać, on zaś pragnął dzielić z nią dalsze życie.

Z każdym krokiem czuł pod stopami chrzęst gruzu i popiołu. Podeszedł do śpiącej dziewczyny i ukląkł przy niej. Delikatnie nią potrząsnął.

– Mollie, pobudka – szepnął. Obawiał się, że zaraz zobaczy, jak jej spokojną twarz zasnuwają chmury troski, lecz kompletnie go zaskoczyła. Oparła głowę na łokciu, skrzywiła się na ból mięśni i obrzuciła kościół badawczym spojrzeniem.

– Co za bałagan – powiedziała. – Mnóstwo „miejskich odpadów”.

Spłynęła na niego prawdziwa ulga. Nie mogło być z nią bardzo źle, skoro potrafiła się zdobyć na szczyptę humoru.

– Muszę się dostać do domu, żeby sprawdzić, co z rodzicami – rzekł. – Prawdopodobnie z nerwów zaczęli już rwać włosy z głowy.

– Rozumiem. – Z wysiłkiem usiadła i jęknęła.

Frank również właśnie się obudził i podejmował dość rozpaczliwe próby powstania z podłogi.

– Spokojnie, Frank – ostrzegła go Mollie. – Panuje tu straszny nieład, więc nie próbuj chodzić, dopóki trochę nie uprzątnę przestrzeni wokół ciebie.

Inni uciekinierzy także zaczęli się kręcić po budynku i pozostawało tylko kwestią

kilku chwil, aż obudzi się Księżniczka Sophie, by zacząć wydawać rozkazy. Zack natomiast chciał porozmawiać z Mollie na osobności.

– Wyjdźmy stąd na moment – poprosił, pomagając jej wstać. – Musimy uzgodnić kilka rzeczy, zanim się rozstaniemy.

Spacer po mieście okazał się nie lada wyzwaniem: każdy krok wzbijał w powietrze zapach spalenizny, a w niektórych miejscach gruz całkowicie zatarasował drogę. Nierówne podłoże groziło potknięciem i upadkiem, w końcu jednak dotarli jakoś do głównej ulicy. „Czy to naprawdę Chicago?” W świetle dnia wszystko wyglądało jeszcze gorzej niż w nocy. Z budynków pozostały jedynie pojedyncze ściany, a wszechobecny gruz pokrywały warstwy pyłu i sadzy, topiąc świat w przygnębiających odcieniach szarości. Nawet niebo przybrało barwę cmentarnego granitu.

– Słuchaj, Mollie, muszę się dostać do domu i przekazać rodzicom, że żyję i nic mi nie dolega. Potem do ciebie wrócę. Jeśli nasz dom nadal stoi, możecie wraz z Frankiem zostać tam tak długo, jak zechcecie.

– Dlaczego miałbyś to dla nas robić? – Wyglądała na zaszokowaną, co go mocno zdziwiło.

Ponieważ ją kochał. Ponieważ przeżyli właśnie niewyobrażalny, dwudniowy koszmar, a więzi, jaka się między nimi wytworzyła, nie można było tak po prostu zanegować. Jeśli Louisowi Hartmanowi się to nie spodoba, Zack zamierzał odejść z firmy. Pożar uświadomił mu, co w życiu posiada prawdziwą wartość.

– Spójrz wokół siebie – powiedział. – Połowa mieszkańców Chicago została bezdomna i ty także musisz się gdzieś zatrzymać.

Postąpiła kilka kroków w tył, szczelniej owijając się swoim zielonym szalem.

– Tamta noc... – zaczęła z wahaniem.

– Tak – potwierdził miękko. Tamtej nocy zdołał przekrzyczeć wiatr i wyznać jej swoje uczucia. Powinien popaść w zakłopotanie, lecz nic takiego nie nastąpiło. W owych strasznych sekundach po wybuchu fabryki terpentyny Mollie przywarła do niego całym ciałem, sądząc, że oboje zaraz umrą. Zdołali już wznieść fundamenty dla wspólnej przyszłości. Łagodny powiew wiatru ze wschodu rozwiewał dziewczynie włosy, a on musiał się siłą powstrzymać, aby nie odgarnąć ich z jej twarzy.

– Tamtej nocy przyszedłem do ciebie z aktem własności ziemi przy Columbus Street.

Jego rysy stężały.

– Tylko nie to.

– Tak, właśnie to.

Owładnęło nim zniecierpliwienie. Przejechał wierzchem dłoni po swojej zmierzwionej czuprynie i zapatrzył się w dal.

– Nie chcę o tym mówić. Oboje mamy ważniejsze powody do zmartwień.

– Wiem, co widziałam – nalegała. – Odczytałam cały dokument Frankowi, słowo po słowie, i on twierdzi, że to prawomocny akt własności. Powiedział też, że odpowiednio przeprowadzona procedura nakazywałaby złożenie aktu w sądzie w chwili zawierania umowy. Na pewno nie powinien on leżeć w kufrze przy łóżku mojego ojca.

Zack milczał przez chwilę, szukając właściwych słów. Musiał to odpowiednio rozegrać.

– Mollie, oboje widzieliśmy, że sąd spłonął od fundamentów aż po dach, i nie istnieją już żadne rejestry, które mogłyby ustalić, co do kogo należy. Twojego domu też już nie ma. Nie zdołamy dociec, co powinnaś otrzymać, bo cała miejska dokumentacja poszła z dymem.

– Wciąż mam ten papier.

Wytrzeszczył oczy i umilkł.

– Co?

– Wciąż mam akt własności. Schowałam go we włosach, zanim weszliśmy wieczorem do jeziora. Ciągłe tu jest.

To zmieniało postać rzeczy. Przybrał kamienny wyraz twarzy, dbając o to, by nie zadrzał w niej żaden mięsień.

– Mogę zobaczyć?

Mollie odsunęła się od niego i sięgnęła ręką za gorset. Po wyjęciu dokumentu przyjrzała mu się z bliska: poranne słońce oświetlało ozdobny atrament i pieczęcie. Podpis ojca figurował u dołu.

Zack wyciągnął rękę po papier.

– Nie! – wrzasnęła, odskakując na kilka kroków i przyciskając dokument do piersi.

Odebrał to jako policzek.

– Jak myślisz, co zamierzam z nim zrobić – podrzeć i wrzucić do jeziora? – spytał ze wzburzeniem. Stała niezdecydowana, więc postąpił naprzód. – Naprawdę tak myślisz?

– Ciii – szepnęła od niechcienia. – Ludzie śpią.

Podszedł jeszcze bliżej, ich twarze dzieliły dosłownie milimetry.

– A ja umieram, ponieważ kobieta, którą latami uwielbiałem, właśnie kopnęła mnie w twarz. Znowu.

Mollie zbladła.

– Dlaczego mówisz do mnie w taki sposób? Przecież my się prawie nie znamy!

Zrobił taką minę, jakby zaraz miał zacząć ziać ogniem.

– Mollie, przecież nie mogłem się interesować kobietą handlującą z Hartmanem – wyjaśnił. – Kosztowałoby mnie to utratę pracy. Ale po pożarze zrozumiałem, że nie obchodzą mnie już żadne zasady. Jesteś kobietą, z którą chciałbym dzielić życie. Jeśli jednak nie przestaniesz mnie oskarżać o próby oszukania cię, przysięgam na Boga, że wybuchnę.

Patrzyła nieufnie przed siebie, on zaś zrozumiał, że temu świstkowi w jej dłoni udało się wbić klin między nich. Taki stan rzeczy mógł się utrzymać na zawsze – chyba że uda mu się jakoś usunąć tę przeszkodę.

Położył ręce na jej ramionach.

– Mollie, masz tylko kawałek papieru. W najbliższych latach system sądowniczy w Chicago będzie tkwił w takim chaosie, jakiego ten kraj jeszcze nie widział. Miejskie archiwa spłonęły, więc nie da się już rozstrzygnąć prawomocności tego dokumentu.

– Ale nie da się jej także wykluczyć.

– Dokładnie. – Powoli odwrócił ją ku sobie i pogłaskał po twarzy. Próbował skłonić dziewczynę do spojrzenia mu w oczy, jednak unikała jego wzroku. – Mollie, marzyłem o tobie przez całe lata. Przeprowadziłem gruntowne śledztwo w kwestii Mollie Knox i jej zegarkowego biznesu. Ty natomiast nie wiesz o mnie nic. To chyba faktycznie nie w porządku, że oczekuję od ciebie zaufania, skoro dotąd byłem jedynie facetem

przedłużającym z tobą co pół roku umowę na kolejne dostawy. Zamieszkać ze mną. Weź ze sobą Franka. Na Boga, możesz nawet zabrać Sophie, tylko zgódź się. Nie zniosę myśli, że zostaniesz w tym zrujnowanym kościele. Niezależnie od wszystkiego, zamierzam zdobyć twoje zaufanie. Spróbuj też dobrze zabezpieczyć własne serce, bo planuję przypuścić na nie frontalny atak i zwabić cię do mojego świata. Lojalnie uprzedzam.

Mollie bez przerwy zerkała mu przez ramię i Zack zdał sobie sprawę, że nie dotarło do niej absolutnie nic z tej błyskotliwej przemowy.

– Ciekawe, co robi ten chłopak – powiedziała.

Kilkaset metrów dalej jakiś młody człowiek szedł ulicą z plikiem papierów w rękach, zaczepiając osoby gmerające w stertach gruzu i przekazując im pojedyncze kartki. Czyżby gazeciarz? Mollie ruszyła w tamtym kierunku, a Zack mógł jedynie pójść w jej ślady.

Gazeciarz dojrzał Mollie i spotkali się w pół drogi.

– Najświeższe doniesienia, za darmo – powiedział, przekazując jej jednostronicową broszurkę z wytłuszczonym tytułem *Chicago Tribune*.

Mollie spojrzała na chłopca w osłupieniu.

– Na własne oczy widziałam, że wasza redakcja spłonęła. Jak to możliwe, że następnego dnia wznowiliście działalność?

Chłopiec rozpromienił się na to pytanie.

– Znaleźliśmy na Canal Street budynek z prasą drukarską w nienaruszonym stanie. Minie dłuższa chwila, zanim zdołamy wypuścić cały numer, ale pojedyncze strony są jak najbardziej w naszym zasięgu. Jeśli chciałaby pani donieść światu o czymś ważnym, zapraszam na Canal Street, numer piętnaście.

– Nie wiesz przypadkiem, czy ogień przedostał się na zachodni brzeg rzeki? – zapytał Zack, wstrzymując oddech.

– Nie, na pewno nie – uspokoił go młodzieniec. – Nasi ludzie krążą teraz po mieście i starają się ocenić skalę zniszczeń. W jutrzejszym numerze spróbujemy napisać coś konkretnego na ten temat. – Nagle dobry nastrój chłopca prysnął. – Ogień zajął stadion baseballowy. Koniec kibicowania White Stockings na jakiś czas.

Zack drgnął. Utrata stadionu jeszcze bardziej pogłębiła ranę pozostawioną przez kataklizm. Drużyna White Stockings naprawdę dużo znaczyła dla tego miasta.

Poprzedniej nocy, nie mogąc zasnąć, bawił się pomysłem zorganizowania darmowego turnieju baseballowego dla mieszkańców Chicago – po tak trudnych doświadczeniach należała im się ostatecznie jakaś rozrywka. Ale bez stadionu projekt nie miał szans.

Chłopak poszedł dalej, a Mollie przyjrzała się dokładnie samej gazecie.

– Spójrz tutaj – powiedziała z podnieceniem. – Ktoś ułożył listę osób zaginionych. Ciekawe, czy znajduje się na niej nazwisko Sophie.

Zack rzucił okiem we wskazane miejsce. Właściwie sporządzono dwie listy: jedna dotyczyła osób zaginionych, na drugiej zaś figurowały dzieci opuszczone przez rodziców – wraz z adnotacją, gdzie można je odebrać. Żadna z dwóch kolumn nie uwzględniała Sophie, ale w ciągu następnych dni do listy zostaną bez wątpienia dodane setki – jeśli nie tysiące – nowych nazwisk.

– Trzeba poprosić o wciągnięcie Sophie na te spisy – rzekła Mollie. – Ale Canal Street jest strasznie daleko, a ja muszę przede wszystkim znaleźć wodę i coś do jedzenia.

– Mollie, chodźmy na razie do domu – nalegał Zack. – Ogień nie dosięgnął zachodnich dzielnic, co oznacza, że moja rodzina ma pod dostatkiem wody i jedzenia. Chodź ze mną.

Ona jednak nadal wpatrywała się w zadrukowany papier w takim skupieniu, jakby dostała do ręki egzemplarz Pisma Świętego.

– Popatrz jeszcze na to! – zawołała. – Piszą tutaj, że Fabryka Mebli Judsona doszczętnie spłonęła, ale otwierają się na nowo w kamienicy na Wentworth Avenue. Kandydaci do pracy mogą się u nich stawić w najbliższą środę, o dziewiątej.

Przycisnęła gazetę do piersi i zapatrzyła się w dal. Poranne promienie słońca migotały na jej twarzy.

– Tylko pomyśl! – powiedziała drżącym głosem. – Skoro pociąg z moim sprzętem zdążył na czas opuścić miasto, powinnam natychmiast wrócić do zawodowej aktywności. Jutro rano rodzina Judsonów znowu zacznie produkować meble. Jutro rano! Potrafisz w to uwierzyć?

Zack nie umiał rozstrzygnąć, czy powinien uważać ją za najodważniejszą, czy najgłupszą osobę w Chicago. W obliczu pożaru popyt na meble będzie ogromny, ale kto pokusi się o niebotycznie drogie zegarki wysadzane diamentami? Okrucieństwem byłoby jednak powiedzenie czegokolwiek, co przygasiłoby iskierkę entuzjazmu tłącą się w jej oczach. Uśmiech Mollie nadawał dość niezwykłego uroku tej zmęczonej, ubrudzonej sadzą twarzy. Przed kilkoma godzinami spotkała ją zapewne największa tragedia w życiu,

ona zaś – zamiast rozpaczać – rozważała już w swoim praktycznym umyśle wszelkie dostępne rozwiązania palących problemów.

Mollie była wspaniała. Mogła dosłownie kroczyć przez ogień, a następnego dnia wyłaniała się z niego jakby nigdy nic, o wiele silniejsza niż wcześniej. Mężczyzna ujął jej twarz w dłonie i skierował ku sobie. Była brudna, miała zapuchnięte od piasku oczy – Zack zdawał sobie sprawę, że sam wygląda podobnie – a jednak stanowiła dla niego ogromną wartość. Pragnął, by to wiedziała.

– Mollie, wróć do ciebie. Nie oddalaj się od kościoła. Muszę mieć pewność, że cię tu później zastanę.

Opuściła wzrok, nie uchylając się jednak od jego rąk.

– Torby z papierami twoich rodziców... – zaczęła. – Nie przejmuj się. Dopilnuję, żeby wróciły do miasta.

– Nie to miałem na myśli i doskonale o tym wiesz – zirytował się. – Wróć do ciebie, bo naprawdę wierzę w to, co powiedziałem wczorajszej nocy. O moich... niewygodnych uczuciach. One bynajmniej nie wyparowały.

Taka poufałość w biały dzień, na środku ulicy, miała w sobie coś szokującego, lecz nie obowiązywały już żadne reguły. Schylił głowę i pocałował ją. Nie odepchnęła go, więc ucałował jeszcze jej policzki i czoło.

– Smakujesz, kobieto, jak sadza.

Roześmiała się, a on w przypływie tkliwości przytulił ją do siebie. Ku własnemu zdziwieniu poczuł, jak kobieta odwzajemnia uścisk.

Przeszło jej przez myśl, że w tym momencie idealnie do siebie pasują. Oboje pozostali przy życiu i wkrótce znowu podejmą jakąś pracę. Z siedziby firmy Hartmana pozostały tylko zgliszcza, więc Zack prawdopodobnie straci zatrudnienie, ale wciąż posiadał szare komórki i silne plecy. W najgorszym wypadku mógł się nająć do robót publicznych, których teraz w Chicago z pewnością nie zabraknie.

– Wszystko będzie dobrze, Mollie – szepnął jej do ucha.

Owinęła mu ręce wokół szyi, on zaś pomyślał, że ta chwila powinna trwać wiecznie.

– Wróć do ciebie.

Skinęła głową na zgodę. Przeszli właśnie przez najgorsze doświadczenie w życiu, a mimo to serce Zacka tryskało radością.

VIII

Kilka następných dni zapisało się w pamięci Mollie jako przedziwne połączenie wyczerpania i euforii.

Tuż po rozstaniu z Zackiem w drodze powrotnej do kościoła spotkała Sandrę Rutter, kobietę, która poprzedniego wieczoru płakała w ciemnościach. Sandra, z widocznym wysiłkiem brnąca pośród ruin, ochraniała ręką wystający brzuch i wciąż wyglądała na przerażoną.

– Poród opóźnia się już o tydzień – oświadczyła, zanim Mollie zdążyła o cokolwiek zapytać. – To moje pierwsze dziecko, więc byłabym podenerwowana nawet bez tego pożaru.

Sandra przynajmniej miała dokąd pójść. Jej mąż zamierzał ją zabrać do Lexington, do rodziny. Na razie musiał jednak sprawdzić, czy jakakolwiek droga będzie przejezdna.

Władze zaopatrzyły mieszkańców w podstawowy sprzęt do usuwania gruzu. Mollie odgarniała łopatą odłamki szkła oraz zwęglone resztki kościelnych ławek. Pracowała, aż na jej rękach pojawiły się piekące bąble. Oczyszczanie kościoła stanowiło reakcję instynktowną. Wszystko wskazywało na to, że czeka ją długi okres bezdomności, zaś ten budynek nadawał się na schronienie tak samo dobrze jak każdy inny. Kiedy Mollie poczuła się już zbyt zmęczona pracą, usiadła obok Franka i przeczytała mu cały skromny numer gazety. Sophie pochylała się nad nią, zawiedziona, że jej nazwisko nie figurowało na liście zaginionych dzieci.

– Może twoi rodzice po prostu nie wiedzieli, że taka lista powstała – pocieszyła ją Mollie. – Codziennie będziemy ją sprawdzać.

Jeden z ich towarzyszy niedoli, Andrew Buchanan, z zawodu był dentystą i miał najbardziej sumiaste wąsy, jakie Mollie kiedykolwiek widziała. Znalazł gdzieś miotłę i starannie wysprzątał nawę, a następnie rozłożył się tam ze stomatologicznym sprzętem. Przed kościołem umieścił tabliczkę informującą o świadczonych przez siebie usługach.

– Nawet po pożarze ludzie nadal muszą gdzieś leczyć zęby – powiedział.

Kiedy jednak spostrzegł, że żaden pacjent nie kwapi się do jego spartańskiego gabinetu, z chęcią dołączył do zespołu zbierającego gruz. Sterty kamieni wynoszono na ulicę i układano w zgrabnych stosach. Wraz z nastaniem popołudnia piętnaście osób zdołało już z grubsza uprzątnąć najgorszą część gruzu. Następnie podzielili kościół między siebie – doktor Buchanan zajął się wschodnim skrzydłem, zaś Sandra Rutter poprosiła o miejsce w pobliżu Mollie i Franka.

– To tylko tymczasowo, zanim mój mąż wróci z biletami do Lexington – oświadczyła, ostrożnie siadając na ziemi.

Ralph Coulter był sprzedawcą drewna. Poprzedniego dnia z ulgą obserwował, jak statek wyładowany jego towarami odbija bezpiecznie od portu, uniknąwszy kontaktu z ogniem. Niestety, nie zdołał uratować zapasów zebranych w magazynie. Teraz poprosił o stanowisko w przedniej części świątyni.

– Wystawię tabliczkę reklamową i zacznę zbierać zamówienia. Ludzie będą potrzebowali drewna – stwierdził.

Podczas pracy Mollie doświadczyła przedziwnego uczucia radości. Jeszcze nigdy nie nawiązywała nowych przyjaźni tak szybko, jak teraz, przy odgruzowywaniu kościoła. Bolały ją plecy, pęcherze na stopach nieustannie dawały o sobie znać, a skurcze żołądka wywołane głodem ignorowała z coraz większym wysiłkiem. Wszyscy obecni postanowili jednak jak najszybciej doprowadzić budynek do porządku i wykonywali swoje zadania w dobrym humorze. Chociaż nazajutrz zaczną pewnie rozpamiętywać osobiste straty, to na razie pozwalali sobie na beztronski śmiech podczas przekształcania kościoła bez dachu w tymczasowe lokum.

Późnym popołudniem na ulicy zatrzymał się wóz wyładowany chlebem i jabłkami. Mollie odłożyła łopatę i skinęła na Sophie.

– Chodź, wreszcie będziemy mogły coś zjeść. Pomożesz mi przynieść rzeczy.

– Idź sama – odparła Sophie. – Ja nie mam siły. – Dziewczynka siedziała na stercie kamieni oparta o ścianę.

– W takim razie będziesz też na pewno zbyt zmęczona, żeby zjeść to, co przyniosę – powiedziała Mollie z irytacją. Nie miała żadnego doświadczenia w postępowaniu z dziećmi, ale ta dziewczynka z pewnością przekroczyła już wszelkie granice impertynencji.

Dentysta okazał się znacznie bardziej zrównoważony. Kręcił węża z szerokim uśmiechem.

– Proszę się nie martwić, panienko Sophie – odezwał się przyjaźnie. – Ta porcja, której panienka nie zje, na pewno się nie zmarnuje: przekażemy ją dzidziusiowi pani Rutter.

Na twarzy Sophie odmalował się komiczny przestach.

– To dziecko jeszcze nie potrafi jeść! Nadal jest w brzuchu pani Rutter i nie zasługuje na to, żeby jeść cokolwiek. – Jej przemowa odbijała się echem od ścian budynku, skłaniając wszystkich obecnych do rzucenia okiem w jej kierunku.

Mollie zrobiła krok naprzód.

– Wszyscy oprócz ciebie pracowali w tym kościele godzinami – rzekła. – Nawet Frank pomagał, choć jest niewidomy. Mężczyźni przenieśli kilogramy gruzu, podczas gdy ty beztrudnie zaplatałaś sobie warkocz. Przynajmniej teraz się rusz i pomóż mi przynieść jedzenie.

Sophie wyduła wargi i z ociąganiem ruszyła za Mollie. Wokół wozu zebrał się już dość długi ogonek oczekujących, ale ludzie zachowywali spokój, bez przepychanek czekając na swoją kolej.

Wysoka, rudowłosa kobieta wydawała jedzenie na tyłach pojazdu. Oprócz papierowych toreb serwowała zmęczonym i umorusanym uciekinierom także swój serdeczny uśmiech.

– Jesteś całkiem czysta, na pewno nie widziałaś ognia – powiedziała do niej Sophie.

Rozmówczyni zachichotała.

– Bystra dziewczyna. Pochodzę z Milwaukee. – Mollie uniosła brwi ze zdumieniem, lecz kobieta jeszcze nie skończyła. – Przyjechałam z mężem strażakiem. W nocy z niedzieli na poniedziałek burmistrz Chicago rozesłał do wszystkich okolicznych miast telegramy z prośbą o pomoc. Załadowaliśmy więc pompy do pociągu i przyjechaliśmy. Pożar nadal szalał, a my nie mogliśmy nic zrobić z powodu braku wody. Teraz przynajmniej pomagamy w rozprowadzaniu jedzenia.

Mollie czuła narastającą gulę w gardle, kiedy przyjmowała torbę z owocami.

– Dziękuję, że zdecydowaliście się przyjechać z tak daleka. To dużo dla nas znaczy.

– Pojawiły się też jednostki z Indianapolis i Saint Louis – doprecyzowała ochotniczka. – Pomoc nadchodzi od ludzi z całego kraju, zatem proszę się nie martwić. To miasto błyskawicznie stanie na nogi.

Kiedy Mollie wróciła do kościoła, usiadła razem z Sophie i Frankiem na frontowych schodach, żeby zjeść jabłka i część chleba. Z tej perspektywy spoglądała z zaciekawieniem na ludzi przemykających chodnikami. Spora część cegieł i granitowych bloków została już ułożona w ogromne stosy, aby oczyścić teren. Mówiono, że miasto przyśle niedługo specjalne wozy do załadunku gruzu, który zostanie później wysypany do

jeziora Michigan.

– Niezła myśl – powiedział Frank. – Żałuję tylko, że nie mogę pomóc.

Mollie westchnęła. Dla kogoś tak dumnego jak Frank wczorajsze prowadzenie za rączkę musiało być trudnym doświadczeniem. Nawet teraz stary prawnik mógł jedynie schodzić innym mężczyznom z drogi i nie przeszkadzać w usuwaniu śladów zniszczeń. Niezależnie od siły jego umysłu, okazywał się zupełnie bezużyteczny w momencie, gdy liczyła się jedynie sprawność mięśni i gotowość do fizycznego wysiłku.

– Niedługo pojawi się sporo pracy dla prawników – powiedziała Mollie, starając się go pocieszyć. – Wszyscy będą musieli wypełniać wnioski o odszkodowania. Ciekawe tylko, jak udowodnią, że byli ubezpieczeni. I jak udokumentują własne straty.

Frank nieco się wyprostował. Nawet jeśli jego szare oczy pozostawały nieruchome, Mollie dostrzegła w nich błysk emocji, kiedy przyjaciel analizował przedstawiony problem.

– Słuszna uwaga, moja mała. Podejrzewam, że przynajmniej kilka towarzystw ubezpieczeniowych pójdzie przez to z torbami. A wytoczenie zbiorowego procesu bankrutowi to sprawa, która wymaga konsultacji z doświadczonym adwokatem.

Mollie zaschło w gardle. Jej fabryka, wraz z całym sprzętem, była ubezpieczona w Firmie Ubezpieczeniowej Old Chicago, podobnie jak setki innych lokalnych przedsiębiorstw. Jeżeli wszyscy wysuną swoje roszczenia w tym samym momencie, firma natychmiast upadnie. Dziewczyna starała się powstrzymać panikę w głosie:

– Domyślam się, że wkrótce prawnicy będą mieli dużo pracy.

– Słyszałem, że ten dentysta wywiesił pod kościołem reklamę swoich usług. Pewnie powinienem zrobić to samo.

– Mogę się dowiedzieć, skąd wytrzasnął farbę, i stworzyć ci podobną tabliczkę.

Uśmiech całkowicie odmienił twarz Franka.

– Darmowe porady prawne – rzekł. – Z naciskiem na „darmowe”. Nie czułbym się dobrze ze świadomością, że wyciągam od ludzi pieniądze w sytuacji, kiedy sam żyję tymczasowo na koszt osób trzecich. – Odgryzł spory kawałek jabłka, ale miał problem z przeżuciem go, ponieważ wciąż szeroko się uśmiechał. W ciągu minuty perspektywa oddania się jakiemuś sensownemu zajęciu zmieniła Franka ze zgorzkniałego inwalidy w człowieka z misją.

Nagle usłyszeli jakieś zamieszanie za plecami i z kościoła wynurzył się Andrew Buchanan. Nawet pod warstwą sadzy dawało się dostrzec, jak bardzo jest blady.

– Mollie, chodź szybko! Pani Rutter odeszły wody!

Dentysta wyglądał na przerażonego. Mollie pojęła nagle, że jest jedyną – oprócz ciężarnej Sandry – dorosłą kobietą nocującą w tym kościele, a to wprawiło ją w osłupienie. Przełknęła ślinę i podniosła się z miejsca.

– Sophie, pomóż Frankowi wrócić do środka – poleciła dziewczynce, ruszając za doktorem Buchananem.

Do wnętrza budynku wpadało coraz mniej dziennego światła. Sandra Rutter siedziała na stopniach prezbiterium, blada ze strachu.

Mollie podbiegła do niej i objęła ją ramieniem. Poczowała, że dziewczyna drży niczym mysz schwytana w pułapkę.

– To prawda? – spytała Mollie szeptem. – Odeszły ci wody?

Sandra była tak sparaliżowana, że ledwo zdołała skinąć głową. Jej mąż nie wrócił jeszcze z wyprawy po bilety na pociąg. Poza tym, w obecnych okolicznościach, pani Rutter nie zniósłaby już jakiegokolwiek podróży. Dziecko musiało się urodzić w tym spalonym kościele, nie było innego wyjścia. Dentysta stał nieco z boku, Mollie zaś rzuciła okiem na jego sprzęt, ułożony starannie na czystym białym ręczniku.

– Ma pan zapewne największą wiedzę medyczną spośród nas wszystkich – powiedziała.

– Nigdy nie odbierałem porodu! A jeszcze osiemnaście miesięcy temu zarabiałem na życie, szyjąc poduszki!

– Gdzie zdobył pan uprawnienia dentystyczne?

– Na Uniwersytecie Ohio – powiedział nieśmiało.

Mollie podeszła do przyborów stomatologicznych, za pomocą których Buchanan chciał leczyć zęby nieistniejących pacjentów. Podniosła ręcznik i kostkę mydła, następnie zaś podała obie te rzeczy medykowi.

– Pańscy profesorowie zapewne będą z pana dumni – oświadczyła twardo.

Ludzie koczujący w pobliżu błyskawicznie dowiedzieli się o stanie pani Rutter. Zaczęli przynosić wodę i czyste ręczniki, ktoś zdobył nawet lampę naftową. Mollie modliła się w duchu o przybycie lekarza, lecz okazało się, że Andrew Buchanan – dentysta i producent poduszek – to najlepszy kandydat, na jakiego w tym momencie mogli sobie pozwolić.

Pani Rutter nie kryła przerażenia.

– Nie wierzę, że to się naprawdę dzieje – szlochała. – Umrę w tym brudzie razem z moim dzieckiem.

Żadne słowa nie stanowiły dla kobiety wystarczającego źródła pociechy, a ten rodzaj strachu mógł się okazać groźny. Pani Rutter ulegała z jednej strony dojmującej rozpacz, z drugiej zaś – rozdzierającemu bólowi.

Jej mąż pojawił się wraz z zachodem słońca, dumnie niosąc w dłoni dwa bilety do Lexington.

– Wyjeżdżamy jutro rano! – krzyknął, wchodząc do kościoła.

Sandra, z twarzą mokrą od potu pomimo chłodu jesiennego wieczoru, popatrzyła na niego z niewymownym strachem w oczach.

– Za późno, kochanie – zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim załapała się łzami.

Pan Rutter zbladł.

– Rozumiem – wyszeptał.

Ukląkł przy żonie, biorąc chustę z rąk Mollie.

– Uda nam się – wymruczał miękko. – Nie mam pojęcia, dlaczego spadły na nas te wszystkie nieszczęścia, ale Bóg nas nie opuścił i będzie nad nami czuwał, zwłaszcza teraz.

Gdy ocierał jej twarz chustką, powoli znikało z niej napięcie.

Nikt w kościele tej nocy nie zasnął. Pani Rutter leżała przytulona do męża, który delikatnie ją kołysał, godzina po godzinie.

– Bóg jest tu dzisiaj z nami – powtarzał nieustannie. W pewnej chwili zanurzył policzek we włosach żony i zaczął ze spokojem wymawiać poszczególne słowa: – Czujesz go, Sandro? Kroczy tuż obok, ozłaca ciebie i dziecko światłem swej miłości... nieśmiertelnej, nieskończonej miłości.

Światło lampy czyniło owe chwile tak wyjątkowymi, że zebrani ludzie mieli poczucie własnej zbędności w kościele, ale w tych warunkach intymność i wstyd musiały zostać zawieszane. Mollie siedziała w milczeniu, zauroczona miłością, jaką pan Rutter okazywał żonie.

Nagle pomyślała o Zacku. Tak naprawdę nie zapomniała o nim ani na moment, odkąd szczerze wyjawiał jej swoje uczucia. Wybuch pożaru bardzo ich do siebie zbliżył, choć rozumiała, że tęsknota za nim ma swoje źródło znacznie głębiej. Po raz pierwszy zobaczyła w nim mężczyznę. Odważnego, pewnego siebie mężczyznę, troszczącego się o swoich bliskich. Własnych rodziców traktował z najwyższym szacunkiem, zdecydował się także towarzyszyć jej w podróży przez prawdziwy kataklizm. Okazał nawet cierpliwość Sophie, choć ta dziewczynka to niezłe utrapienie. Ogień pozwolił jej zobaczyć prawdziwą twarz Zacka Kazmarka i Mollie zrozumiała, że ma do czynienia z dobrym człowiekiem. W odpowiednim czasie zdołają może rozwiązać kwestię aktu własności ziemi, teraz jednak dziewczyna rozpaczliwie potrzebowała ze strony Zacka zwykłego pocieszenia. Jego siły i poczucia humoru. Kiedy patrzyła na męża pani Rutter, tęsknota odzywała się w niej ze zdwojoną siłą.

Biedny Andrew Buchanan był blady i wymięty jak kartka mokrego papieru, lecz stał dzielnie przy Sandrze, gdy zbliżał się moment kulminacyjny. O trzeciej nad ranem pierwszy krzyk noworodka zabrzmiał triumfalnie w mroku nocy.

– Witaj, Joshua – powiedziała Sandra słabym głosem, gdy dentysta położył przy niej chłopczyka.

W ciągu następnych godzin wszyscy obecni w kościele podchodzili do nich i podziwiali czerwoną twarzyczkę dziecka. Ludzie koczujący w pobliskich budynkach także wstrzymywali oddech przez całą noc, teraz zaś przynosili gratulacje i życzenia pomyślności.

Mollie dołączyła do siedzącego pod ścianą Franka. Uśmiechał się w zadumie.

– To było najbardziej niezwykle wydarzenie, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem – powiedział po prostu.

Dziewczyna skinęła głową.

– Ja też.

IX

Mollie wiedziała, że do końca życia nie zapomni radości, jaka wypełniła ją na widok Zacka Kazmarka zbliżającego się szybkim krokiem do kościoła. Czyli jednak wrócił!

Minęły trzy dni od tamtego zimnego poranka, kiedy się rozstali. Dziewczyna zaczęła się już zastanawiać, czy jego zapaleńczych deklaracji nie wywołał jedynie koszmar wielkiego pożaru. Ale oto on, z torbą jedzenia i szerokim uśmiechem, przyprawiającym ją o szybsze bicie serca. W byle jakim roboczym ubraniu i z absurdalnym szczęściem wypisanym na twarzy, wydawał się jej najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Na powitanie przycisnął ją do siebie tak mocno, że niemal zmiądzzył jej zębra, odwzajemniła się jednak radosnym chichotem.

Po godzinie kłócili się już jak dwa koty we wspólnym koszyku.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz wrócić do produkowania zegarków, nie mając nawet przyzwoitego kąta do spania! – warknął, pomagając jej rozbić namiot wewnątrz świątyni.

Władze miejskie rozproszdziły wśród bezdomnych wojskowe namioty, które wyrastały jak grzyby po deszczu na całym obszarze dotkniętym pożarem. Pięć takich płóciennych domków stanęło w kościele. Koczownicy rozbijali je tam w nadziei, że grube mury zapewnią im ochronę przed wiatrem.

Mollie rozwijała tkaninę, aby oszacować jej wymiary.

– Nie zaznam spokoju, dopóki nie znajdę nowego budynku dla mojej fabryki – rzekła. – Dosłownie słyszę, jak lokale do wynajęcia nawołują potencjalnych chętnych i są przez nich rozchwytywane niczym resztki zbóż przez szarańczę.

Po lekturze najświeższego wydania gazety pojęła skalę nieszczęścia, jakie ich spotkało. Ogień spustoszył piętnastokilometrowy pas ziemi wzdłuż jeziora Michigan. Tysiące ludzi straciło dach nad głową, a połowa chicagowskich przedsiębiorców na zawsze pożegnała się z własnym mieniem. Ci, którzy wyszli cało z pożogi, przeznaczali teraz każdy najmniejszy skrawek przestrzeni na wynajem. Piwnice, strychy, wolne sypialnie, a nawet przedpokoje były proponowane osobom szukającym schronienia bądź miejsca, gdzie mogłyby na nowo otworzyć firmę.

Zack przykucnął, aby poprawić tkaninę.

– Nie będziesz nawet wiedziała, czy ciągle dysponujesz jakimiś materiałami,

dopóki nie pojedziesz do Evanston, by sprawdzić, jak spisał się pociąg.

To była prawda. Tamtej nocy załadowali do wagonu cały sprzęt do produkcji zegarków. Albo ocalał, albo nie; w tym momencie to bez różnicy, nie mogła sobie pozwolić na wycieczkę do Evanston. Musiała rozpocząć poszukiwanie czystego, dobrze oświetlonego miejsca, w którym dałoby się pracować. Ludzka desperacja sprawiała, że takie lokale znikwały wraz z upływem każdej kolejnej godziny. Ile już razy wyjaśniała to Zackowi? On oczywiście miał własne powody, żeby towarzyszyć jej w inspekcji pociągu.

– Skoro tak strasznie ci zależy na ochronie walizek rodziców, możesz sam po nie pojechać.

Zack gwałtownie opuścił dłoń, w której trzymał słupek do namiotu. Wyglądało to tak, jakby chciał złamać go na kolanie.

– Nie mogę teraz wyjechać z Chicago – powiedział. – Sklep Hartmana doszczętnie spłonął i grozi nam bankructwo, o ile nie przekonam jakoś ubezpieczycieli, by potraktowali nasze roszczenia priorytetowo.

Wyprostowała się, rozcierając obolałe plecy.

– Widzę, że się ze sobą zgadzamy – rzekła. – Całkowicie, idealnie, w każdym calu. Ja zostanę tutaj i znajdę nowy lokal do pracy, a ty możesz wracać do swoich wniosków o wypłatę odszkodowania.

Wolałaby jednak, żeby został i jej pomógł. Dobrze byłoby mieć u boku kogoś godnego zaufania, choćby na kilka godzin. Firma Hartman's mogła sobie stać na skraju bankructwa, ale przedsiębiorstwo Mollie zdążyło już zupełnie zatonać i należało znaleźć jakiś sposób na wygrzebanie się z dziury, w której utknęli.

Poza tym lubiła towarzystwo Zacka. Świadomość, że ten silny, odważny mężczyzna troszczy się o nią, ogromnie jej pochlebiała i z każdą chwilą czuła się nim coraz bardziej zafascynowana. Już nie widziała w nim prawnika. Teraz stał się człowiekiem, który ratował ją z narażeniem życia, a potem przeszedł kilka kilometrów spalonej ziemi jedynie po to, by ją zobaczyć.

Poczuła dwie ręce na ramionach i Zack przyciągnął ją ku sobie. Złożył na jej czole pocałunek, po czym szepnął:

– Szkoda, że nie zgadzamy się tak całkowicie w kwestii tego, gdzie będziesz mieszkać. Powinnaś się znaleźć pod moim dachem, kobieto.

Przeszył ją dreszcz i ukryła uśmiechniętą twarz w jego czystej, białej bluzie

z wełny. Kiedy Zack był blisko, powietrze wypełniała zaraźliwa energia, przywracająca Mollie do życia.

– Nie lubię, jak dorośli się obściskują – odezwała się Sophie ze swojego kąta kościoła. – To wstrętne.

Mollie zrobiła krok w tył. Chociaż ton dziewczynki był denerwujący, sam komunikat niósł z sobą sporo racji. Ten budynek dawał schronienie dziesiątkom ludzi, niekoniecznie zainteresowanych jej przyjaźnią z Zackiem. Rutterowie wraz z dzieckiem planowali się stąd wynieść już nazajutrz, ale pozostali mogli koczować w namiotach tygodniami czy wręcz miesiącami.

– Wyjdźmy na zewnątrz, żeby się stosownie pożegnać – poprosił Zack.

Ulica także nie zapewniała ani odrobiny prywatności. Z okolicznych budynków pozostały wyłącznie zgliszcza, więc nie było mowy o wycofaniu się w jakiś ustronny kąt. Stanęli na pokruszonych stopniach kościoła, a Zack ujął twarz dziewczyny w swoje wielkie, silne dłonie.

– Nie wiem, kiedy wrócę – oświadczył. – Jeżeli zmęczy cię mieszkanie w starym, zatęchłym namiocie dla wojska, wpadnij do mnie.

Mollie skinęła głową i przysunęła się bliżej. Jakże czuła się bezpieczna w ramionach Zacka, z głową na jego piersi, słysząc głośnie bicie męskiego serca.

– Zrozumiałam twoją propozycję już za pierwszym razem – zapewniła pogodnym tonem. – I za piątym. Za dziesiątym też.

Lekko uszczypnął ją w policzek.

– Mądrała! Właśnie dlatego cię lubię.

Czemu nie chciała po prostu z nim odejść? Gdy zerknęła pośpiesznie na kościół, zobaczyła, jak Sophie czyta Frankowi dzisiejszy numer gazety. Doktor Buchanan grał w kości z handlarzem drewna.

– Nie umiem tego wyjaśnić... – zaczęła. – Ale czuję się do nich przywiązana. Nie mogłabym tak zwyczajnie korzystać z luksusów, wiedząc, że ci ludzie wciąż się tu cisną.

– Pozwolę ci spać w piwnicy, jeśli dzięki temu odzyskasz dobry nastrój.

Wstrząsnął nią niekontrolowany wybuch śmiechu, tak że musiała zasłonić usta dłonią. Z każdą minutą uwielbiała go coraz bardziej.

– Zack – powiedziała twardo. – Zostaję. Weź się za wypełnianie wniosków odszkodowawczych.

Czy tylko jej się zdawało, czy wraz z odejściem Zacka otoczenie stało się bardziej posępne? Po dostarczeniu pani Rutter wiaderka wody Mollie zamierzała już wyruszyć na poszukiwanie nowego lokalu dla swojej firmy, gdy wtem od strony ulicy dobiegł znajomy głos.

– Niestety, piękna Mollie! Poprzez ogień i deszcz, poprzez szalejącą rozpacz, zatoczyliśmy wreszcie koło!

Mollie podniosła głowę. Dwoje najlepszych na świecie grawerów złota podążało właśnie w jej kierunku.

– Ulysses!

Wspierając się na kulach, Ulysses szedł razem ze swoją żoną, Alice, oraz z Declanem McNabbem. Frank również rozpoznał jego głos i podniósł się, aby powitać całą trójkę.

Ulysses uśmiechnął się szeroko i nieco przyśpieszył. Poklepał Franka po plecach i objął Mollie.

– Czuję się niczym Tezeusz przemierzający zdewastowany Labirynt, aż nagle znajduję w tej dziczy pocieszenie w postaci starych przyjaciół.

– Skąd wiedzieliście, że tu jesteśmy? – zapytała Mollie ze zdumieniem.

Alice uniosła gazetę.

– Zobaczyliśmy twoje ogłoszenie w sprawie zaginionej dziewczynki, którą masz pod opieką. Dotąd koczowaliśmy we własnej piwnicy, jednak człowiekowi z jedną nogą trudno się po takim miejscu poruszać. Doszliśmy do wniosku, że lepiej byłoby dołączyć do was w kościele, o ile znajdzie się tu jeszcze trochę miejsca.

Mollie przyjrzała się im obojgu. Alice przewiązała sobie na szyi swój jedwabny szal, lecz pokrył się on w międzyczasie brudem i śladami ognia. Oboje trzymali w rękach poszewki wypchane po brzegi. Mollie ścisnęło się serce.

– Czyli straciliście wszystko?

Oczy Alice zalśniły od łez, jednak natychmiast się opanowała.

– Wszystko. Ale uszliśmy z życiem, a następnego ranka znaleźliśmy Declana.

Mollie bacznie przyjrzała się swojemu trzeciemu pracownikowi, w którego oczach nadal odbijało się przerażenie. Mięśnie twarzy Declana lekko drgały. Wojna doszczętnie zniszczyła mu nerwy, a pożar z pewnością obudził dawne demony. Dzięki Bogu, że Alice go znalazła.

Koleżanka nie przestawała mówić:

– Przekazaliśmy Gunnerowi, gdzie jesteście, więc pewnie lada chwila też się tu pojawi.

– Wejdźcie do środka i pozwólcie, że oprowadzę was po naszym zamku – zażartowała Mollie, obejmując Alice ramieniem i kierując się do kościoła.

Jeden rzut oka upewnił ją, że wewnątrz wystarczy miejsca na rozbicie namiotu dla nowo przybyłych, lecz dziewczyna i tak tkwiła w rozterce. Nawet będąc w kiepskim stanie ducha i ciała, gromadziła wokół siebie ludzi z dawnego 57. pułku. Należało znaleźć sposób, aby błyskawicznie postawić firmę na nogi.

Los wielu ludzi zależał wyłącznie od niej.

≈

Przed wybuchem pożaru gabinet Zacka ozdobił perski dywan i ręcznie rzeźbione biurko z włoskiego orzecha. Dzisiaj pracował w chińskiej pralni, przy stole wykonanym naprędce z sosnowych drzwi, które podtrzymywały dwa stojaki. Kotły z parującą wodą, ostry zapach proszku do prania oraz porozkładane wszędzie suszarki nie stanowiły najwładźniejszego tła dla działalności biznesowej, lecz po kataklizmie nic w Chicago nie toczyło się już zwykłym trybem.

Drzwi otworzyły się z hukiem, po czym do środka wpadł Louis Hartman.

– Przyniosłem nowiny – burknął, a następnie zaczął prychać z powodu woni detergentów oraz nadmiaru pary. – Czy w całym mieście... nie dało się znaleźć lokalu ciut mniej cuchnącego chemikaliami?

Zack uśmiechnął się i wstał z przewróconej skrzyni na jabłka służącej mu za krzesło.

– Dzięki temu nie czuć spalenizny.

Na nieogolonej twarzy Hartmana malowało się wyczerpanie. Podobnie jak

w przypadku domów wielu innych chicagowskich milionerów, rezydencja Louisa zmieniła się w garstkę popiołu. Teraz łatwo było dostrzec jego robotnicze korzenie: zamiast sztywnego kołnierzyka i zegarka na złotym łańcuszku nosił prostą bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami oraz jakieś stare chodaki.

– Cały ranek spędziłem z Josephine, starając się oszacować wartość kryształów i porcelany. – Położył stertę papierów na prowizorycznym biurku Zacka. – Sądzymy, że wchodzi tu w grę przynajmniej czterdzieści tysięcy dolarów, ale udowodnienie tego to zadanie dla cudotwórcy.

Zack westchnął.

– Mogę napisać do Paryża z pytaniem, czy zachowali jakąś dokumentację dotyczącą naszych ostatnich zakupów.

Ogień zniszczył asortyment o wartości niemal pół miliona dolarów. Wszystkie dokumenty, teczki i dowody sprzedaży przepadły w płomieniach, musieli się zatem przygotować na długą walkę o odszkodowanie z firmami ubezpieczeniowymi.

Ale to było wyzwanie na przyszłość. Na razie powinni dać sobie spokój z obliczaniem strat. Louis chciał, aby jego ekskluzywny sklep wznowił działalność w tym samym miejscu, na Columbus Street, dokładnie sześć miesięcy po wybuchu pożaru. Istniała jednak pewna kwestia, jaką należało uregulować przed przystąpieniem do odbudowy.

Zack odchrząknął.

– Ziemia na Columbus Street... – zaczął, po czym na moment zawiesił głos. – Mogą nas tu spotkać pewne komplikacje ze strony Mollie Knox.

Louis zaprzestał swojego nerwowego spaceru po pomieszczeniu i spojrzał na rozmówcę badawczo.

– Knox? Córka zegarmistrza?

– Tak. Twierdzi, że jej ojciec nigdy nie dokonał transakcji sprzedaży swojego kawałka Columbus Street. I niespodzianka: akt własności nadal pozostaje w jej rękach.

Zack uważnie przyglądał się Hartmanowi. Na jego twarzy nie malowała się ani odrobina troski.

– Pokazała ci go? Pokazała ci akt własności ziemi, której jestem prawowitym posiadaczem?

– Widziałem go. Wyglądał na autentyczny, chociaż nie dała mi go do ręki.

Nadal cierpiał z powodu faktu, że Mollie nie ufała mu po tym wszystkim, co razem przeszli. Z drugiej strony: dlaczego miałyby być inaczej? Jej podejrzania okazywały się całkowicie uzasadnione i obaj z Hartmanem o tym wiedzieli. Poprzednik Zacka spartaczył robotę, wskutek czego Silas Knox nigdy nie zrzekł się oficjalnie prawa własności ziemi. Gdyby udało się im odkupić od Mollie firmę, sprawa rozeszłaby się po kościach. W obecnych warunkach jej roszczenia stanowiły problem. Problem mierzony w kilku kilometrach.

Hartman miał stalowe spojrzenie.

– Słuchaj, zapłaciłem za tę ziemię dziesięć lat temu. Postawiłem na niej sklep, płaciłem podatki i zarządzałem potężnym biznesem. Nie pozwolę tej kobiecie mnie teraz nachodzić i żądać pieniędzy za coś, za co wynagrodziłem już jej ojca.

– Może opłaca się odkupić ten świstek – naciskał Zack. – Jeśli rozpoczniemy prace budowlane bez załatwienia tej kwestii, prędzej czy później zacznie nas ona prześladować.

Louis klepnął ręką w udo.

– Nie zamierzam płacić dwa razy za to samo – warknął. – Nie po to ciężko pracowałem na każdego dolara, żeby teraz rozdawać pieniądze na prawo i lewo. Sądowe rejestry całkowicie spłonęły, podobnie zresztą jak sam budynek. Skoro panna Knox pragnie dowodzić własnych racji, pozostaje mi życzyć jej szczęścia.

Było oczywiście prawdą, że miasto lada chwila pograży się w prawnym chaosie, napędzanym brakiem dokumentów, kontestacją sądowych pozwów i wnoszeniem tysięcy wniosków odszkodowawczych. Wraz ze spłonieniem sądu i banków petenci mogli się pożegnać z myślą o sprawiedliwości.

Zack zerwał się na równe nogi.

– A więc co powinienem zrobić, Louisie? Okłamać ją? Namawianie do sprzedaży firmy to jedna rzecz, ale na żadne łgarstwa się nie zdobędę.

Louis poklepał go po ramieniu.

– Nie musisz. Nieudolność mojego poprzedniego prawnika w zakresie papierkowej roboty określiłbym mianem kwestii poufnej. Jeśli panna Knox zacznie zadawać pytania, odpowiadaj wymijająco. Adwokat winien jest swojemu klientowi dyskrecję.

Czy Zackowi się to podobało, czy nie, Hartman trafił w sedno. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było zdradzić Mollie, co wiedział o prawnym statusie tego skrawka ziemi. Zawdzięczał Louisowi Hartmanowi więcej niż komukolwiek innemu, zatem naprawienie błędu poprzednika stanowiło stosunkowo niewielkie poświęcenie.

Zack uraczył przyjaciela podobnym klepnięciem w ramię.

– Zobaczę, co da się zrobić.

≈ Zack musiał się pośpieszyć, aby złapać ostatni tramwaj jadący na drugi koniec miasta. Nawal pracy sprawiał, że kolejne dni mijały mu błyskawicznie, jednak na dzisiejszy wieczór zaplanował wielką ucztę dla Mollie. Za nic nie chciał jej zaprzepaścić.

Pełen wyczekiwania uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy zbliżał się do swojego domu. Wyczuwał zapach pierogów, zanim jeszcze zdążył otworzyć drzwi. Nikt nie przyrządzał owego tradycyjnego polskiego specjału lepiej niż jego matka. Dzisiaj, na prośbę syna, spędziła w kuchni cały dzień. Zack zorientował się już, że jakość jedzenia rozprowadzanego wśród koczowników przez lokalne władze pozostawia wiele do życzenia, ale tego wieczoru Mollie i reszta posilą się najwspanialszym daniem świata. Pierogi jego matki, nafaszerowane duszoną wołowiną, ziemniakami i serem, okażą się z pewnością lepsze niż jabłka i czerstwy chleb.

Rzucił w kąt swoją skórzaną aktówkę i od razu pobiegł do kuchni.

– Pierogi już gotowe? – zapytał. Zobaczył przed sobą wielki kosz wypełniony po brzegi gorącymi smakołykami. Następna biała góra pokrywała talerz stojący na kuchennym blacie.

– Tak. Zjedz coś, Zachariaszu – poleciła matka. – Wyszedłeś z domu, gdy było jeszcze ciemno, i jestem pewna, że przez cały dzień nie miałeś nic w ustach.

Zack zaczął łapczywie pochłaniać pierogi.

– Musiałem zdążyć na pociąg o piątej – rzekł. – Przywiózł ze sobą szkielec konstrukcji nowego sklepu. Ktoś musiał podpisać pokwitowanie.

Joanna naląła mleka do szklanki i popchnęła ją przez blat.

– W niczym nie pomożesz tamtej ładnej dziewczynie od zegarków, jeśli będziesz się ledwo trzymał na nogach. Ta koszula czymś zalatuje. Idź się przebrać, zanim spakuję ostatnią partię.

Zack pożarł jeszcze dwa pierogi, jednym haustem opróżnił zawartość szklanki i otarł dłonią usta.

– Jestem już spóźniony, nie mogę tracić czasu na przebieranie. – Wyszczrzył zęby na myśl o minie Mollie, kiedy dziewczyna spróbuje swojego pierwszego w życiu pieroga. W przyszłości pragnął obsypać ją drogimi kamieniami oraz urozmaicić jej wieczory muzyką i tańcem, na razie jednak wydało mu się rzeczą rozsądną zapewnić wybrance przyzwoity posiłek.

– Zachariaszu, nie pozwolę tej młodej damie myśleć, że wychowałam syna, który uderza w konkury, nie umiejąc się porządnie ubrać. Zmień koszulę, a ja spakuję jedzenie.

– Mamo, w tym kościele jest strasznie brudno, a ludzie śpią na ziemi. Na pewno nie zauważą, że moja koszula nie pachnie krochmalem.

Takich rzeczy zdecydowanie nie należało mówić kobiecie noszącej na swych barkach brzemię polskiego losu.

– Ale ja zauważę – powiedziała. Pędem ruszyła do jego pokoju, nie przestając mamrotać pod nosem: – Mój syn skończył Yale i pracuje dla najznamienitszego handlarza w mieście. Nie pójdzie podrywać dziewczyny, cuchnąc jak jakiś robotnik.

Dyskusja nie miała sensu. Zack wbiegł po schodach, rozpinając w pośpiechu koszulę i zdzierając ją z siebie jeszcze w przedpokoju. Cisnął ją na łóżko, by natychmiast chwycić świeżutki biały zamiennik, który matka trzymała w rękach. Z dumą podała mu spinki do mankietów.

– Przysięgam, staruszek, że nawet święty by z tobą nie wytrzymał – mruknął, poprawiając na sobie ubranie. – Kiedy wrócę, ta koszula będzie czarna od sadzy.

– Przyrowadź ze sobą tę dziewczuszkę. Mamy tu mnóstwo miejsca. To niedorzeczne, żeby gnieździła się w kościele z jakimiś obcymi ludźmi.

Podobne uwagi ze strony matki nie były potrzebne. Szabrownictwo zaczynało stanowić w Chicago problem. Co prawda ludzie chroniący się w ruinach nie posiadali nic wartego kradzieży, ale pijani idioci zawsze mogli narozrabiać. Pod tym względem stanowili jeden z najgroźniejszych ludzkich typów.

Zmrok zapadł już niemal całkowicie, kiedy Zack znalazł się wreszcie w spalonej części miasta. W ciemności żarzyły się piecyki koksowe, a gromady bezdomnych ogrzewały przy nich ręce. Przed budynkiem kościoła kilka osób pochylało się, zbierając cegły. Miał wrażenie, że cofnął się o pięćset lat. Ten obrazek przywodził mu na myśl biedotę przeszukującą średniowieczne pobożowisko. Miasto poprosiło ochotników, aby

układali cegły na dwa stosy: po jednej stronie te zdadne do ponownego użycia, po drugiej – całkowicie zniszczone. Budowniczkowie płacili po pięć dolarów za każdy wóz wyładowany nieuszkodzonym materiałem.

Jakaś ciemna figura odłączyła się od reszty i ruszyła w podskokach wprost na niego.

– Przyniosłeś coś do jedzenia? – Sophie gapła się na kosh oczami szakala. Zack sięgnął w głąb niego i podał jej pieroga.

– Cześć, księżniczko. Dziwi mnie, że wciąż tu jesteś.

– Moi rodzice chyba nie czytają gazet – wymamrotała z pełną buzią. – Gdyby nie to, na pewno już by po mnie przyszli i nie musiałabym siedzieć w tym paskudnym miejscu. Hm, bardzo dobre. Dostanę jeszcze jednego?

Zack wypatrywał Mollie w grupie osób sortujących cegły.

– Tak, dostaniesz, ale najpierw podzielimy się z pozostałymi, zgoda?

Nie czekał na odpowiedź. Właśnie zobaczył Mollie pochylającą się nad kupą kamieni, w wielkich roboczych rękawicach. Chociaż brudna i obszarpana, dziewczyna wyglądała cudownie. Jej cera promieniała zdrowiem, a włosy spływały na ramiona w triumfalnym nieładzie przywodzącym Zackowi na myśl obrazy Leonarda da Vinci.

– Chodź na jedzonko, Mollie.

Jego głos sprawił, że podniosła się, rzucając cegłę na ziemię. W słabnącym świetle dnia radość na twarzy dziewczyny podpowiadała, że Mollie emanuje jakimś wewnętrznym blaskiem. Zack nie unikał kontaktu wzrokowego. Podążając w jej stronę, gapił się na nią jak przyglup i chłonał każdą sekundę tego spotkania.

– Wróciłeś – powiedziała cicho, tak po prostu.

Przez moment nie potrafił się zdobyć na sensowną odpowiedź, gdyż położyła swoją drobną dłoń na jego ramieniu. Patrzyła na niego tak, jakby był księciem wszechświata.

– A myślałaś, że nie wrócę?

Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

– Dobrze, że jesteś – wyszeptała mu na ucho.

Sophie pociągnęła go za rękaw płaszcza.

– Mogę jeszcze jednego? – spytała z pełnymi ustami.

Zack postawił kosz na schodach.

– Nie, dopóki Mollie nie skosztuje.

Zdjął z dłoni dziewczyny rękawiczki i obserwował jej reakcję po pierwszym kęsie pieroga. Przymknęła powieki, a uczucie błogości wygładziło jej rysy. Przeżuwała powoli, ze smakiem.

– Umieram z rozkoszy – powiedziała wreszcie. – Chcę jednak, aby świat się dowiedział, że odchodzę jako szczęśliwa kobieta.

Zack wypiął pierś. Mógłby codziennie przemierzać całe miasto i karmić ją, byle tylko podziwiać wyraz zadowolenia na jej twarzy. Kobieta, którą wielbił od trzech lat, gotowa była zemdleć z powodu otrzymanego podarunku. Czyżby on, Zachariasz Kazmarek, prosty polski robotnik, zdołał przyprawić o westchnienia rozkoszy najpiękniejszą istotę w Chicago?

Zapadający zmrok uniemożliwił dalsze zbieranie cegieł, zatem ludzie koczujący w kościele zbrali się na prowadzących do niego stopniach, aby skosztować pierogów. Ciężko doświadczeni przez zmęczenie, niewygody i tworzące się na rękach pęcherze, nie mieli pojęcia, co przyniosą im kolejne miesiące. Nikt nie popadał jednak w rozpacz – tworzyli krąg dobrych kompanów, niespodziewanie połączonych przez przewrotny los. Chociaż Zack mocno niepokoił się o życie Mollie w tych koszmarnych warunkach, musiał przyznać, że kościelni lokatorzy zdążyli się już całkiem sprawnie zorganizować.

Ale nie w kwestii zapewniania komukolwiek choćby pozorów intymności. Po kolacji, kiedy wszyscy słuchali opowieści snuty przez wojennych weteranów, Zack pochylił się ku ukochanej kobiecie.

– Chodźmy się przejść, Mollie.

Frank Spencer zeszywniał, ale spokojnym tonem szepnął do dziewczyny:

– Mówią, że kiedy wilk chce dorwać owcę, stara się ją odciągnąć od stada i przypuścić atak w ustronnym miejscu.

Wokół ognia rozlegały się chichoty, zupełnie jakby całe stado połączyło siły dla ochrony obiektu jego uczuć. Otaczany przez natarczywe męskie spojrzenia, zrozumiał, że ucieczka z Mollie okazałaby się teraz trudna. Zerknął na nią z uśmiechem.

– Wiesz, że w mitologii ślepiec zawsze stanowił źródło mądrości i wiedzy? Dlaczego nie mogłaś sobie znaleźć jednego z takich niewidomych, aby się z nim zaprzyjaźnić?

Frank wyglądał na zachwyconego tą uwagą.

– Tacy ślepcy ostrzegali również przed Grekami przynoszącymi podarunki. Może dlatego, że nigdy nie spotkali Polaka.

Zack pozwolił się ugodzić tą strzałą. Gdyby chciał wszczynać bójkę z powodu każdego dowcipu o Polakach, jaki w życiu usłyszał, nigdy nie wyzbyłby się siniaków. Poza tym nieopodal grała muzyka. Po drugiej stronie ulicy, w spalonym budynku poczty, ktoś skonstruował sobie harmonijkę. Grupa ludzi klaskała i śpiewała wśród pokruszonych ścian. Owe zbiorowisko niemieckich imigrantów bawiło się w ten sposób niemal każdej nocy; czasem wygrywali poważne pieśni patriotyczne, kiedy indziej – jak dzisiaj – skoczne melodie ludowe.

Zack przysunął się do Mollie i nie zapytawszy o pozwolenie, wziął ją w ramiona.

– Zatańczmy – powiedział energicznie.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

– Nie bądź śmieszny.

Mollie należała do osób, które nie dawały się tak łatwo wyprowadzić ze swojej strefy psychicznego komfortu. Próbowwała wysliznąć się z jego objęć, ale on się nie poddawał.

– Pozwól mi działać, Mollie. Wiem, co robię.

Jak przystało na dobrego Polaka w Chicago, Zack tańczył od wczesnego dzieciństwa, więc teraz poprowadził Mollie z dużą pewnością siebie. Na początku ciągnęła się za nim niezdarnie, ale tak naprawdę wystarczyło podążać jego śladem. Napięcie spłynęło z jej pleców i szybko nauczyła się kroków. Uśmiech na twarzy dziewczyny, zrazu nieśmiały, po kilku minutach rozkwitł w całej pełni. Opromieniona blaskiem ognia i śmiechem, wyglądała w męskich ramionach wręcz olśniewająco. Declan i Sophie ruszyli w tany za nimi. Ulysses nie mógł dołączyć, więc zaczął klaskać w dłonie, podczas gdy Alice zakręciła się kilkakrotnie z doktorem Buchananem, a później z rudym handlarzem drewna.

Zack przeżył najintensywniejszy wieczór w swoim dotychczasowym życiu.

Trzymając w ramionach Mollie oraz słysząc radosny śmiech jej przyjaciół, poczuł raptem, że właśnie tutaj pragnie dzisiaj być.

X

Czekanie w kolejce po darmowe jedzenie stało się teraz dla Mollie codziennym rytuałem. Wozy wyładowane żywnością i materiałami na opał pojawiały się o określonych porach, w wyznaczonych punktach dzielnic dotkniętych pożarem. Zwykle mieszkańcy spokojnie i karnie oczekiwali na swoją kolej, Sophie udowodniła jednak, że także w tym potrafi stanowić wyjątek.

Pewnego ranka dziewczynka zaczęła wybrzydzać na chleb kukurydziany i zażądała w zamian pieczonego kurczaka. Kiedy uprzejma kobieta dowodząca akcją przeprosiła ją za skromne zaopatrzenie wozu, Sophie wpadła w furję, kopiąc pojazd i oświadczając rozmówcy, że jest gruba i wstrętna.

Mollie zaniemówiła na taki pokaz niewdzięczności, ale Ralph Coulter – handlarz przyzwyczajony do kontaktów z krzepkimi robotnikami – zachował zimną krew. Zaprowadził Sophie z powrotem do kościoła i zapowiedział, że będzie sortowała cegły, zanim dostanie swoją rację chleba. Sophie nie wyraziła zainteresowania pracą i zaczęła wszystkich ludzi w świątyni z prośbą o podzielenie się z nią prowiantem. Usłyszawszy o jej zachowaniu, nikt nie chciał poczęstować niesfornej dziewczynki, dopóki nie skończy wyznaczonego zadania.

Mollie była przybita jej zachowaniem, lecz doktor Buchanan wykazywał więcej zrozumienia.

– Ta dziewczyna to wstrętny bachor – powiedział – ale jej upór da się po części wytłumaczyć zwyczajnym strachem o los bliskich. Sam straciłem rodziców, będąc mniej więcej w tym wieku. Takich rzeczy nie sposób zapomnieć.

Po tym incydencie Sophie otrzymała zakaz zbliżania się do wozów dostawczych, co okazało się zresztą dość okrutną karą, bo tego ranka przywieziono isticie niebiański dar. Serce Mollie zabiło mocniej na widok sterty czystej odzieży, wielu par butów związanych sznurówkami oraz – co niesłychane – kostek mydła. Nosząc od tygodnia tę samą brudną sukienkę, Mollie niemal bała się ubrania, które nie cuchnęło i nie nosiło śladów ognia. Niczym w bożonarodzeniowy poranek, zaczęły wraz z Alice buszować w podarowanych koczownikom workach, obracając sukienki pod światło i wybierając je pod kątem rozmiaru. Większość była połatana i zupełnie nieładna, ale czysta. Mollie chwyciła kilka sztuk odzieży wyglądających na wystarczająco małe, aby pasowały na Sophie.

Zaniosły swoje skarby z powrotem do kościoła. Dochodzące z nawy odgłosy pochrapywania świadczyły o tym, że większość ludzi nadal spała. Mollie i Alice przemknęły na paluszkach do tylnej części budynku, w której dwa koce imitowały parawan dla zapewnienia minimum prywatności. Sporym błędem okazałoby się nałożenie

świeżych ubrań na nieumyte ciało – należało zatem wziąć kąpiel. Mollie nabrała do wiadra wody z beczki wystawionej pod kościołem, przerażała ją jednak perspektywa rozebrania się na chłodnym październikowym powietrzu.

Gnieżdząc się wraz z Alice za kotarą z koców, rozsznurowała zdrętwiałymi palcami gorset i wysunęła się z niego. Kamienna podłoga była zimna i szorstka, ale podskoki pomagały zmniejszyć kontakt z powierzchnią. Alice zaszczękała zębami, biorąc do ręki mydło.

– Mojemu mężowi amputowano nogę bez znieczulenia – szepnęła. – Głupio narzekać z powodu zwykłej zimnej kąpieli.

Mollie uśmiechnęła się i ułamała kawałek z kostki.

– Można tak na to spojrzeć, smarkulo!

Starła się zachowywać jak najciszej z powodu ludzi śpiących po drugiej stronie kotary, okazało się to jednak niemożliwe, gdy tylko lodowata szmata dotknęła jej skóry. Obydwie zaczęły chichotać i parskać jak dzieci, choć poranna kąpiel z konieczności zakończyła się błyskawicznie.

Przed katastrofą Alice nosiła przeważnie londyński kitel w stylu preraphaelitów [4] lub kimono. Albo jakiś inny kompletnie niepraktyczny strój. Dzisiaj włożyła na siebie brązową, bawełnianą suknię, nadającą się doskonale do dojenia krów. Z kolei prosta szara spódnica Mollie nijak nie pasowała do czarnej bluzki upstrzonej różowymi kwiatami, ale teraz zupełnie jej to nie obchodziło. Ubrania były czyste i ciepłe.

Niestety, Mollie nie znalazła wśród darów ani jednej pary obuwia, która by na nią pasowała. Podeszwy jej własnych butów zdążyły się rozkleić po wielokilometrowym marszu w poszukiwaniu nowego lokum dla firmy. Nie potrzebowała wielkiej przestrzeni, aby produkować zegarki – wystarczył jej schludny, dobrze oświetlony kącik. Oglądała już piwnicę sierocińca oraz szopę sklepu z narzędziami. Oba te lokale okazały się zbyt zaniedbane, aby stworzyć w nich warunki niezbędne do składania precyzyjnych zegarkowych mechanizmów. Mollie czuła się niepocieszona, widząc, jak niewiele wolnych pomieszczeń pozostało w Chicago.

Dziś jednak zamierzała spróbować raz jeszcze. Co prawda niepokoiły ją rozklejone podeszwy, ale cóż innego jej pozostało?

– Zabierzmy stąd te okropne ciuchy i spalmy je – rzekła Alice, wskazując kupkę brudnych szmat. Każda z nich zdążyła przesiąknąć dymem i podrzeć się wskutek ucieczki przed pożarem.

– Dobry plan – zgodziła się Mollie, zbierając ubrania i przekazując je koleżance. Aż wtem zobaczyła swój zielony szal. Osłaniał jej głowę i ramiona, gdy uciekali przez płonące ulice. Chronił ją przed deszczem. Potem złożyła go i używała jako poduszki. Teraz był tak zabrudzony i podziurawiony, że z trudem rozpoznała znajomy wzorek.

Mollie podniosła szal i ponownie rozłożyła go na ziemi. Promienie słońca prześwitywały przez dziesiątki małych dziurek. Coś zakłuło ją w piersi. Zaczęła starannie zwijać materiał. Był brudny i wyraźnie cuchnął, ale zamierzała go ukryć w bezpiecznym miejscu, a w odpowiednim momencie wyprać. Z pewnością nigdy go już na siebie nie włoży, jednak nie odważyłaby się tak po prostu go wyrzucić.

Kiedy Sophie się obudziła, Mollie pomogła jej się przebrać w podarowane rzeczy. Płócienna spódnica pasowała jak ulał, ale zielona flanelowa koszula okazała się zdecydowanie za duża.

– Na razie będzie musiała wystarczyć – powiedziała Mollie, podwijając jej rękawy.

Ramiona Sophie były tak małe, że ledwo wystawały spod potężnego kawałka tkaniny.

Mollie spojrzała na brudną koszulę nocną leżącą u stóp dziewczynki.

– Chcesz ją zatrzymać? – spytała. – Pewnego dnia będziesz mogła pokazać swoim dzieciom i pochwalić się, że przeżyłaś wielki pożar Chicago. Dzięki niej dobrze zapamiętasz ten czas.

Sophie wydeła wargi.

– Wcale nie muszę go pamiętać. Nienawidzę tych ciuchów i tego paskudnego kościoła. U siebie w domu jem zawsze wtedy, kiedy mam na to ochotę, i w ogóle nie muszę nic robić.

Mollie zdołała się już przyzwyczaić do fochów Sophie. Poza tym dziewczynka okazywała się łatwiejsza do zniesienia, gdy była czymś zajęta.

– Cóż, dzisiaj mamy dla ciebie sporo roboty. Muszę pójść na poszukiwania lokalu do wynajęcia, więc ty przyniesiesz węgiel. Pamiętasz, gdzie można go dostać?

Sophie skinęła głową.

– Możesz też poczytać Frankowi gazetę, kiedy ktoś ją podrzuci. A jeśli on wyznaczy ci jakieś nowe zadanie, chcę, aby zostało wykonane bez słowa skargi. Jasne?

Sophie przejawiała coś w rodzaju fascynacji niewidomym prawnikiem. Ilekroć gazeciarz dostarczał zadrukowany papier z nowinami, dziewczynka porywała go jako pierwsza i pędziła do Franka, aby wspólnie z nim zatopić się w lekturze.

W ciągu ostatnich dni wiadomość o bezpłatnych poradach prawnych rozeszła się wśród uciekinierów i coraz więcej ludzi zaglądało do kościoła, aby o coś zapytać. Pamięć starego adwokata okazywała się niezawodna: bez zająknięcia cytował całe ustępy kodeksów potrzebnych do wypełniania wniosków odszkodowawczych. Osoby odwiedzające Franka były często niepiśmienne albo posługiwały się łamaną angielszczyzną, więc Sophie skrupulatnie notowała porady prawnika na papierze dostarczonym przez miasto. Doktor Buchanan również zaoferował pomoc, jednak dziewczynka wykazywała zdumiewającą determinację, by robić to samodzielnie. Mollie podejrzewała, że sporządzanie notatek jest dla niej po prostu łatwiejsze niż sortowanie cegieł – ale tak długo, jak mała maruda wykazywała wolę współpracy, nie należało chyba protestować.

Brak wolnych lokali użytkowych stanowił teraz znacznie większy powód do zmartwienia.

≈

Po czterech dniach bezskutecznych poszukiwań miejsca na nową siedzibę firmy, Mollie nie mogła już dłużej odkładać podróży po odbiór swoich rzeczy. Gdyby się zresztą okazało, że w całym tym zamieszaniu sprzęt gdzieś przepadł, polowanie na nowe lokum straciłoby sens.

W drodze do Evanston towarzyszył jej Ulysses. Wraz z każdym przejechanym kilometrem coraz bardziej niepokoila się o swój towar, jednak tuż po przybyciu na miejsce lęk stopniał.

Tutejszy pracownik chętnie opowiedział dziewczynie o bohaterstwie obsługi kolejowej w noc pożaru. Pociąg wiozący jej zegarki i sprzęt okazał się ostatnim, jaki miał opuścić Chicago. Sto dwadzieścia ton żelaza i stali pruło odważnie poprzez płomienie, dzięki czemu Mollie mogła teraz odebrać bagaże wypełnione drogocennym asortymentem.

Miała zatem przy sobie gotowe zegarki, sześć pudeł narzędzi oraz wielką torbę należącą do państwa Kazmarków. Nigdzie w tym przepastnym magazynie nie mogli jednak znaleźć drugiej, mniejszej walizy rodziców Zacka. Mollie i Ulysses przeczesywali budynek niemal przez godzinę, szperając wśród zwojów tkanin, w zakamarkach szaf oraz w niezliczonych skrzyniach pakowanych pośpiesznie w tamtych straszliwych okolicznościach. Nawet jeśli zaginiona torba gdzieś tu leżała, nie zdołali jej odszukać.

W drodze do domu Mollie nadal rozmyślała o zgubie, lecz obrazy za oknem

skłoniły ją w końcu do kapitulacji. Jesień kusila oczy żywymi odcieniami pomarańcza, szkarłatu i żółci. Patrząc na tę feerię barw, z trudem można było uwierzyć, że niedaleko stąd leży zdewastowane Chicago. Po tygodniu oglądania gruzów i szarości dusza Mollie chłoneła kolory października niczym drogocenny balsam.

Wtem jej spokój zakłóciły słowa Ulyssesa:

– Alice powiedziała mi, że Zack Kazmarek robi do ciebie maślane oczy.

Mollie ze zdumienia gwałtownie wypuściła ustami powietrze, ale przyjaciel kontynuował:

– Twierdziła, że ten facet wygląda, jakby chciał złożyć cały świat u twoich stóp, a ty jesteś nim zauroczona. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby jakikolwiek jegomość tak na ciebie działał.

Mollie poruszyła się niespokojnie. Jak dotąd żaden mężczyzna nie ochraniał jej podczas eksplozji okolicznych budynków. Żaden też nie spoglądał na nią zachwyconym wzrokiem ani nie całował radośnie jej zabrudzonej sadzą twarzy. Zack przychodził do kościoła każdego dnia, aby się z nią zobaczyć. Czasami się droczył, kiedy indziej flirtował, choć zdarzało mu się również zakasywać rękawy i pracować wraz z innymi mężczyznami przy odgruzowywaniu ulic.

– Jest dla mnie miły, to wszystko.

– Nie chciałbym wylewać na ciebie kubła zimnej wody, ale Frank mu nie ufa.

Mollie zeszywniała.

– Frank nie zna go tak dobrze jak ja.

– Frank Spencer to jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich poznałem – zauważył Ulysses. – Wczorajszej nocy, kiedy ładowaliśmy węgiel do piecyka, zwierzył mi się, że bycie ślepym ma pewne nieliczne zalety. Na przykład taką, że nigdy nie przywiązujesz wagi do czyjejś urody. „Założę się o mojego ostatniego dolara, że ten Kazmarek to przystojniak”, powiedział.

Pociągami zaczęło lekko rzucać, przez co dokument ukryty pod gorsetem Mollie otarł się o jej skórę. Oparła czoło o szybę, bo zmęczenie wywołane wydarzeniami ostatniego tygodnia znowu dawało o sobie znać.

– Chciałabym zapomnieć o tym głupim świstku. To byłoby takie proste: udawać, że nigdy go nie widziałam i nadal prowadzić interesy. Zack był dla mnie miły i pomocny.

Nie wierzę, że miał jakikolwiek związek z tą sprawą.

Ulysses uśmiechnął się smutno.

– Sun Tzu [5] mówił: „Trzymaj się blisko swoich przyjaciół, lecz jeszcze bliżej swoich wrogów”. Sądzę, że pan Kazmarek mógł obrać wobec ciebie podobną strategię. – Ulysses poruszył się nieznacznie i zaczął kręcić swoją kulą, jak zawsze, gdy głęboko się nad czymś zamyślał. – Słuchaj, nie znam ani Kazmarka, ani Louisa Hartmana, ale nastały ciężkie czasy. Ludzie robią dziwne rzeczy, gdy stawką jest ich życie. Nie daj się zwieść gładkim słówkom jakiegoś prawnika, dopóki nie otrzymasz niezbitych dowodów. Frank się o ciebie martwi, a ty powinnaś wziąć to sobie do serca, zanim wpadniesz w ręce Kazmarka niczym dojrzała śliwka – powiedział i oparł się o fotel, odkładając kulę. – Ale oczywiście Frank jest zapewne zwykłym zrzedliwym starcem.

Mollie ponownie skupiła się na krajobrazie za oknem. Frank i Ulysses to dobrzy przyjaciele jej ojca, więc ogromnie im ufała, ale nie widzieli Zacka tamtej nocy. Nie przytulali się do niego w przeświadczeniu, że za moment umrą. Pierwszego poranka po pożarze, stojąc obok kościoła, ujrzała na wyczerpanej twarzy Zacka nadzieję zmieszaną z tkliwością. Frank i Ulysses nie wiedzieli nic o tym drugim wcieleniu Zachariasza Kazmarka.

Miała dwadzieścia sześć lat, nadeszła zatem najwyższa pora, aby zaczęła ufać własnym instynktom bez oglądania się na przesadnie troskliwych kompanów ojca.

~
W ciągu kolejnych dni Mollie z niecierpliwością wyczekiwała wizyt Zacka. Pojawiał się przeważnie po zapadnięciu zmroku, zawsze przynosząc ze sobą koszyk polskich specjałów przygotowanych przez swoją matkę. Nie podejmował już prób oddzielenia Mollie od pozostałych, a jego obecność wśród koczowników wydawała się dziewczynie rzeczą bardzo przyjemną. Kiedy co wieczór zbierali się przy piecyku, Zack opowiadał jej o swojej pracy w porcie. Słuchali też przepelnionych dumą wynurzeń Ralpha Coultera na temat żaglowca do transportu drewna, który kupił przed dwoma laty. Prędzej czy później głos zabierali weterani, pogrążając się w wojennych wspomnieniach, lecz Mollie to nie przeszkadzało. Gdy Gunner zaczynał przygryzać końcówkę niezapalonego cygara, był to dla dziewczyny znak, że zaraz wysłucha opowieści o ojcu. Albo o dzielnym pułkowniku Lowe, który stał się bohaterem narodowym po tym, jak ocalił swój oddział w bitwie pod Winston Cliff.

Siedzenie na stopniach kościoła, w kręgu ciepła emitowanego przez piecyk, przypominało Mollie, w jaki sposób ojciec opisywał życie na wojnie. Czasami on i pozostali żołnierze sypiali w stodołach, czasem zaś pod gołym niebem. Albo było im za zimno, albo za gorąco. Cierpieli z powodu głodu, wilgoci i pęcherzy. Męczyły ich myśli o tym, czego jeszcze nie wiedzą, zaś przerażała świadomość tego, co wiedzieli już

doskonale. Dzięki wojennym doświadczeniom nawiązała się między nimi więź, która miała im towarzyszyć do końca życia.

Jakimś niepojętym sposobem Mollie rozumiała, iż obecne dni będą dla niej mieć podobną wartość. Pożar okazał się najgorszym wydarzeniem w jej życiu, ale jednocześnie wyzwolił w ludziach wszystko, co najlepsze.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że ta niezwykła atmosfera nie potrwa wiecznie. Nie miała ani domu, ani firmy, a szanse na odszkodowanie były nikłe. Sophie zapewne została sierotą, zaś perspektywa wychowywania jej przez następne dziesięć lat wydawała się Mollie równie kusząca jak kamień zawieszony u szyi. Pożar zmusił ją do radzenia sobie w świecie, jakiego nigdy wcześniej nie знаła, lecz ilekroć spoglądała na Zacka, ogarniało ją niewytłumaczalne uczucie błogości. Niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, będzie zdolna stawić temu czoła, o ile Zack Kazmarek zgodzi się trwać u jej boku.

XI

Towarzystwo ubezpieczeniowe, któremu Mollie niegdyś zawierzyła, ogłosiło upadłość.

Od sześciu godzin stała wraz z Frankiem w ogonku interesantów, walcząc z bólem żołądka, który zaatakował ją po usłyszeniu plotki podawanej z ust do ust w tej gigantycznej kolejce, ciągnącej się przez całą ulicę. Właściciele polis tłoczyli się pod budą zaadaptowaną przez firmę ubezpieczeniową na biuro. Po latach sumiennego opłacania tej polisy Mollie mogła liczyć zaledwie na kilka marnych centów. Szewc stojący tuż przed nią nieustannie pochlipywał, wycierając nos w ogromną chustkę, podczas gdy jego żona patrzyła przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy. Powietrze zgęstniało od zaprzepaszczonych marzeń. Obecność tutaj, w tej piekielnej kolejce, zdawała się Mollie coraz trudniejsza, w miarę jak wściekłość zyskiwała przewagę nad innymi emocjami.

Gdy nadeszła jej kolej, po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy właściciela owej nieszczęsnej firmy. Starszy mężczyzna siedział za prowizorycznym biurkiem wykonanym z zepsutych drzwi wspartych na dwóch beczkach. Miał na sobie poplamioną marynarkę i patrzył błędnym wzrokiem. Ręce mu drżały, kiedy ogryzkiem ołówka wypisywał dla Mollie weksel. Ten człowiek również stracił dorobek całego życia, a przeliczenie każdego wpłaconego dolara na kilka centów to więcej, niż ludzie mogli znieść. Mollie starała się być miłą, podpisując dokumenty, lecz ogarniająca ją fala wyczerpania sprawiała, że dziewczyna ledwo utrzymywała ołówek w dłoni.

Marzyła już tylko o tym, żeby znaleźć się na spalonej ziemi Livingston Street i w samotności pozwolić sobie na łzy. Musiała jednak zachowywać czujność, ponieważ prowadziła przed sobą Franka.

– Jaki interes mogłabym rozkręcić, mając na koncie osiemset dolarów? – zapytała słabym głosem. Za te pieniądze nie dałoby się nawet na miesiąc pokryć kosztów czynszu i wynagrodzeń dla pracowników.

– Bez obaw, moja mała, coś wymyślimy – zapewnił Frank. – Banki będą musiały uprościć procedury przyznawania kredytów, a nasza firma ma świetną reputację. Na pewno skombinujemy jakieś pieniądze.

Ale Frank nie mógł zobaczyć, co znajdowało się przed nimi. Potężne pasmo spalonej ziemi i wielkie góry gruzu, które rosły tak szybko, że w którymś momencie cegły i tak spadały na oczyszczone z nich wcześniej ulice. Wziąwszy pod uwagę ogromną liczbę osób bez dachu nad głową i pracy, kolejki w bankach będą tak potężne, że przyćmią Wielki Mur Chiński.

Była już bardzo zmęczona, gdy zbliżali się do kościoła. Wtem podszedł do nich jakiś dobrze ubrany człowiek.

– Przepraszam, czy mogłaby mi pani wskazać drogę?

Ten jegomość z pewnością był tu obcy. Mając na sobie elegancki czarny garnitur i brzoskwińową kamizelkę z satyny, wyglądał tak wytwornie, jakby wybierał się właśnie w odwiedzin do królowej.

– Czego pan szuka? – spytała Mollie.

– Kościoła na Livingston Street. Mam tam coś do załatwienia.

Mollie zauważyła, że nieznajomy trzyma pod pachą dwie spore rolki papieru kreślarskiego. Rozpromieniła się.

– Czy jest pan może tym architektem, który miał zerknąć na dach?

Twarz mężczyzny pokryło zmieszanie.

– Rzeczywiście, jestem architektem, nie dostałem jednak żadnego zlecenia od władz kościelnych. Obawiam się, że zamówień wystarczy mi przynajmniej na dwa lata, ale oczywiście chętnie rzucę okiem na ten dach i podzielę się z panią fachową opinią.

– Rozumiem – rzekła Mollie. Wskazała dłonią nieodległy fragment ulicy. – Kościół znajduje się kilkaset metrów dalej. Proszę do nas dołączyć, bo właśnie tam idziemy. Można zapytać, co pana sprowadza?

Mężczyzna zrównał z nimi krok.

– W kościele przebywa moja córka. Rozdzieliliśmy się tamtej nocy, gdy wybuchł pożar.

– A więc to pan jest ojcem Sophie? Pan Durant? – spytała Mollie z nutką nadziei w głosie.

– Tak, a dlaczego...? Czyżbym rozmawiał z panną Knox?

Mollie nic nie odpowiedziała. W zamian objęła nieznajomego mężczyznę i uściskała ze wszystkich sił. Dzięki Bogu, że Sophie nie została sierotą!

Dostojny pan wyglądał na zaskoczonego jej wylewnością, jednak Mollie wskutek ostatnich wydarzeń zatraciła nieco wyczucie. Architekt poklepał ją niezręcznie po

ramieniu.

– Tak, no cóż... Pragnę pani podziękować za opiekę nad moją córką. Widzę, że trafiła w dobre ręce.

Mollie przedstawiła mu Franka i opowiedziała, jak znaleźli Sophie na schodach pensjonatu w samym sercu pożaru. Kiedy ruszyli całą trójką do kościoła, pan Durant wyjaśnił, co się właściwie stało tamtej nocy:

– Mamy z żoną dwóch synów, bliźniaków. Każde z nas niosło w ramionach dziecko, Sophie zaś trzymała się brzegu mojej kurtki, gdy przedzieraliśmy się na północ. Nagle zostaliśmy rozdzieleni, ale zanim się zorientowałem, jej już nie było. Tylko tłok i żar, i okropny hałas.

Mollie skinęła głową. Wiedziała, że ryk ognia oraz niekończące się bicie dzwonów będą ją prześladować do końca życia. Z łatwością potrafiła zrozumieć, iż w takich warunkach płacz Sophie mógł nie dotrzeć do uszu rodziców.

– Cieszę się, że zobaczyli państwo nasze ogłoszenie w gazecie – rzekła Mollie. – Czy są państwo w stanie zabrać Sophie w bezpieczne miejsce? Zrujnowany kościół to niezbyt odpowiednie lokum dla małej dziewczynki.

Pan Durant przytaknął.

– Straciliśmy dom, ale mój brat mieszka w pięknej rezydencji na Prairie Avenue. Zatrzymaliśmy się u niego. Żona powoli dochodzi do siebie i lada dzień będzie w stanie zająć się Sophie.

Mollie spojrzała na mężczyznę badawczo.

– Sophie czuje się dobrze. Czy pańska żona została ranna?

Pan Durant zawahał się, nim odpowiedział.

– Charlotte to osoba o kruchej psychice – wyznał w końcu. – Niestety pożar mocno ją nadwyrężył, a opieka nad dwoma chłopcami to nie lada wyzwanie. Nad Sophie oczywiście też. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo się ucieszyliśmy, widząc w gazecie to ogłoszenie... Ale moja żona doznała niemalże załamania nerwowego na myśl, że będzie musiała, obok wszystkiego innego, radzić sobie także z córką. A ponieważ jesteśmy cały czas gośćmi u mojego brata, musieliśmy zyskać pewność, że Charlotte podoła opiece nad Sophie, zanim weźmiemy ją do siebie. Biedna Charlotte była zdruzgotana myślą o Sophie uczepionej jej spódnicy.

Mollie była oszołomiona. Po minie Franka odgadła, że on także nie wierzył własnym uszom.

– Bardziej zdruzgotana niż dziesięciolatka, która w wyniku pożaru straciła dom i bliskich? – zapytał.

Na twarzy pana Duranta wykwitł rumieniec.

– Jestem państwu winien wdzięczność za opiekę nad Sophie – powtórzył sztywno. – Dzięki Bogu, znalazła się pod skrzydłami człowieka obdarzonego głębokim zmysłem moralnym, którego ja najwidoczniej zostałem pozbawiony. I chociaż z przyjemnością oddałbym się dalszej dyskusji na temat tego, które z własnych dzieci należy szczególnie chronić w sytuacji zagrożenia życia, muszę tutaj postawić kropkę, gdyż moja rozłąka z córką trwa już zdecydowanie zbyt długo.

Słowa pana Duranta nie zdołały zbić Franka z pantałyku. Oczy starego adwokata nabrały wyjątkowo nieprzejednanego wyrazu, gdy wszyscy troje zbliżali się w ciszy do kościoła. Niechęć między dwoma mężczyznami zawisła w powietrzu, lecz nagle wszystko to straciło znaczenie: znaleźli się obok kościelnych ruin, a Sophie zobaczyła ich ze swojego kąta podwórka, gdzie zbierała cegły.

– Tatuś! – zapiszczała. Biegając przez podwórze, wyglądała jak mała zielona kulka z flaneli.

Pan Durant pochylił się, aby córeczka mogła wpaść w jego otwarte ramiona. Nieufność Mollie względem niego rozwiała się w momencie, gdy usłyszała serdeczny śmiech, z jakim kołysał dziewczynkę na swojej piersi.

Radość Sophie nie trwała jednak długo.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Codziennie szukałam waszego ogłoszenia w gazecie, ale nic nie znalazłam. – Mollie aż zaparło dech na widok dziewczynki bijącej ojca z całej siły po ramieniu. – Nie mogłam was znaleźć i przez tyle dni siedziałam w tym okropnym kościele...

Pan Durant starał się osłonić przed drobnymi piąstkami.

– Już, już, koteczku. Moja mała księżniczko. Tatuś już tu jest. W drodze do domu kupi ci ładną lalkę. Chcesz?

Znowu go zdzieliła.

– Nie chcę lalki, chcę nowe ubranie. I szczeniaczka. I kurczaka z rożna i ciastko

truskawkowe, i gorącą czekoladę.

Ludzie na ulicy przerwali sortowanie cegieł, zaciekawieni, jak też ów dystyngowany mężczyzna poradzi sobie z taką lawiną próśb. Ojciec Sophie wstał i chwycił córkę za rękę.

– W drodze do domu zahaczmy o cukiernię.

Rozejrzał się wokół, aż wreszcie spostrzegł Mollie.

– Jeszcze raz dziękuję za zajęcie się Sophie. Jestem pani dłużnikiem, panno Knox. Mieszkam u brata na Prairie Avenue. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała... czegokolwiek... proszę pamiętać o istnieniu Raymonda Duranta. – Wyjął z kieszeni skrawek papieru. – Tu ma pani nasz aktualny adres.

Mollie kiwnęła głową. Żegnała dziewczynkę ze sporą dozą ulgi, a jednak ta chwila miała dla niej jakiś dziwny, słodko-gorzki posmak. Odejście Sophie to koniec pewnego rozdziału. Kolejne osoby zaczną opuszczać kościół w nadchodzących dniach, a zatem ów straszny i piękny zarazem okres jej życia niebawem dobiegnie kresu.

≈

Nieco później tego samego dnia nieoczekiwanie dotarła do miasta zagubiona torba państwa Kazmarków. Tęgi pracownik kolei rzucił ją na kościelną podłogę, wzbijając przy okazji tumany kurzu.

– Leżała zagrzebana pod beczkami ogórków.

Mollie potrzebowała pomocy silnego mężczyzny, aby dotaszczyć pakunek do domu jego właścicieli, znajdującego się za rzeką. Oczywiście Frank i Ulysses nie wchodzili w grę. Declan gdzieś się zapodział. To oznaczało, że na ratunek mógł jej przyjść jedynie Andrew Buchanan – dentysta, producent poduszek i świeżo upieczony akuszer.

– Mój stomatologiczny interes nie rozwija się tak świetnie, jak zakładałem – przyznał, kiedy wyruszali na czterokilometrowy spacer. Doktor Buchanan umieścił przed kościołem tablicę ogłoszeniową już dwanaście dni temu, na razie jednak nie zgłosił się do niego ani jeden pacjent.

Frank zażartował, że powinni wystawić rachunek rodzicom Sophie za kopniaka w zęby, jakim było niańczenie dziewczynki przez okrągły tydzień.

Doktor Buchanan kręcił węża, podążając obok Mollie.

– Faktycznie, przydałby mi się dochód z tego tytułu – przyznał. – Wygląda na to,

że z ubezpieczenia nici, a jeszcze nie spłaciłem długów zaciągniętych na otwarcie prywatnej praktyki.

Doktor opowiedział im historię swojego życia pewnego wieczoru, gdy całą grupą ogrzewali ręce przy piecyku. Jako dziesięcioletek został sierotą i nie miał żadnych krewnych, lecz zlitowała się nad nim sąsiadka, pozwalając mu sypiać pod swoimi schodami. W ciągu dnia wyrabiał poduszki, nocami zaś uczył się przy świecach, marząc o karierze dentysty. W wieku trzydziestu lat zebrał wreszcie pieniądze na studia. A teraz, po tych wieloletnich wyrzeczeniach, jego raczkująca praktyka stanęła pod wielkim znakiem zapytania z powodu pożaru. Miał obecnie tylko to, co nosił na grzbiecie, oraz torbę ze sprzętem medycznym.

Kiedy zbliżali się już do rezydencji Zacka, Mollie poczuła przypływ podniecenia.

– Chwileczkę! – krzyknęła, poprawiając ubranie i przeczesując dłonią włosy. Ponieważ wiedziała, że Zack nie znosi warkoczy, jeszcze w kościele rozpuściła włosy, spinając je tylko jedną klamerką w okolicach karku. W trakcie marszu jej fryzura zaczęła żyć własnym życiem i rozpląwać się na wszystkie strony.

Pani Kazmarek rozpromieniła się na jej widok.

– Pięknie wyglądasz – powiedziała, przyglądając się z aprobatą swobodnie falującym lokom dziewczyny. W następnej chwili dostrzegła sponiewieraną torbę ze skóry spoczywającą w rękach doktora Buchanana. – Moja praca! – zawołała, splatając dłonie. Łzy wypełniły jej oczy, gdy uklękła, aby dotknąć zabrudzonego materiału.

Mollie chciała się tylko dowiedzieć, czy zastała Zacka w domu. Jakby czytając w jej myślach, pani Kazmarek wstała z klęczek i klepnęła ją w ramię.

– Biedny Zachariasz będzie sobie pluł w brodę, kiedy usłyszy, że ominęła go twoja wizyta.

Mollie poczuła, jak niebo spada jej na głowę.

– A więc nie ma go tutaj? – Na litość boską, była sobota. Gdzie on się podziewał?

Pani Kazmarek siłą wepchnęła ich do środka i zaprowadziła do jadalni – jedyne pomieszczenia wolnego od stosów pudeł, książek i dokumentów. Podsunęła im krzesła i nakazała usiąść.

– Musi się szybko uporać z tymi nowojorskimi firmami ubezpieczeniowymi. Boi się, że ogłosi bankructwo, zanim zdąży wnieść pisma o wypłatę odszkodowań, więc pracuje teraz siedem dni w tygodniu.

– Rozumiem – rzekła Mollie. Pani Kazmarek otworzyła torbę i zaczęła z niej wyjmować stosy kartek, przeglądając pobieżnie każdą partię przed odłożeniem jej na stół. Na twarzy starszej kobiety odbijała się przedziwna mieszanka ulgi, zachwytu i dumy, gdy składała na papierze pośpieszne pocałunki.

– Jeśli można zapytać... – zaczęła nieśmiało Mollie. – Co to właściwie są za dokumenty?

Pani Kazmarek pogładziła dłonią jeden z plików, smutniejąc.

– W tych torbach jest nasza historia. Historia polskiego narodu.

Mollie z zaskoczeniem uniosła brwi. Mama Zacka wstała i wyszła z jadalni. Po chwili wróciła z oprawioną w ramkę fotografią, która zazwyczaj zdobiła stolik w holu.

– Oto zdjęcie moich rodziców – rzekła. – Widzicie, jaki chudy był mój ojciec? Jakie skromne ubranie nosił? To dlatego, że przez dwa lata służył przymusowo w rosyjskiej armii, zanim zdołał stamtąd uciec. Przez całe dziesięciolecia szykanowano Polaków. Zabierano im ziemię, konfiskowano majątki. Rosja, Prusy i Austria podzieliły nasz kraj między siebie i dlatego nie znajdziecie teraz Polski na mapie Europy.

Mollie sporo wiedziała o Polsce. Nie było takiej możliwości, żeby mieszkać w Chicago i nie zauważyć napływu kolejnych fal polskich imigrantów.

– Męczymy się nawet tutaj, w Ameryce – kontynuowała pani Kazmarek. – Ludzi śmieszy nasz akcent i nasza kultura, lecz Polacy nie dadzą się stłamsić. Nie zrezygnujemy z kultywowania pamięci o przodkach. Postanowiłam więc przyczynić się do ocalenia naszej wielkiej i wspaniałej historii. – Smutek zniknął z twarzy Joanny Kazmarek, a ona sama stała się nagle wcieleniem piękna i siły. – W polskich dziejach był także złoty wiek – powiedziała głosem wibrującym dumą. – Czas, kiedy mieszkańcy całej Europy przyjeżdżali, by studiować na naszych uniwersytetach oraz korzystać z bogactwa naszych ziem. I choć teraz rozjeżdżamy się po świecie, nadal musimy o tym pamiętać.

Zacisnęła usta.

– Zachariasz nie ma do tego wszystkiego głowy. Polska go nie interesuje. Nie udało nam się nawet nauczyć go języka! Ale kiedy ja albo Józef spotykamy tutaj Polaków, uważnie słuchamy ich wspomnień i spisujemy je dla potomności.

Przez uchylone drzwi Mollie mogła zobaczyć skrawek kolejnego pokoju, wypełnionego papierami, książkami i fotografiami.

– Czy właśnie te pamiątki leżą w salonie?

Joanna skinęła głową.

– To morze opowieści. A tutaj mam książkę – rzekła, gładząc z czułością leżący przed nią stos papierów. – Czytam wszystko, co dostarczają mi polscy imigranci, a kiedy znajduję coś naprawdę niezwykłego, przepisuję to na niniejsze karty. Pewnego dnia wydam książkę, aby cały świat mógł się o nas dowiedzieć. Bo jaką wartość ma nasza praca, jeśli na razie służy wyłącznie do zagracania tego domu od podłogi aż po sufit? Napiszę książkę i zadbam, by dotarła do wszystkich bibliotek w kraju. Wspomnienia polskiego narodu nie mogą zostać pogrzebane. Będę je chronić i pielęgnować, aż wreszcie zalśni pełnym blaskiem niczym diament w ciemności.

Mollie była pod wrażeniem determinacji tej kobiety, jednak reakcja doktora Buchanana zdumiała ją jeszcze bardziej. Był na skraju płaczu.

– Szkoda, że nie spotkałem wcześniej kogoś takiego jak pani – powiedział. – Nie wiem absolutnie nic na temat swojego pochodzenia. Straciłem rodziców, nim zdołałem im zadać podstawowe pytania. Jakie to w ogóle nazwisko, Buchanan? Niemieckie? Irlandzkie? Nawet tego się nie dowiedziałem. Wiem tylko tyle, że urodziłem się i wychowałem na Union Avenue, która zresztą kilka dni temu spłonęła. Żadnej przeszłości, żadnej przyszłości.

Pani Kazmarek podniosła się nad stołem i szturchnęła go w ramię.

– Może pan zostać Polakiem – oświadczyła. – Dam wam dobrych, gorących flaków. To będzie wasz pierwszy krok na drodze do polskości.

Pięć minut później Mollie i doktor Buchanan mieli już przed sobą miski parującej zupy. Mollie rozpoznawała kawałki marchwi i selera, nie była jednak pewna co do rodzaju mięsa, które czyniło tę potrawę tak treściwą. Błyskawicznie pochłonęła swoją porcję, nawet jeśli w normalnych okolicznościach nie uznałaby tego dania za szczególnie apetyczne.

W przeciwieństwie do niej doktor Buchanan delektował się każdą łyżką.

– Musi mi pani pokazać, jak się przyrządza te flaki – rzekł. – Teraz, kiedy już raz ich spróbowałem, będą za mną chodzić do końca życia. Co to właściwie za potrawa?

– Nie chciałby pan wiedzieć – odparła tajemniczo starsza kobieta.

– Owszem, chciałbym. Była przepyszna. – Doktor przechylił talerz, aby pochłonąć ostatnią kroplę.

Pani Kazmarek skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na rozmówcę ze smutnym uśmiechem.

– Doktorze Buchanan, jestem starsza i mądrzejsza niż wy oboje razem wzięci, więc powinniście mi czasem zaufać. Naprawdę nie chcielibyście tego wiedzieć.

Mężczyzna wzruszył ramionami, skwapliwie korzystając ze sposobności otrzymania dokładki. Kiedy pani Kazmarek udała się do kuchni po nową porcję flaków dla niego, Mollie przyjrzała się nieco uważniej domowi Zacka. Zazwyczaj lokum mówiło całkiem sporo o swoim właścicielu, ale akurat w tym przypadku trudno było cokolwiek wywnioskować. Pomieszczenia na dole zawłaszczyła historyczna misja pani Kazmarek. Z wyjątkiem jadalni – ta pozostała wolna od dokumentów. Mieścił się w niej jedynie stół z czterema krzesłami oraz ów ujmujący portret dziewczyny w ogrodzie, podziwiany przez Mollie w trakcie pierwszej wizyty w tym domu.

Mama Zacka postawiła miskę przed doktorem, następnie zaś przyjrzała się Mollie.

– Znów zerkasz na Moneta – odezwała się przyzwalającym tonem. – Zachariasz straszliwie za niego przepłacił, ale uparł się, by go mieć.

Doktor Buchanan odwrócił się na krześle, aby również spojrzeć na płótno.

– Hej, Mollie, ona wygląda całkiem jak ty.

Uważnie przyjrzała się obrazowi. Przedstawiał młodą kobietę z kaskadą czarnych loków wijących się na plecach, tutaj jednak podobieństwa się kończyły. Modelka stała na zielonej łące upstrzonej plamami słońca i trzymała coś ostrożnie w dłoniach. Mollie uniosła głowę, by lepiej widzieć.

– Zegarek – wyjaśniła mama Zacka. – Trzyma w rękach złoty zegarek.

Mollie zdołała wydusić z siebie jedynie krótkie „och!”. Doktor znowu zajął się polskim jądłem, zaś pani Kazmarek nadal obrzucała dziewczynę wzrokiem pełnym oczekiwania. Chyba nie myślała, że osoba z płótna naprawdę wygląda jak ona?

Tak wielu rzeczy na temat Zacka wciąż nie wiedziała. Do niedawna był dla niej tylko człowiekiem w białych koszulach, przedstawiającym listę reguł, jakich należało przestrzegać. Teraz myślała o nim raczej jako o mężczyźnie ratującym ją z opresji, przynoszącym z pracy na weekendy klatkę z ptaszkiem i płacącym horrendalne sumy za portrety anonimowych dziewcząt z zegarkami.

– Zack nie sprawia wrażenia kogoś, kto roztkliwiałby się nad dziełem sztuki –

powiedziała.

Uśmiech pani Kazmarek stanowił ciekawe połączenie miłości i bólu.

– On bardzo się troszczy o ważne dla siebie kobiety – zapewniła. – Wie pani, w jaki sposób nabawił się tej szpary między zębami?

W miarę rozwoju opowieści Mollie coraz mocniej dokuczało klucie w sercu. Kiedy Zack był mały, jego matka pracowała jako pracznica w pensjonacie nieopodal portu. Przez sześć dni w tygodniu pompowała wodę ze studni i wykonywała najcięższe zadania w różnych częściach budynku, zanim mogła wyruszyć w pięciokilometrową drogę powrotną do domu. Pewnego razu na trasie przyuważył ją gang irlandzkich wyrostków. Od tej pory dzień w dzień ciągnęli się za nią, podśpiewując nieobyczajne słowa na melodię polki i usiłując wyprowadzić ją tym z równowagi. Czasami kończyło się tylko na wulgarnych odzywkach, nierzadko jednak ciskali w nią leżącymi na ulicy śmieciami albo nawet szarpali za spódnicę. Zawsze ich ignorowała. Kiedy jednak Zack dowiedział się o całej sprawie, wziął ze sobą dwóch innych polskich chłopców i razem wyszli Irlandczykom na spotkanie. Ich było trzech, tamtych zaś pięciu, w dodatku nieco starszych od Zacka i jego kolegów. Młody Kazmarek miał wtedy zaledwie czternaście lat. Bijatyka przybrała kiepski obrót. Matka chłopca o mało nie zemdląła, kiedy ten został przyniesiony do domu z dwoma złamanymi żebrami i nadkruszonym zębem. Ale po tamtym incydencie irlandzcy chuligani dali jej wreszcie spokój.

Owa historia potwierdzała jedynie to, czego Mollie od dawna się domyślała. Pod błyszczącym pancerzem człowieka sukcesu Zack skrywał naturę dziką i wojowniczą, gotową naprawiać całe zło świata i ochraniać bezbronne kobiety. Czyż nie czuwał nad nią w trakcie pożaru, usiłując znaleźć dla towarzyszki kryjówkę kosztem własnego bezpieczeństwa?

Ostrzeżenia Franka nie miały żadnych podstaw. Mollie rozumiała, że stary druh ojca pragnie ją ochraniać niczym lew. Ona jednak zaczynała poznawać Zacka od takiej strony, która dla Franka nigdy nie stanie się dostępna.

≈
„Dzięki Bogu za te pierogi, które przynosi Zack” – pomyślała Mollie, wkładając buty.

W minionym tygodniu zaczęło ją dręczyć poczucie winy, że sama tak dobrze jada, podczas gdy ludzie w okolicy żywią się wyłącznie chlebem i jabłkami. Idąc za głosem impulsu, trzy dni temu zaniosiła część pierogów niemieckim imigrantom koczującym w spalonym budynku poczty.

Okazało się, że hojność popłaca: dziś rano pani Schneider przysłała jej donieść

o wolnej przestrzeni biurowej do wynajęcia. Ludzie zajmujący strych nad browarem postanowili przenieść się do Saint Louis i tym samym zwolnić lokal. Należało jednak działać szybko, bo chętnych na wynajem wcale w mieście nie ubywało.

Kiedy Mollie podniosła się na nogi, Declan oświadczył, że chce jej towarzyszyć.

– Na ulicach nie jest bezpiecznie – powiedział.

Przestępczość zaczynała być coraz poważniejszym problemem w miarę opadania uroczystego nastroju, jakiego mieszkańcy Chicago doświadczyli tuż po katastrofie. Głód i rozpacz przejmowały władanie nad umysłami, a gangi rzeźmieszków grasowały po zrujnowanych ulicach. Burmistrz zwrócił się do generała Philipa Sheridana, jednego z najznakomitszych obywateli, o pomoc w przywróceniu publicznego porządku. Chicago zostało objęte stanem wyjątkowym: poszczególne dzielnice patrolowały grupki żołnierzy starające się przeciwdziałać aktom przemocy i wandalizmu, lecz sytuacja okazywała się coraz trudniejsza do opanowania.

Nerwy Declana rozgrzewały się do czerwoności, kiedy tylko odczuwał zagrożenie z czyjejkolwiek strony, więc Mollie powątpiewała w jego wartość jako obrońcy. Mimo to uroczyście skinęła głową.

– Będę zobowiązana – powiedziała, po czym energicznym krokiem wyszli z kościoła.

Poczuła przyływ adrenaliny, kiedy dojeżdżali tramwajem w okolice browaru. Na każdym przystanku zgrzytała zębami, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego pasażerowie tak okropnie się ociągają z wsiadaniem i wysiadaniem. Zmarszczyła brwi, widząc mężczyznę, który wnosił do środka sześć małych klatek z kurczakami. Obawiała się, że nie dotrą na miejsce wystarczająco szybko.

Declan wyczuł jej niepokój.

– Co zrobimy, jeśli okaże się, że ktoś już wynajął ten lokal?

– Nie wiem – odparła cicho.

Declan wyduł wargi i skrzyżował ręce na piersiach. Dłonie mu drżały, nie chciał jednak, aby Mollie to zauważyła.

– Szkoda, że nie mogę po prostu pstryknąć palcami i rozwiązać tego problemu raz na zawsze – powiedział. – Zamiast tego jestem dla ciebie ciężarem. Jak zawsze.

– Bzdura.

– W czasie wojny pułkownik Lowe zawsze wiedział, co należy zrobić. Kiedy maszerowaliśmy przez Virginię, okoliczni mieszkańcy szydzili z nas i życzyli nam śmierci. Ale pułkownik potrafił na przykład owinąć sobie wokół palca żonę burmistrza albo zaoferować pomoc przy żniwach. Wiedział, jak zjednać sobie ludzką życzliwość. Nieustannie ratował nas z kłopotów.

Mollie westchnęła.

– Declanie, nie wolno ci się porównywać z pułkownikiem Lowe'em.

Na przestrzeni lat zdążyła się sporo nasłuchać o sławnym dowódcy 57. pułku piechoty. Zwłaszcza od Declana, który darzył dawnego przełożonego wręcz boską czcią. Ona sama nigdy nie poznała pułkownika Lowe'a, ale to musiał być ktoś, kto chodził po wodzie – tak przynajmniej wynikało z podziwu, jakim darzyli go Declan, Ulysses, a nawet jej ojciec.

– Nic na to nie poradzę – przyznał. – Kiedy nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, zadaję sobie pytanie, co na moim miejscu zrobiłby Lowe. On zawsze zachowywał pewność siebie. Nawet tamtego dnia, gdy staliśmy nad urwiskiem i patrzyliśmy śmierci w oczy. A ja oczywiście okazałem się tchórzem – szepnął. – Nawet dzisiaj zrywam się na równe nogi, kiedy ktoś nieco głośniej trzaśnie drzwiami. – Spojrzał na nią z bólem w oczach. – Wiem, że w pobliżu nie czai się żaden strzelec ani żadna armata gotowa do wybuchu, lecz te obrazy nękają mnie codziennie. Czyhają w każdym kącie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Strach przed śmiercią to coś całkowicie naturalnego – powiedziała. – Może gdybyś zajął się wraz z nami naprawą budynku kościoła, przestałbyś tonąć w ponurych myślach.

Tramwaj zatrzymał się na skrzyżowaniu 18th Street, gdzie miał swoją siedzibę browar, i Declan podniósł się z miejsca. Wskoczył pędem z wagonu, tak że Mollie musiała się pośpieszyć, aby go dogonić.

– Declanie... Nie chciałam cię obrazić. Próbowałam tylko pomóc. Być może pastor...

Zatrzymał się i spojrzał jej w twarz.

– Myślisz, że tego nie próbowałam, Mollie? – zapytał. – Siedzenie w kościele jest dla mnie wyjątkowo nieznośne. Gapię się na tych wszystkich ludzi stłoczonych w ławkach i od razu mam ochotę uciec. Boję się samotności, ale jeszcze bardziej przeraża

mnie tłum. – Odwrócił się i ruszył naprzód. – Ze mną nie da się już nic zrobić, Mollie – powiedział ponurym tonem. – Mam pękniętą duszę.

Niemal biegła, ledwo dotrzymując mu kroku.

– Twoja dusza nie jest pęknięta. Być może nie okazałeś się takim bohaterem jak pułkownik Lowe, lecz tego rodzaju odwaga przypada w udziale niewielu ludziom. Jeśli będziesz się do niego ciągle porównywał, popadniesz w kompleksy. To przecież bez sensu.

Dotarli już prawie do końca ulicy. Browar okazał się czteropiętrowym ceglanym budynkiem z dwoma kominami. Do drzwi frontowych wiodło kilkanaście nadkruszonych schodów.

– Chyba dobrze trafiliśmy – mruknął Declan.

Miał słuszość. Mollie czuła jednak, że przed chwilą wydarzyło się coś bardzo ważnego. Przyjaciel zmagał się ze swoimi demonami od lat, a teraz wreszcie zdecydował się przed nią otworzyć. Przynajmniej w niewielkim stopniu.

– Declanie, jesteś dokładnie taki, jak oczekuje tego od ciebie Bóg. Ni mniej, ni więcej. Jeśli chcesz, znajdziemy jakieś ustronne miejsce i wyjaśnisz mi, w czym rzecz. Naprawdę chciałabym ci pomóc.

Przymknął powieki.

– Mollie, możesz przestać? Proszę cię.

Ręce znowu mu drżały, ona zaś poczuła, jak serce jej krwawi. Pomijanie milczeniem cierpienia Declana niczego nie ułatwiało, lecz wyglądało na to, że rozmowa o tym jeszcze bardziej pogarsza sprawę.

Jakiś barczysty mężczyzna wchodził po schodach w towarzystwie równie tęgiej kobiety. Zadudnił do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Po drugiej stronie stał pracownik w poplamionym fartuchu.

– Podobno mają państwo strych do wynajęcia – zaczął olbrzym. W rękach trzymał zwitek banknotów. – Jestem garbarzem i chciałbym tu otworzyć zakład. Natychmiast. Płacę gotówką.

Mollie zamarła. Podczas gdy ona i Declan sprzecjali się na chodniku, tamta para ubiegła ich i wynajmowała być może ostatni sensowny lokal w mieście. A sądząc po rozmiarze owego pliku banknotów, nie zdołałaby przebić oferty nieznanego.

Piwowar skinął głową.

– Skoro pan ma gotówkę, ja mam lokal.

Declan wdrapał się błyskawicznie po stopniach, stając obok garbarza.

– My też mamy gotówkę – zapewnił. – I jesteśmy lepsi od niego.

Mollie zaczęły się pocić dłonie. To nie mogło się dobrze skończyć. Wielkolud wyprężył okazałą pierś i postąpił krok w kierunku Declana, niemal spychając go z wąskiego podestu.

– Wynoś się – warknął. – Byliśmy pierwsi.

Declan stał twardo na miejscu i patrzył piwowarowi w oczy.

– Zapłacimy, ile pan zechce – powiedział. – A dodatkowo usunę rdzę z tych rur po prawej stronie budynku. – Znalazłszy się znowu na chodniku, Declan wskazał rdzę wgryzającą się w rury na dachu. – Jeśli szybko czegoś z tym nie zrobicie, cała instalacja wysiądzie przy pierwszej śnieżycy.

Piwowar spojrział na niego zaskoczony.

– Zna się pan na rurach?

– Jesteśmy zegarmistrzami, więc przez cały czas pracujemy z metalem – rzekł Declan. – Nie znajdą państwo lepszych najemców. – Jego rysy stężały. – A zegarki nie cuchną, w przeciwieństwie do garbowanych skór.

– Hej! – wrzasnął konkurent.

Ale piwowar nie miał problemu z podjęciem decyzji. Mollie wstrzymywała oddech, gdy prowadził ją wąską klatką schodową na przestronny strych, starannie uprzątnięty i dobrze oświetlony dzięki kilku niewielkim okienkom. Mollie z chęcią przystała na zaproponowaną cenę, po czym szybko podpisała umowę.

A zatem niedługo będzie mogła znowu podjąć pracę! Całe jej ciało drżało z podniecenia, kiedy wracali z Declanem na przystanek. Zerknęła na przyjaciela.

– Jak wpadłeś na ten pomysł z naprawieniem rur?

Declan wyglądał na odrobinę zakłopotanego.

– Wyobraziłem sobie, co pułkownik Lowe zrobiłby na moim miejscu. Zadziałało.

Mollie roześmiała się.

– A więc dzisiaj wieczorem wzniesiemy toast za pułkownika Lowe’a!

XII

– Mieliście płacić za cegły po sześć dolarów, nie po pięć.

Mollie usiłowała mówić bez pretensji w głosie, choć przychodziło jej to z trudem. Przedzieranie się przez tony gruzu w poszukiwaniu tych kilku cegiełek zdatnych do ponownego wykorzystania przyprawiało ją o bóle pleców i kostki zdarte do krwi, nie mówiąc o uciążliwościach wynikających z wiszącego w powietrzu pyłu.

– Panienko, czasy są ciężkie, a ja muszę prowadzić interes. Albo się pani decyduje, albo nie. – Głos męczyzny był wysoki, twardy i niemiły. W mieście zaczęły dominować kiepskie nastroje, a początkowy entuzjazm dla odbudowy metropolii zdążył już niemal całkowicie wyparować z serc i umysłów. Coraz częściej dochodziło do bójek i rozbojów dokonywanych pod osłoną nocy.

Po raz pierwszy w życiu Mollie rozumiała, co oznacza walka o każdego centa. Piwowar, od którego wynajęła lokal, oczekiwał od niej zapłaty czterystu dolarów w ciągu tygodnia, a ona nie miała pojęcia, skąd wytrzasnąć taką kwotę. Całym sercem pragnęła przywrócić firmę do życia. W takich okolicznościach myśl o tym, że ktoś mógłby ją oszukać, wydawała się naprawdę okropna.

Nie musiała oczywiście sprzedawać cegieł akurat temu człowiekowi. Zawsze istniała nadzieja na otrzymanie lepszej oferty od kogoś innego. Z drugiej strony zachodziła realna obawa, że chuligani ukradną jej drogocenny towar, gdy będzie spała... a sen miał dla niej teraz równie wielką wartość jak pieniądze. Koszmary o pożarze nękały ją niemal co noc, nie mogła sobie zatem fundować kolejnego powodu do zgryzoty.

– Znakomicie – powiedziała, wyciągając rękę po zapłatę.

Poza tym trzymała pod gorsetem coś znacznie bardziej wartościowego. Rozmowy z Zackiem na temat aktu własności przypominały igranie z ogniem, ale ten dokument miał przecież jakąś wartość. Ignorując ją, okazałaby się idiotką. Wszyscy wiedzieli, że Hartman zamierza odbudować swój sklep w tym samym miejscu – w istocie jednak nie miał prawa tego zrobić, dopóki ona dzierżyła w ręku ów papier. Teraz, kiedy wiedziała już, że otrzyma od ubezpieczyciela rażąco niskie odszkodowanie, akt własności ziemi stanowił ostatnią deskę ratunku dla niej samej oraz dla jej zegarkowego biznesu.

Nadeszła pora, aby znaleźć Zacka i wspólnie coś postanowić. Był to ostatni człowiek w Chicago, z którym chciałyby się targować. Miał opinię wytrawnego negocjatora, więc stawienie mu czoła pod nieobecność Franka można by porównać do pójścia na wojnę bez broni. Frank wdałby się jednak od razu w kłótnię. Obaj sprawiali wrażenie biologicznie niezdolnych do dzielenia jednego pomieszczenia bez waśni, więc

Mollie wołała nie prowokować takich sytuacji i załatwić rzecz po swojemu.

Usiadła na stopniach wiodących do kościoła, przeczesując palcami włosy. Niezależnie od swojego zdenerwowania, w skrytości ducha cieszyła się na kolejne spotkanie z Zackiem. Pamiętała oczywiście, że on uwielbia jej włosy, pozwoliła im zatem spływać swobodnie po plecach. Czowała przy tym jakąś niewytłumaczalną dumę.

Podczas długiego spaceru do jego biura, mieszczącego się aktualnie w chińskiej pralni, układała sobie w głowie szczegółową argumentację. Gdyby poszła do niego całkowicie nieprzygotowana, po dwóch minutach przyparłby ją do muru.

Przechadzka po spalonej części miasta zajęła jej niemal godzinę, musiała bowiem bezustannie lawirować między stertami gruzu urastającymi do niebotycznych rozmiarów. Jako że zdecydowana większość budynków uległa zniszczeniu, o niedawnym istnieniu ulic przypominały jedynie dziwnie poskręcane pozostałości latarni ulicznych. Wykonane ze stali słupy zaczęły się topić pod wpływem ognia, zaś ciężar zawieszonych na nich lamp sprawił, że jeden po drugim schylały się ku ziemi. Patrząc na nie teraz, ludzie wciąż zachowywali w myślach grozę szalejącego pożaru.

Chińska pralnia cudem uniknęła zagłady. Gdy Mollie wkroczyła do środka, owładnęło ją ciepło bijące od kotłów. Wydała z siebie ciche westchnienie rozkoszy, czując, jak przenika ono jej zdrętwiałe członki. Roztarła sobie ręce, rozglądając się bacznie wokół. Dwie młode Chinki używały czegoś w rodzaju wioseł, aby zanurzać ubrania w wielkich kotłach. Na tyłach pomieszczenia dostrzegła Zacka siedzącego za prowizorycznym biurkiem.

Na jej widok poderwał się na równe nogi.

– Mollie!

Musiała przyznać sama przed sobą, że był przystojny. Z powodu panującej w pralni temperatury zdjął marynarkę i rozpiął górną część koszuli, odsłaniając opaloną szyję. Najbardziej zaskoczył ją jednak wyraz twarzy mężczyzny: szeroki uśmiech nadał jego rysom nieoczekiwanej łagodności, którą dodatkowo podkreślały roześmiane oczy. Mollie zrozumiała, że wyłuszczając swoją sprawę, zburzy za moment tę sielankową atmosferę i na powrót wprowadzi chaos do ich wzajemnych relacji.

– Witaj, Zack. Przyszłam porozmawiać o interesach.

Nawet z odległości tych kilku metrów, które ich dzieliły, zauważyła narastające w nim napięcie. Światło w jego oczach nieco przygasło, ton stał się zaś neutralny.

– Ach.

Podniosła obie ręce.

– Błagam, nie próbuj mnie zbyć byle czym. Chcę, żebyśmy omówili kwestię aktu własności ziemi jak dorośli ludzie. Dotąd nie zawsze nam się to udawało.

Zack przyniósł bez słowa krzesło stojące w kącie pokoju i postawił je obok biurka. Wskazał dłonią, by usiadła. Nawet w niedbałym stroju potrafił zniecka przybrać pozę owego niedostępnego Zacka Kazmarka, jakiego знаła przez ostatnie trzy lata.

– O czym więc chciałabyś porozmawiać, Mollie?

W jego tonie nie było nic wrogiego czy agresywnego. Przeciwnie: pobrzmiewała w nim niewymuszona, rzeczowa uprzejmość. Mimo to trzęsła się w duchu jak galareta. Nie chciała ryzykować ich przyjaźni dla głupiego świstka papieru, ale musiała przecież troszczyć się o byt Franka, Declana i pozostałych.

Odchrząknęła i wyszperała w pamięci pierwszy z obmyślonych wcześniej argumentów.

– Nie wiem, dlaczego mój ojciec przechowywał w kufrze ten dokument. Powiedziałaś, że Louis Hartman mu zapłacił, ale jeśli to prawda, akt własności nie powinien leżeć u nas. Chyba już nigdy nie rozwikłamy tej zagadki, chciałabym więc zawrzeć ugody. W ten sposób sprawa zostanie raz na zawsze zakończona.

– Zgadzam się.

– Po drugie... – nagle przerwała w pół słowa. – Zgadzasz się? – Przyjrzała mu się uważnie, myśląc, że to żart, ale sprawiał wrażenie niewzruszonego i poważnego.

– Nie mogę zaproponować ci ugody bez porozumienia z moim klientem, lecz pracuję nad tym.

– Naprawdę?

Zmarszczył czoło.

– Oczywiście, że tak! Masz mnie za idiotę?

Zapewnił ją, że starał się już odpowiednio usposobić Louisa i przekonać go do zawarcia ugody. Opóźnienia w pracy sądów mogły trwać latami, ale jeśli obie strony konfliktu wyrażały wolę osiągnięcia kompromisu, pojawiała się szansa na znaczne skrócenie procesu.

– Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei – ostrzegł Zack. – Louis potrafi wydać sto dolarów na butelkę szampana, ale jest także gotów wytoczyć sprawę każdemu, kogo posądza o kradzież choćby jednego centa. Nakłonienie go do ugody trochę potrwa.

Wtem spojrzenie Zacka spoczęło na jej niedopasowanej spódnicy i bluzce w kwiaty.

– Skoro znalazłaś się już w tej części miasta, skoczmy do mnie. Możesz sobie wybrać sypialnię i pożyczyć od mojej matki jakieś przyzwoite ubrania. Męczy mnie myśl, że ciągle gnieździsz się w kościele, podczas gdy ja mogę ci zaoferować porządny dach nad głową.

– Dobrze mi tam.

Zack nie chciał tego słuchać.

– Mollie, w tej spalonej ruderze nie jest bezpiecznie. Tabuny włóczęgów szwendają się po ulicach i wszczynają awantury. Na litość boską, ten kościół nie ma nawet drzwi frontowych!

– Słuchaj, to będzie głupio wyglądało, jeśli wprowadzę się do ciebie.

– Nie bądź idiotką. Masz na sobie jakieś szmaty i zdaje się, że od tygodni nie zmrużyłaś oka!

Jego głos przechodził w krzyk. Mollie zerknęła ukradkiem na dwie panie wyjmujące odzież z kotłów. Chłoneły oczywiście każde słowo z tej rozmowy.

– Moglibyśmy wyjść na zewnątrz? Robi się tu dla mnie za gorąco.

Odłożył trzymany w dłoni ołówek i wyszedł za nią na gwarną o tej porze ulicę.

– Mollie, nie możesz dłużej spać w kościele. Zbliża się zima.

Szła po zbitym z desek chodniku, szczelniej otulając się płaszczem z powodu zimna. Jak mogłaby mu wyjawic prawdziwy powód, dla którego nie chciała u niego zamieszkać? Ostrzeżenia Franka i Ulyssesa wciąż odbijały się echem w jej głowie. Frank Spencer należał do najmądrzejszych ludzi, jakich znała, i zapalał zdecydowaną niechęcią do Zacka Kazmarka już przy pierwszym spotkaniu.

Ale jeszcze bardziej niepokoił ją chyba ów obraz z dziewczyną na tle ogrodu. Jeśli podejrzenia Mollie miały się okazać prawdą, jak mogłaby choć pomyśleć o zamieszkaniu

w jego domu? Zrobiła pauzę i spojrzała mu w oczy.

– Zack, w twojej jadalni wisi pewien obraz.

Zesztywniał. Ostatnie zdanie wprawiło go w ledwie uchwytne stan napięcia.

– No i...?

Mollie zawahała się, szukając odpowiednich słów.

– Doktor Buchanan zauważył, że tamta kobieta przypomina mnie – wypaliła.

– Zgadzam się.

Czekała na dalszy ciąg, który jednak nie nastąpił.

– I tyle? Zgadzasz się? – Przechodnie sunący chodnikiem nieustannie ją potracali, a chłopiec, który sprzedawał jajka, zakłócał bieg jej myśli. Zack pociągnął ją na pobliskie podwórze, gdzie wreszcie mogli odpocząć od zgiełku. Maskując zdenerwowanie, kopał lekko marmurową donicę z kwiatami.

– Ten obraz przedstawia ładną dziewczynę trzymającą zegarek – powiedział miękko. – Nie istnieje nic bardziej praktycznego niż zegarki, a ja podziwiam zegarmistrzów, tę ich umiejętność łączenia w harmonijną całość setek malutkich części. Kiedy jeden element zaczyna szwankować, strajkuje cały mechanizm.

Zaskoczyło ją, że poświęcał tej materii tyle uwagi. Tamtego dnia, gdy odwiedził ich warsztat, wydawał się zupełnie niezainteresowany – Mollie zdążyła się już jednak nauczyć, że Zack osiągnął mistrzostwo świata w ukrywaniu własnych intencji. Wciąż nie przestawał mówić, ona zaś musiała się pochylić, aby lepiej słyszeć jego coraz cichszy i coraz smutniejszy monolog:

– Kiedy byłem chłopcem, patrzyłem codziennie, jak dwoje ludzi, których kocham ponad wszystko w świecie, trwoni czas na walkę z wiatrakami – powiedział. – Do końca swoich dni rodzice będą zabiegać o wskrzeszenie polskiego państwa, i przegrają. Kiedyś mój ojciec zaoszczędził sześćset dolarów, podejmując się dodatkowego zajęcia: transportował beton. Zadanie było bardzo ciężkie i czasochłonne. Całą uzbieraną w ten sposób kwotę przekazał pewnemu polskiemu prawnikowi, który obiecał, że powstrzyma Rosjan przed wcielaniem polskich mężczyzn do armii. Tamten facet wziął od ojca pieniądze i nikt go już więcej nie widział. Staruszkowie nigdy nie przestaną inwestować swoich skromnych środków w tę niedorzeczną walkę. Nie potrafię ich powstrzymać. Próbowałem wiele razy.

Mgiełka bólu zasnuła jego czarne oczy, ale dało się w nich dostrzec także odrobinę nadziei, gdy tak stał, zapatrzony w dal.

– W ich determinacji jest jakieś piękne szaleństwo – ciągnął. – Działają pod wpływem impulsu, bez żadnego planu. Nigdy nie staną się nikim więcej niż marzycielami porywającymi się z motyką na słońce. – Odwrócił się, mogła zatem spojrzeć mu prosto w twarz. – Podobne szaleństwo widzę w tobie, choć ma ono inny charakter. Produkujesz najpiękniejsze i najbardziej niepraktyczne zegarki w tej części świata, ale robiąc to, prowadzisz interes, który może wyżywić czterdzieści rodzin. W twoim warsztacie znalazło się miejsce dla człowieka o drżących dłoniach oraz dla niewidomego adwokata. Idziesz naprzód nie dzięki zegarkom, lecz dzięki poczuciu odpowiedzialności za los tych ludzi.

Serce Mollie zabiło mocniej wskutek przyływu skrajnych emocji: radości zmieszanej z bólem. Jak on świetnie ją rozumiał! To było niczym wchodzenie do wanny z gorącą wodą – rozkoszne i odprężające.

Na twarzy Zacka odbiła się nagle ciekawość.

– Moi rodzice kierują się w życiu głównie sercem – ty także. Ale posiadasz przy tym silny umysł i cierpliwość, a to pozwala ci realizować własne marzenia. Wiesz, jakie to dla mnie pociągające? Nawet twoje ubrania sugerują, że cechuje cię powściągliwość w wyrażaniu emocji, lecz w głębi duszy jesteś artystką. – Omiótł wzrokiem jej spódnicę. Patrząc na nią z uwagą, wyciągnął rękę, aby pogłodzić jej biodro, i niespodziewanie natknął się na zegarek ojca Mollie, który nadal nosiła w kieszeni. Jego głos nabrał aksamitnego ciepła. – Tworzysz nietuzinkowe zegarki, a jednak twój własny to zwykły kawałek metalu po prostu odmierzający czas.

Obezwładniał ją. Wiedziała, że powinna się natychmiast cofnąć i zrzucić z siebie jego rękę, ale ciągle tkwiła w tym samym miejscu. Czuła, jak mocno bije jego serce.

– On już nawet nie odmierza czasu – szepnęła.

W oczach Zacka pojawił się cień współczucia.

– Mam nadzieję, że szybko uda ci się go naprawić.

To będzie jej priorytet, kiedy tylko fabryka wznowi działalność. Zerknęła na rozpiętą koszulę mężczyzny. Nie mogła pozwolić, aby ją rozpraszał. Właśnie przed tym ostrzegał Frank.

– Nie wprowadzę się do ciebie – oświadczyła. – Miasto buduje baraki, które będą gotowe w przyszłym tygodniu. Do tego czasu wystarczy mi kościół. – Szczelniej okryła

szyję płaszczem i odsunęła się nieco od niego.

– Pomyśl, jakie to byłoby dla ciebie korzystne – nalegał. – Moja mama przyrządzałyby ciepły posiłek trzy razy dziennie. Wszystko, na co masz ochotę. Duszone mięso. Tłuczone ziemniaki z okrasą. Mnóstwo pierogów.

Teraz grał już nieuczciwie. Niezależnie od tego, ile zjadała chleba i jabłek, jej żołądek zawsze wydawał się pusty. Potrawy pani Kazmarek były zaś wspaniałe sycące, tak że Mollie nie przestawała o nich marzyć w najtrudniejszych momentach. Spojrzała na niego uważnie.

– Co to są flaki? – spytała.

– Flaki? Skąd ci to przyszło do głowy? – zdziwił się.

– Kiedy ostatnio zanieśliśmy twojej mamie tę zagubioną torbę, poczęstowała nas flakami.

Zack pobladł.

– To niemożliwe. Nie zrobiłaby tego.

Mollie niemal wybuchnęła śmiechem na widok jego przerażonej miny.

– A jednak. Skoro tak się chwalisz umiejętnościami kulinarnymi swojej mamy, jestem po prostu ciekawa. Co właściwie jest w tych flakach?

– Nie chciałabyś tego wiedzieć.

– Ona powiedziała dokładnie to samo. Umieram z ciekawości.

Zack poruszył się niespokojnie, sprawiając wrażenie, jakby życzył sobie, aby ziemia się rozstąpiła i pochłonęła go na wieczność.

– Wiesz, że „flaki” to taka nieco mniej elegancka nazwa zwierzęcych jelit?

Jego śmiertelna powaga przyprawiała Mollie o coraz większe rozbawienie. Starła się jednak zachowywać spokój.

– Hm, dziś z wyjątkową przyjemnością powitam wóz z jabłkami.

Przed powrotem do kościoła pozwoliła, żeby Zack kupił jej duży, okrągły ser oraz ciasto z żurawiną. Mogła się tym podzielić z innymi. Cieszyło ją nie tyle samo jedzenie,

ile fakt, że miała teraz Zacka po swojej stronie. Obiecał przekonać Louisa Hartmana do ugody i tym samym zakończyć ową dziwną sprawę rzutującą dotąd na ich wzajemne stosunki.

~
Kolejne dni Zacka wypełniała praca nad kwestią odszkodowań oraz próby nawiązania kontaktu z firmami budowlanymi, które zgodziłyby się przygotować teren na Columbus Street do ponownego zagospodarowania. Jednocześnie starał się jednak spędzać jak najwięcej czasu z Mollie, walczącą dzielnie o wskrzeszenie własnego interesu.

Na strychu unosił się zapach piwa zmieszany ze świeżą wonią żywicy. Przez ostatnie dwa dni pracownicy Mollie zbijali stoły z desek, zaś ocalony sprzęt zegarmistrzowski został przez nich zamontowany dziś rano.

Zack odczuwał jednocześnie dumę i zatroskanie, widząc, jak starannie dziewczyna przygotowuje się do swojego pierwszego zadania. Kręcił się w pobliżu z zaciśniętymi pięściami, podczas gdy ona układała na blacie ojcowski zegarek i przykładała do oka lupę. Zack miał niezmaconą pewność, że zamokłego zegarka nie da się uratować, i drżał na myśl o kolejnym ciosie, który za moment spadnie na głowę Mollie. Ona jednak wydawała się niczym niezrążona. Używając najmniejszych szczypców, jakie kiedykolwiek widział, zdjęła metalową pokrywkę i zaczęła dłubać w śrubkach, uszczelkach i sprężynach. Robiła to wszystko ze skupieniem godnym chirurga. Jedną po drugiej, poszczególne części mechanizmu zostały wyjęte, oczyszczone, wypolerowane i naoliwione, a następnie umieszczone na dawnych miejscach.

Cała pracownia wstrzymała oddech i zebrała się wokół jej stołu, kiedy proces naprawy zbliżał się ku końcowi. Dziewczyna zacisnęła wargi, nakładając z powrotem tylną obudowę. Nakręciła zegarek. Ciszę panującą w warsztacie przerywało w tym momencie jedynie miarowe tykanie. Mollie uśmiechnęła się tak szeroko, że Zack zaczął się obawiać o jej usta. Pamiętała, by delikatnie odłożyć zegarek na stół, zanim rzuciła mu się w ramiona. Uniósł ją wysoko nad podłogę. Przestrzeń wydawała mu się zbyt mała, aby okręcić się z dziewczyną wokół własnej osi, więc po prostu przytulił się do szyi Mollie.

– Jestem z ciebie dumny – wyszeptał.

Teraz co wieczór wpadał do warsztatu, żeby odprowadzić całą ekipę do domu. Mając w swych szeregach kuśtykającego o kulach Ulyssesa oraz niewidomego Franka, grupa mogłaby się stać łatwym celem dla grasujących po ulicach wyrostków. Pomijając ten fakt, Zack zwyczajnie lubił się z nimi przechadzać. Zawsze wkraczał na schody prowadzące do browaru tak cicho, jak to tylko możliwe, aby zyskać sposobność przyglądania się Mollie w trakcie pracy. Każda czynność pochłaniała ją bez reszty –

wszystko jedno, czy chodziło o składanie zegarków, czy też o ocenę wizualnej atrakcyjności kolejnego modelu. Zack najbardziej lubił ów moment, gdy dziewczyna wreszcie spostrzegła, że na nią czeka. Oczy zaczynały jej lśnić, a ręka mimowolnie dotykała włosów. Mollie coraz częściej decydowała się rozpuszczać je na ramiona, co czyniło ją piękną niczym postaci z płócien popularnych w Europie prerafaelitów.

Jedyną chmurą na horyzoncie pozostawał akt własności ziemi przy Columbus Street. Zack wiedział, że Mollie wciąż trzyma go pod gorsetem, czasami też wyczuwał na sobie jej pytający wzrok.

Wcale go to nie dziwiło. Ten papier był przecież coś wart, on zaś pozwalał ukochanej kobiecie harować w zakładzie zegarmistrzowskim lub, co gorsza, sortować cegły w zamian za kilka dolarów.

Zack wiedział, że przekonanie Louisa do ugody nie będzie łatwe. Następnego dnia po tym, jak Mollie udało się przywrócić firmę do życia, spotkał się z Hartmanem przy zgliszczach dawnego domu towarowego. Powietrze wypełniał pył i popiół, gdy robotnicy ładowali odpady na taczki i kierowali się z nimi w stronę jeziora. Wykonano już niezbędne pomiary, a dzisiaj jakiś inżynier nadzorował wypełnianie dziur w ziemi przed wzniesieniem na niej nowego budynku. Louis chciał asystować przy tej wstępnej fazie prac, pilnując, aby wszystko przebiegało po jego myśli.

– Roszczenia panny Knox mogą nam przysporzyć poważnych kłopotów, jeśli nie zajmiemy się nimi już teraz – przestrzegł go Zack. – Kiedy rozpoczniemy budowę, Mollie zyska nad nami przewagę. W miarę wzrostu wartości gruntu będzie coraz mocniej wierzyła w swoje racje.

Louis pochylił się i poprawił tkwiący w ziemi kołek.

– Już zapłaciłem – wycharczał. – Zapłaciłem za każdy metr kwadratowy. Rozwiąż to jakoś, Kazmarek. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Po prostu to rozwiąż.

– Dwa tysiące dolarów powinny załatwić sprawę – powiedział Zack.

– Rozwiąż to bez wyciągania ode mnie forsy.

Jakiś zabląkany robotnik usłyszał furię w jego tonie i zatrzymał się z zaciekawieniem. Tego rodzaju rozmowy należało przeprowadzać w cztery oczy. Zack pochylił się w stronę Louisa i zniżył głos.

– Im dłużej będziemy zwlekać, tym szybciej jej ślepy prawnik pozna prawdziwą wartość gruntu. W końcu zaczniesz ją błagać, żeby przyjęła dwa tysiące i dała ci spokój.

Zack widział już niemal parę buchającą z uszu rozmówcy.

– Dobra – wycedził Hartman przez zaciśnięte zęby. – Powiedz jej, że zapłacę, kiedy na moje konto w Nowym Jorku wpłyną jakieś środki. Zadłużyłem się po uszy, wynajmując ludzi do oczyszczania tego terenu, więc będzie musiała poczekać kilka tygodni.

Ulga uderzyła w Zacka niczym błyskawica. Im szybciej zabierze ten papier z rąk Mollie, tym szybciej pozbędzie się ostatniej przeszkody stojącej między nimi.

~
Znajome odgłosy zgrzytania, stukania i wiercenia otaczały Mollie ze wszystkich stron. Strych browaru był mały, pachniał chmielem i okazał się trochę za słabo oświetlony, ale wreszcie zaczęli pracę! Ekipa stała przy stołach z lupami przytkniętymi do oczu oraz z pincetami w rękach, ze znanstwem wprawiając w ruch maleńkie mechanizmy. Stuk i zgrzyt dobiegał zwłaszcza z najdalszego końca pomieszczenia, gdzie z wypolerowanego na błysk metalu wytwarzano nowe sprężyny i śruby.

Zamiast tworzyć kolejne egzemplarze zegarków, Mollie w skupieniu przeglądała najnowsze wydanie *Chicago Tribune*. Trudno było w to uwierzyć, ale królowa Wiktoria usłyszała o nieszczęściu w Ameryce i wysłała przez ocean statek z tysiącem książek na pokładzie, aby władze miasta mogły otworzyć bibliotekę. Każdego dnia gazeta donosiła o ludziach z całego świata wysyłających im pomoc. Pewna bawarska miejscowość zebrała wśród mieszkańców dwa tysiące dolarów na rzecz niemieckich braci, którzy wyemigrowali do Chicago. Pieniądze napływały także z Nowego Jorku, Bostonu czy Waszyngtonu. Prezydent Grant [6] przekazał następny tysiąc z prywatnych środków.

Mollie odczuwała wdzięczność za te wszystkie oznaki sympatii pozwalające patrzeć w przyszłość z niejaką nadzieją, choć rozumiała także, iż nie da się zbyt długo żyć na czyjś koszt. Wobec problemów Hartmana musiała szybko znaleźć innych bogatych klientów, którzy mogliby sobie pozwolić na zakup jej zegarków. Należało się z tym uporać przed terminem kolejnej zapłaty czynszu.

Podniosła ze stołu zegarek uratowany z płomieni. Ocalałe egzemplarze były zbyt cenne, aby zostawiać je bez opieki w kościele, więc codziennie nosiła ze sobą do pracy całe ich naręczne. W nocy ktoś z ekipy zawsze sypiał z partią zegarków przy boku. Mollie przejechała kciukiem po zawiłym wzorze kwiatowym wygrawerowanym na pokrywie. Jej firma upadnie, jeśli nie zdoła prędko przekonać któregoś z właścicieli domów towarowych na Wschodnim Wybrzeżu, aby rozprowadzał zegarki u siebie.

A gdyby tak wypuścili na rynek model upamiętniający wielki pożar? Skoro bogacze byli gotowi charytatywnie wypisywać pokaźne czeki, może zechcieliby także wesprzeć finansowo słynne chicagowskie przedsiębiorstwo? Przy okazji zyskaliby

wyrób, który po latach osiągnąłby status drogiej pamiątki. Tajemnica sukcesu firmy tkwiła przecież od samego początku w odpowiednim doborze wzorów wykonywanych na pokrywach.

Alice aż podskoczyła z radości, gdy tylko Mollie przedstawiła jej swój pomysł. Usunięcie obecnego wzoru z krzakiem dzikiej róży i wyrycie na jego miejscu nowego motywu nie stanowiło żadnej trudności. W ciągu godziny Alice naszkicowała projekt. Obie z Mollie uważały, że jest genialny, jednak Frank zachowywał sceptycyzm.

– Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć oglądać na swoim zegarku sceny z pożaru?
– zapytał. – Dla mnie to dosyć makabryczne.

Mollie opisała mu szkic Alice najlepiej, jak umiała.

– To piękny, choć nietypowy wzór – rzekła. – Języki ognia liżą brzeg zegarka, podczas gdy w środku znajduje się panorama Chicago. Być może mieszkańcom miasta taki prezent faktycznie wydałby się makabryczny, ale co powiedzieliby ludzie z całego Wschodniego Wybrzeża? Podejrzewam, że wielu z nich chciałoby mieć zegarek wyprodukowany na miejscu, przez artystów, którzy na własne oczy widzieli zagładę tych budynków.

– To dość ryzykowne przedsięwzięcie, ale mnie też się podoba – oświadczył Ulysses, drapiąc się po brodzie. – Mamy mnóstwo towaru i żadnego nabywcy. Trzeba wymyślić coś takiego, co zagrozi pozycji okolicznych jubilerów. Coś, czego nikt jeszcze w tym kraju nie zrobił. Zaczynamy. Prędko, zanim opadnie fala współczucia.

Alice oszacowała, że dopieszczenie szkicu i wykonanie szablonu zajmie jej około tygodnia. Potem mogli się wziąć za rozkręcanie gotowych zegarków, przetapianie pokryw i rycie na nich nowych wzorów. W międzyczasie należało jeszcze ruszyć pełną parą z produkcją precyzyjnych zegarkowych mechanizmów.

Mollie w końcu podjęła decyzję. Chwyciła lupę i zabrała się energicznie za instalację głównej sprężyny w kolejnym zegarku. Uśmiechała się z zadowoleniem, umieszczając wąski pasek metalu na właściwym miejscu.

– Mollie?

Lupa upadła na podłogę.

– Tak, Declanie?

– Niestety nie ma już proszku diamentowego. Sprawdziłem w magazynie. Nie został nam ani gram.

Mollie przypomniała sobie dzień, kiedy rozsypał proszek na podłodze. Z najwyższym trudem obliczyła, że od tamtego czasu upłynęły zaledwie trzy tygodnie. Równie dobrze mogłaby to być wieczność.

– Zawsze kupowaliśmy go w Zakładach Hewitt's, jednak słyszałem niedawno, że doszczętnie strawił je ogień – powiedział Declan.

Dziewczyna zagryzła wargę, namyślając się nad znaczeniem tej informacji. Bez proszku diamentowego nie dało się odpowiednio wypolerować metalu. Czynność ta stanowiła zaś wstępny etap produkcji, poprzedzający łączenie drobnych elementów w całość.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł przez nie Zack. Najwidoczniej biegł po schodach na złamanie karku, bo z trudem łapał oddech.

– Mollie, najdroższa! – wysapał z rozbrajająco głupim uśmiechem. – Chodźmy się przejść.

Dreszcz przeszył ją od stóp do głów. Rzuciła okiem na swoich pracowników zatopionych w zwykłych zajęciach.

– Zack, jest środek dnia.

Jego uśmiech nieco przygasł i obejmował teraz wyłącznie kąciki ust.

– A wszyscy wiemy, że panna Knox przenigdy nie opuszcza stanowiska pracy w środku dnia.

Ruszył naprzód, wciąż się do niej szczerząc i odsłaniając tę niewielką szparę między zębami. Serce dziewczyny zaczęło bić mocniej.

– Co ty na to, żebyśmy wyszli na spacer, a jednocześnie pogadali o interesach? Przynoszę ważne wieści... – Zawiesił wzrok na jej gorsecie. – O tym skrawku papieru, który nieustannie ze sobą nosisz.

Wstrzymała oddech. Jeśli zanosilo się na ugode, musiała się o tym dowiedzieć natychmiast. Niewiele myśląc, poderwała się z miejsca i sięgnęła po płaszcz.

– Niedługo wracam – rzuciła współpracownikom przez ramię. – O jakich interesach chcesz ze mną rozmawiać? – spytała, gdy tylko owionęło ją chłodne jesienne powietrze.

Zack wziął ją pod rękę i ruszyli przed siebie.

– No, no... Nie jesteśmy przypadkiem zbyt monotematyczni? – zapytał z uśmiechem.

Na ulicy pełno było wozów z materiałami budowlanymi, a jacyś ludzie targali do browaru worki z jęczmieniem. Odkąd Mollie sięgała pamięcią, to miasto zawsze tętniło życiem. Kiedy jednak do codziennego zgiełku doszedł jeszcze szal odbudowy, znalezienie w Chicago skrawka wolnego miejsca na rozmowę graniczyło z cudem.

– Jesteś dzisiaj nadspodziewanie wesół – powiedziała, z trudem dotrzymując mu kroku.

Posłał jej zniewalający uśmiech, a po chwili oboje znaleźli się przy poskręcanej ulicznej latarni. Wielkie, męskie ramiona zamknęły się wokół niej, on zaś mówił dalej szeptem:

– Jestem wesół, bo przekonałem Hartmana, żeby odkupił od ciebie ten świstek, który chowasz pod gorsetem. Żadnej rozprawy, żadnego czekania na pieniądze. Dwa tysiące dolarów, płatne w gotówce.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Żartujesz? – zapytała z niedowierzaniem. Od sortowania cegieł nadal bolały ją plecy, a należało uzbierać cały wagon, żeby zasłużyć na marnego piątaka. Dwa tysiące! Za dwa tysiące mogłaby kupić materiały niezbędne do rocznej produkcji. I wypłacać pracownikom pensje aż do czasu, kiedy znajdą na Wschodnim Wybrzeżu nowych kontrahentów. Dwa tysiące dolarów oznaczały pracę i nadzieję, i godność.

– Nie pozwoliłbym sobie na żarty w tak poważnej kwestii, Mollie. Hartman będzie splukany do początku listopada, kiedy to na jego konto mają wpłynąć pieniądze z ubezpieczenia. Wówczas na pewno ci zapłacimy. – Dotknął palcem kołnierzyka jej bluzki, wywołując kolejną falę dreszczy. – Musisz tylko podpisać odwrotną stronę aktu własności. Zostawimy go w banku i zamkniemy sprawę raz na zawsze. Wszystko zostanie dokładnie udokumentowane. Zabierzesz ze sobą Franka, żeby sam się przekonał.

Cały ciężar lęku, z którego istnienia nie zdawała sobie nawet sprawy, opadł z niej w jednej chwili. Uśmiechnęła się, patrząc w jego błyszczące czarne oczy. Zack nie zamierzał jej oszukiwać. Usuwał spod nóg dziewczyny kolejne kłody.

Wszystko zaczynało wreszcie trafiać na właściwe tory.

≈
Wizyta w banku i spisanie wstępnych warunków umowy zajęły im niecałą godzinę. Czy to naprawdę mogło być aż takie proste? Zack i pracownik placówki złożyli przed Mollie pakiet dokumentów, zapewniając, że będzie miała sporo czasu na zapoznanie się z nimi w towarzystwie swojego prawnika.

Później Zack zaprowadził ją na jakieś podwórze, gdzie wreszcie mogli spokojnie porozmawiać. Ukryci za kamiennym murem porośniętym mchem oraz chronieni przez bujne gałęzie głogu, mieli wrażenie, jakby zdołali umknąć zgiełkowi miasta. Zack pochylił się nad nią, ona zaś chłonęła bijącą od niego siłę.

– Muszę pojechać do Nowego Jorku i Filadelfii, żeby wynegocjować coś w sprawie ubezpieczenia – oznajmił. – Nie będzie mnie przez dwa, góra trzy tygodnie. Kiedy wrócę, podpiszemy umowę.

Skinęła głową, już teraz tęskniąc za jego ciepłą, uspokajającą obecnością.

– Jesteś nią, Mollie. Jesteś tą kobietą, którą zawsze pragnąłem odnaleźć. Całe miasto może pójść z dymem, a ty i tak nie stracisz głowy. Jesteś wcieleniem pasji, inteligencji i piękna i kocham cię całą duszą.

Oddech Mollie zastygł w płucach. Nie była na to gotowa. Zack stanowił dziką, nieprzewidywalną siłę natury, podczas gdy ona żyła w uporządkowanym świecie tykających zegarków i planów produkcyjnych. Nie była gotowa, ale nie umiała też powstrzymać zapału Zacka.

– Chcę, żebyś zostawiła ten kościół i przeniosła się w jakieś bezpieczne miejsce – oświadczył, po czym wyznał: – Chcę się z tobą ożenić, Mollie. Powiedz „tak”.

Zabrakło jej tchu. Najpierw świat dziewczyny został zmieciony z powierzchni ziemi przez trąbę powietrzną i rozerwany na kawałki, później zaś poskładany na nowo oraz wystawiony na pastwę instynktów, z którymi wciąż nie umiała się oswoić.

Z wahaniem spojrzała mu w twarz.

– Wiesz, że to mnie przeraża, prawda?

Spojrzenie mężczyzny pozostawało nieruchome, mimo to lekko złagodniało, gdy gładził dłonią jej twarz.

– Na pewno sobie poradzisz.

Bardzo tego chciała, choć owo dzikie, nierozumne pragnienie wydawało się jej

czymś zatrważającym. Potrzebowała czasu, aby rozeznąć się w gąszczu nieznanym sobie dotąd uczuć.

– Muszę już wracać do pracowni i sprawdzić, co z proszkiem diamentowym.

Zmarszczył brwi.

– Składam duszę u twoich stóp, a ty mówisz o problemach z zaopatrzeniem? – Uśmiechnął się i pochylił, aby znowu dotknąć jej czoła. – Wyjdź za mnie, Mollie. Powiedz „tak”. Powiedz „tak”, a na wieki będziemy razem.

– Nie mogę. Jeszcze nie.

– A zatem po moim powrocie z Nowego Jorku.

– Wtedy też nie, Zack. Nie jestem lekkomyślna. Nie możesz mnie tak po prostu zmusić.

Zack puścił do niej oko.

– A mogę cię chociaż zmusić do zjedzenia ze mną lunchu?

Nawet jeśli zraniła go tak stanowcza odprawa, nie dał nic po sobie poznać, ruszając wzdłuż ulicy i wesoło pogwizdując. Mollie za wszelką cenę pragnęła uniknąć wspólnej wyprawy do eleganckiej hotelowej restauracji, więc Zack kupił od ulicznej handlarki dwie smakowite kielbaski. Dziewczyna zdumiała się na widok ilości musztardy, jaką wycisnął na swoją porcję, ale danie tak czy inaczej okazało się pyszne. Znaleźli kawałek wolnej przestrzeni, żeby jeść z dala od wzroku przechodniów. Ona trzymała ukryte w bułkach kielbaski, podczas gdy on chwycił ją w talii i usadził na kamiennym murku. Potem usiadł obok.

– Chciałam cię o coś zapytać – powiedziała, podsuwając mu kielbasę. Było to dość niezręczne, ale jeśli miała za niego wyjść, musiała wiedzieć, w co się pakuje.

– Tak?

– Tamta historia z rybami. Jest prawdziwa?

Zack uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie wiem. To zależy, co konkretnie słyszałaś.

– Że wyrzuciłeś stos ryb na biurko jakiegoś handlarza. To prawda?

Zack odgryzł spory kawałek bułki i przeżuwając go, patrzył na nią roześmianymi oczami. Jak mogła się związać z mężczyzną o tak dwuznacznej reputacji? Była prostą, spokojną dziewczyną, Zack z kolei wydawał się nieokiełznany. Przełknął swój duży kęs i rozpromienił się jeszcze bardziej.

– To były pstrągi – zaznaczył z dumą. – I nigdy więcej nie podrzucano nam już trefnych ryb.

– Gdyby to mnie ktoś wciskał towar kiepskiej jakości, złożyłabym skargę do Sądu Hrabstwa Cook.

– Chciałem rozwiązać ten problem przed obiadem, nie za dziesięć lat.

Na tym właśnie polegała różnica między nią a Zackiem. On grała zgodnie z zasadami, on zaś za wszelką cenę starał się je ominąć. Nie tyle złamać, ile raczej nagiąć z korzyścią dla siebie. Podczas gdy ona grzecznie wypełniła wniosek o odszkodowanie i zyskała na nim kilka centów, on postanowił pojechać do Nowego Jorku i osobiście pokierować swoją sprawą.

Zack usiłował wyrwać ją ze świata, który znała i w którym czuła się bezpieczna. Czyż jednak pożar nie dokonał tego już wcześniej? W tym nowym świecie warto, być może, zjednoczyć swe siły z kimś, kto umiał żyć, łapać wiatr w żagle. Jej serce wyraziło już zgodę; jedynie racjonalny umysł wciąż się opierał.

Patrząc na urodziwą twarz mężczyzny, żywiła nadzieję, że mózg zacznie słuchać poleceń serca, kiedy Zack wróci z Nowego Jorku.

XIII

Po wyjeździe Zacka emocje nieco opadły. Mollie była tak zaaferowana pracą, że ledwo znajdowała czas na codzienny lunch. Naprzeciwko browaru znajdował się polski sklep spożywczy, gdzie okoliczni pracownicy chętnie kupowali gotowe posiłki. Mollie siadywała przy jednym z maleńkich stolików w rogu pomieszczenia w towarzystwie doktora Buchanana, który pomagał im teraz w warsztacie.

Dla dziewczyny z wolna stawało się jasne, że mężczyzna cierpi z powodu straszliwej samotności.

– Lubię przebywać z pani załogą – przyznał. – Tak naprawdę nigdy nie miałem rodziny. Dentysta żyje w odosobnieniu. W ogóle o tym nie myślałem, kiedy wybierałem ten zawód.

Doktor bardzo zasmakował w polskiej kuchni. Jeśli danego dnia nie odwiedził sklepu, przemierzał całe miasto, aby zjeść obiad z rodzicami Zacka. Pani Kazmarek ochrzciła go mianem honorowego Polaka i wyglądała na bardzo szczęśliwą, mogąc go karmić flakami, pierogami i kiełbasą. Przez tydzień wędrował po ulicach, usiłując wynająć lokal nadający się na gabinet, zdawało się jednak, że wszystkie strychy, szopy i piwnice zostały już zajęte.

Mollie dobrze się namyśliła, zanim podsunęła mu pewną propozycję. Dla mężczyzny samowystarczalność to kwestia dumy, a ona nie chciała przecież obrazić doktora Buchanana. Doszła po prostu do wniosku, że być może istniałaby dla nich szansa na połączenie sił.

– Zamierzam odbudować swoją fabrykę na East Street – zdradziła mu któregoś popołudnia podczas lunchu. – Produkcowanie zegarków nie zajmuje dużo miejsca, więc mogłabym chyba wydzielić kawałek przestrzeni na potrzeby pańskiej praktyki. Przydałby mi się dodatkowy dochód z czynszu – dodała z uśmiechem.

Doktor Buchanan od razu się wyprostował, a w jego oczach załśniła nadzieja.

– Jak pani myśli, kiedy budynek zostanie oddany do użytku?

Właśnie w tym tkwił problem. Pracownicy budowlani byli teraz potrzebni wszędzie, a ich usługi okazywały się droższe niż diamenty.

– Wszyscy fachowcy, z którymi rozmawiałam, mają już wypełniony kalendarz na całą wiosnę – powiedziała. – Przy odrobinie szczęścia budowa ruszy przyszłego lata.

Entuzjazm doktora przygasł.

– Nie mogę tak długo czekać. – Dokończył zupę, a potem odprowadził Mollie do browaru. – Wrócę wieczorem, by przespacerować się z wami do domu – obiecał.

– Zack pana o to poprosił?

Doktor zakręcił węża.

– Może rzucił coś takiego na odchodnym. Stanowicie bardzo malowniczą gromadkę, a po ulicach ciągle włóczy się sporo podejrzanych typów. – Puścił do niej oko. – Ja na razie nie jestem rozchwytywany przez pacjentów.

Tej nocy, zasypiając w pogrążonym w ciemności kościele, dodała doktorowi do listy osób, za które odmawiała modlitwę.

≈

Mollie otrząsnęła się z głębokiego snu, tarmoszona za ramię przez Alice.

– Ktoś jest w kościele – szepnęła koleżanka z przejęciem.

Mollie niezdarnie podparła się na łokciu, nasłuchując kroków dochodzących spoza namiotu. Przez grubą tkaninę nie prześwitywała ani strużka światła, nie sposób było się zatem zorientować, kto stoi na zewnątrz. Ludzie czasami wstawali w nocy, by skorzystać z wychodka, nigdy jednak nie szwendali się po budynku. A to wyglądało na więcej niż jedną osobę.

– Kto tam jest? – odezwał się głos z przeciwnej strony kościoła. Należał do doktora Buchanana.

Światło lampy padało na fragment przestrzeni przy namiocie. Mollie ostrożnie wyjrzała przez szczelinę przy podłodze, mrużąc oczy z powodu nieprzyjemnej jasności.

Zamarła. Do kościoła wtargnęło przynajmniej sześciu nieznajomych mężczyzn! Rudy facet ze zwisającym wąsem położył na ramieniu strzelbę i podszedł do namiotu, w którym spali Declan i Ulysses. Namiot upadł, zaś obaj przyjaciele zaczęli się wic pod leżącym na nich materiałem.

– Gdzie zegarki? – zapytał rudy. Szarpnął za brzeg namiotu, kołki potoczyły się z brzękiem po podłodze. Ulysses w popłochu szukał swoich kul, Declan zaś gapił się na złodziei, sparaliżowany paniką. Mollie czuła się całkowicie bezradna, wychylając głowę z namiotu.

Rudy mężczyzna w końcu ją zauważył. Gdy wycelował w nią strzelbę, dziewczyna potrafiła słupek i namiot runął jej na głowę, ale przynajmniej ocknęła się z odrętwienia.

Wyplątała się z tkaniny i chwyciła najbliższy kijek.

– Wynoście się stąd.

– Gdzie są zegarki? – Brutalna ręka przycisnęła ją do ziemi. Jeden z mężczyzn odrzucił szarobury materiał, odsłaniając Alice. Trzymała przy piersi koc, blada ze strachu. Rabuś wyrwał go z jej rąk i zaczął pośpiesznie przetrząsać ubrania.

Ulysses nie mógł znaleźć kul, udało mu się jednak jakoś przeczołgać przez podłogę.

– Zostaw moją żonę! – warknął.

Pozostali ludzie koczujący w kościele zaczęli się wychylać z namiotów.

– Jesse, nie bądź idiotą!

Czy ten głos nie należał do Ralpha Coultera? Kolejny namiot upadł, gdy napastnicy zapragnęli poznać jego zawartość. Declan rzucił się na jednego z mężczyzn, ale natychmiast tego pożałował, obalony na ziemię kolbą strzelby.

Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. Złodzieje znaleźli się przy namiocie Franka i zdemolowali go jednym szarpnięciem, znajdując starego adwokata z workiem zegarków przyciśniętym do brzucha. Jego niewidzące oczy rozszerzyły się w przyływie paniki. Jeden z rzeźmieszków przeszukiwał koce.

– Gdzie towar? – spytał nieznajomy.

– Wynoś się – ostrzegł Frank.

– Bo co, staruchu? – Napastnik uderzył go w twarz. Nawet padając na ziemię, Frank wciąż zaciskał palce na worku z cenną zawartością.

– Zostawcie go! – wrzasnęła Mollie. – Jest niewidomy!

Zamieszanie wciąż trwało, gdyż złodzieje postanowili przetrząsnąć namiot po namiocie. Declan usiłował się doczołgać do Franka, lecz padł na ziemię pod wpływem niespodziewanego ciosu z tyłu. Dwóch rabusiów spostrzegło nagle, jak troskliwie Frank trzyma przy sobie sporych rozmiarów torbę, i rzucili się na nią ze zwinnością wilków. Gdy próbowali wyrwać mu pakunek, stary prawnik przygwoździł go brzuchem do ziemi.

Jeden z mężczyzn chwycił strzelbę, bez namysłu uderzając Franka w głowę. Zrobił to jeszcze dwukrotnie, nim Mollie zdążyła dobiec na miejsce, okładając napastnika drążkiem od namiotu. Ów drążek okazał się jednak zbyt słabą bronią. Któryś z bandytów natychmiast wyrwał go dziewczynie ze spoconych dłoni.

– Mam! – Złodziej stojący nad Frankiem błyskawicznie otworzył worek i zajrzał do środka. – Patrzcie! – zakrzyknął triumfalnie. – Złoto!

Mężczyźni stracili zainteresowanie Frankiem leżącym nieruchomo na podłodze. Mollie uklękła nad nim.

– Frank? Frank!

Otrzymawszy to, o co im chodziło, złodzieje wybiegli z kościoła, zabierając ze sobą lampę. Księżyc rzucał słabe światło na twarz Franka, mokrą od krwi. Jego skóra była blada, ale usta się lekko poruszały. Stary prawnik chciał coś powiedzieć.

Pozostali zebrali się wokół nich. Doktor Buchanan przyniósł ręcznik i przycisnął go do poranionego czoła starca.

– Trzymaj się, żołnierzu – powiedział drżącym głosem.

Frank otworzył oczy.

– Mollie?

Chwyła go za rękę.

– Jestem tu, Frank. Gunner pobiegł po lekarza. Wytrzymaj.

Mężczyzna z trudem zmuszał usta do formowania kolejnych słów. Dziewczyna widziała w mroku wystarczająco dużo, aby pojąć, że coś jest bardzo nie w porządku. Jedna ze źrenic Franka była ogromna, druga przypominała główkę od szpilki.

– Mollie – wysapał. – Twój ojciec... najwspanialszy facet, jakiego znałem. Przywrócił nam godność. – Oddech przyjaciela stał się urywany, a głos cienki jak smużka dymu. – Wdzięczny. Jestem wdzięczny.

Oczy zaszczyły Mollie łzami.

– Wiem o tym, Frank. Oddychaj.

Ale on patrzył już prosto przed siebie, z twarzą upiornie bladą w księżycowym

świecie. Jego wargi przestały się poruszać.

To nie mogło się dziać naprawdę. Frank potrafił sobie radzić ze wszystkim, podejmował każde wyzwanie. Nie mógł być tym małym starcem wyciągniętym na zimnej podłodze. Alice przyniosła miskę z wodą i namoczyła ścierkę, lecz doktor Buchanan nachylił się nad Frankiem, zbliżył ucho do jego twarzy, a następnie poszukał ręki starca. Mollie wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

– On odszedł, Mollie.

Z niedowierzaniem chwyciła dłoń przyjaciela – wciąż ciepłą i miękką, ale pozbawioną życia. Wszyscy obecni otaczali jego martwe ciało z wyrazem oszołomienia na twarzach. Spojrzała w niebo usiane milionami gwiazd. Gdzieś tam, w górze, dusza Franka podążała ku wiecznej światłości. Mollie wiedziała, że aniołowie już na nią czekali. Od tej pory stary weteran znów będzie miał sprawne oczy. Teraz będą patrzeć tylko na piękno.

Jego cierpienia dobiegły końca.

– Powinniśmy się pomodlić – rzekła słabym głosem, ale jej umysł nie wychodził ze stanu odrętwienia. Jak mogłaby wypowiadać słowa modlitwy, skoro miała w sercu wyłącznie żal? Frank stracił życie w tak okropnych okolicznościach, jednak teraz spoglądał na nich z innej perspektywy. Ona zaś łkała z litości nad samą sobą, nie nad nim.

Łzy nie przestawały płynąć, modlitwy były szeptane głosami pełnymi powagi, lecz dusza Mollie pogrążała się w jakiejś mrocznej otchłani. Dziewczyna dosłownie nie mogła oddychać z powodu narastającego w niej żalu.

– Dobry Boże, pomóż nam wszystkim – szepnęła, zanim ponownie wybuchnęła płaczem.

XIV

Nikt nie potrafił wyjaśnić, co stało się z Declanem. Mollie widziała go uwieszonego na ramieniu jednego z mężczyzn, później jednak przyjaciel zniknął.

– Martwię się o niego – powiedziała w rozmowie z policjantem, który nazajutrz po południu przyszedł obejrzeć miejsce zbrodni. – Declan to dobry człowiek, choć nadmiernie wrażliwy. Pomóżecie nam go znaleźć? Obawiam się, że zrobi sobie krzywdę.

Oficer O'Malley potrząsnął głową.

– Panienko, mamy pełne ręce roboty, starając się doprowadzić to miasto do porządku. Zdrowy, dorosły człowiek to nie jest ktoś, kto wymagałby poszukiwania przez policję.

Ta wiadomość okazała się dla niej kolejnym ciosem. Racjonalna część umysłu podpowiadała jej, że będzie zdecydowanie lepiej, jeżeli policjanci skupią się na poszukiwaniach zabójców Franka. Akceptowała to, choć całą sobą drżała ze strachu o Declana. Frank odszedł do lepszego świata, Declan natomiast oddawał się w ukryciu swojej wewnętrznej męce.

Zresztą nie on jeden zniknął. Ralph Coulter, handlarz drewnem, również przepadł jak kamień w wodę. Mollie zeznała, że w trakcie napaści wydawało się jej, iż słyszy głos Coultera.

– Wydaje mi się, że powiedział chyba coś w stylu: „Jesse, nie bądź idiotą”. Ale nie jestem pewna, czy to był on. W ciemności nie widziałam przecież twarzy, a poza tym ze strachu ledwo stałam na nogach.

– Czy ktoś inny słyszał to samo? – zapytał policjant.

Gunner potwierdził słowa Mollie: według niego tamto zdanie wypowiedział właśnie pan Coulter. Ktoś inny wyraził jednak przypuszczenie, że głos należał do Declana. Kimkolwiek byli napastnicy, zostali dobrze poinformowani w sprawie zegarków.

Mollie zupełnie opadła z sił, siadając na kościelnych schodach. Policja spędziła z nimi dwie godziny, zmuszając ich do wielokrotnego odtwarzania tamtych okropnych minut. Czy Zack otrzymał już telegram od niej?

Nie powinna w takiej chwili myśleć o Zacku, lecz tego ranka wydawało się jej, że za moment rozpadnie się na kawałki. On zaś powinien zgodnie z planem spędzić

w Nowym Jorku jeszcze dwa tygodnie. Nie mogła tak długo czekać. Musiała jak najszybciej schować się w jego ramionach i wybuchnąć niepowstrzymanym szlochem.

Tego ranka Alice poszła wraz z nią do biura telegraficznego. Wiadomość, jaką przesłała Zackowi, była krótka i jednoznaczna: „Zabili Franka. Potrzebuję cię. Wracaj”.

To było cztery godziny temu. Całkiem możliwe, że właśnie teraz Zack odczytuje jej telegram i szykuje się do powrotu. Uczepiła się tej myśli niczym cieniutkiej nitki nadziei, tak bardzo potrzebnej, gdy cały świat runął jej na głowę.

~
Wyprawili Frankowi pogrzeb w kościele znajdującym się na północ od spalonej części miasta. Nagie gałęzie drzew odbijały się czernią na tle ołowianego nieba, a serce ciążyło Mollie tak bardzo, że z trudem łapała oddech. Frank był dla niej drugim ojcem. Śmierć taty głęboko nią wstrząsnęła, stanowiła jednak naturalną kolej rzeczy. W tym, co spotkało Franka, nie było natomiast nic naturalnego. W ostatnich chwilach życia próbował ocalić zegarki – produkt firmy, która zapewniła mu pracę i godność. Tamci podli bandyci ukradli towar, zostawiając na pastwę losu śmiertelnie ранego człowieka.

Trzy dni później Mollie zdecydowała się wrócić na wynajęty strych. Składanie śrubek i sprężynek stanowiło zawsze idealne ukojenie dla wzburzonego umysłu.

Przy wejściu natknęła się na właściciela lokalu. Zagroził jej drogę.

– Zalega pani z czynszem.

Mollie zbladła. Mężczyzna miał słuszość, ona jednak była zupełnie spłukana. Wraz z zegarkami złodzieje ukradli pięć dolarów, które zdołała uciuć dzięki zbieraniu cegieł.

– Przepraszam – powiedziała. – Zmarł mi członek rodziny i w związku z tym byłam zajęta. – Franka Spencera nie łączyły z nią więzy krwi, ale naprawdę traktowała go jak krewnego, więc czuła, że ma prawo tak powiedzieć.

Gospodarz zacisnął wargi.

– Słyszałem o pani problemach i bardzo mi przykro z ich powodu, ale potrzebuję tych pieniędzy. Jeśli nie może pani zapłacić, wynajmę pomieszczenie komuś innemu. Ludzie codziennie pytają mnie o wolny lokal, więc trzymałem go dla pani wyłącznie z uprzejmości. Proszę uregulować należność do końca tygodnia, panno Knox.

Nie zamierzał nawet wpuścić jej na strych, dopóki mu nie zapłaci. Kiedy wróciła do kościoła, zapytała członków swojego zespołu, czy mogliby pomóc. Ulysses miał

dziewięć dolarów, zaś doktor Buchanan zaoferował trzydzieści, ale to wciąż nie wystarczało.

– A państwo Kazmarkowie? – zapytał dentysta. – Na pewno uznają, że Zack natychmiast pożyczylby ci te pieniądze.

Nie uważała takiego posunięcia za właściwe. Zack nie odpowiedział na jej telegram. Nie była nawet pewna, czy w ogóle go otrzymał. Jego rodzice sprawiali wrażenie biednych jak myszy kościelne, czułaby się więc szalenie niezręcznie, prosząc ich o pieniądze.

Zresztą Mollie doskonale wiedziała, do kogo może się zwrócić w tej sprawie. Ojciec Sophie należał do najbardziej wpływowych architektów w mieście. Biorąc pod uwagę obecne okoliczności, z pewnością zarabiał mnóstwo pieniędzy, a sam przecież mówił jej, żeby nie wahała się go odwiedzić w razie nagłej potrzeby.

Nigdy nie przypuszczała, że będzie gotowa błagać kogokolwiek o pieniądze. Skoro jednak w grę wchodził los firmy, schowała dumę do kieszeni i wybrała się do pana Duranta po pożyczkę.

~

Idąc przez Prairie Avenue, niemal nie wierzyła, że wciąż znajduje się w Chicago. Poszczególne domy bardzo się od siebie różniły, ale wszystkie świadczyły o zamożności ich właścicieli. Niektóre przypominały małe zamki z kości słoniowej z wieżyczkami i balkonami. Inne zadawały się czerwonym piaskowcem oraz kutymi bramami. Dzielnica skrywała się wśród wielkich gałęzi topoli i platanów napełniających powietrze zapachem mchu. Mollie od zawsze wiedziała, że w Chicago mieszka wielu zamożnych ludzi. To przecież właśnie oni nabywali jej złote zegarki wysadzone szlachetnymi kamieniami. Nigdy nie odwiedzała jednak zamieszkiwanych przez nich dzielnic.

W tym dziwnym ubraniu i dziurawych butach Mollie czuła się jak wróbel wśród łabędzi, kiedy dotarła do zapierającej dech posiadłości w stylu romańskim, zbudowanej z szorstkiego granitu i zdobionej łukami. Wybrukowana ścieżka wiodła do wielkich mahoniowych drzwi. Nacisnąwszy dzwonek, zaczęła się zastanawiać, czy istnieje tu jakieś inne wejście, z którego należało skorzystać. Czy domy takie jak ten nie posiadały oddzielnych drzwi dla służby? Nie miało to jednak żadnego znaczenia; gdy podała lokajowi swoje nazwisko, w przedpokoju niemal natychmiast pojawił się pan Durant. Ucisnął jej rękę, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Panna Knox! – zawołał. – Sophie bardzo się ucieszy na pani widok. Nieustannie serwuje nam anegdoki z kościoła.

Mollie spuściła wzrok. Wstydziła się przyznać, że odwiedzenie Sophie w ogóle nie

wpadło jej do głowy. Odchrząknęła.

– Z radością zobaczę Sophie, ale właściwie przyszedłam do pana w interesach.

Uniósł z zaskoczeniem brwi i pogładził się po starannie przystrzyżonej brodzie.

– Oczywiście. Zapraszam zatem do salonu. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

W oczekiwaniu na herbatę pan Durant wyraził żal z powodu śmierci Franka.

– Widziałem w *Chicago Tribune* wzmiankę na ten temat – rzekł. – Sophie bardzo to zasmuciło, ale uznałem, że powinna wiedzieć. Odkąd wróciliśmy do domu, ciągle naciskała na złożenie wam wizyty. Mam nadzieję, że pozostali cieszą się dobrym zdrowiem.

– Tak dobrym, jak to możliwe w tych okolicznościach. – Nie chciała wspominać o zniknięciu Declana. Nikt spośród nich nie dopuszczał do siebie myśli, że przytrafiło mu się coś złego, choć z drugiej strony nie pokazywał się w kościele już od pięciu dni. Mollie wypytała pracowników browaru – tam również go nie widziano.

– Mężczyźni, którzy wtargnęli do kościoła, ukradli kilkadziesiąt cennych zegarków – powiedziała. – Ten towar był mi potrzebny do ponownego rozkręcenia biznesu. W niedalekiej przyszłości spodziewam się dochodu z tytułu sprzedaży ziemi, ale tamte pieniądze nie dotrą do mnie przed początkiem listopada. W tym tygodniu muszę natomiast zapłacić czynsz. Pomyślałam, że może będzie pan w stanie udzielić mi pożyczki na krótki okres. Spłacę ją w połowie listopada.

Pan Durant machnął ręką.

– Nonsens. To dla mnie zaszczyt udzielić pani bezzwrotnej pomocy po tym wszystkim, co zrobiła pani dla Sophie. Ile pieniędzy pani potrzebuje?

Podana przez Mollie suma nie wywarła na panu Durancie najmniejszego wrażenia. Ruszyła za nim do biblioteki, w której urządził sobie tymczasowe biuro, dopóki gościł w tym domu. A więc nawet bogacze musieli się zadowalać podnajmowanymi pokojami! Ten jednak posiadał okno ze szprosami tworzącymi ukośną kratownicę, wychodzące na ogród tak piękny, że Alice niechybnie rozplakałaby się na jego widok. Podczas gdy pan Durant wypisywał czek, Mollie nie przestawała nalegać, aby potraktował to jako pożyczkę.

– Ziemia, którą sprzedałam, mieści się przy Columbus Street – zaznaczyła. – Oddam panu te pieniądze bez problemu, kiedy tylko dostanę przelew.

Pan Durant zagwizdał.

– Proszę nie przesadzać. Mam nadzieję, że dokonała pani opłacalnej transakcji.

– Owszem – potwierdziła. Natychmiast przypomniała sobie dzień, w którym podpisała z Zackiem ugodę. W tamtej chwili oboje byli tak szczenięco podekscytowani! Mieli w głowach wyłącznie flirty i snucie marzeń na jawie. – Dostałam dwa tysiące. To chyba całkiem sporo, zważywszy na fakt, że ulica jest kompletnie zniszczona.

Dłoń wypisująca czek zastygła w bezruchu.

– Dwa tysiące? – Wstał i obrzucił ją poważnym spojrzeniem. – Wartość ziemi na Columbus Street poszybowała w górę w wyniku pożaru. Wcześniej ulica była zbyt wąska, by przekształcić się w aleję, jak oczekiwali tego mieszkańcy. Teraz, po spustoszeniu przez ogień, stała się jednym z najbardziej smakowitych kąsków w mieście. Nie sprzedałbym tej ziemi za mniej niż piętnaście tysięcy.

Mollie gapiała się na niego w osłupieniu. Najpierw zrobiło się jej zimno, potem gorąco. Pan Durant złapał ją za łokieć, jakby miała zemdleć.

– Proszę usiąść – zaproponował, podsuwając jej krzesło. – Biedactwo, wygląda pani jak duch. No, proszę mi powiedzieć, jaki łajdak odkupił od pani ziemię tak tanio.

Zack! Zack jej to zrobił.

Chociaż nie nabył ziemi dla siebie, miał na względzie interes Hartmana.

– Louis Hartman – powiedziała słabo. – Zamierza tam postawić swój sklep.

Twarz pana Duranta pociemniała jeszcze mocniej.

– Czarodziej, bez dwóch zdań. Podobno do spółki z tym swoim prawnikiem zdołał odzyskać całą sumę ubezpieczenia, czyli bez mała osiemset tysięcy dolarów. Wyobraża sobie pani? Prawie milion dolarów za spalony budynek. Domyślam się, że byli ubezpieczeni w kilku różnych miejscach na Wschodnim Wybrzeżu i dlatego udało im się odebrać taką kwotę. Kazmarek, tak nazywa się ten prawnik. Podobno to najtwardszy gość w Chicago. Portowy zbir, którego Hartman wyciągnął z rynsztoka i zatrudnił w swojej firmie.

Mollie nie mogła wydusić z siebie ani słowa, skręcając się na krześle. Pan Durant poklepał ją po ręce.

– Nie zapłacili pani jeszcze za tę ziemię?

– Nie.

Podrapał się po brodzie.

– Nie jestem prawnikiem, ale wydaje mi się, że powinna pani być upoważniona do jakiejś części z tych ośmiuset tysięcy. Nic dziwnego, że adwokat Hartmana usiłował tak szybko zakończyć całą rzecz.

Mollie zbierało się na mdłości. Nigdy, przenigdy nie chciała czerpać profitów ani z samego sklepu, ani z pieniędzy z ubezpieczenia; po prostu nie miała zamiaru dać się oszukać. Frank nie ufał Zackowi od samego początku. Powinna go była posłuchać.

Okazała się strasznie naiwna. Przez ostatnie trzy lata starała się sumiennie ograniczać wydatki, planować zakupy materiałów i nadzorować wszystkie etapy produkcji. Pierwszy ruch, jaki wykonała bez porozumienia z Frankiem, okazał się katastrofalny. I to wyłącznie dlatego, że Zackowi Kazmarkowi udało się ją omamić.

Nie mogła znieść współczucia w oczach pana Duranta. Musiała stąd wyjść.

– Przepraszam – wymamrotała. Wstała, otworzyła drzwi i wypadła na korytarz. Powinien tu być jakiś pokój, gdzie mogłaby przez chwilę posiedzieć w samotności. Na końcu holu dostrzegła wielkie, na w pół otwarte drzwi, za którymi stały balie i kotły grzewcze. Pralnia. Pusta, dzięki Bogu.

Oddychaj, po prostu oddychaj. Nachyliła się nad umywalką i schowała twarz w dłoniach. Przeżyła już gorsze rzeczy, więc teraz też na pewno sobie poradzi. Czuła się po prostu głupia. Głupia, bo dała się oszukać jego pięknym oczom. Bo uwierzyła, że taniec w świetle ogniska naprawdę coś dla niego znaczył. Łzy przeciekały jej przez palce, gdy starała się uspokoić.

– Ja też nie mogę przestać myśleć o tym, co spotkało Franka.

Mollie się odwróciła. W drzwiach stała Sophie, patrząc na nią ponurym wzrokiem. Miała na sobie aksamitną sukienkę obszytą koronką. W jej ręce dyndała porcelanowa lalka.

Mollie otarła łzy wierzchem dłoni, zawstydzona tym, że rozpaczała nad zdradą jakiegoś szemranego prawnika, podczas gdy nawet Sophie wiedziała, kto stał się niedawno prawdziwą ofiarą. Opanowała się. Postanowiła nie ronić więcej ani jednej łzy z powodu Zachariasza Kazmarka. Pozwoliła sobie na chwilę słabości, i wystarczy.

– Sophie. – Przywołała na twarz miły uśmiech. – Jak pięknie wyglądasz w nowej sukience!

– Nie wolno bić niewidomych.

Cóż można było na to odpowiedzieć?

– Oczywiście, że nie. – Mollie wstała i poprawiła kołnierzyk bluzki. – Podoba ci się u wujka? Ten dom robi wrażenie.

– Nie znoszę go – odparła dziewczynka. – Strasznie się tu nudzę. Chciałabym wrócić do kościoła.

– Wielkie nieba! Myślałam, że w kościele też ci się nie podobało.

Wyraz twarzy Sophie pozostawał ponury. Wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Tutaj wcale nie jest lepiej. Wujek i moi bracia to matole.

Co jest nie tak z tym dzieckiem?

– Sophie, jesteś stanowczo za młoda, żeby nienawidzić wszystkich i wszystkiego.

– Nie nienawidziłam Franka. – Wypowiedziawszy te słowa, Sophie odwróciła się na pięcie i odeszła, ciągnąc po podłodze swoją lalkę. Zabawka tłukła głową o każdą deskę.

Mollie czuła się dokładnie tak samo jak ona: poniewierana przez kapryśny los. Każdy miesiąc jej ciała był już wyczerpany tą nieustanną szarpaniną.

Ale dzisiaj nadszedł koniec. Zdobyła czek na opłacenie miesięcznego czynszu w browarze, dzięki czemu dalej mogła produkować najpiękniejsze zegarki świata. Została wprawdzie zdradzona przez ukochanego mężczyznę, nie należało jednak pozwalać sobie na zbyt dogłębne roztrząsanie tej straty.

Mollie była gotowa uzdrowić swoje życie. Bez Zacka Kazmarka u boku.

XV

Nadszedł czas, aby odejść z kościoła i znaleźć schronienie gdzie indziej. Mollie zwinęła kilka swoich drobiazgów i spakowała je do pudła. Dzisiaj przed północą opuści ten budynek na zawsze. Większość osób zrobiła to zresztą znacznie wcześniej.

Na początku zrujnowany kościół dawał Mollie poczucie bezpieczeństwa. Nie liczyło się to, że był brudny i pozbawiony jakichkolwiek udogodnień, ani to, że każdego ranka szczękała zębami z zimna. Ludzie koczujący tutaj wiedzieli, co robią. Mollie wiązała z tym miejscem szereg dobrych wspomnień. Na przykład wieczorne przesiadywanie na schodach: snucie opowieści, dzielenie się z nieznajomymi własnymi planami i marzeniami. Albo słuchanie śpiewu Niemców z naprzeciwka. Tragedia miała w sobie coś takiego, co wyzwalało w ludziach siły dobra. Ciepło, jakiego Mollie doświadczyła pośród owych zdewastowanych ścian, z pewnością zapisze się w jej duszy aż po godzinę śmierci.

Ale po ostatnich wydarzeniach nie mogła dłużej tu zostać. Miasto ukończyło właśnie budowę tymczasowych baraków. Postawione naprędce budynki przypominały wielkie pudełka zbite z sosnowych desek, zaopatrzone w łóżka polowe i małe grzejniki na węgiel. Ona i Alice zamierzały przenieść się dziś wieczorem do baraku kobiecego. Wiedziały, że wypełnią go same obce twarze, a jednak Mollie czuła zadowolenie na myśl o przeprowadzce.

Po otrzymaniu pieniędzy za czynsz właściciel browaru wypożyczył Mollie kilka skrzyń, aby pomóc jej w pakowaniu. Wszystkie rzeczy kobiety mieściły się w zasadzie w jednym takim pudle: spódnica, bluzka, koc oraz przypalony szal w odcieniu zieleni. Podczas zwijania go Mollie dotknęła palcem wszystkich dziur pozostawionych przez ogień. Doskonale pamiętała noc pożaru i swoje przerażenie na widok płonącego wokół niej świata. A także ogromną odwagę Zacka. Niezależnie od tego, jak bardzo ją później zawiódł, tamtej nocy okazał się prawdziwym bohaterem. Ryzykował dla niej życie, choć mógł równie dobrze zostać we własnym, bezpiecznym domu. Jak zdołałaby teraz patrzeć na szal i nie myśleć o tym mężczyźnie?

Upuściła zielony materiał na ziemię. Zamierzała zostawić go tutaj wraz ze wszystkimi wspomnieniami, które gdzie indziej nie będą już miały racji bytu.

Jej ponure myśli przerwał głos Alice.

– Pomożesz mi z tym namiotem, Mollie?

Wszystkie namioty miały zostać złożone i zwrócone organizacji dobroczynnej, która wcześniej przekazała je pokrzywdzonym mieszkańcom Chicago. Z pewnością

istniało wielu innych biednych ludzi mogących z nich w przyszłości skorzystać.

– Zbierzmy je wszystkie i wynieśmy na zewnątrz – zaproponowała Mollie.

Pod kościołem Ulysses i Gunner na zmianę palili fajkę.

– Potrzebujesz pomocy, Alice? O, moja miłości, światło życia mego!

– Nie, poradzimy sobie z Mollie same – oświadczyła Alice. – Jestem wystarczająco rozsądna, aby nie wchodzić pomiędzy mężczyznę a jego fajkę.

Mollie rozejrzała się po ulicy. Trudno uwierzyć, jak bardzo przywiązała się do tego zrujnowanego krajobrazu. Jeśli jeszcze kiedyś tutaj zajrzy, miejsce to będzie z pewnością wyglądało zupełnie inaczej. Krzywe latarnie zostaną usunięte i zastąpione przez sprawne odpowiedniki. Robotnicy rozbiorą kościół – i Bóg jeden wie, co stanie na jego miejscu. Któż zachowa w pamięci tamto dziecko, które urodziło się na kościelnej podłodze? Albo te wszystkie historie opowiadane szeptem w pobliżu grzejącego piecyka?

Wtem uwagę Mollie przykuło jakieś zamieszanie na końcu ulicy. Grupa mężczyzn wyraźnie szła w tę stronę. Co dziwne, zdawali się maszerować w zwartym szeregu, jak oddział wojska. Mollie przysunęła dłoń do oczu, aby nie raziło jej słońce. Chciała się upewnić, że dobrze widzi.

– Declan?

Rzeczywiście, Declan McNabb szedł w pierwszym szeregu z uśmiechem na twarzy. Nigdy wcześniej nie widziała uśmiechniętego Declana. Obok niego kroczył drugi mężczyzna, który również wydał się jej znajomy. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie już natknęła się na tego przystojnego blondyna...

Ulysses wyprostował się i oparł o ramię Alice.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedział drżącym głosem. – Własnym oczom nie wierzę! – powtórzył, tym razem już wyższym tonem, i sięgnął po kule. Wcisnął je sobie pod ramiona i pokuśtykał w stronę pochodu tak szybko, jak umiał. – Pułkownik Lowe!

Gunner także pośpieszył w tamtym kierunku.

Zbliżający się mężczyźni złamali nagle wojskową dyscyplinę i rzucili się pędem w kierunku Ulyssesa, któremu wyrwał się z piersi serdeczny śmiech. Mollie zerknęła na Alice. Koleżanka była nie mniej oszołomiona niż ona sama.

Tymczasem pochód zdążył się połączyć z Ulyssesem i otoczyć go zwartym kręgiem. Wszyscy obecni zaczęli się śmiać i klepać po plecach. Mollie ruszyła niepewnie przed siebie, omijając leżące wszędzie sterty gruzu. Gdy podeszła bliżej, spostrzegła, że niektórzy spośród mężczyzn mieli na sobie kurtki i czapki z daszkiem charakterystyczne dla okresu ostatniej wojny.

Wysoki blondyn odłączył się od grupy i stanął przed Mollie. Niebieskie oczy i wystające kości policzkowe czyniły zeń bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Jego podbródek zdobiła malutka bruzdka. Uśmiechnął się.

– Panna Knox? – zapytał.

Skinęła głową, on zaś zasalutował.

– Pułkownik Richard Lowe, jestem dowódcą Pięćdziesiątego Siódmego Pułku Stanu Illinois. Do usług.

Wytrzeszczyła oczy. Jej ojciec wypowiadał to nazwisko z takim nabożeństwem, że spodziewała się, iż dawny dowódca oddziału kroczy zwykle przynajmniej kilka centymetrów nad ziemią. Lowe był jednym z najmłodszych pułkowników w armii Północy, wiodącym swoich ludzi od zwycięstwa do zwycięstwa.

– Cieszę się, że wreszcie mogę pana poznać – rzekła, zerkając co chwila na pozostałych mężczyzn, skupionych nadal wokół Ulyssesa i Gunnera. – Ale... dlaczego?

Zanim Lowe zdołał odpowiedzieć, pojawił się Declan. Wyglądał tak zdrowo jak jeszcze nigdy, choć błysk radości zdążył już zniknąć z jego spojrzenia.

– Po śmierci Franka zrozumiałem, że potrzebujemy pomocy – zaczął. – Wiedziałem, że chłopcy z Pięćdziesiątki Siódemki nas nie zawiodą. Nie po tym, co spotkało Spencera. Wsiadłem w pociąg do Waukegan i spotkałem się z pułkownikiem Lowe'em, następnie zaś zwołaliśmy pozostałych.

Mollie ze zdumieniem patrzyła na zdrowych, sprawnych mężczyzn. Jej ojciec zaoferował pracę poszkodowanym żołnierzom ze swojego oddziału, ale w całym stanie żyli także weterani cieszący się pełnią sił. Wszyscy oni ocalili z pamiętnej trzydniowej bitwy pod Winston Cliff. A teraz przybyli jej na ratunek.

Podczas gdy poszczególni żołnierze podchodzili, by się przedstawić, Mollie całkiem odjęło mowę. Poznała Ernesta Jonesa, mleczarza z Belvidere; Josiaha Colemana, szewca; Grady'ego O'Maniona, murarza. Znalazł się nawet facet, którego przezywali Moose, pracujący jako poganiacz bydła. Ogółem osiemnastu mężczyzn.

Mollie była oszołomiona tą całą prezentacją.

– Declan powiedział nam, że ma pani teren budowlany, ale brakuje pieniędzy i robotników – zaczął pułkownik Lowe. – Przyjechaliśmy tutaj, żeby rozwiązać ten problem. O’Manion jest murarzem, przygotowuje więc ziemię do postawienia na niej fundamentów. Bridgerton ma znajomości w branży i załatwi nam zaprawę. Billy Thompson będzie odpowiedzialny za elementy konstrukcyjne i instalację wodociągową. Moose zajmie się transportem.

W głowie Mollie aż zawirowało.

Mój Boże, osiemnastu chłopów do wykarmienia!

I do przenocowania.

– Musicie być głodni – powiedziała, szukając desperacko jakiegoś rozwiązania. – Znam rzeźnika, który mógłby nas zaopatrywać w...

Pułkownik Lowe jej przerwał.

– Zatoszczyliśmy się o wszystko – zapewnił. – Moi ludzie będą nocować w jednym z baraków, uzyskałem już zgodę od generała Sheridana. Pani musi nam tylko powiedzieć, jaki typ budynku nadaje się na siedzibę fabryki zegarków. My zajmiemy się resztą.

To była odpowiedź na jej modlitwy. W całym mieście robotnicy budowlani uchodzili teraz za fachowców cenniejszych od złota, ona zaś miała do dyspozycji osiemnastu naraz. Mollie oddychała tak szybko, że kręciło jej się w głowie.

– Nie wiem, jak panom dziękować – przyznała. – Dopilnuję, żebyście mieli pod dostatkiem...

Gdy tym razem pułkownik jej przerwał, jego głos był chłodny.

– Panno Knox, jesteśmy tutaj, bo żadna siła nie zdołałaby nas od tego odciągnąć. Pani ojciec zrobił dla moich rannych braci coś, czego ja zrobić nie potrafiłem. Wszyscy mężczyźni, których pani tu widzi, zaciągnęli u Silasa dług, jakiego nigdy nie zdołaliby spłacić. To dla nas zaszczyt, że możemy odbudować tę fabrykę. Zaszczyt!

Czy ona śniła? W miarę wypowiedziania przez pułkownika kolejnych słów czuła, jak opada z niej napięcie. To było mniej więcej tak, jakby armia aniołów zstąpiła na ziemię, aby zdjąć z niej dojmujący ciężar.

Nie powinna pozwalać sobie na płacz w obecności tych mężczyzn. Na pewno pomyśleliby, że jest beużyteczną beksą niezastugującą na nazwisko swojego ojca. Jej wzrok się zamglił i odwróciła głowę, by ukryć łzy.

Pułkownik Lowe pochylił się, aby zerknąć na nią z bliska. Jego mocne rysy wygładziła iskierka humoru.

– Łzy? Przejechaliśmy cały stan, żeby poznać słynną pannę Mollie Knox, a ona ma dla nas tylko swoje łzy?

Otarła oczy.

– Czulaam się po prostu przytłoczona problemami. To były bardzo ciężkie tygodnie.

– Są to zatem ostatnie łzy, jakie wylewa pani z poczucia bezsilności – oświadczył. Twarz pułkownika emanowała dobrocią, gdy znowu się do niej uśmiechnął. – Nie wyjedziemy z tego miasta, dopóki fabryka nie zostanie odbudowana, aby mogła pani w niej produkować najlepsze zegarki na świecie. – Nagle łagodność zniknęła, a dzielny żołnierz zniżył głos. – I znajdziemy tych drani, którzy zabili Franka Spencera. Przysięgam.

Osiemnaście gardeł ryknęło na znak zgody. Czym zasłużyła sobie na takie błogosławieństwo? Declan spoglądał na nią z wyrazem twardej determinacji na twarzy. I właśnie wtedy Mollie zrozumiała, co się zmieniło: jej pracownik trzymał się na nogach prosto i pewnie, demony go opuściły. Dokonał wielkiego czynu i do końca życia będzie mu za to wdzięczna.

Podeszła, by go objąć.

– Declanie McNabb, uratowałeś mnie.

XVI

Płuca Zacka płonęły, a mięśnie nóg bolały go po trzykilometrowym biegu z dworca kolejowego. Po niemal czterdziestu ośmiu godzinach nieustannej jazdy dotarł wreszcie do Chicago i nie tracąc czasu, ruszył wprost do kościoła. Trzema susami pokonał schody i znalazł się w zrujnowanym budynku. W środku nie było nikogo, nie licząc starszego mężczyzny zbierającego gruz.

– Gdzie ona jest? – spytał Zack.

Mężczyzna wstał z kolan.

– *Ich spreche kein Englisch* [7] – odpowiedział.

Zack nie znał niemieckiego, a ten człowiek najwidoczniej go nie rozumiał. Z desperacją rozejrzał się po kościele. Namioty zniknęły. Podobnie jak beczka z wodą i piecyki. Nadpalony szal Mollie, leżący samotnie na ziemi, stanowił jedyny ślad jej pobytu w tym miejscu.

Ostatnie dwa dni okazały się najbardziej frustrujące w całym jego życiu. Sprawa w Filadelfii trochę się przeciągnęła, opóźniając jego wyjazd do Nowego Jorku. W chwili otrzymania telegramu siedział przy stole w nowojorskim hotelu. „Zabili Franka”, głosiło pismo. Gdyby chodziło o śmierć z przyczyn naturalnych albo o wypadek, Mollie nie użyłaby na pewno wyrazu „zabili”. To słowo prześladowało go w trakcie całej prawie tysiąckilometrowej podróży. Co się stało? Czy ona także została ranna? Kiedy tak tkwił z idiotyczną miną na środku kościoła, Mollie mogła leżeć w szpitalu albo wręcz umierać na ulicy.

Zack przejechał dłonią po włosach, rozglądając się wokół. Badał wzrokiem sterty gruzu, jakby to właśnie tam miał znaleźć wskazówkę co do miejsca pobytu Mollie. Wtem zobaczył ciemną plamę na podłodze. Żołądek skurczył mu się ze strachu.

Znów spróbował zagadnąć Niemca.

– Co się stało? – spytał i wskazał plamę krwi. – Frank Spencer? Co się stało?

Mężczyzna kiwnął głową w kierunku trzech innych ludzi, którzy siedzieli pod spalonym budynkiem poczty. Zack popędził w tamtą stronę. Ci Niemcy mówili po angielsku, więc wysłuchał z przerażeniem ich opowieści o rabunku i pobiciu niewidomego na śmierć. W miarę poznawania szczegółów czuł coraz większy zamęt w głowie. Nie powinien był pozwolić Mollie zostać tutaj. Dzień po pożarze należało wziąć ją na plecy i zanieść do domu. Zack nigdy nie przepadał za Frankiem, ale Mollie

uważała go niemal za członka rodziny. Teraz dziewczyna odeszła, on zaś wyrzucał sobie dopuszczenie do całej tej sytuacji.

Postanowił zajrzeć do browaru, jednak w połowie drogi coś sobie przypomniał. Wrócił biegiem do kościoła, podniósł z ziemi zielony szal i schował go do kieszeni.

Po trzydziestu minutach dotarł do dzielnicy, w której znajdował się browar. Pokonał kilka schodów i przecisnął się przez wąskie wejście na strych. Poczł przyplw ogromnej ulgi na widok ludzi pracujących wewnątrz. Mollie siedziała przy jednym z wysokich stołów, pochylając się nad rozłożonym na nim arkuszem papieru kreślarskiego. Obok niej dostrzegł jakiegoś blondyna, którego nigdy wcześniej nie widział.

Żył. Była zdrowa. Fala ulgi okazała się tak obezwładniająca, że zachwiał się i musiał oprzeć plecami o framugę. Wyczerpanie otoczyło go niczym wełniany koc, jego oczy nadal jednak chłoneły obraz dziewczyny.

– Mollie.

Drgnęła na dźwięk znajomego głosu.

– Witaj, Zack. – Słowa zabrzmiały spokojnie. Zimno. A później, niespodziewanie, przysunęła się bliżej do tajemniczego blondyna i skupiła całą uwagę na rysunkach.

Nie mogąc dłużej stać w przejściu, wszedł głębiej do warsztatu.

– Przyjechałem, kiedy tylko dostałem twój telegram. Wszystko w porządku?

Zgarbiła się i unikała jego spojrzenia. Przybliżył się jeszcze bardziej.

– Wyjdźmy na zewnątrz i powiesz mi, co słyhać.

Nadal się nie ruszała. Cała pracownia patrzyła na niego tak, jakby był bombą, która za moment eksploduje. Rozejrzył się wokół. Rozpoznawał większość twarzy, ale nie wszystkie. Potrafił zrozumieć rozczarowanie Mollie wobec faktu, że tak długo kazał jej na siebie czekać, nie pojmował natomiast, dlaczego wszyscy tutaj traktują go jak trędowatego.

– Mollie? – Położył rękę na jej ramieniu, chcąc, by wreszcie na niego spojrziała. – Mollie, chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać – poprosił łagodnie.

Zesztywniała.

– Muszę pracować.

Czy tylko mu się zdawało, czy naprawdę przysunęła się jeszcze bliżej do tego nieznajomego?

Zack chwycił ją za łokieć i szepnął dziewczynie na ucho:

– Mollie, rusz tyłek z tego krzesła i chodź ze mną. Kupię ci precla, a ty możesz na mnie nakrzyczeć za to, że się spóźniłem.

Mollie podniosła się z miejsca i przemaszerowała do drzwi. Choć nadal na niego nie patrzyła, przynajmniej pogodziła się z jego istnieniem. Wzięła płaszcz z wieszaka i opuściła warsztat, szybko pokonując kolejne stopnie. Płaszcz wyglądał na nowy, co go pozytywnie zaskoczyło... Nie mógł już patrzeć, jak chodzi w tamtych starych szmatach.

Jego kroki odbijały się echem na klatce schodowej, gdy próbował za nią nadążyć. Wyszli z budynku.

– Czy ten płaszcz jest nowy? – zapytał, kiedy owionęło ich chłodne listopadowe powietrze.

Wreszcie odwróciła ku niemu twarz.

– Masz moje pieniądze?

Zamarł. Na konto Hartmana w Filadelfii wpłynęły wreszcie nowe środki, mogli więc teraz zapłacić Mollie za akt własności, Zack miał jednak pewność, że złość dziewczyny wynika z czegoś więcej niż tylko z opóźnienia w płatności. Gdyby którykolwiek z jego współpracowników odezwał się do niego takim tonem, natychmiast zaproponowałby mu, aby wyszli z biura i rozwiązali sprawę po męsku. Teraz wziął głęboki oddech, starając się uspokoić. Cokolwiek spotkało Mollie w ciągu ostatniego tygodnia, na pewno musiało być okropne. Jej najdroższy przyjaciel został zamordowany, ona zaś pogrążyła się w żalu.

Położył ręce na jej ramionach.

– Mollie, powiedz mi, co się stało. Nie spałem od dwóch dni.

– Z powodu wyrzutów sumienia?

– Tak! – krzyknął. – Nie powinienem był pozwolić, żebyś tak długo przebywała w tym kościele! Żałuję, że nie zaciągnąłem cię siłą do mojego domu już pierwszego dnia!
– Spróbował ją objąć, ale napotkał zdecydowany opór. Jej oczy nabrały jeszcze gorszego

wyrazu. – Na litość boską, rozmawiaj ze mną! Krzycz, bij mnie... ale przestań patrzeć w taki sposób.

Ani trochę nie złagodniała. W jej głosie dało się wyczuć najprawdziwszą pogardę.

– Czy masz moje pieniądze? Tylko tego od ciebie oczekuję.

Był tak zmęczony, że ledwo trzymał się na nogach, ciągle jednak walczył z pokusą potrząśnięcia nią i zmuszenia do zmiany wyrazu twarzy. Schował ręce w kieszeniach, przywołując się do porządku.

– Właśnie porzuciłem najważniejszą sprawę w całej swojej zawodowej karierze, bo dostałem od ciebie telegram z prośbą, bym natychmiast wrócił. Przejechałem osiemset kilometrów bez żadnego postoju tylko po to, żeby cię zobaczyć.

– Osiemset? To zabawne, że wymieniłeś tę liczbę. Mam akurat tyle samo powodów, żeby być na ciebie wściekła.

Skrzyżował z nią spojrzenie. To niemożliwe, aby miała na myśli to, co podejrzewał. Szczegóły warunków ubezpieczenia Hartmana były poufne, co nie oznaczało oczywiście, że nikt w mieście ich nie zna. Ale dlaczego Mollie miałaby się nimi interesować? Nie bacząc na przeciwności, Zack zdołał nakłonić towarzystwa ubezpieczeniowe ze Wschodniego Wybrzeża, by wypłaciły mu całą należną sumę. Teraz Mollie ciskała mu w twarz tę liczbę zupełnie tak, jakby żywiła o nią pretensje.

– Mamy już na koncie pieniądze – oznajmił bezosobowym, formalnym tonem, którego tak nienawidziła. – Spotkaj się ze mną jutro w południe w banku First Continental, wypłacę ci całą sumę.

W spojrzeniu dziewczyny nic się nie zmieniło. W ogóle nie wzruszył jej fakt, że zaniedbał dla niej zawodowe obowiązki.

Zrobił krok naprzód i chwycił ją za ramię, nie pozwalając odejść.

– I postaraj się zachowywać lepiej niż wściekły troll. – Wyprostował się i wyszedł z browaru, nie oglądając się już za siebie.

~
Pułkownik Lowe był z wykształcenia inżynierem i swego czasu zarządzał budową największych linii kolejowych w Ameryce. Czyż mogłaby znaleźć bardziej kompetentnego człowieka do odbudowy swojej fabryki? Okazał się swoją drogą niezwykle dobrze wychowany i skuteczny w działaniu. Po wczorajszym starciu z Zackiem przyjmowała jego obecność jako kojący balsam. Nienaganne maniery,

przyjemne obycie. I żadnych oskarżeń ciskanych znieścaka na środku ulicy niczym bomby.

Żona pułkownika zmarła trzy lata temu, nie doczekali się dzieci. Mollie odczuwała samolubną wdzięczność wobec faktu, że obowiązki rodzinne z pewnością nie zmuszą go do wyjazdu z Chicago. Naszkicowane przez niego plany wymagały prawdziwego inżynierskiego talentu, aby mogły zostać wcielone w życie.

Kiedy stali na zrujnowanej East Street, Lowe badał okolicę okiem fachowca, zauważając nierówność ziemi pod zniszczonymi fundamentami fabryki, które nadal zalegały na działce.

– Czy mieliście tu w przeszłości problem z systemem odwadniania? – zapytał.

Mollie skinęła głową.

– Mój ojciec musiał się z tym zmierzyć, kiedy stawiał budynek. Właśnie dlatego nie mógł zaplanować piwnicy. Architekci ostrzegli nas, że grozi to zalaniem.

– Podejrzewam, że wasi specjaliści nie znali się zupełnie na technicznych nowinkach. Nie ma nic trudnego w instalacji drenażu francuskiego, który będzie kierował wodę na południowy kraniec działki, gdzie nie wyrządzi ona żadnych szkód. W nowej fabryce znajdzie się miejsce na dużą piwnicę.

Mollie westchnęła z nadzieją. Mając więcej miejsca do przechowywania towaru, będzie mogła zwolnić jedno pomieszczenie na górze i pokusić się o rozszerzenie działalności.

– Naprawdę może pan to zrobić? Wdrożyć nowy system odwadniający oprócz tego wszystkiego, co już zaplanowaliście?

Pułkownik Lowe postawił stopę na stosie cegieł.

– Panno Knox, byłem prymusem w West Point. Budowałem koleje w Dakocie oraz mosty w Illinois. Podczas wojny nadzorowałem detonacje i stawiałem wzmocnienia ochronne, wykorzystując do tego celu wyłącznie wojskowe odpady. Postrzelono mnie w trakcie bitwy pod Winston Cliff, co nie przeszkodziło mi dowodzić oddziałem przez kolejne trzy dni. – Puścił do niej oko. – Myślę, że poradzę sobie także z drenażem francuskim.

W ustach mężczyzny obdarzonego mniejszym urokiem osobistym takie słowa zabrzmiałyby jak czcze przechwałki. Pułkownik Lowe był jednak czarujący, Mollie zaś chłonęła z zachwytem każdą jego uwagę. Od momentu pojawienia się w Chicago zabijał

dla niej jednego smoka za drugim. Jego niewielki oddział zdołał już wywieźć z terenu fabryki trzy potężne wagony gruzu. Jakimś niepojętym sposobem udało mu się też zakupić od przypadkowych handlarzy nowe cegły, kiedy tylko przybył wraz ze swoimi ludźmi na dworzec. W ciągu tych paru godzin, gdy siedziała u jego boku w pracowni na strychu, naszkicował nieskończoną ilość cennych projektów. Fabryka miała być większa niż wcześniej; przewidzieli w niej miejsce na gabinet doktora Buchanana oraz jeszcze trochę wolnej przestrzeni pod wynajem.

Pułkownik Lowe zawsze podnosił się z miejsca, gdy ona wchodziła do pokoju. Zwracał się do niej miękkim, kojącym tonem. Kiedy Zack wpadał we wściekłość, jego głos zdradzał ciemną portową przeszłość. Osoba pułkownika okazała się zatem dla Mollie pozytywną odmianą.

Bawiła się zegarkiem ojca, szukając pocieszenia w znajomym zagłębieniu metalu. Za godzinę miała się spotkać z Zackiem w celu sfinalizowania umowy o zakup ziemi na Columbus Street. Wolałaby chyba złapać węża za szyję i wydrzeć mu owe dwa tysiące z gardła, ale to niestety nie wchodziło w grę.

~
Hol banku wyłożono drewnem olchowym i wykończono kasetonami na suficie. Zack nie znał ani jednej osoby, która przywiązywałaby wagę do wyglądu sufitu, zanim nie zaczął robić interesów z Louistem Hartmanem. Obecnie rzadko zdarzało mu się wchodzić do banku, którego sufit nie byłby równie bogato zdobiony jak podłoga. Grube perskie dywany tłumiły odgłos kroków, sprawiając, że było tu cicho jak w bibliotece. Pracownicy siedzieli przy biurkach zaopatrzonych w lampy z przyciemnianym szkłem i zwracali się do klientów niemal szeptem. Atmosfera powagi emanowała z każdego zakamarka.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z Zackiem, którego oburzenie było tak nieokiełznane, jak mogłyby na to wskazywać jego wschodnioeuropejskie korzenie. Co wstąpiło w tę kobietę? Czy istniała na świecie druga tak wyrachowana i niewarta zaufania osoba, jak Mollie Knox? Nie wiedział, co skłoniło ją wczoraj do wieszania na nim psów, miał jednak pewne przypuszczenia. Nie wyssała z palca liczby osiemset – ktoś w mieście musiał zasiać w jej malutkim mózdzku ziarno podejrzliwości.

Siedział na fotelu jak za czasów Ludwika XIV, wyglądającym efektownie, ale okropnie niewygodnym. Ułożył nogi pod dziwnym kątem i nieustannie zmieniał pozycję tułowia. Wielki zegar na ścianie podpowiadał, że Mollie miała już dziesięć minut spóźnienia. Pożar spowodował poważne problemy komunikacyjne, więc jej nieobecność dałaby się bez trudu racjonalnie wytłumaczyć, lecz owa okoliczność jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi. Czy ona zdawała sobie sprawę, ile kosztowało go przerwanie podróży do Nowego Jorku? Chociaż Zackowi udało się przekonać ubezpieczycieli do wypłaty ośmuset tysięcy dolarów za spalony budynek, utracony przez nich towar wart

był około pół miliona. Razem z Louistem Hartmanem usiłowali odzyskać także i te pieniądze, lecz w środku rokowań Zack musiał wszystko rzucić i wracać do Chicago z powodów osobistych – aby pocieszyć Mollie.

Sądząc po strumieniu wściekłych telegramów napływających z Nowego Jorku, Louis jeszcze mu tego nie wybaczył. Ubiegłej nocy odwiedziła go Josephine Hartman, proponując, aby podarował jej dyplom Yale, bo kariera prawnicza już go chyba nie interesuje. Naobiecował jej Bóg wie co, byle tylko choć odrobinę udobruchać żonę swego chlebobdawcy.

Włożył palec pod kołnierzyk koszuli, aby podnieść go nieco wyżej. Mollie nie powinna grasować po Columbus Street i dowiadywać się tam o ceny ziemi. Dwa tysiące dolarów, które jej zaoferował, to praktycznie rozbój w biały dzień – podejrzewał zatem, że właśnie stąd może wynikać gniew dziewczyny. Lepsze jednak to niż długi, monotony proces. Uzyskał jej podpis na akcie własności, Hartman zaś mógł bez obaw rozpocząć odbudowę. Ta sprawa musiała się dzisiaj zakończyć; jeśli Mollie nie dotrze do banku sama, zamierzał przetrząsnąć całe miasto, by ją tu sprowadzić.

Kiedy wchodziła do środka, przy drzwiach zadźwięczał mały dzwonek. Rozejrzała się po pomieszczeniu i wreszcie go zobaczyła. Jej twarz wydawała się tak samo zimna i obojętna jak wczoraj. Zack nie wstał z miejsca, żeby ją powitać. Jeżeli planowała wciąż obrzucać go błotem, wolał nie trwonić sił na darmo.

Stała sztywno w drzwiach, zerkając na niego przez rozległy hol. On też na nią patrzył. Jeżeli chciała odebrać swoje dwa tysiące, musiała sama po nie przyjść.

W końcu ruszyła w jego stronę. Z wyraźnym oporem i jeszcze wyraźniejszą pogardą. Kiedy stanęła przy jego fotelu, zdobył się na uśmiech.

– Znowu warkocze? Jaka szkoda.

– Masz moje pieniądze?

Rzucił okiem na pracownika banku siedzącego w odległym kącie sali.

– Pan Tobbin dokona transakcji. Spóźniłaś się dwadzieścia minut.

Obrzuciła wzrokiem zegar na ścianie.

– To chyba najbrzydszy zegar, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Oszczędź mi, proszę, swoich profesjonalnych uwag. Temat zegarów i zegarków kompletnie mnie nie interesuje. Tak naprawdę chciałbym wiedzieć, co zmieniło piękną,

inteligentną kobietę w nieznośnego bachora. Zachowujesz się mniej więcej jak Sophie.

Pochyliła się nad nim tak, że ich twarze niemal się ze sobą stykały.

– Frank nie mylił się co do ciebie – powiedziała pełnym jadu szeptem. – Kiedy zamierzałeś mnie poinformować, że wywalczyłeś osiemset tysięcy dolarów odszkodowania?

Nie odwrócił wzroku.

– Nigdy. To nie twój interes.

– Zważywszy na fakt, że jestem właścicielką jednej czwartej tej działki, ów detal wydaje mi się jednak dość istotny.

Życzyłby sobie, żeby się zamknęła. Kobieta, którą podziwiał przez trzy ostatnie lata, zawsze postępowała zgodnie z wymogami logiki i reguł. Teraz miał przed sobą chciwą harpię. Nie zamierzał wyjawiać tajemnic handlowych w miejscu publicznym, w którym każdy mógł ich podsłuchać. Pochylił się nieco w jej stronę, mając nadzieję, że mówi wystarczająco cicho:

– Twoje nazwisko nie figuruje na tej polisie, Mollie. Nigdy nie wpłaciłaś na nią ani centa, więc nie dostaniesz także ani centa z tego tytułu. Koniec tematu.

Ten argument chyba do niej trafił. Posiadała akt własności kawałka ziemi na Columbus Street, nie dołożyła jednak absolutnie nic do polisy założonej przez Hartmana. Po chwilowej dekoncentracji szybko odzyskała jednak animusz.

– Zaufałam ci, podpisując umowę sprzedaży – syknęła. – A ty oszukałeś mnie w kwestii wartości tej ziemi. Powinam ją wam odstąpić za piętnaście tysięcy, może nawet za dwadzieścia. Na pewno nie za dwa.

I tu go miała. Działki na Columbus Street drożały z dnia na dzień, więc ów nieszczęsny dokument wisiał nad firmą Hartmana jak burzowa chmura. Zack wstał i popatrzył na nią z góry.

– Nie oszukuj się, Mollie. Dwa tysiące to maksimum tego, co mogłaś dostać. Twój tytuł własności jest bardzo dyskusyjny, więc proces toczyłby się latami.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Tak właśnie to sobie tłumaczysz, nie mogąc w nocy zasnąć?

– Hm...

Zack odwrócił się i spostrzegł, że dołączył do nich pan Tobbin. Zza swoich dużych okularów wyglądał jak wystraszony jelonek, który niechcący zabłądził na pole bitwy.

– Proszę wybaczyć, że państwu przeszkodziłem – powiedział – ale za dwadzieścia minut mam kolejne ważne spotkanie. Jeśli chcemy dzisiaj zamknąć kwestię sprzedaży ziemi, musimy już zaczynać.

Zack wskazał dość odległe biurko pana Tobbina. Mollie się zawahała, on jednak postanowił być bezlitosny.

– No to jak będzie, panno Knox? Może pani otrzymać dzisiaj dwa tysiące dolarów. W przeciwnym razie proszę wynająć prawnika, złożyć pozew w sądzie stanowym i latami czekać na wyrok, trwoniąc czas i siły w nadziei na kilka dolarów więcej. Aha, oprócz niewielkiej szansy wygranej zyska pani jeszcze prawo do zapłaty naszej firmie czterech tysięcy dolarów tytułem zaległego podatku. Wybór należy do pani.

Wyglądała tak, jakby lada moment miała wybuchnąć.

– Zaczynamy – burknęła.

Na twarzy pana Tobbina odmalowała się ulga. Zaprosił ich gestem do swojego biurka. Mollie ruszyła w tamtym kierunku, lecz Zack nagle do niej doskoczył i wziął ją pod ramię. Musiał jakoś uśmiercić pasożyta toczącego kobietę, którą kochał.

– Kiedy już podpiszesz te papiery – szepnął jej na ucho – zrozum, że to koniec. Robisz dobry interes. Proces wykończyłby cię psychicznie i finansowo, doskonale o tym wiesz. To nasza ostatnia kłótnia w tym temacie.

Wyrwała rękę z jego uścisku i pomknęła za panem Tobbinem w taki sam sposób, w jaki miała zwyczaj się poruszać po sklepie Hartmana. Szybko, energicznie i efektownie. Zawsze to w niej podziwiał. Nawet kiedy nosiła na sobie tamte niedopasowane ciuchy podarowane przez pomoc społeczną, kroczyła po ulicach z godnością królowej. Uśmiechnął się, idąc za nią. Życie u boku Mollie byłoby prawdziwą przygodą, na którą czekał całymi latami. Co może się stać, jeśli dwa huragany połączą swe siły? Po podpisaniu umowy zamierzał zabrać ją na obiad do najlepszej knajpy w mieście.

Pan Tobbin podsunął Mollie formularz.

– Tutaj znajdzie pani numer konta, które otworzyliśmy w celu przelania środków wymienionych w umowie – powiedział owym miękkim głosem, opanowanym do perfekcji przez wszystkich pracowników banków na świecie. Kobieta przeczytała

dokument w całości, zanim złożyła na nim swój podpis. Skrzywienie pióra było jedynym odgłosem słyszalnym pośród dojmującej ciszy.

Umowa nabrała zatem mocy prawnej. Pieniądze znalazły się na jej koncie i natychmiast podjęła kilka dolarów na bieżące wydatki.

– Chodź, Mollie. Zabiorę cię na lunch.

Zignorowała go, maszerując w stronę drzwi. Kiedy wyszedł za nią, podmuch zimnego powietrza uderzył go w twarz. Poprawił płaszcz i postawił kołnierz, szukając w ten sposób ochrony przed wiatrem. Musiał rozpychać przechodniów łokciami, żeby za nią nadążyć.

– O co właściwie jesteś na mnie zła? – spytał. – Myślisz, że w sądzie wywalczyłabyś coś więcej? Tak? Nigdy nie uważałem cię za kobietę, która potrafiłaby zrezygnować ze związku z powodu kilku dolarów.

Spojrzenie, jakie mu posłała, niejednego mężczyznę przyprawiłoby o atak serca.

– To zabawne, bo ja myślałam o tobie dokładnie to samo.

Mollie minęła chłopca ciągnącego wózek z materacami, zaś Zackowi zatarasowała przejście grupa zakonnic. Zacisnął zęby, przeciskając się pomiędzy nimi, aż wreszcie znowu stanął obok Mollie. Podobała mu się taka zdrowa kłótnia oczyszczająca atmosferę, ona najwidoczniej również nie rezygnowała z udziału w niej. Odwróciła się, by na niego spojrzeć, i położyła mu palec na piersi.

– Wiedziałeś – rzekła z naciskiem. – Wiedziałeś o tym akcie własności i dlatego chciałeś odkupić ode mnie firmę, zanim wybuchł pożar.

Zack wstrzymał oddech. A więc w końcu i do tego doszła. Odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Miał nadzieję, że zabierze tę tajemnicę do grobu, a jednak prawda wyszła na jaw.

– Dobra, faktycznie o nim wiedziałem – przyznał zrzędlwym tonem. – Jestem winny lojalność Louisowi Hartmanowi, a sprawa dokumentu to rzecz poufna. Nie mogłem ci nic zdradzić, nie łamiąc prawa. – Poza tym otrzymała te przeklęte dwa tysiące, czyli zapewne więcej, niż przyznałby jej jakikolwiek sąd.

– Nie chowaj się za fałszywą moralnością. Zrobiłbyś wszystko, aby na zawsze zapomnieć o tamtym nędznym życiu w porcie, i zupełnie nie liczy się dla ciebie to, kogo jeszcze będziesz musiał oszukać.

Postąpił krok naprzód i bacznie się jej przyjrzał.

– Nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

– A już zaczynałam cię uważać za równego chłopca – zakpiła. – Rozrzucane na biurko ryby, porachunki z irlandzkimi gangami. Myślałam, że jesteś człowiekiem interesu, tymczasem okazujesz się smętnym dorobkiewiczem. Popatrz na siebie z boku! Takie eleganckie ubranie, a jednocześnie ta głupia zięba w klatce, którą wszędzie ze sobą nosisz. Możesz udawać, co ci się żywnie podoba, ale tak naprawdę masz brud za paznokciami, który nigdy nie zniknie, bo wciąż nurzasz się w rynsztoku.

Wzdrygnął się, zanim zdążył zapanować nad emocjami. Wydał fortunę na te ciuchy, nie zamierzał też przeproszać za ciężką pracę w porcie. Odwróciła się i chciała zniknąć w tłumie, nie mógł jej jednak na to pozwolić. Złapał ją za ramię.

– Wylewasz na mnie wiadro pomyj, a potem tak po prostu uciekasz?

– Odczep się.

Teraz już dotrzymywał jej kroku.

– Nigdy nie uważałem cię za tchórza, Mollie. Zostań i walcz do końca.

Jej usta zbiegły się w jedną twardą kreskę, a każdy mięsień wydawał się napięty. Dotarłszy do przystanku tramwajowego, musiała się na chwilę zatrzymać i przepuścić pasażerów. Dwie kobiety dźwigały torby z warzywami, a jakiś chłopak trzymał w ręku plik gazet, Zack jednak nie dbał w tym momencie o publiczność.

Pochylił się, by szepnąć jej na ucho:

– Twoje oczy stają się wręcz granatowe, kiedy jesteś zła.

Nie reagowała, patrząc prosto przed siebie. On z kolei nie przestawał naciskać. Zależało mu na wywabieniu jej ze skorupy.

– Słyszałem, że gdy czarna wdowa wpada we wściekłość, odgryza partnerowi łebek. Wyglądasz, jakbyś miała ochotę zrobić ze mną to samo.

Wyraz obojętności nie zniknął z jej twarzy. Dobiegający zza rogu odgłos kopyt zapowiadał tramwaj konny. Mollie ustąpiła przejścia sprzedawczyniom warzyw i gazeciarzowi, po czym sama wsiadła do środka. Zagadnęła kierowcę:

– Tamten mężczyzna mnie napastuje. Czy mógłby pan dopilnować, żeby nie

wszedł do tramwaju?

Kierowca położył rękę na dźwigni i zatrzasnął Zackowi drzwi przed nosem.

XVII

Mollie podjęła z banku wystarczającą sumę, by spłacić dług zaciągnięty u pana Duranta. Chociaż ojciec Sophie upierał się, że te pieniądze to podarunek dla niej, bardzo chciała uregulować tę sprawę po swojemu. Udała się na Prairie Avenue bezpośrednio po tym, jak zostawiła oniemiałego Zacka na przystanku. Owa pożyczka nie dawałaby jej spokoju, a Mollie chciała raz na zawsze pozbyć się koszmarnych wspomnień związanych z tamtym kościołem.

Pan Durant był akurat z Sophie, kiedy Mollie pojawiła się w holu wystawnej rezydencji należącej do jego brata. Rozłożony na brokatowej kanapie, trzymał w swojej wielkiej ręce filiżankę do herbaty, podczas gdy Sophie nalewała mu napój ze srebrnego dzbanka. Po obu stronach mężczyzny leżały porcelanowe lalki, przed którymi Mollie również dostrzegła filiżanki.

– Panno Knox, wpadła pani akurat w porze herbaty.

Chętniej wypiłaby kieliszek ługu, ale przecież nie wypadało odmówić. Usiadła obok niego na kanapie; była w stanie spędzić w towarzystwie Sophie maksymalnie dziesięć minut bez uszczerbku na zdrowiu. Serwis herbaciany wystarczał jedynie dla czterech osób. Dziewczynka zabrała brakującą filiżankę jednej z lalek, ubranej w sukienkę haftowaną z taką starannością, że biedna krawcowa musiała nad nią spędzić przynajmniej miesiąc.

– Musisz odstawić filiżankę po każdym łyku – poinstruowała Sophie swoją byłą opiekunkę. – Inaczej stanie się lepka.

Pan Durant zaśmiał się nieco nerwowo.

– Sophie, panna Knox może mieć własny styl picia herbaty. – Pociągnął łyk chłodnego napoju. – Proszę nam powiedzieć, jak się miewa pani zegarkowy interes.

Mollie zrelacjonowała zatem w skrócie, jak przebiegał powrót do pracy. Alice i Ulysses skończyli szkicować projekt modelu upamiętniającego pożar, opracowali także jego szablon. Pozostali członkowie ekipy zajęli się śrubkami i sprężynkami nieodzownymi do prawidłowego funkcjonowania małych organizmów. Nadal brakowało im pewnych niezbędnych materiałów, przez co nie było pracy dla Declana i Starego Gunnera. Obaj zostali więc oddelegowani na budowę fabryki przy East Street.

– Nie lubię Starego Gunnera – oświadczyła Sophie. – Brzydko pachnie. Jak stare cygara.

Pan Durant odchrząknął.

– To niegrzeczne, Sophie. Jeżeli nie możemy powiedzieć o jakiejś osobie nic miłego, najlepiej w ogóle o niej nie wspominać. Rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu. Musimy popracować nad naszym zachowaniem, jeśli chcemy, żeby Johnstonowie jeszcze kiedyś zaprosili nas do siebie... prawda, robaczkę?

Sophie kopnęła nogę od stołu.

– Mam to gdzieś, czy nas zaproszą – odparła. – Nie znoszę domu Johnstonów. Chcę zamieszkać w kościele.

Mollie wolałaby solidny atak niestrawności od kolejnej godziny spędzonej w towarzystwie Sophie, zmusiła się jednak do przybrania grzecznego tonu.

– Nie mieszkamy już w kościele. Miasto zbudowało dla nas tymczasowe baraki. Ja i Alice mieszkamy w części dla kobiet, która jest bardzo zatłoczona. Nie spodobałoby ci się tam.

Twarz Sophie pociemniała. Przysunęła nogi do klatki piersiowej, położyła stopy na krawędzi stołu i przewróciła go jednym kopniakiem. Srebrna zastawa runęła na podłogę, a ciecz o jasnobrązowej barwie zalała jedwabny dywanik.

– Mam to w nosie. Zabawa lalkami jest głupia. Ten dom też jest głupi.

Pan Durant zerwał się na równe nogi.

– Zachowujesz się skandalicznie! Masz przecież wszystko, o czym dziewczynka w twoim wieku może zamarzyć, i w ogóle tego nie szanujesz! Teraz wstaniez i przeprosisz pannę Knox.

Sophie przybrała ów zbuntowany wyraz twarzy, który Mollie obserwowała u niej setki razy. Dziewczynka kopnęła cukiernicę, rozsypując białe kryształki na przemoczony herbatą dywan. Potem wreszcie wstała.

– Przepraszam, panno Knox – powiedziała głosem pełnym pogardy. – Mam dosyć lalek i podwieczorków. Chciałabym robić coś trudnego.

Trudnego? Mollie pamiętała, z jaką niechęcią Sophie zabrała się do sortowania cegieł. Wykonała tę czynność tylko dlatego, że w innym wypadku nie dostałaby nic do jedzenia. Skoro jednak rozpoczęła już powierzone sobie zajęcie, prawie nie narzekała. Kryzys nadszedł dopiero wieczorem, kiedy Sophie załadowała cegłami taczki, a Ulysses nie chciał przyjść, żeby je zobaczyć. Mollie zrobiło się wówczas żal dziewczynki, więc

sama wyszła z kościoła, by podziwiać efekt jej pracy: mnóstwo porządných cegieł ułożonych w równe rzędy.

– Świetnie, Sophie! – zawołała, naprawdę będąc pod wrażeniem. Sophie promieniała taką dumą, jakby właśnie wykonała ostatni ruch pędzlem, wieńcząc malowanie fresków w Kaplicy Sykstyńskiej.

Teraz dziewczynka przypatrywała się dywanowi pod swoimi stopami. Rozglądając się wokół, Mollie zauważyła, że pokój wypełniały klocki, lalki i nowe ubrania. Na ten widok sama poczuła się nienaturalnie znudzona. Kiedy była w wieku Sophie, ojciec powierzył jej pierwszą pracę w warsztacie: emaliowanie tarcz zegarków. To była żmudna, odpowiedzialna robota. Ślęczała nad nią całymi godzinami, zanim dana tarcza nabrała pięknego wyglądu. Poczucie satysfakcji okazywało się jednak ogromne – z całą pewnością większe niż to wynikające z zabawy nawet najładniejszą lalką.

– Sophie, może zechciałabyś pomóc przy budowaniu mojej fabryki? – spytała, wprawiając samą siebie w zdumienie. – Jest tam mnóstwo pracy, którą należy wykonać przed postawieniem fundamentów. Wynoszenie żwiru, wyrównywanie ziemi...

Spojrzała na pana Duranta. Nagle przyszło jej do głowy, że może posunęła się tą propozycją zbyt daleko, on jednak nie wyglądał na obrażonego. Był raczej zaciekawiony. Sophie zaś się rozpromieniła.

– Musiałabyś oczywiście uzyskać zgodę ojca – dodała szybko Mollie. – To prawdziwy plac budowy, na którym nie ma miejsca na dąsy. Małe dziewczynki muszą zachowywać się grzecznie i postępować zgodnie z instrukcjami. Na początek znaleźlibyśmy ci jakieś zajęcie na kilka godzin, żebyś sprawdziła, czy ci się spodoba.

Po pierwszym odruchu zaskoczenia Sophie na powrót przybrała obojętną minę.

– Mam to gdzieś – stwierdziła.

Pan Durant wykazał więcej inicjatywy niż jego córka. Wziąwszy Mollie na stronę, zaczął jej opowiadać, jak bardzo starał się w ciągu ostatnich lat wychować Sophie na grzeczne dziecko. Matka dziewczynki, Charlotte, cudem uniknęła śmierci przy porodzie, a w ciągu kolejnych miesięcy nie mogła zajmować się niemowlęciem. Gdy pani Durant zdołała wreszcie wstać z łóżka, przystąpiła niezwłocznie do obsypywania córki luksusami: sprowadzała muzyków, którzy przygrywali dziewczynce do snu, oraz irlandzkie krawcowe szyjące najdelikatniejsze ubranka. Kiedy Sophie trochę podrosła i nauczyła się słownie wyrażać niezadowolenie, rodzice starali się jeszcze bardziej, by zaspokoić jej nieustanną potrzebę uwagi. A ponieważ była inteligentną dziewczynką, szybko zrozumiała, w jaki sposób ośmieszać jednego rodzica przed drugim, i w ten sposób zyskiwać jeszcze więcej zainteresowania własną osobą.

– Ale odkąd wróciła z kościoła – relacjonował pan Durant – nie przestaje o nim mówić. Ciągle opowiadała o niewidomym mężczyźnie, któremu czytywała gazetę. O zbieranych ceglach. Przysięgała, że nienawidziła każdej minuty spędzonej nad tą pracą, ale ostatecznie cóż w tym dziwnego? Widziałem pęcherze na jej rękach i zadrapania na ramionach, ale dlaczego ona ciągle o tym mówi? Myślę... – Przerwał i podrapał się w zadumie po podbródku. – Myślę, że w tamtym kościele czuła się po prostu potrzebna. I że właśnie dlatego wciąż wspomina ten okres.

Mollie przyznawała mu w duchu słuszość. Jak długo dziecko może się bawić, nie odczuwając nudy? Do ciężkiej pracy trudno się przyzwyczaić, lecz jej rezultaty przynoszą satysfakcję nieporównywalną z niczym innym. Nauczył ją tego Silas Knox. Właśnie z tego powodu zależało mu na zapewnieniu jakiegoś zajęcia weteranom wojennym. Bez poczucia celowości życia dusza więdnie i umiera. Nawet nieciekawa praca, jak mycie podłogi w fabryce albo sortowanie cegieł, zapewnia ziarenko owej godności, o którą duch ludzki nieustannie zabiega.

Zagryzła wargę.

– Mówiłam poważnie w kwestii dąsów. Ludzie na budowie to ochotnicy, obecność Sophie nie może więc dodatkowo utrudniać im pracy.

Odpowiedź pana Duranta była natychmiastowa:

– Jeśli zacznie rozrabiać, proszę ją odesłać z powrotem. Ale myślę, że właśnie tego jej trzeba. Sophie to inteligentna dziewczynka, nigdy jednak zbyt wiele od niej nie wymagaliśmy.

– A pańska żona? Nie będzie protestować?

– Na pewno będzie. Charlotte uzna, że chciałem w ten sposób ukarać córkę. Ja z kolei uważam, że to najpiękniejszy z prezentów, jaki mogę jej podarować.

≈

– Mollie, przestań!

Ktoś potrząsnął nią za ramię, ale odepchnęła tę rękę. Musiała wyciągnąć Franka z budynku, zanim dach runie i pogrzebie ich oboje żywcem. Zaczęła walczyć jeszcze mocniej.

– Mollie, przestań, skarbie!

Oprzytomniała. Obok niej siedziała Alice, ubrana w koszulę nocną, i starała się

przytrzymać jej ręce na materacu. Coś nadal było bardzo nie w porządku, gdy Mollie przyciskała koc do piersi i rozglądała się po baraku. Nic jej nie groziło. Panowała głęboka ciemność, kobiety chrapały, a w powietrzu unosiła się woń sosnowych desek. To tylko zły sen. Mollie wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że nie narobiła za dużo hałasu. Alice spała na dolnej części piętrowego łóżka, więc pewnie czuła, jak koleżanka rzuca się na kocu.

– Kolejny koszmar? – spytała.

Mollie nie musiała nawet odpowiadać. Od czasu pożaru obie miały problemy ze snem. I bynajmniej nie tylko one. Niemal każdej nocy któraś z przebywających tu kobiet bądź dziewcząt kwiliła w łóżku.

– To było coś o Franku – wyjaśniła Mollie. – Został uwięziony w jakimś budynku, a ja nie mogłam do niego dotrzeć. Może chodziło nawet o nową fabrykę, ale to i tak bez sensu. – Mollie w zamyśleniu skubała brzeg koca. – Śniesz czasami o Franku? Czy tylko o pożarze?

Alice potrząsnęła głową.

– Nic nie pamiętam, gdy się obudzę. Czuję tylko taki przyływ paniki, że ledwo oddycham.

– Ja ciągle widzę w snach Franka – rzekła Mollie. – Jest poza moim zasięgiem. Coś do mnie krzyczy, ale nie słyszę go pośród ryku ognia. – Położyła się na plecach, zerkając na nagi sufit tuż nad swoim nosem. – Czuję się winna z powodu tego, co się stało. Gdyby nie moja idiotyczna duma, zamieszkalibyśmy u Zacka i Frank nadal by żył.

Alice zareagowała natychmiast.

– Nawet tak nie myśl – powiedziała wzburzonym szeptem. – Winę za śmierć Franka ponoszą wyłącznie tamci bandyci. Gdyby nie ty, Frank zginąłby już podczas pożaru.

Mollie odwróciła się na bok, by móc spojrzeć na Alice.

– Jeśli znajdziemy tego, kto go zamordował, być może pozbędę się tych snów.

– Niech te zbiry się modlą, żeby dorwała ich policja – mruknęła Alice ponuro. – Jeśli wpadną w ręce chłopców z Pięćdziesiątki Siódemki, trudno będzie potem zidentyfikować zwłoki.

Alice miała zapewne słuszość, lecz policja straciła zainteresowanie śledztwem.

Wobec braku nowych tropów oraz ogromu prac porządkowych po katastrofie funkcjonariusze zwrócili się w stronę bieżących zadań. Sprawa Franka została odłożona na później i niedługo całkiem odejdzie w zapomnienie, chyba że zajmie się nią Mollie albo ktoś z dawnego 57. pułku. Nie posiadając formalnie żadnej rodziny, Frank Spencer z wolna rozpływał się w niebycie. Niegdyś należał do najzdolniejszych adwokatów w regionie. Wydatnie przyczynił się do przekształcenia Chicago w miasto kwitnącego przemysłu, tartaków oraz handlu morskiego. Po wojnie wszystko się zmieniło. Nie mogąc normalnie wykonywać swojego zawodu, ukrył się wśród czterech bezpiecznych ścian firmy produkującej zegarki i wziął na siebie rolę mentora, któremu wszyscy ufali z powodu życiowej mądrości i głowy na karku, a także za sprawą opowieści snutych podczas długich popołudniowych godzin, kiedy cały warsztat pracował w najlepsze.

Teraz, w całym tym szale odbudowy, poranki Mollie wypełniało tyle zmartwień, że wspomnienia o Franku mimowolnie odchodziły w cień. Zostało tylko poczucie winy.

Musiała się dowiedzieć, kto go zabił. Podparła się na łokciu, by spojrzeć Alice w oczy.

– Nie zdążyliśmy sprzedać ani jednego zegarka z krzakiem dzikiej róży, prawda?

– Nie, ani jednego – potwierdziła koleżanka.

Zegarki skradzione tamtej nocy posiadały łatwo rozpoznawalny wzór: krzak dzikiej róży wijący się na obrzeżu pokrywy. Gdyby odnaleziono którykolwiek z nich, policja bez problemu namierzyłaby zabójców Franka.

Mollie postanowiła poprosić rano pułkownika Lowe'a, by wysłał kilku swoich ludzi do okolicznych lombardów w poszukiwaniu skradzionego towaru.

XVIII

Alice szybko naszkicowała z pamięci wzór krzaka dzikiej róży, obecny na skradzionych zegarkach, a następnie przekazała rysunek ludziom pułkownika Lowe'a.

– Nie wiem zbyt dużo na temat prawnej ochrony skradzionych dóbr – powiedziała pułkownikowi Mollie – ale w południowej części miasta można znaleźć sporo lombardów.

Mając pewność, że trzech żołnierzy rozpoczęło poszukiwania, Mollie mogła z czystym sumieniem poświęcić całą uwagę produkcji nowych zegarków. Nie zdążyła na czas wysłać pierwszej obiecanej dostawy pewnemu jubilerowi z Nowego Jorku. Dla osoby, która nigdy się nie spóźniała ani do szkoły, ani do pracy, ani nawet na niedzielne nabożeństwa, niedotrzymanie terminu zlecenia dla jedyne go kontrahenta było nie lada ujmą na honorze.

Na szczęście nowojorski jubiler okazał się wyrozumiały. Od wielkiego pożaru minął zaledwie miesiąc, on zaś wiedział, że firma Mollie bardzo ucierpiała w wyniku tej katastrofy. Fotografie przedstawiające zdewastowany miejski krajobraz krążyły teraz po całym kraju. Ku zaskoczeniu Mollie, sklep z Nowego Jorku podwoił wartość swojego zamówienia, pod tym jednak warunkiem, że zegarki zostaną dostarczone jeszcze przed Bożym Narodzeniem. „Cieszymy się, że możemy pomóc naszym braciom w Chicago” – głosił telegram.

– Przed Bożym Narodzeniem! – zakrzyknął Ulysses, odczytawszy wiadomość. – Czy oni w tym Nowym Jorku nie zdają sobie sprawy, że wyprodukowanie każdego zegarka to sztuka wyższa? Czy Michała Anioła też by poprosili o dostarczenie *Piety* przed Bożym Narodzeniem? Czy kazaliby Miltonowi napisać przed Bożym Narodzeniem *Raj utracony*?

– Ulyssesie, proszę was tylko o to, żebyście przygotowali przed świętami ozdobne etui. Resztą zajmę się sama – powiedziała Mollie.

Rozejrzawszy się po pracowni na strychu, zrozumiała jednak, że czas nie jest ich jedynym wrogiem. Pomieszczenie było trzy razy mniejsze niż dawna fabryka na East Street, więc wszyscy pracownicy nie mogliby przebywać w nim jednocześnie.

– Będziemy działać non stop – zdecydowała. – Browaru nigdy nie zamykają, powinniśmy wziąć z nich przykład.

Jeśli zespół inżynierów zacznie przychodzić o szóstej rano, zdążą oni wykonać swoją pracę do czternastej. Po nich wejdą rzemieślnicy: oczyszczą stoły i przystąpią do

inkrustacji metalu, która powinna potrwać mniej więcej do dwudziestej drugiej. Ostatni pojawia się w warsztacie emalierzy. Pokrywanie zegarków emalią wymagało bowiem najwięcej przestrzeni oraz czasu niezbędnego do rozpalenia w piecach. Taki rozkład dnia wydawał się dość wyczerpujący, ale tylko w ten sposób mogli myśleć o sprostaniu bożonarodzeniowemu terminowi.

Jedyną czynnością, w której Mollie nie czuła się pewnie, były prace zdobnicze. Umiała budować zegarkowe mechanizmy oraz kłaść i wypalać emalię. Ponieważ to ona wpadła na pomysł pracy przez całą dobę, czuła się zobowiązana dzielić wraz z ekipą niewygodę poszczególnych zmian. Zamierzała uwijać się od trzeciej rano do wczesnych godzin popołudniowych – był to wręcz jej obowiązek, jeśli dzięki temu firma zdołałaby dostarczyć zegarki do Nowego Jorku na święta. Wreszcie miałyby namacalny dowód, że przedsiębiorstwo podnosi się z popiołów.

Któregoś ranka o ósmej dotarł do niej telegram. Rozpoznałaby te kulfony na kopercie nawet z zawiązanymi oczami. Zaparło jej dech. Nie miała ochoty czytać przeprosin Zacka. Zdążył osiągnąć mistrzostwo świata w przełamywaniu jej nieufności oraz w obdarowywaniu złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Teraz mógł na przykład próbować uśpić czujność dziewczyny lukrowanymi słówkami i umniejszać znaczenie zła, które wyrządził.

Powinna odesłać mu notatkę bez otwierania jej, aby pokazać, jak bardzo jest odporna na męskie pochlebstwa.

Zamiast tego rozerwała kopertę i zaczęła czytać.

Mollie!

Mam nadzieję, że wściekłość już Ci przeszła. Jeśli tak, zechciej towarzyszyć mi dziś wieczorem podczas spaceru nad rzeką. Rozpuść włosy.

Zack

Niebywałe.

Włożyła list z powrotem do koperty. Piec do wypalania emalii ciągle był gorący. Zanim zdążyła się zastanowić, przebiegła przez całe pomieszczenie, sięgnęła po szcypce, żeby za ich pomocą przekręcić metalową klamkę drzwiczek od piecyka, a następnie cisnęła do środka zapisaną kartkę. Nawet jeżeli Zack Kazmarek szukał zwady, ona nie zamierzała dać mu ku temu sposobności.

Przynajmniej trzykrotnie w ciągu tygodnia Mollie urządzała sobie przechadzkę na East Street, aby śledzić postępy w budowie fabryki. Proces oczyszczenia terenu przebiegł szybko, ale wykopanie piwnicy, założenie francuskiego drenażu oraz postawienie szkieletu konstrukcji zabrało ekipie dwa tygodnie. Ku zdziwieniu Mollie, pułkownik Lowe też zakasał rękawy.

– Jezus był cieślą, więc ja tym bardziej nie mam prawa unikać pracy – oświadczył z uśmiechem. – Poza tym im więcej rąk, tym lepiej... zwłaszcza jeśli chcemy zakończyć budowę przed zimą.

Zimowe miesiące nadciągały nieubłagane, co z pewnością nie sprzyjało ich planom. W temperaturze poniżej zera nie dałoby się położyć zaprawy murarskiej. Zwykle prace remontowe w Chicago kończyły się w listopadzie, ten rok okazał się jednak wyjątkowy. Dążąc do jak najszybszej odbudowy miasta, fachowcy oszukiwali temperaturę powietrza: zapalali piecyki obok beczek z zaprawą podczas jej mieszania i kładzenia. Potem do gotowych ścian przykładano żagwie, by zaprawa mogła się prawidłowo zawiązać. Dla powstawania nowych budynków kilka dodatkowych stopni ciepła całkowicie wystarczało.

Każdego wieczora Mollie modliła się o ładną pogodę.

≈

Nie wiadomo było, czego się spodziewać po Sophie Durant pierwszego dnia jej pracy, lecz – co nie było zaskoczeniem – dziewczynka przyjechała na East Street zadaszonym powozem, w towarzystwie lokaja w liberii.

– Masz przy sobie jakieś bardziej odpowiednie ubranie? – zapytała Mollie. – Coś mniej kosztownego? – Sukienka w szkocką kratę wyglądała na zupełnie nową, podobnie jak pasujący do niej berecik i jedwabny płaszcz zapinany na guziki. Jedyne duże robocze rękawice wskazywały na to, że Sophie i jej rodzice rozumieją charakter czekającej ją pracy.

– Nie, tylko takie ubrania mam w szafie – odparła Sophie. Obrzuciwszy wzrokiem plac budowy, nerwowo skrzywiła usta.

Mollie zauważyła, że mała jest bardzo spięta. Może myślała, że będzie pracować wśród tych samych ludzi, jakich знаła z kościoła. Większość weteranów z 57. pułku zajmowała się wytwarzaniem zegarków w browarze, zaś mężczyźni kładący zaprawę i wywożący żwir byli dziewczynce całkiem obcy.

Biedactwo po prostu się bało. Ubrana niczym porcelanowa lalka, Sophie wyglądała dziwnie pośród krzepkich, ociekających potem robotników z umorusanymi twarzami.

Nieopodal nich przejechał pociąg; tony żelastwa i kłęby pary nikogo nie pozostawiły obojętnym. Sophie zatkała dłońmi uszy i zamknęła oczy. Znajdowała się w zupełnie obcym dla siebie środowisku i doskonale o tym wiedziała. Po przejeździe pociągu Mollie pochyliła się nad dziewczynką i zajrzała jej w twarz.

– Na pewno chcesz to robić? Ta praca jest brudna i męcząca. Nikt tutaj nie pomyśli o tobie nic złego, jeśli stwierdzisz, że spodziewałaś się czegoś innego.

Sophie otworzyła oczy. Najpierw zerknęła na lokaja, nadal czekającego na nią w powozie, później zaś na dwóch robotników ładujących żwir na taczki. Przełknęła gulę w gardle i zwróciła się ku Mollie.

– Chcę zostać – oświadczyła. – Chcę robić coś trudnego. Nawet jeśli to trochę straszne.

– No, dobrze. Może uda mi się znaleźć Declana. Pokaże ci, jak się obchodzić z zaprawą.

– Declan jest tutaj? – Perspektywa zobaczenia znajomej twarzy przyniosła Sophie widoczną ulgę.

Po chwili dawny żołnierz przybył razem z murarzem, który udzielił Sophie wskazówek, jak rozpocząć pracę. Ponieważ z każdym dniem robiło się coraz chłodniej, mieszała teraz jednorazowo niewielkie partie zaprawy, aby łatwiej ją ogrzać. Declan nauczył Sophie napełniać worki odpowiednią ilością wapna i piasku, a następnie ciągnąć je do beczek. Widok małej dziewczynki w jedwabnym płaszczu pracującej u boku rosłych mężczyzn był tak niezwykle, że przechodnie nieustannie się zatrzymywali, by na to spojrzeć.

Declan przekazał Sophie kij do mieszania, później zaś popatrzył na Mollie, która obserwowała ich z drugiej strony powozu.

– Możesz wracać do browaru – powiedział. – Zaopiekuję się panią Sophie.

Mollie nie ruszyła się z miejsca, dopóki Declan nie nakazał jej tego ruchem głowy.

~
Kiedy pojawiła się znowu w warsztacie, zobaczyła, że czeka na nią kolejna wiadomość od Zacka.

Chyba nie zrozumiałaś ostatnio, że proponuję Ci wieczorne spotkanie nad rzeką. Przyjdź dzisiaj do nas na kolację, porozmawiamy.

Czy on nie powinien się w końcu poddać? Mollie od zawsze wiedziała, że biznesowe i polityczne kręgi Chicago rządzą się twardymi, bezwzględными prawami. Zack był jednak tak czarujący, prowadząc ją przez miasto pod ramię, że nie podejrzewała go o nieczne intencje – a zatem podpisała, opieczetowała i dostarczyła mu wszystko, czego chciał.

Jak długo jeszcze będzie myślała o nim z tym nieznośnym ciężarem w piersi? Rzucenie się w wir pracy w pewnym stopniu stanowiło ulgę, ale ciągle łapała się na tym, że na cokolwiek nie spojrzała, przynosiło to kolejną falę wspomnień. Kiedy zobaczyła drużynę White Stockings na okładce kolejnego numeru gazety, zaczęła się zastanawiać, co Zack powiedziałby o spadku formy swojego ulubionego zespołu, zmuszonego teraz grać na zastępczej murawie. Zapach świeżych pierogów w garmażerii przypominał jej o tamtych wieczorach spędzanych przy rozgrzanym piecyku. Najgorzej było jednak na budowie: widok pracujących robotników przypominał jej jego silne ramiona. Usiadła przy stole i próbowała składać zegarki, lecz żadna siła nie zdołała usunąć Zacka z jej głowy.

Głośny gwizd pociągu towarowego oznajmił Mollie, że nadszedł czas zajrzeć do Sophie. Czy dwie godziny wystarczyły, aby dziewczynka chciała natychmiast wracać do świata porcelanowych lalek i ręcznie haftowanych koronek?

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, zbliżając się do swojej działki na East Street, był duży powóz. A zatem Sophie nadal musiała przebywać na budowie. Mollie przystanęła, by przyjrzeć się małej z oddali. Ciemny płaszczyk nosił na sobie ślady wapna, sama dziewczynka zaś ciężko pracowała, niosąc w ramionach worek z zaprawą. Musiał być solidny, bo Sophie przystawała co kilka kroków i kładła go na ziemi, by odpocząć; ostatecznie jednak trafił do rąk Declana stojącego przy beczie. Kiedy mężczyzna z uznaniem kiwnął głową, dziewczynka się rozpromieniła.

Mollie wytrzeszczyła oczy. Jeszcze nigdy nie widziała uśmiechu na twarzy Sophie. Wywołała go dopiero ciężka praca fizyczna, przed którą większość dzieci w jej wieku uciekłaby w popłochu. W przeciwieństwie do Declana Sophie nadal wydawała się bardzo spięta widokiem mężczyzn pracujących na budowie. Fascynował ją jednak Grady O'Manion – podczas nakładania zaprawy władał swoją kielnią z finezją dyrygenta wymachującego batutą przed swoją orkiestrą.

– Niezła jest, co?

Mollie drgnęła.

– Pułkownik Lowe.

Jak długo już tu stał? Opierał się o drewniany stół, w ręku trzymał kątownicę. Jego

łagodny uśmiech zaciekawienia przyprawił Mollie o szybsze bicie serca.

– Nie wiem, czy zdołam panią przekonać do mówienia mi po imieniu. – Roześmiał się. – Znamy się zaledwie od kilkunastu dni, choć wydaje mi się, że minęło znacznie więcej czasu. Pani ojciec często się przechwalał, że jego bystra córka potrafi składać zegarki z zamkniętymi oczami.

Odwróciła wzrok. Zdążyła już oczywiście dostrzec, że pułkownik coraz częściej przyglądał się jej w warsztacie, owo zainteresowanie nie sprawiało jej jednak przyjemności. Wśród żołnierzy posiadał status żywej legendy. Z jasnymi włosami szarpanymi przez wiatr oraz zaczerwienioną od chłodu twarzą, pułkownik nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Ojciec Mollie byłby wniebowzięty, mogąc zobaczyć ich na ślubnym kobiercu.

Odchrząknęła.

– Panie pułkowniku...

– Richardzie. Proszę przynajmniej przestać nazywać mnie pułkownikiem. Wojna skończyła się prawie siedem lat temu, teraz jestem więc zwykłym panem Lowe.

Trudno nazwać kimś zwyczajnym kogoś, kto zebrał osiemnastu żwawych ochotników, przejechał z nimi cały stan, posprzątał działkę, wykopał piwnicę, położył fundamenty i zaczął stawiać budynek, i to wszystko w ciągu trzech tygodni. Jeśli utrzymają to tempo, fabryka będzie gotowa na Święto Dziękczynienia. Twarz dziewczyny pojaśniała.

– Jestem ci zobowiązana, Richardzie.

Usiedli na ławce. Opowiedział jej o swojej żonie z Waukegan, małego miasteczka na północ od Chicago, w którym naprawiał mosty i przywracał tory kolejowe do stanu używalności. Jakże miło się z nim rozmawiało! Chociaż uwagę Mollie zaprzętały w życiu zupełnie inne sprawy, przyświecała im obojgu podobna filozofia. Lubili te same powieści i ten sam gatunek herbaty. Mollie poczuła się rozczarowana, gdy lokaj przerwał ich pogawędkę.

– Nadszedł czas, by zabrać panienkę Durant do domu.

– Oczywiście – przytaknęła.

Z trudem odciągnęła Sophie od mieszania zaprawy. Dziewczynka wyglądała jak siedem nieszczęść w swoim pięknym płaszczyku ubrudzonym wapiennym pyłem. Mollie spróbowała go usunąć, okazało się to jednak niewykonalne.

– I jak się czujesz po swoim debiucie na placu budowy? – zagadnął małą Richard.

Wzruszyła ramionami i nie patrząc na niego, odparła:

– Chyba dobrze.

– Dobrze? – powtórzył z udawanym oburzeniem. Chwytał dziewczynkę za ramiona i odwrócił ku sobie. – Spójrz na tamtą ścianę! Zanim przyjechałaś dziś rano, miała zaledwie kilkanaście centymetrów wysokości. Teraz jest wyższa niż ty. Pewnego dnia będziesz mogła przyprowadzić tutaj swoje dzieci, wskazać ścianę i oświadczyć z dumą, że sama ją postawiłaś.

– Ja tylko pomagałam robić zaprawę. – Sophie wyglądała na nieco urażoną, choć pułkownik Lowe po prostu z niej żartował.

– Proszę się nie oszukiwać, panienko Durant – rzekł Richard. – Bardzo niewiele rzeczy da się zrobić w pojedynkę. Postawienie budynku wymaga pracy zespołowej, a panienka była dzisiaj częścią takiego właśnie zespołu. Nie ułożylibyśmy cegieł, gdyby zaprawa nie była odpowiednio zmieszana i nie miała właściwej temperatury. To na zawsze pozostanie dla panienki powodem do dumy. Ja się zestarzeję, panienka się zestarzeje, a ta ściana wciąż będzie tu stała.

Sophie uniosła brwi.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Richard. – Czy pojawi się panienka jutro, aby dopracować elementy narożne?

Sophie spojrzała na Mollie w oczekiwaniu przyzwolenia.

– Mogę?

Cóż za odmiana nastąpiła w tej dziewczynce! Oto potwierdzały się słowa Franka na temat wartości pracy oraz konieczności posiadania celu w życiu.

– Tak, Sophie. Mam nadzieję, że przyjdziesz.

XIX

Na Jefferson Street mieścił się ekskluzywny sklep z odzieżą damską, Mollie zaś marzyła o włożeniu czegoś, co nie zostało подарowane przez pomoc społeczną. Sześć tygodni chodzenia w źle dobranych, kiepsko wyglądających i po prostu niewygodnych ubraniach całkowicie jej wystarczało. Po spłaceniu długów i odłożeniu pewnej kwoty na trzy miesiące firmowych wydatków Mollie w dalszym ciągu miała w portfelu wystarczająco dużo pieniędzy, aby wybrać się wraz z Alice na zakupy.

Na wystawie wyłożono gotowe suknie, gustowne kapelusze, a także różnokolorowe zwoje jedwabiu, tafty i aksamitu. Mały dzwonek u drzwi oznajmił wejście obu kobiet do pachnącego lawendą sklepu. W szklanych gablotach zobaczyły skórzane rękawiczki dziecięce, ręcznie malowane guziki oraz jedwabne szale w kolorach brzoskwini i indygo. Szpule wstążek ułożono na szczycie wystawy, skąd spływały w dół niczym kolorowe wodospady. Najbardziej zachęcające okazały się jednak suknie.

– Popatrz na te wszystkie ubrania!

Na wieszakach piętrzyło się kilkanaście sztuk damskiej odzieży. Mollie potrzebowała przyzwoitej i koniecznie wytrzymałej sukienki z perkalu, wystarczająco wygodnej, aby mogła w niej pracować w warsztacie. Kusiała ją jednak inna, błękitna, z satynową podszewką. W takim stroju z pewnością przestanie myśleć o popiołach i dymie. Chciała czuć na skórze jedwab! Marzyła się jej także pachnąca lawendą bielizna.

Nigdy w życiu nie była aż tak podekscytowana kupowaniem ubrań jak właśnie teraz. Wyciągnęła rękę, aby z czcią dotknąć błękitnego materiału. Następnie szepnęła Alice na ucho:

– Wezmę po jednej sztuce wszystkiego.

– Nie można się tak ograniczać! Kupimy cały sklep!

Dotyk jedwabiu i aksamitu przypominał o tym, jak wyglądało życie przed pożarem, i całą sobą uczepiła się tych wspomnień. Weszła do przymierzalni i włożyła na siebie brązową spódnicę z tafty.

Aprobata w oczach Alice podpowiedziała Mollie, że koniecznie należy ją kupić.

– Pomóż mi dobrać do niej jakieś bluzki – poprosiła. Znakomity gust koleżanki sprawiał, że nawet ziemniaka potrafiłaby przyzwoicie ubrać. Mollie przejrzała się w lustrze, rozważając, czy spódnica nie jest nieco za krótka.

– Twoja nagła troska o ubiór nie ma, jak mniemam, żadnego związku z osobą niejakiego pułkownika Lowe’a?

Uderzył ją powiew gorąca. Chodziło wyłącznie o pułkownika Lowe’a. Nie zdołałaby ukryć tego faktu przed osobą, która tak dobrze ją знаła.

– Pomaga mi zapomnieć o Zacku – szepnęła.

– I tylko tyle? – zdziwiła się Alice.

„Tylko”? Zważywszy na fakt, że Zack Kazmarek pojawiał się w jej myślach co trzy minuty, z natarczywością komara, Richard Lowe był bardzo przyjemną odmianą.

– Potrafisz sobie wyobrazić reakcję mojego ojca na to, że pułkownik Lowe się o mnie stara?

Alice skrzyżowała ręce na piersi.

– Silas Knox wstałby z grobu, aby móc wam udzielić błogosławieństwa. Mam jednak nadzieję, że nie kupujesz nowych sukienek jedynie w celu zadowolenia ducha swojego ojca.

Kupowała je, żeby poczuć się znowu normalnie. Pragnęła udawać – choćby tylko przed sobą – że jej życie powróciło do zwykłego, spokojnego biegu. Zależało jej także na podtrzymaniu relacji z pułkownikiem, która sprawiała, że wspomnienia o Zacku z wolna bladły.

Proces ten utrudniały listy dostarczane każdego dnia do warsztatu. Czasami zarzucał jej, że ponosi całą odpowiedzialność za ich rozstanie; kiedy indziej usiłował zmiękczyć ją pochlebstwami i sprawić, by na powrót rzuciła mu się w ramiona. Pewnego dnia zaproponował nawet wspólną ucieczkę w nieznane! Mollie za każdym razem obchodziła się z tą korespondencją w ten sam sposób: bez sentymentów ciskała ją w ogień.

Czy on także nie mógł się pogodzić z gwałtownym końcem znajomości? Mollie nigdy w życiu nie była tak okrutna jak tamtego popołudnia pod siedzibą banku. Nazwała go „smętnym dorobkiewiczem”. Zack nosił na sobie gruby pancerz, lecz akurat takie słowa z pewnością go zabolaly. Wyraźnie zobaczyła to zresztą na jego twarzy: wykrzywił ją ból zmieszany z zakłopotaniem. Natychmiast się opanował, ona jednak wiedziała, że cios był celny i że wciąż o nim pamiętał.

Dowodził tego ostatni telegram, w którym Zack proponował jej wspólne zjedzenie obiadu w najlepszej restauracji w mieście. Tam mogłaby „zobaczyć, jak stołują się smętni

dorobkiewiczze”. Kiedy powtórzyła Alice własne słowa, koleżanka ją zgałła:

– Czy my wszyscy nie jestełmy w pewnym sensie dorobkiewiczami? – spytała.

Sama dorastała przecieł w nekanej bieda Irlandii, gdzie żywiła się głównie szerniałymi ziemniakami. Od tamtego czasu przeszła długą i wyboistą drogę. Mollie i jej ojca równieł bez cienia przesady można by zaliczyć do nowobogackich.

Stojąc przed sklepowym lustrem, Mollie próbowała się upewnić, czy brąz spódnicy będzie pasował do bieli bluzki. Tak bardzo chciała znowu wygladać schludnie i mieć złudzenie pełnej kontroli nad sytuacją. Aby stało się to możliwe, musiała zapomnieć o Zacku. Uważała go za wcielenie dzikości, niepewności i skłębionych emocji, gotowych zacisnąć się zbyt mocno wokół jej szyi. Pułkownik Richard Lowe okaże się dla niej na pewno bezpieczniejszą partią.

~
Zack szedł przez Wabansia Avenue, pogwizdując pod nosem melodię zasłyszana rano od Lizzie. Zimne powietrze bardzo ułatwiało gwizdanie, on sam był zaś w dobrym humorze. Mollie po raz pierwszy odpowiedziała na jego telegram. Co prawda zrobiła to w dwóch liniłkach, prosząc go, aby przestał ją napastować, on jednak nie czuł się tym zniechęcony. Zdążył już rozpracować jej ulubioną strategię prowadzenia kłótni polegającą na ukrywaniu się w lodowej twierdzy, więc takiej odpowiedzi się spodziewał. Wiedział także, że pragmatyczny umysł Mollie ostatecznie zaakceptuje rozwiązanie kwestii aktu własności ziemi. Uczucia dziewczyny zostały zranione, lecz chodziło przecieł głównie o interes.

Poza tym chował w kieszeni idealny prezent. Doktor Buchanan zdradził mu, czego jeszcze brakuje Mollie do pełnego rozkręcenia zegarkowego biznesu, i Zack postanowił ów brak zapełnić.

Miłość doktora do polskiej kuchni sprawiła, że Zack uzyskał stały dostęp do informacji na temat biełącego życia Mollie. Rzadko się zdarzało, by dentysta nie wpadł do nich wieczorem na kolację. Na początku dlatego, że jego oczy dosłownie błagały o przyzwoity posiłek – a pani Kazmarek nigdy nie odmówiłaby głodnemu człowiekowi pomocy. Potem jednak relacja się zacieśniła. Kiedy doktor spostrzegł, że ojciec Zacka preparuje skórę, aby uszyć z niej portfel stylizowany na dawne wyroby swoich przodków, poczuł się bardzo zaciekawiony. Józef Kazmarek z chęcią pokazał mu, jak władać igłą, by nadać przygotowanemu wcześnieł materiałowi połądany kształt. Zack nigdy nie interesował się specjalnie polskim rękodziem, a doktor Buchanan połądliwie chłonał instrukcje pana Józefa. W końcu stanęło na tym, że każdego wieczoru po kolacji obaj siadali przy ogniu i w skupieniu pracowali nad kolejnymi kawałkami skóry. Po krótkim okresie szkolenia doktor Buchanan potrafił samodzielnie szyć torby na swoje narzędzia medyczne.

Wizyty dentysty sprawiały, że Zack dokładnie wiedział, co się dzieje w warsztacie zegarmistrzowskim.

– Praca ruszyła pełną parą – oświadczył doktor. – Mają tylko problem z polerowaniem metalu. W całym mieście nie można dostać proszku diamentowego. Zakład produkcyjny ich dotychczasowego dostawcy spłonął i na razie nie słychać o jego ponownym uruchomieniu. Na dłuższą metę brak tego proszku to poważny problem: nie mogą polerować metalu, będą musieli wstrzymać także pozostałe etapy produkcji.

Doktor Buchanan opowiedział także o wyścigu z czasem, jakim stała się dla ekipy konieczność wysłania przed świętami sporej partii towaru do Nowego Jorku. Zack był zachwycony, że Mollie zdobyła tak intratny kontrakt. Oczywiście ani przez sekundę nie wątpił w jej żyłkę do handlu. Ów śmiały, niecodzienny pomysł wypuszczenia na rynek zegarków upamiętniających wielki pożar z pewnością mógł zapewnić firmie rozgłos w nadchodzących miesiącach.

Zack promieniał radością, przechodząc przez tory kolejowe i wkraczając do dzielnicy przemysłowej. Rozwiązywanie problemów było jego specjalnością, a proszek diamentowy dla Mollie mógł się okazać kamieniem milowym w ich wzajemnych relacjach. Inny mężczyzna spróbowałby raczej obłaskawić ją kwiatami bądź biżuterią, ale Zack wiedział, że przychylność Mollie najłatwiej zdobyć poprzez wspieranie rozwoju jej przedsiębiorstwa. Odwiedził trzech jubilerów, żeby kupić od nich kilka nadłamanych diamentów. Teraz objały mu się o udo, spoczywając w jednej ze skórzanych sakiewek ojca.

Zakłady Przemysłowe Magruder, rozlokowane w zachodniej części miasta, zajmowały się produkcją wysokiej klasy sprzętu przemysłowego, który odgrywał znaczną rolę w umacnianiu gospodarczej pozycji Chicago. Ich właściciel, Caleb Magruder, zainstalował swego czasu w sklepie Hartmana windę, co bardzo podniosło atrakcyjność lokalu w oczach klientów. Teraz, po pożarze, podpisali z nim kontrakt na podobne udogodnienie w nowym budynku.

Komin wyrzucał z siebie ciemne kłęby dymu. Już od progu fabryki Zacka owionęło gorące powietrze. Pomieszczenie wypełniał ogłuszający huk pieca Bessemera [8], ale to właśnie temperatura najbardziej dawała się we znaki. Aż się wzdrygnął, wpuszczając do płuc żar, szybko jednak odzyskał wewnętrzną równowagę. Wspomnienia o pożarze nawiedzały go w najmniej odpowiednich momentach. Zapewne do końca życia będzie czuł niechęć do wdychania gorącego powietrza. Nie oznaczało to jednak, że nie stać go na krótki spacer po fabryce w celu zdobycia cennego surowca dla Mollie.

Każdy metr kwadratowy budynku był całkowicie zagospodarowany. Fabryka pracowała bez przerwy, produkując metalowe elementy na miejsce zniszczonych przez

pożar. On na szczęście zamierzał spędzić tutaj tylko godzinę. Znalazł Caleba Magrudera wkręcającego metalowe ostrza do potężnego urządzenia w kształcie okręgu.

– Nowa turbina wodna! – krzyknął Caleb pośród fabrycznego huk. – Instaluje się je teraz w całym mieście. Dają lepszą kontrolę ciśnienia wody.

– Mam dla ciebie szybką robotę! – odkrzyknął mu Zack.

Caleb skinął na pomocnika o spoconej twarzy, by ten dokończył zbrojenie turbiny, po czym ruszył wraz z Zackiem do swojego biura. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, huk przekształcił się w uporczywe rżenie.

Zack rzucił Calebowi sakiewkę z odłamkami diamentów. Właściciel fabryki złapał zawiniątko w locie.

– Co to jest?

– Możecie tu kruszyć diamenty na proszek, prawda?

Caleb zajrzał do środka.

– Teoretycznie tak, ale musisz się ustawić w kolejce. Jesteśmy zawaleni pracą.

Dokładnie takiej odpowiedzi oczekiwał Zack. W całym mieście nie znalazłaby się ani jedna fabryka, której pracownicy nie byłiby obłożeni zajęciami do granic możliwości. Przyływ dobrej woli tuż po pożarze sprawiał, że sprzedawcy utrzymywali ceny towarów na relatywnie niskim poziomie, ale obecnie, wraz ze wzrostem ogólnego wyczerpania, ceny również nieustannie wzrastały.

Zack zdążył się na to przygotować.

– Poświęcisz mi godzinę swojej pracy. W zamian dopilnuję, żeby w następnym pociągu towarowym Hartmana znalazło się trochę miejsca na wasz asortyment.

– To nie wystarczy – odparł Caleb. – Moja maszyna wykonuje teraz krzemionkę na szkło. Musiałbym ją oczyścić przed pracą nad diamentami, a także tuż po niej. Jeżeli chcesz mieć ten proszek jeszcze dzisiaj, potrzebuję przestrzeni w pociągu towarowym oraz dodatkowych pięciu procent za windę, którą dla was instaluję.

– Nie ma mowy – mruknął Zack. Mógł lekko naginać reguły Hartmana, nie miał jednak prawa ich łamać.

Jedną z zalet dorastania w dokach było to, że Zack wyrobił sobie układy

z lokalnymi politykami i przedstawicielami związków zawodowych. Caleb Magruder mógłby teraz z owych układów skorzystać: kiedy Zack zaoferował mu zaproszenie na grudniowy wiec burmistrza, zabrzmiało to w uszach mechanika kusząco. Caleb podrapał się po brodzie, udając, że intensywnie myśli, choć Zack doskonale znał jego odpowiedź.

– Zrobię to. Ten jeden jedyny raz – burknął, biorąc woreczek. – Ale nie oczekuj następnych przysług. Muszę się zająć własnym interesem.

Dwie godziny później Zack miał już w ręce dziesięć uncji proszku diamentowego. Nie mógłby wymyślić lepszego sposobu na zjednanie sobie przychylności Mollie.

~
Padał ze zmęczenia, kiedy w końcu wysiadł z tramwaju i skierował się w stronę domu. Oprócz sprawy z proszkiem diamentowym musiał jeszcze podpisać z firmą budowlaną kontrakt na wzniesienie fundamentów nowego sklepu na Columbus Street oraz załatwić kwestię odbioru towaru z Cincinnati. Po wykonaniu tego wszystkiego zdał sobie sprawę, że minęła dwudziesta, a słońce już dawno zaszło. Powietrze zrobiło się lodowate i zaczął padać deszcz ze śniegiem. W ostatnim tygodniu naprawiono wreszcie linie gazowe, więc teraz łatwo było dostrzec gęste krople spływające z nieba w świetle latarni. Podniósł kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku.

W domu pachniało kolacją. Rodzice siedzieli przy kominku wraz z doktorem Buchananem.

– Zachariasz! – krzyknęła mama, zrywając się na równe nogi. – Już mieliśmy zrezygnować z czekania na ciebie. Dzisiaj imieniny doktora, więc świętujemy.

Zack uśmiechnął się, wiedząc, co zaraz nastąpi. W Polsce imieniny często obchodziło się znacznie huczniej niż urodziny, a jego matka kochała przyjęcia. Odkąd przygarnęła doktora Buchanana pod swoje skrzydła, zaszczepiała w nim kult polskich tradycji. Z okazji imienin najbliższych członków rodziny zawsze piekła makowiec, czyli ciasto przekładane masą ze zmielonego maku, miodu i bakalii. Był to ulubiony deser Zacka. Ślinka ciekła mu na samą myśl o nim.

Doktor Buchanan wstał z zarumienioną, szczęśliwą twarzą.

– Nie wiedziałem, że w Polsce istnieje zwyczaj obchodzenia imienin. Urodziny mam w czerwcu, ale chętnie poświęcę sobie w listopadzie.

Kiedy Zack wyszedł za matką do kuchni, aby pomóc jej wetknąć świece w makowe ciasto, starsza pani mruknęła:

– Ten człowiek nie obchodził ani imienin, ani urodzin, odkąd w wieku dziesięciu

lat stracił rodziców. Dzisiaj to się skończy.

Zack zrozumiał, że sprawa jest poważna. Rodzice zawsze pragnęli mieć więcej niż jedno dziecko, kiedy więc spotykali na swej drodze samotną duszę w rodzaju doktora Buchanana, brali ją ochoczo w ramiona. Zdążyli już zaprosić doktora na święta, co było zresztą niepotrzebne, bo i tak codziennie gościł u nich na obiedzie.

Twarz pani Kazmarek rozjaśniała delikatna poświata, kiedy zanosila makowiec ze świeczkami do salonu. Podczas gdy kroila ciasto i rozdawała talerze, jej mąż wzniósł toast.

– Żyj nam, Andrew, dwieście lat!

Doktor Buchanan wyglądał, jakby zaraz miał zacząć lewitować ze szczęścia.

– Kiedy tylko na nowo otworzę swój zakład, nikt w rodzinie Kazmarków nie będzie w nim musiał płacić za leczenie zębów.

Zack rozprostował nogi.

– A jak idzie odbudowa fabryki?

Słyszał już oczywiście o ochotnikach zebranych spośród weteranów dawnego 57. pułku. Raz czy dwa przechodził nawet obok placu budowy, ciesząc się, że nowa siedziba firmy Mollie tak szybko nabiera kształtu. Z każdej strony znajdowało się duże okno – pamiętał, jaką wagę przywiązywano do oświetlenia przy produkcji zegarków. W ostatnim tygodniu dotarły także materiały do ułożenia dachu.

– Wszystko zależy od pogody – oświadczył doktor Buchanan. – Pułkownik Lowe chce, aby budowa zakończyła się jeszcze przed Świętem Dziękczynienia, ale pewnych rzeczy nie da się zrobić, jeśli temperatura zanadto spadnie. Oczywiście wydaje mi się, że pułkownik z przyjemnością zostanie w Chicago na dłużej, jeśli będzie to oznaczało stały kontakt z Mollie.

Zack podniósł głowę.

– To on napastuje Mollie? – zapytał.

Doktor Buchanan władował do ust spory kawałek makowca, a w Zacku zaczynała się gotować krew. Dlaczego nie przewidział, co zacznie się dziać, gdy osiemnastu dorosłych mężczyzn zapuka do drzwi Mollie? Pozwolił dziewczynie leczyć rany w samotności, zachował się jednak jak idiota, nie doceniając udziału innych mężczyzn w jej życiu.

Doktor Buchanan skończył deser i otarł usta.

– Nie wydaje mi się, żeby napastowanie było właściwym słowem, choć pułkownik faktycznie nieustannie prawi jej komplementy. Wczoraj przyniósł kosz pomarańczy. Bóg jeden wie, skąd on je wytrzasnął o tej porze roku.

Zack przymknął powieki.

– Dlaczego Mollie miałyby się interesować starszym facetem?

– Pułkownik nie jest stary. Myślę, że nie ma więcej lat niż ty. Trzydzieści cztery, może trzydzieści sześć. I jest przystojny, bez dwóch zdań. Mollie wydaje się nim na serio zainteresowana.

Nagle uderzyło Zacka wspomnienie blondyna siedzącego obok Mollie w warsztacie nad zwojem papieru kreślarskiego. Poderwał się z miejsca.

– Wychodzę.

Matka spróbowała przemówić mu do rozumu.

– Zachariaszu, na zewnątrz jest zimno. Pada. Przeziębisz się na śmierć!

Przeżył już gorsze rzeczy. Nie mógł przecież spokojnie siedzieć w domu nad makowcem, pozwalając, żeby jakiś przybłąda uwodził jego ukochaną. Z niepokojem pomyślał też o tym, że pojemniczek proszku diamentowego, który zamierzał podarować Mollie nazajutrz, nie wytrzyma konkurencji z nowo wybudowaną fabryką pułkownika.

W biegu porwał z wieszaka płaszcz, nadal mokry od deszczu. W ciągu ostatnich tygodni sporo się nacierpiał z powodu Mollie, teraz jednak coś w nim pękło. Kiedy on po południu musiał niemal prehandlować własną duszę, aby zdobyć ten proszek, ona jadła pomarańcze z pułkownikiem Lowe'em.

– Zack, ta dziewczyna mieszka w baraku dla kobiet – przypomniał mu ojciec. – Na pewno cię tam nie wpuszczą.

Zamarł na moment. Mollie niewątpliwie będzie zgrywała niedostępną, należało więc podejść do sprawy z rozwagą. Ponownie zdjął płaszcz i odwiesił go w ciszy, następnie zaś odwrócił się do doktora stojącego w rogu salonu. Wrócił do pokoju.

– Chcę wiedzieć wszystko – zażądał.

Jeśli miał stoczyć z pułkownikiem pojedynek, musiał się do niego dobrze przygotować.

≈

Następnego dnia w późnych godzinach popołudniowych Zack dotarł do budynku browaru. Pomimo dojmującego zimna na schodach stał Stary Gunner, paląc cygaro. Zdradził Zackowi, że Mollie udała się na przechadzkę do Lake Park.

Przeprawa w tamte rejony zajęła mu kolejne trzydzieści minut. Zdziwił się, że Mollie wybrała sobie akurat takie miejsce, bo zostało niemal całkowicie zniszczone w wyniku pożaru. Teren stanowiący niegdyś przyjemny zakątek nad jeziorem stał się szarą pustynią, na której składowano tony miejskiego gruzu, by następnie wrzucić go do wody.

Mollie siedziała na jednej z prowizorycznych ław warsztatowych przeznaczonych dla robotników. Kiedy Zack podszedł bliżej, ujrzał na jej twarzy wyraz pełnego nadziei oczekiwania. Kochała to miasto dokładnie z tego samego powodu co on: nieustannie tętniło życiem, pomysłami i technicznymi nowinkami. Nawet tutaj, w miejscu tak dotkliwie doświadczonym katastrofą, dawało się odczuć sygnały odrodzenia. Nowy ład zastępował stary. W przyszłości ów skrawek ziemi stanie się z pewnością wspaniałym dopełnieniem chicagowskiego pejzażu.

Mollie szczerzej otuliła się płaszczem, gdyż od strony jeziora nacierał zimny wiatr. Zack znów uświadomił sobie, że to właśnie o tej kobiecie marzył przez całe życie. Chciał, aby towarzyszyła mu aż po kres. Nie mogło się to jednak powieść, dopóki nie rozprawi się z pułkownikiem Lowe'em, który zdołał niespodziewanie wkraść się do jej świata.

Przynajmniej nie nosiła już na sobie tamtych starych szmat. Znowu wyglądała tak, jak w owym czasie, gdy odwiedzała sklep Hartmana: sztywna, wytworna, z duszą idealistki ukrytą pod obojętną pozą. Nie zauważyła go do momentu, aż podszedł całkiem blisko.

– Pięknie wyglądasz, Mollie.

Odwróciła się i z przerażeniem skoczyła na równe nogi, podnosząc ręce w obronnym geście.

– Zack! Okropnie mnie wystraszyłeś! – Poprawiła płaszcz i rozejrzała się nerwowo.
– Nie powinno cię tu być.

– W publicznym parku? Może faktycznie wygląda gorzej niż zwykle, ale to jednak park, Mollie. Nawet smętni dorobkiewiczze chadzają czasami do parku.

Jej policzki pokryły się czerwienią. Spuściła oczy.

– Nie powinnam była tego mówić. Przepraszam. – Opadła z powrotem na ławę. Wyraz zdenerwowania zniknął z jej twarzy. Pozostało na niej jedynie zmęczenie zmieszane ze smutkiem.

Czy naprawdę czuła się winna z powodu tego, co powiedziała tamtego dnia pod bankiem? Podszedł jeszcze bliżej i postawił stopę na niskiej ławie, aby móc się nad nią nachylić. Jeśli chciał odzyskać kontrolę nad sytuacją, musiał z siebie wszystko wyrzucić. Mollie przeważnie unikała tego rodzaju konfrontacji. Zamierzał jej jednak pokazać, że dwoje ludzi może drzeć ze sobą koty, a następnie z ufnością oczekiwać kolejnego dnia.

– Ale ja naprawdę nim jestem. Dorobkiewiczem.

Przełknęła gulę w gardle. Wyglądała na zatroskaną.

– I tak nie powinnam była palnąć czegoś podobnego. Większość ludzi dąży do poprawy swojej życiowej sytuacji i nie ma w tym nic złego. Tobie po prostu udało się bardziej niż innym.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Zapomnij o tym – poprosił. – Powiedziałaś to w gniewie, do którego miałaś zresztą pełne prawo. Cieszyłem się, że wyrzucasz z siebie emocje, które zazwyczaj dusisz wewnątrz. Trzymaj, przyniosłem ci coś.

Położył skórzany woreczek proszku diamentowego na jej kolanach. Był wprawdzie wielkości jajka, ale całkiem sporo ważył, i Mollie ze zdziwieniem wzięła go do ręki. Nie otworzyła go jednak, tylko wyciągnęła dłoń w stronę Zacka.

– Słuchaj, ja niczego od ciebie nie chcę.

– Mam nadzieję, że zmienisz zdanie, kiedy dowiesz się, co jest w środku. – Skrzyżował ręce na piersiach; nie zamierzał przyjmować woreczka z powrotem.

Westchnęła. Znowu upuściła zawiniątko na kolana, nadal go nie otwierając.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała. – Kiepsko się czułam na wspomnienie naszej kłótni pod bankiem i chciałam cię przeprosić. Wiem, że sprawa aktu własności nie była w zasadzie zależna od ciebie. Tamtego dnia rozpierała mnie złość na cały świat, a ty wydawałeś się najłatwiejszym celem. – Zamrugnęła i przez moment wydawało mu się, że zacznie płakać. – Boję się, że mogłabym umrzeć. Wiem, to brzmi bardzo dziwnie, ale dręczy mnie myśl, że gdybym teraz odeszła i nie zdążyła ci powiedzieć nic miłszego niż

tamte okropne słowa... Dobrze, że cię dzisiaj widzę, że mogę cofnąć to, co wtedy niepotrzebnie z siebie wyrzuciłam.

Wiatr targał ją za włosy, a jej twarz zdradzała dojmujący smutek. Bardzo dorosła w ciągu kilku ostatnich tygodni. Wstrzymując oddech, Zack usiadł obok niej. Na szczęście nie protestowała.

– Dlaczego spodziewasz się śmierci? – zapytał miękko.

– To żalosne – prychnęła. – Poradzę sobie. – W jej spojrzeniu widać było jednak zakłopotanie, kiedy patrzyła na znikającą za horyzontem łódź rybacką.

Ujął jej dłoń. Miała na niej nową skórzaną rękawiczkę, ale i tak był w stanie wyczuć delikatne drżenie.

– Powiedz mi, Mollie. Nie musisz dźwigać tego sama.

Ścisnęła jego rękę.

– Śnią mi się... koszmary – powiedziała urywanym szeptem. – Nie pamiętam szczegółów. Tylko to, że wokół szaleje pożar, od którego nie ma ucieczki. Usiłuję znaleźć Franka, jednak zniknął gdzieś w płomieniach i nie wiem, jak do niego dotrzeć. – Zwróciła ku niemu twarz naznaczoną nagłym strachem. – Ty też miewasz takie sny?

Zesztywniał. Wprawdzie sypiał dobrze, ale rozumiał, o czym ona mówi.

– Moim problemem są nie tyle koszmary, ile raczej bicie dzwonów.

Po raz pierwszy przytrafiło mu się to, kiedy spisywał umowy na postawienie fundamentów sklepu przy Columbus Street. W kościele na rogu odprawiano akurat nabożeństwo żałobne i bicie dzwonu na moment wypełniło ulicę. Zanim ustało, Zack był już zlany potem od stóp do głów, zaś nagły atak migreny niemal uniemożliwił mu otwarcie oczu. Wydawało mu się, że czuje zapach dymu oraz drobinki gorącego popiołu opadające mu na twarz. Wspomnienie tego odgłosu raniło mu uszy przez kolejną godzinę, niwecząc próby skoncentrowania się na pracy. Otrząsnął się.

– Dzwony w kościele przyprawiają mnie o atak paniki – wyznał. – To mój koszmar.

Mollie skinęła głową.

– Myślałam, że skoro przeżyliśmy pożar, wszystko zacznie stopniowo wracać do normy, ale chyba już nigdy nie poczuję się w pełni bezpieczna. Nie bez Franka u boku. Jak to możliwe, że w jednej chwili wspólnie zaczynamy odbudowę naszego życia,

a w następnej on leży już martwy na kościelnej podłodze? Ktokolwiek to zrobił, nadal pozostaje bezkarny. – Mocniej ścisnęła jego dłoń. – Frank Spencer był dla mnie kimś w rodzaju drugiego ojca. Myślę o nim codziennie i serce mi się ścisza, że jacyś... jacyś zwyrodnialcy pozbawili go życia z powodu paru sztuk złota.

– Sądzisz, że pozbyłabyś się koszmarów, gdyby ci bandyci zostali złapani?

– Nie wiem. – Nagle przyjrzała mu się z ciekawością w niebieskich oczach. – Dlaczego wy obaj tak zawzięcie ze sobą walczyliście?

– Ostro się sprzeczałyśmy, lecz zawsze darzyłem go szacunkiem.

– Ale dlaczego? Po co te ciągłe kłótnie? Nie mogłam tego pojąć.

Uśmiechnął się i spojrzał w niebo. Praktyczny umysł Mollie niejednokrotnie uniemożliwiał jej zgłębienie tajemnic męskiej natury.

– Czasami mężczyźni po prostu lubią awantury – odparł. – Kochamy pojedynki. Badamy zasoby konkurencji, oceniamy własne szanse, podejmujemy ryzyko. Frank nigdy nie unikał starcia. Nawet jako niewidomy, pozostał mężczyzną. I chyba bardzo szybko się zorientował, że mnie zainteresowałaś. Wyczuł to szybciej niż ty sama.

Poczerwieniała jeszcze mocniej. Sprawiała wrażenie, jakby nie miała pewności, czy powinna rzucić mu się w ramiona, czy wstać i odejść. Należało działać.

– Cieszę się, że znowu nosisz przyzwoite ubrania – powiedział. – Wyglądasz jak tamta Mollie Knox, która przemierzała dom towarowy Hartmana. A byłoby jeszcze lepiej, gdybyś na stałe zrezygnowała z tych głupich warkoczy.

Jak na zawołanie poprawiła kosmyk, który tańczył na wietrze.

– Włosy zasłaniają mi całą twarz, kiedy je rozpuszczam – przyznała zmęczonym tonem.

– Pozwalając im swobodnie opadać, wyglądasz jak średniowieczna księżniczka z obrazów prerafaelitów.

Cofnęła rękę. Nie miał pojęcia, co się stało, lecz nagle poczuł niewidzialną barierę, która wyrosła między nimi.

– Zack, nienawidzę rozpuszczać włosów, rozumiesz? Przez tych kilka szalonych tygodni października myślałam, że cię kocham, i zmieniłam fryzurę, żebyś był zadowolony. Nie jestem jednak muzealnym portretem ani dziewczyną z tamtego obrazu,

który wisi u ciebie w jadalni.

Odwróciła się nieco, aby lepiej go widzieć, i chwyciła rękę mężczyzny pomiędzy swoje skórzane rękawiczki. Pierś Zacka podniosła się z nadzieją i otworzył ramiona, czekając, aż ona się w nich ukryje. Zamarł jednak, kiedy cisnęła mu lekko w brzuch woreczek z proszkiem diamentowym.

– Zack, pozostanę ci na zawsze wdzięczna za to, co zrobiłeś dla mnie w noc pożaru. Zachowałeś się niczym bohater romantycznej powieści. – Chwyciła jego rękę i oplotła palce mężczyzny wokół skózanego woreczka, nie potrafiąc jednak spojrzeć mu w oczy. Nie umiała go tak do końca odrzucić. Jeszcze nie teraz. – Nie wiem, dlaczego się o mnie troszczysz. Mam natomiast świadomość, że nie bylibyśmy dobraną parą. Ja lubię bezpieczny, uporządkowany świat, ty z kolei chcesz wciąż nowych przygód. Nie jestem dziewczyną z twojego obrazu, dziewczyną w ogrodzie, i nie uda ci się mnie w nią zamienić. Usiłowałam odgrywać tamtą beztroską kobietę: udziwnić fryzurę i przechadzać się swobodnie w pełnym słońcu, ale to tylko udawanie. Chcę wrócić do mojego prostego biznesu i robić zegarki.

Nie wierzył własnym uszom. Plotła coś kompletnie bez sensu i należało to natychmiast ukrócić.

– Nie chcę cię zmieniać...

Przerwała mu.

– Kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do warsztatu, powiedziałeś mi, że powinnam sprzedać fabrykę i pojechać na wakacje do Francji. Rozpuścić włosy i przestać się wszystkiego bać. Zack, ja nie chcę jechać do Francji. Chcę cofnąć czas i przywrócić moje życie do stanu sprzed pożaru. Chcę odzyskać fabrykę. Produkować zegarki. Panować nad rozkładem następnego dnia, tygodnia, miesiąca. Potrzebuję spokoju i stabilizacji.

Jego palce zacisnęły się na woreczku. Zamierzała wyrzucić go ze swojego życia, a on nie mógł na to pozwolić.

– A co z pułkownikiem Lowe'em? – spytał znienacka. – Czy on zalicza się do rzeczy, których pragniesz?

Zamarła, nie patrząc na niego.

– Richard wiele dla mnie znaczy – rzekła miękko.

„Richard”. A więc nie był już dla niej nawet pułkownikiem Lowe'em. Zack poczuł przyływ gorąca i najchętniej rozbiłby w drobny mak jakąś szybę. Po chwili zerwał się

z miejsca i oddalił się nieco w stronę jeziora. Nie potrafił siedzieć obok Mollie rozprawiającej o innym mężczyźnie. Ona zaś jak na złość nie przestawała mówić:

– Richard ma ze mną wiele wspólnego – powiedziała. – Czuję się przy nim... bezpieczna. I wiem, że nie muszę się zmieniać, aby go zadowolić.

– Ja też nie chcę cię zmieniać – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Skąd ona wytrzasnęła taki pomysł? Czuł, jak wymyka mu się z rąk, i nie umiał nic na to poradzić.

– Proszę, pozwól mi odejść – rzekła. – Muszę zacząć żyć na nowo, a nie potrafię tego zrobić z tobą u boku. Przestań do mnie pisać, przestań składać wizyty. Będę ci dozgonnie wdzięczna za uratowanie przed pożarem, ale... Zack, tylko tyle mogę obiecać. Wcześniej myślałam inaczej i przystałam na kilka twoich szaleństw, bo zwyczajnie cieszyłam się, że żyję. Ale nasz związek nie ma przyszłości.

Znad jeziora dosięgnął ich kolejny podmuch wiatru, który rozrzucił jej włosy tak, że wyglądały niczym kłęb dymu. Czy mógł ją po prostu stracić?

– I myślisz, że Richard da ci szczęście?

Rysy dziewczyny nieco się rozluźniły.

– Tak, tak myślę.

Jej twarz nabrała całkiem nowego wyrazu. Rozjaśniona przez lekki uśmiech, emanowała spokojem. Radością.

Nagle uderzyła go myśl, że jeszcze nigdy nie widział Mollie spokojnej. Widział jej żyłkę do interesów, siłę intelektu, która tak go zawsze pociągała. Obserwował jej odwagę w noc pożaru. Dawała mu się poznać jako osoba nieugięta, podejmująca jedno wyzwanie za drugim i ani na moment niezwalniająca kroku. Nigdy natomiast nie widział jej spokojnej.

Musiał zachować się mądrze. Jeśli Mollie uważa, że pułkownik da jej szczęście, z pewnością nie zechce pozwolić go sobie odebrać. On zaczeka na nią choćby do następnego stulecia, teraz jednak musi zejść z drogi.

– W porządku. – Nie mógł uwierzyć, że te słowa przeszły mu przez gardło, ale najbardziej na świecie pragnął przecież widzieć Mollie szczęśliwą. Nawet za cenę świadomości, że dziewczyna marnuje czas na eksperymenty z jakimś Richardem. Czuł się tak, jakby ktoś wycinał mu fragment serca. Oddanie Mollie owemu bogatemu,

przystojnemu blondynowi wydawało się zadaniem ponad siły. Raz jeszcze stał się portowym szczurem ustępującym miejsca wyśnionemu księciu.

– Jeżeli pułkownik Lowe nie będzie cię traktował jak boginię, policzę się z nim – oświadczył.

Spróbowała roześmiać się lekko.

– Proszę, nie wyrzucaj mu na biurko kosza z rybami.

– Wierz mi, wykazałbym się znacznie większą kreatywnością, gdybym się dowiedział, że robi ci krzywdę. – Skórzany woreczek ważył w jego rękach coraz więcej. – Na pewno chciałybyś to mieć – dodał, wyciągając ku niej sakiewkę.

– Zack, nie chcę żadnych prezentów.

Niemalże wcisnął jej pakunek w dłoń.

– To proszek diamentowy. Słyszałem, że się u was skończył, a mój znajomy jest właścicielem fabryki, w której da się go wyprodukować.

Wytrzeszczyła oczy i zerknęła do środka. Kiedy z powrotem zamykała woreczek, wyglądała tak, jakby miała wybuchnąć płaczem.

– Zack, nie mogę go przyjąć. To nie byłoby w porządku.

– Nie wyglupiaj się. Co ja teraz zrobię z proszkiem diamentowym? – Starł się brzmieć beztrosko. Nie dać po sobie poznać zawodu wynikającego z faktu, że kobieta z jego snów właśnie odchodzi w ramiona innego.

Nadal się wahała. To było szaleństwo – wiedział przecież, jak rozpaczliwie zależy jej na ponownym rozkręceniu interesu. Westchnął niecierpliwie.

– Jeśli go nie zabierzesz, cisnę ten worek do jeziora. Wiesz, że jestem gotów to zrobić.

Chyba mu uwierzyła, bo przytuliła podarunek do piersi.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Dziękuję za wszystko, Zack.

– Zaslugujesz na to – odparł z przekonaniem. – Nigdy w życiu nie widziałem nikogo, kto pracowałby tak ciężko jak ty.

– Nie bądź dla mnie taki dobry. Mam ochotę się rozplakać.

Jego wielka ręka pogładziła ją po policzku. Wobec tej kobiety stawał się najprawdziwszym mięczakiem – już od chwili pierwszego spotkania.

– Nie trać dla mnie łez. Nie jestem ich wart.

Musiał stąd odejść, zanim zrobi z siebie kompletnego idiotę. Bał się, że zaraz padnie na kolana i zacznie ją błagać, żeby nie porzuciła go dla faceta, który nie będzie umiał jej kochać nawet w połowie tak mocno. Ustąpienie pola Richardowi Lowe'owi wydawało mu się posunięciem najbardziej absurdalnym pod słońcem, rozumiał jednak, że musi to zrobić.

XX

Jak długo płakała? Przyszło jej niespodziewanie do głowy, że nagi ból na twarzy Zacka nie przestanie jej prześladować do końca życia. Postąpiła jednak tak, jak powinna. Nie mogła w takim stanie wsiąść do tramwaju, przeszła więc pieszo pięć kilometrów, które dzieliły Lake Park od browaru. Dlaczego czuła, jakby ktoś właśnie wyrwał jej serce? Bolała ją klatka piersiowa i z trudem zdobywała się na każdy oddech. Miała przy tym pewność, że za kilka tygodni Zack przyzna jej rację – owo szalone uczucie między nimi nie trwałoby długo. Trzeźwe przemyślenia nie zmieniały jednak faktu, że Mollie odczuwała dotkliwy ból.

Bała się z kimkolwiek zobaczyć. Po raz pierwszy w życiu nie miała też ochoty produkować zegarków. Pragnęła jedynie wrócić do siebie i ukryć twarz w poduszce, ale ten proszek diamentowy należało natychmiast zanieść do warsztatu.

Zdjawszy rękawiczki, przyłożyła zimne palce do kości policzkowych w nadziei, że ich chłód zmniejszy nieco ból oczu. Nie chciała, żeby ktoś się zorientował, że płakała. Ekipa zaczęłaby zaraz dociekać powodów, a ona nie mogła na razie o tym mówić, nie wywołując kolejnego ataku spazmów.

Zapach piwa odrobinę ją pocieszył, kiedy wdrapywała się po schodach na strych. Przywracanie fabryki do pionu okazało się jednym z najradośniejszych przedsięwzięć w jej życiu. Było trudne i nieco straszne, ale potrzebne.

Otworzyła rozklekotane drzwi do pracowni.

– Sophie – wyjąkała z zaskoczeniem.

Na placu budowy brakowało już zajęcia odpowiedniego dla dziewczynki, więc teraz przychodziła, żeby pomagać Declanowi w warsztacie. O tej porze przeważnie siedziała już w domu, ale nie dzisiaj. Zerwała się ze swojego miejsca przy stole, by podbiec do Mollie.

– Gunner powiedział, że Zack przyniósł ci proszek diamentowy! Chciałam poczekać i go zobaczyć. To oznacza, że znowu będziemy mogli robić części, prawda?

Gula w gardle Mollie urosła jeszcze bardziej. Wszystkie pary oczu były zwrócone na nią. Zamiast rozejść się do domów, ludzie spoglądali w napięciu na szefową.

– Tak, mam proszek diamentowy.

Sophie zaczęła skakać z radości, błagając o możliwość zobaczenia proszku. Po

warsztacie przeszedł pomruk ulgi. Mollie zwiesiła ramiona. Nie zdawała sobie sprawy, że jej podwładni wiedzą, iż grozi im katastrofa związana z brakiem materiałów do pracy.

Declan sięgnął po olej migdałowy i zaczął przygotowywać pastę, pokazując Sophie, jak odpowiednio ją rozmieszać i ocenić stopień lepkości. Mollie zabrała się z kolei za robotę papierkową. Skoro wiedziała już, że będą mieli nowy zapas części, mogła zacząć układać plany produkcyjne. W miarę zapełniania kalendarza zadaniami oraz datami dostaw, jej rysy zaczęły się stopniowo wygładzać.

Kiedy uświadomiła sobie, że prezent od Zacka pomoże jej dotrzymać świątecznego terminu zamówienia, znowu miała ochotę się rozplakać.

≈

– Nie ufam ci – rzekł doktor Buchanan.

Zack oparł się o ścianę w salonie i spoglądał na dentystę. Całe popołudnie sortowali papiery państwa Kazmarków, które znowu wymknęły się spod kontroli. Ta czynność stała się już tradycją: ilekroć wieże kartek z polskimi wspomnieniami zaczynały grozić zawaleniem, Zack upychał część z nich na chybił trafił do pudeł i wynosił na strych, gdzie pokrywała je warstwa kurzu. Ten sam kurz osiadał jednak niestety także w pozostałych częściach domu – Zack musiał wynosić klatkę Lizzie do kuchni, było to bowiem jedyne pomieszczenie, gdzie ptaszek się nie krztusił.

– Możesz mi zaufać – zapewnił młody Kazmarek. – Nie zrobiłbym nic głupiego, kiedy w grę wchodzi Mollie.

– Ale dlaczego miałbyś robić cokolwiek? Pułkownik Lowe całkowicie kontroluje sytuację, a wzięwszy pod uwagę twoje uczucia względem Mollie, uważam, że to niedobry pomysł. Nieroztropny.

Zack zajął się przekładaniem zawartości kolejnego pudła.

– Pułkownik Lowe nie zna tego miasta tak świetnie jak ja. I robi bzdurę, szukając zabójców Franka w lombardach.

„W lombardach”, powtórzył w myślach, upychając do kartonu nową partię papieru. Przeczesywanie lombardów nie było wcale aż tak głupim pomysłem, ale skoro zegarki do tej pory nie wypłynęły, szanse na ich odnalezienie spadły już niemal do zera. Pułkownik zaś nie posiadał jakiegokolwiek planu awaryjnego. Mollie zasługiwała na spokojny sen w nocy, ten jednak nie nadejdzie tak długo, jak długo mordercy pozostaną na wolności. Zack mógłby ich odnaleźć. Przez całe lata bratał się zarówno z miejscowymi elitami, jak i z klasą robotniczą. Wiedział, jak się w tym mieście załatwia interesy.

Zresztą chciał też przyjrzeć się pułkownikowi. „Richardowi”. Nie zamierzał się wtrącać do sercowych wyborów Mollie – gdyby to zrobił, utwierdziłaby się tylko w złych przeczuciach co do jego osoby. Nie planował jednak także dać za wygraną. Kiepski okres należało po prostu przeczekać. Richard Lowe nie był zresztą ponoć żadnym łajdakiem. Wręcz przeciwnie. Wszyscy – począwszy od doktora Buchanana i chłopaków z 57. pułku, a na Sophie Durant skończywszy – wypowiadali się o nim bardzo pozytywnie.

– Powiedz mi tylko, gdzie on mieszka – nalegał Zack. – Nie mogę pójść na plac budowy, bo obiecałem Mollie, że nie będę się jej naprzykrzał. Jeśli więc chcę się z nim spotkać, muszę go odwiedzić w domu.

Doktor Buchanan przyglądał się dwóm fotografiom zawieruszonym pośród stosu dokumentów.

– Popatrz, jak ta kobieta jest dziwnie ubrana. Oni w Polsce faktycznie tak chodzą?

Zack cisnął fotografię na bok.

– Nie zmieniaj tematu. Gdzie mieszka pułkownik Lowe?

– Słyszałem, że u generała Sheridana.

Zack stracił zainteresowanie papierzyskami trzymanymi w rękach. Doskonale. Kochaś Mollie przyjaźnił się z najbardziej znanym bohaterem wojennym w mieście.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać – zaczął doktor, nerwowo skubiąc brodę – ale chłopcy z Pięćdziesiątki Siódemki typują już termin ślubu. Większość jest za latem, choć kilka osób twardo obstawia okres jesienny. Nikt natomiast nie podejrzewa, by miało to nastąpić później.

Te słowa podziały na Zacka jak żrący kwas, starał się jednak zachować obojętny ton.

– A ty co o tym sądzisz?

– Moim zdaniem pobiorą się pierwszego maja. Sprawiają wrażenie mocno zakochanych.

Zwiesił ramiona. Było nawet gorzej, niż podejrzewał. Mimowolnie spojrzął na portret dziewczyny w ogrodzie. Jeśli straci Mollie, ów obraz z konieczności wypełni pustkę po niej.

Postanowił znaleźć zabójców Franka. Tylko tyle mógł teraz zrobić.

≈
Pułkownik Richard Lowe okazał się dokładnie taki, jak o nim mówiono: przystojny, wykształcony i szarmancki. Ukończywszy West Point, posiadał zmysł taktyczny godny Napoleona. Był wojownikiem stawianym za wzór młodym żołnierzom. Synem, jakiego nie powstydziliby się żadna matka. Był Lancelotem uchronionym jednak od grzechu cudzołóstwa [9].

Od razu poczuł do Zacka coś w rodzaju niechęci. Stojąc na ganku eleganckiej rezydencji generała Sheridana, pułkownik Lowe nie chciał przyjąć do wiadomości celu wizyty prawnika.

– Proszę mi podać nazwiska trzech pańskich ludzi, którzy umieją czytać i pisać – powiedział Zack. – Polecę im namierzyć *Mariannę*. Pan nie musi się tu w nic angażować.

Ralph Coulter, rudy handlarz drewnem, zniknął z kościoła tuż po napaści. Jego statek nazywał się *Marianna*. Jeśli Zack zdołałby namierzyć ów statek, sam handlarz także prędzej czy później wpadłby w jego ręce. Coulter z pewnością wiedział coś na temat tragicznego w skutkach zajścia.

Pułkownik Lowe nawet nie drgnął.

– Teraz, kiedy szkielet fabryki Mollie został już postawiony, większość moich żołnierzy szykuje się do wyjazdu. Ja przysiągłem, że zostanę, dopóki nie złapiemy tamtych opryszków.

Który prawdziwy mężczyzna użyłby słowa „opryszek”? Mimo wszystkich swoich deklarowanych zalet pułkownik nie nadawał się do prowadzenia tego prywatnego śledztwa. Zack w każdym razie nie miał najmniejszej ochoty z nim pracować. Już na początku nabrał przekonania, że Richard Lowe urodził się pod szczęśliwą gwiazdą i prawie wcale nie zapracował na własny sukces. Mając majątnego ojca oraz dyplom West Point, był wręcz skazany na karierę. Zack wolałby, aby pułkownik ograniczył się do sfinalizowania budowy fabryki, zaś sprawę śmierci Franka pozostawił jemu. Potrzebował tylko kilku ludzi do pomocy. Lowe wydawał się jednak w tej kwestii nieprzejednany.

– Obiecałem panie Knox, że pomogę w ujęciu mężczyzn odpowiedzialnych za zamordowanie Franka Spencera.

– Bardzo dobrze – odparował Zack. – Pomoże pan najlepiej, jeśli przyśle pan do mnie trzech piśmiennych żołnierzy.

Pułkownik uśmiechnął się tyleż promiennie, co sztucznie.

– Chętnie zaoferuję swoje własne usługi. Chodźmy.

Na twarzy Zacka odbijało się rozdrażnienie, gdy kierował się w stronę urzędu celnego, mając pułkownika przy boku. Plan Kazmarka opierał się na tym, żeby przejrzeć listy przewozowe z kilku ostatnich miesięcy, spisując dane każdego szkunera transportującego drewno na trasie zahaczającej o Chicago. Wcześniej uzyskał już potwierdzenie, że nikt nie widział *Marianny* od czasu śmierci Franka. Jeśli Ralph Coulter posiadał przynajmniej krztę inteligencji, zapewne przechrzczył i przemaalował swoją własność, aby zmylić pościg. Nie mógł jednak zmienić podstawowych parametrów statku, w tym na przykład jego powierzchni. Zack zamierzał wyszukać wszystkie trzydziestometrowe szkunery, które nie prowadziły interesów w Chicago przed zamordowaniem Spencera. Jeżeli uda mu się zlokalizować taką łajbę, z dużym prawdopodobieństwem będzie to *Marianna*. A na niej jej zaginiony właściciel.

Pułkownik Lowe był irytująco radosny, kiedy tak kroczył obok Zacka. Dotarłszy do skrzyżowania ulic Randolph i Clark, spostrzegli, że ruch wozów i koni został zablokowany, a piesi bezskutecznie usiłują się między nimi przecisnąć. Nieco dalej znajdowały się tory kolejowe, na których ugrzązł pociąg; to właśnie za jego sprawą powstało całe to zamieszanie. Zack przepchnął się do przodu, stając obok kobiety z wielkim koszem chleba w rękach oraz chłopca roznoszącego gazety.

– Co się stało? – rzucił w stronę chłopaka.

– Coś zatarasowało tory. Pociągi stanęły na odcinku dwóch kilometrów. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Zack spojrział w tamtą stronę. Rzeczywiście, jak okiem sięgnąć wszędzie tkwiły pociągi.

– Chodźmy zobaczyć, co się stało – rzekł pułkownik Lowe, kierując się w stronę północnego krańca torów.

Od razu pojęli, w czym rzecz. Zawartość wagonu z cementem wysypała się na tory i zmieszała z topniejącym śniegiem. Część tej mieszanki wylądowała na szynach, niemal natychmiast zastygając i uniemożliwiając pociągom przejazd. Jakiś mechanik próbował w pojedynkę ratować sytuację, lecz nawet mimo przyciągniętego za sobą wózka z narzędziami okazał się zupełnie bezsilny.

– Co się tu dzieje? – spytał pułkownik Lowe.

Mężczyzna otarł pot z czoła.

– Posłałem telegram z prośbą o przysłanie mi ludzi do pomocy, ale na razie nikt się

nie zjawił. Na torach przy Taylor Street doszło do pożaru i właśnie tam udała się większość robotników.

Pułkownik zaczął zdejmować kurtkę.

– Ja mogę pomóc. Kazmarek, pisze się pan na to?

Zack wzruszył ramionami.

– Myślałem, że pańska rodzina posiada udziały w spółkach kolei żelaznych, ale ich nie buduje.

Pułkownik sięgnął po ogromny klucz i wprawnym ruchem odkręcił śrubę spajającą dwie części szyny.

– Na jedno wychodzi – rzekł. – Mój ojciec nie wierzył w konwencjonalną edukację. Mówił, że skoro tory kolejowe zapewniają mi dach nad głową, muszę się nauczyć, jak je budować. – Drugą część zdania pułkownik wypowiedział z zaciśniętymi zębami, mocując się z kolejną śrubą. – Zamiast siedzieć w szkolnej sali, pobierałem nauki na równinach Dakoty, wśród budowniczych kolei. Spałem w ich namiotach. Jadłem to samo, co oni. Stare czasy!

Następna śruba puściła. Zack chwycił drugi klucz i zaczął rozkręcać sąsiednią szynę. Szło mu to jednak znacznie gorzej niż pułkownikowi. Manewrował narzędziem coraz bardziej niecierpliwie, ale w końcu śruba zaczęła ustępować.

Pułkownik pracował w błyskawicznym tempie.

– Powinniśmy się z tym uporać w dziesięć minut – oświadczył, nie podnosząc oczu znad roboty. – Widzę, że mamy tu wszystko, co potrzeba, żeby zamontować dwie sprawne szyny. – Zmierzył wzrokiem wyczerpanego pracownika kolei, który oparł się na trzymanej w rękach łopacie dla złapania oddechu. – Jeśli uda się panu uprzętnąć resztę cementu, w ciągu godziny przywrócimy ten odcinek do stanu używalności.

Zack próbował dotrzymać pułkownikowi tempa. Czuł, jak jego uraza słabnie. Dzieciństwo spędzone w chicagowskim porcie z pewnością nie jest łatwe, ale to samo dałoby się powiedzieć o budowaniu torów w Dakocie.

Operacja potrwała nieco dłużej, niż przewidział pułkownik. Kilka fragmentów szyn okazało się zbyt mocno związanych cementem, aby je uratować – należało wkręcić nowe części. Z pomocą przyszli im trzej mechanicy, którzy właśnie zdołali dotrzeć z innej dzielnicy miasta. Po ich przybyciu praca posuwała się już szybko. Pułkownik Lowe nadzorował usuwanie uszkodzonych szyn oraz wstawianie w ich miejsce nowych. Na

końcu osobiście sprawdził, czy poszczególne części zainstalowano poprawnie. Westchnął i dał Zackowi znak, że powinni już ruszyć w dalszą drogę.

To naprawdę bolało – poznać kogoś, kto skradł serce Mollie i to zaledwie po miesiącu przebywania z nią. Zack wyrzucał sobie teraz, że pozwolił, aby reguły Louisa Hartmana zaważyły na kształcie jego znajomości z ubóstwianą kobietą. Początkowo wystarczał mu widok dziewczyny przechadzającej się po sklepie oraz kontakt ograniczony do rozmów o interesach. Później, w blasku szalejącego ognia, ujrzał nagle całe jej piękno. Zakochał się na zabój. Poznał Mollie na takim poziomie, jakiego Richard Lowe nie mógłby sobie nawet wyobrazić.

– Mollie Knox – zaczął.

Pułkownik natychmiast się wyprostował.

– Tak, co z nią?

– Proszę nie wspominać, że brałem udział w poszukiwaniach zabójcy Franka. Ona... my... cóż, proszę po prostu nie wymieniać mojego nazwiska.

– Dlaczego właściwie interesuje pana sprawa zamordowania Spencera?

Spojrzenia mężczyzn skrzyżowały się.

– Hartman prowadził interesy z firmą panny Knox – wyjaśnił. – Chciałbym, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Dam głowę, że pańska firma handlowała z wieloma dostawcami, ale pewnie niewielu spośród nich odznaczało się takimi przymiotami jak Mollie Knox.

Zack nie odpowiedział. Ponieważ zbliżali się już do urzędu, postanowił dokładnie wyłuszczyć towarzyszowi swój plan.

– Pamiętam, jak Coulter rozprawiał o swoim statku – rzekł. – Ochrzcił go *Marianną* na cześć siostry, która zmarła w dzieciństwie. Jeśli znajdziemy szkuner, Coultera też dorwiemy.

Rozumiał jednak, że odnalezienie *Marianny* nie będzie łatwe. Chicago stanowiło największy na świecie rynek skupu drewna: niemal dwieście statków przybijało codziennie do portów rozrzuconych wzdłuż wybrzeży jeziora Michigan. Towar z Wisconsin i Michigan transportowano do Chicago, skąd wyruszał pociągami towarowymi w dalszą drogę, do zachodnich regionów Stanów Zjednoczonych.

– Czy policja mogłaby pomóc w przeszukiwaniu portów? – spytał pułkownik.

Zack potrząsnął głową.

– Policjanci zajęli się przywracaniem porządku i wspieraniem działań pomocy społecznej. Połowa z nich straciła wszystko w wyniku pożaru, są też wyczerpani ciągłymi zamieszkami w różnych dzielnicach. Nie zdecydują się trwonić sił dla sprawy takiej jak nasza.

Resztę popołudnia spędzili w urzędzie, wprowadzając w życie starannie przemyślany plan Zacka. Pułkownik Lowe okazał się niezamordowany. Nawet po zachodzie słońca wciąż wertował z zapalem kolejne teczki, szukając statków spełniających oczekiwane kryteria. Pracując przy świetle lamp naftowych, skompletowali wreszcie interesującą ich listę. Wyłuskanie z niej tego jednego szkunera, który mógł się okazać *Marianną*, to sprawa kolejnych kilku godzin. Zack jednak wiedział, że nie istnieje inny sposób namierzenia Ralpa Coultera.

Z bólem serca musiał też przyznać, iż ten nowy facet Mollie wcale nie jest taki zły.

XXI

-Nie otwieraj oczu, Mollie.

Głos Richarda był ciepły, podobnie jak jego oddech na twarzy dziewczyny. Zakrywając oczy dłońmi, kroczyła przed siebie na oślep, ale pułkownik z pewnością wiedział, dokąd idą. Kierował ją w stronę fabryki. Zimny wiatr atakował ich ze wszystkich stron, nie miało to jednak żadnego znaczenia w obliczu faktu, że za moment dotrą do nowo postawionego budynku. Trzy dni wcześniej Richard zakazał Mollie zbliżyć się do placu budowy – stwierdził, że ostateczny wygląd fabryki powinien być dla niej niespodzianką. Teraz zaś wszystko stanie się jasne.

– Odwróć się lekko w lewo, a wejdiesz do środka – wyszeptał pułkownik.

Zamiast żwiru poczuła pod stopami równą podłogę z desek. Szuranie nogami oraz przyciszone głosy oznaczały, że w fabryce przebywa tłum ludzi. Zarówno ekipa warsztatu, jak i dawni żołnierze 57. pułku pojawili się tu, by świętować otwarcie.

– Otwórz oczy, mała! – krzyknął Ulysses z któregoś kąta pomieszczenia.

Wstrzymała oddech i oderwała dłonie od twarzy.

To był cud! Strumień światła wpadał przez okno, zaś ściany z surowych cegieł tworzyły w przestronnej sali niezwykle przyjemny nastrój. Na jednej ścianie zawieszono mnóstwo półek na gotowy towar, a kilkanaście niskich stołów do pracy oczekiwało spokojnie na użytkowanie w schludnych rzędach. Jednak najbardziej zaskoczyła Mollie obecność około setki osób, które uśmiechały się do niej z rozbawieniem.

– Witaj z powrotem, Mollie! – krzyknął ktoś z tłumu.

Dziewczyna zakryła twarz dłońmi, aby nikt się nie zorientował, że płacze. Nie ona jedna zresztą zareagowała w taki sposób. Pracownicy zakładu przyprowadzili tu dzisiaj swoje żony i dzieci i wszyscy oni ukradkiem ocierali łzy wdzięczności i ulgi. W pierwszym rzędzie stała Sophie wraz z ojcem. Mollie rozpoznała też Charliego Frischa z sąsiedniej fabryki fortepianów oraz braci Kauffman zajętych obecnie odbudowywaniem swojej octowni po drugiej stronie ulicy. Każdy nowy budynek stanowił dla mieszkańców Chicago powód do świętowania.

Obok niej stał uśmiechnięty pułkownik Lowe. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak miała mu podziękować za ocalenie firmy i życia czterdziestu pracowników wraz z rodzinami? Warsztat okazał się większy i bardziej przestronny niż ten poprzedni, a wielkie okna zapewniały znakomite oświetlenie, bardzo potrzebne każdemu

zegarmistrzowi.

– Nie wiem, jak ci dziękować – przyznała w oszołomieniu.

Richard skinął na stojącego nieopodal murarza Moose'a, weterana 57. pułku.

– To oni wykonali większą część roboty – powiedział z dumą w głosie.

W powietrzu unosił się zapach świeżych bułeczek cynamonowych. Kilkoro dzieci stało przy półkach, na których porozkładane były owe bułeczki wraz z ciasteczkami. Obok umieszczono stolik z wielkim tortem. Mollie poczuła, że powinna coś powiedzieć, podziękować za okazaną jej dobroć i życzliwość. Przemawianie do tłumu nie należało wprawdzie do czynności, w których miałyby jakiekolwiek doświadczenie, jednak akurat w tym wypadku sprawa była prosta: należało zwyczajnie otworzyć serce.

– Dwa miesiące temu myśleliśmy, że nadszedł koniec świata – zaczęła.

Radosny gwar nagle przycichł, a na wszystkich twarzach zagościła powaga. Pożar trwał zaledwie trzydzieści sześć godzin, lecz pamięć o nim pozostanie świeża przez lata.

– Pamiętam tamtą noc – kontynuowała – kiedy schroniłam się w ruinach kościoła. Ogień jeszcze płonął, ja zaś myślałam, że utraciłam absolutnie wszystko. Marzyłam o tym, by zapaść w sen i nigdy już się nie obudzić.

Kilka osób pokiwało głowami. Tylko ktoś, kto przetrwał ten koszmar, rozumiał ból wibrujący w głosie Mollie.

– Nie miałam pojęcia, czy przeżyję. Później z kolei dotarło do mnie, że odbudowa mojego świata potrwa bardzo długo. I z pewnością miałabym rację, gdyby nie... – Głos jej się załamał. Alice otoczyła koleżankę ramieniem. Mollie wzięła kilka głębszych wdechów, nim zaczęła mówić dalej: – Ojciec często opowiadał mi o swoich przyjacielach z wojska. Powiedział, że pochodzili z różnych części stanu i nie mieli ze sobą nic wspólnego. Poza faktem, że służyli w jednym pułku. Przyznał też, że wcale nie jest pewien, czy w normalnych okolicznościach lubiłby niektórych spośród nich.

– Słyszysz, Moose, mówią o tobie! – odezwał się nagle jakiś męski głos, a dawna Pięćdziesiątka Siódemka jak na zawołanie ryknęła śmiechem.

Mollie odczekała, aż wesołość nieco ustąpi.

– Ojciec powiedział, że początkowo nie miał z tymi ludźmi nic wspólnego, ale pod koniec wojny gotów był już oddać życie za każdego z nich. I oni na pewno myśleli podobnie. W przeciwnym razie nie staliby teraz ze mną. – Mollie żałowała, że nie wzięła

ze sobą chusteczki. Łzy spływały jej po twarzy wartkim strumieniem. – My wszyscy również przeszliśmy przez piekło. Rozumiem już, o czym mówił mój ojciec. Dziękuję wam, jego dawnym towarzyszom broni – jesteście dla mnie bohaterami... W tym miejscu muszę chyba zakończyć przemówienie, bo dzieci czekają na deser.

Alice wzięła ją pod rękę i przeszły razem do stolika, na którym piętrzył się tort z pięćdziesięcioma siedmioma świeczkami. Mollie sięgnęła po nóż i uroczyście odkroiła pierwszy kawałek, podczas gdy Alice zaczęła napełniać kubki cydrem. Ponieważ nie miały pod ręką takiej ilości talerzy, żeby obdzielić nimi wszystkich gości, zdecydowały się podawać ciasto na tackach robionych naprędce z kawałków kartonowych pudeł.

Sophie jako pierwsza ustawiła się w kolejce po tort. Skrzywiła się jednak na widok kartonu.

– Nie lubię jeść z takich tacek – oświadczyła.

Mollie westchnęła. Ta dziewczyna za nic w świecie się nie zmieni.

– Jestem pewna, że nigdy nie próbowałaś – odparła z uśmiechem.

Nie miała najmniejszych wątpliwości: dzisiaj zaczynało się dla niej nowe, cudowne życie.

≈

Tydzień po śmierci Franka Spencera szkuner *Miasto Stulecia* po raz pierwszy zawitał do Chicago. Jego obecność zbiegła się w czasie ze zniknięciem *Marianny* – statku o takich samych rozmiarach i punktach przeładunkowych. Kiedy Zackowi udało się odkryć to podobieństwo, namierzenie Ralpha Coultera było już tylko kwestią czasu. Wybrał się nad rzekę i przez dłuższą chwilę obserwował, jak *Miasto Stulecia* przybija do brzegu. Niemal natychmiast wypatrzył też samego Coultera – rudy handlarz stał przez kilka minut na pokładzie, zanim zdecydował się wyjść na ląd. Ruszył przez zawieszony nad rzeką mostek. Szum wody uspił jego czujność, nie dostrzegł więc nadchodzącego zagrożenia.

– Panie Coulter! – krzyknął Zack sztucznie wesołym tonem.

Mężczyzna odwrócił się. Zobaczywszy Kazmarka, nagle zbladł i sprawiał wrażenie, jakby miał się rzucić do ucieczki. Zack jednak przewidział jego reakcję i zagroził jedyne przejście na drugi brzeg. Właściwie nie chciał zastraszać Coultera; potrzebował tylko paru informacji. Podeszedł nieco bliżej, rozkładając ręce w uspokajającym geście.

– Bez paniki, chciałem tylko porozmawiać.

Coulter spojrzał nerwowo na rzekę płynącą pod nimi. Zrozumiał, że nie ucieknie, zwiesił ramiona i zaprowadził Zacka do opuszczonego budynku ładowni. W środku było tak zimno, że przy każdym oddechu z ust wydobywała się para.

Handlarz obstawał twardo przy własnej niewinności.

– Słuchaj, uciekłem z kościoła, bo nie chciałem się pakować w kłopoty, ale nie mam nic wspólnego z tym zabójstwem. Lubilem Franka Spencera.

Nieopodał rozległ się nagle ryk syreny, przyprawiając Coultera o drżenie. Mimo panującego w ładowni chłodu mężczyzna był zlany potem. Zack nosił się z myślą, by go trochę przycisnąć. Właśnie dlatego nie zabrał ze sobą pułkownika Lowe'a – podejrzewał, że złotowłosego chłopaka Mollie psułyby jedynie atmosferę.

– A więc nie wiesz nic na temat skradzionych zegarków? To dość zabawne, bo one zniknęły tego samego dnia co ty.

– Nigdy nie widziałem żadnych zegarków, nigdy. Ani tym bardziej ich nie tknąłem. Handluję drewnem, odkąd skończyłem dwanaście lat. Nie wiedziałbym nawet, co zrobić z tymi waszymi zegarkami.

Zack starał się zachowywać neutralny wyraz twarzy.

– A Jesse? Handluje drewnem tak samo długo jak ty?

Coulter wytrzeszczył oczy.

– Skąd znasz to imię?

Zarówno Mollie, jak i Ulysses słyszeli tamtej nocy właśnie głos Coultera, który beształ swojego współnika. Jednak on teraz oczywiście tego nie pamiętał. Zack przysunął swoje krzesło nieco bliżej, bawiąc się guzikami płaszcza.

– Podejrzewam, że Jesse nie należy do ludzi, którzy wstają przed wschodem słońca i wychodzą popływać na statkach z drewnem. Ani do takich jak ty, którzy od dwunastego roku życia oszczędzali na własny szkuner. Jaka szkoda, że to akurat ciebie wyznaczyli do trzymania tego worka z towarem.

– Nie ukradłem zegarków – wycedził Coulter przez zaciśnięte zęby.

– A rozmawiałeś o tym z prawnikiem? – spytał Zack uprzejmym tonem. – Bo uważam, że w zasadzie nie ma znaczenia, czy ukradłeś zegarki, czy nie. Jesse wiedział,

gdzie ich szukać, co oznacza, że ktoś mu o tym doniósł. Może w zwykłej rozmowie, a może w trakcie świadomego planowania napaści. Tak czy inaczej, jeśli to ty dałeś cynk, gdzie leżą zegarki, przyczyniłeś się do śmierci człowieka. Możesz za to zawisnąć na szubienicy.

Ralph Coulter spojrział na niego ze złością tak ogromną, że jego twarz zaczęła wręcz pulsować. W dalszym ciągu jednak odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień. Skoro wołał milczeć niż wydać współlnika, mogło to oznaczać, że tamten jest członkiem jego rodziny. Najpewniej bratem. Zack postanowił trochę pobelfować. Przysunął się jeszcze ciut bliżej do Coultera.

– W gruncie rzeczy matka zawsze była z ciebie dumna – zaczął. – Jako jedyny w rodzinie uczciwie pracowałeś na każdego dolara. Pilnowałeś, żeby nikt z bliskich nie cierpiał z powodu głodu i opłacałeś wizyty lekarskie, kiedy były konieczne. Jak poczułaby się starsza pani Coulter, widząc, że jej ukochany syn idzie do więzienia za nie swoje grzechy? Jesse tak czy inaczej w końcu wpadnie, a wtedy nie zostanie w domu już nikt, kto mógłby się zatroszczyć o opał na zimę. – Wyjrzał przez oszronione okno. – A tegoroczna zima będzie chyba wyjątkowo mroźna.

Coulter zmarszczył brwi. Palce mu zbiełały od zaciskania ich na oparciu krzesła. Zack wstrzymywał oddech, obserwując, jak rozmówca w ciszy mocuje się z własnym sumieniem. Ostatecznie uznał widocznie, że przegrał tę batalię. Spojrzął Zackowi w oczy.

– Jesse zdążył zwiać, ale chyba wiem dokąd. Chyba. Jest jednak pewien problem. Mój brat ma dwóch synów, którzy są dla mnie całym światem. Nie zamierzam patrzeć, jak stają się bezdomnymi sierotami.

– Ile lat mają ci chłopcy?

– Jeden dziewięć, drugi sześć. – Coulter skulił się na krześle i nie przestawał patrzeć na Zacka, mówiąc dalej: – Nie jestem bogaczem, ale mógłbym zapewnić im opiekę. – Roześmiał się gorzko. – I tak przez większość czasu mieszkają u mnie. Ale nie potrafię ochronić ich przed wszystkim.

– Ja również nie – odparł Zack. – Więc nie próbujmy przesadnie wymyślać. Przedstaw mi jakąś rozsądną prośbę, a ja zobaczę, co da się zrobić.

– Słyszałem o tobie – rzekł Coulter. – Pojawiłeś się znikąd, a potem skończyłeś Yale. Tego samego chciałbym dla chłopców. Obu.

Zack uniósł brwi. Jego wpływy w świecie elit nie sięgały aż tak daleko. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, nie zdecydowałyby się marnować ich dla człowieka, którego tak czy siak trzymał na muszce.

Stała mu przed oczami Mollie i jej rozpaczliwe spojrzenie. „Frank Spencer był dla mnie jak drugi ojciec”, powiedziała zbolalym głosem. Nosila w sobie mnóstwo okropnego bólu, który nie pozwalał jej spać i pozostawiał cienie pod oczami. Mógł ją ocalić – podarować spokój dzięki wiadomości, że zabójcy starego prawnika zostali schwytani i ukarani. Zack wbił wzrok w podłogę i zaczął się intensywnie przypatrywać pokrywającym ją kępkom kurzu. W głowie kalkulował wagę własnych możliwości i kontaktów.

– Nie mogę zaoferować chłopcom studiów na Yale, ale mam znajomości na Uniwersytecie Notre Dame. Wystarczy?

Linie na czole Coultera wygładziły się.

– Tak, może być. Chcę to dostać na piśmie. Podobnie jak zwolnienie od odpowiedzialności karnej za wydarzenia w kościele. Podpisane przez sędziego.

Zack wybuchnął śmiechem.

– Brzmi to tak, jakbyś rzeczywiście rozmawiał już z adwokatem – zauważył z nutką cynizmu.

– Nie jestem głupi – odparł Coulter.

~
Dwa dni zajęło Zackowi zgromadzenie potrzebnej dokumentacji. Prawniki Coultera zrekonstruowali całą historię. Po pożarze jego klient składał regularne wizyty matce i bratu koczującym wraz z wieloma innymi osobami w piwnicy jakiejś fabryki. Gdy matka zapytała, czy nie wyszliby lepiej na przeprowadzce do ruin świątyni, zaprzeczył – nie było tam przecież dachu, żadnych wygod, a do tego musieliby znosić kaprysy pewnej zepsutej dziewczynki. Dodał jeszcze, że większość aktualnych mieszkańców kościoła zapewne niedługo się stamtąd wyniesie, bo ocalili z pożaru złote zegarki, które zagwarantują im lepsze warunki życiowe. Owa niewinna uwaga Coultera wystarczyła, aby Jesse i jego banda zaczęli knuć rabunek.

Spotkanie odbywało się w pełnym książek biurze prawnika Coultera. Zack zabrał ze sobą, oprócz podpisanego przez sąd zwolnienia od odpowiedzialności karnej, także pułkownika Lowe'a. Wyglądało na to, że sprawa będzie wymagała pomocy ze strony dawnego 57. pułku. Pułkownik był zatem potrzebny, a prywatna antypatia Kazmarka musiała zostać odłożona na bok.

Lowe przyglądał się Coulterowi tak, jakby patrzył na zdechłą rybę.

– Dlaczego nagradzamy tego człowieka? – zapytał. – Jego gadulstwo doprowadziło do zamordowania Franka Spencera.

Zack zacisnął zęby. Coulter był już i tak przerażony, więc słowne ataki na niego mogły tylko pogorszyć sytuację i uniemożliwić złożenie zeznań.

– Zamierzam wysłać dwóch chłopców na studia – odparł neutralnym tonem. – To panu nie przeszkadza, prawda?

– Przeszkadza mi wszystko, co opóźnia pochód sprawiedliwości – rzekł pułkownik.

Cóż, chyba właśnie z tego powodu Lowe tak bardzo przypadł Mollie do gustu. Ona lubiła spokój i bezpieczeństwo. Ten uroczy blondyn potrafił jej to zapewnić, posiłkując się swoimi czarno-białymi wyobrażeniami o moralności. Ani Zack, ani tym bardziej Ralph Coulter nie mogli sobie pozwolić na taki luksus.

Kiedy papiery zostały już podpisane, wszystkie oczy zwróciły się w stronę Coultera. On sam wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać. Rozumiał oczywiście, że zdradzając miejsce pobytu brata, skazuje go zapewne na śmierć. Widział w tym jednak palec Boży. Paraliżowało go ponadto przypuszczenie, że jeśli Jesse pozostanie bezkarny, może skłonić własnych synów do pójścia tą samą występną drogą.

Coulter ukrył twarz w dłoniach i szepnął tak cicho, że niemal niesłyszalnie:

– Powinniście go znaleźć w Milwaukee.

Twarz mężczyzny zdradzała tak ogromną wewnętrzną mękę, że Zack zaczął dziękować w duchu, iż był jedynakiem. Po spotkaniu obserwował, jak Coulter z wysiłkiem kroczy ulicą, pokonany i przybity.

– Oto odchodzi smętny cień człowieka – zauważył pułkownik Lowe.

Tej nocy Zack wstąpił do kościoła. Zazwyczaj zapalał świece w intencji swojego ojca, który mimo podeszłego wieku ciężko pracował w porcie, albo matki zaaferowanej ratowaniem narodu polskiego. Dziś jednak, wrzuciwszy monetę do metalowej skrzynki na dobrowolne datki, Zack upadł na kolana i pomodlił się za Ralphi Coultera.

XXII

Mollie nie wierzyła własnym uszom. Słowa Moose'a brzmiały jednak, jak zawsze, jasno i wyraźnie, kiedy mężczyzna stanął w progu nowo wybudowanej fabryki.

– Pułkownik Lowe prosi, aby Declan McNabb pojechał z nami do Milwaukee! – ryknął. – Potrzebujemy każdego zdrowego mężczyzny, jaki tu pracuje.

Ale Declan wcale nie był zdrowy! Zrywał się na równe nogi, gdy ktoś głośniejsz trzaskał drzwiami, i kurczył się w sobie pod wpływem każdego stresu. Mollie rozglądnęła się po warsztacie. Większość ludzi rozeszła się już do domów. Gunner mył podłogę i czekał, aż piec trochę ostygnie, aby wyjąć ostatnią dziś partię emaliowanych cyferblatów. Mollie nie chciała przy tej rozmowie nikogo nieupoważnionego, więc skierowała się na zewnątrz.

– Możemy porozmawiać o tym przed budynkiem?

Za drzwiami panowała strasząca chłodem ciemność. Dziewczyna skuliła ramiona.

– Na litość boską, co ten Richard sobie myśli, ciągnąc Declana do strefy wojennej?

– To Milwaukee, psze pani, nie żadna strefa wojenna.

Przymknęła powieki.

– Pamiętam przecież tamtą noc. Przynajmniej pięciu uzbrojonych mężczyzn. Dla mnie to całkiem jak wojenna strefa. Wątpię, żeby pozwolili wam zaciągnąć się bez walki z powrotem do Chicago, gdzie czeka ich stryzyk.

Moose chrząknął, choć to równie dobrze mógł być śmiech.

– Chyba powinna pani o tym porozmawiać z pułkownikiem.

Tak właśnie zamierzała postąpić. Wiedziała dokładnie, gdzie zazwyczaj przebywał o tej porze, i niepokoił ją nieco dystans, jaki miała do przebycia. Buty na obcasach niezbyt nadawały się do szybkiego marszu. Starła się zatem kroczyć ostrożnie, gdy przecinała pustawą już Randolph Street.

Na rogu mieściła się apteka, w której czasowo utworzono biuro telegraficzne. Richard zaglądał tu codziennie po południu, odbierając informacje o postępach w naprawie torów kolejowych, którą to działalnością zajmowała się teraz jego firma. Odczytywał telegramy, następnie zaś nadawał własne, przekazując bieżące instrukcje.

Mollie dostrzegła go niemal od razu. Stał na początku kolejki. W ręku trzymał notatnik i pośpiesznie bazgrał w nim coś ołówkiem. Nie uświadamiał sobie jej obecności.

– Richard.

Wzdrygnął się z przestraczem.

– Mollie, co za niespodzianka!

Nogi bolały ją po tym przymusowym spacerze, za to apteka pachniała nieprzyjemną mieszanką mokrej wełny i pasty miętowej.

– Czy to prawda? – odezwała się, z trudem trzymając nerwy na wodzy.

– Patrząc na twoją minę, mam nadzieję, że nie. Co ma być prawdą?

– Zamierzasz zabrać ze sobą Declana na spotkanie z tymi mordercami?

Richard rozejrzał się po aptece z wyrazem zmieszania na twarzy. Ludzie znudzeni stanem w kolejce zaczęli się przysłuchiwać ich rozmowie, więc ściszył głos.

– Tak, przyda się nam każda para rąk. Masz jakieś zastrzeżenia?

– Zastrzeżenia! – parsknęła. Kolejne głowy odwracały się w ich kierunku, kontynuowała zatem nerwowym szeptem: – Zrobię wszystko, żeby Declan tu został! On nie jest gotów na taką konfrontację.

– Wydawał się bardzo zadowolony, kiedy dziś po południu złożyłem mu tę propozycję.

Richard nie miał pojęcia, jak Declan go uwielbia. Od czasu służby uważał pułkownika za niedościgły wzór męskich cnót. Mollie starała się uspokoić.

– Declan cię ubóstwia. Gdybyś kazał mu skoczyć w przepaść, na pewno by to zrobił.

Twarz Richarda spochmurniała, ale człowiek nadający telegram przed nim nagle skończył redagować wiadomość i skierował się do wyjścia. Lowe podszedł więc do lady, a potem rzucił na nią kilka monet.

Mollie czekała.

– Odcinek Cheney Pass – dyktował. – Schemat mostu do akceptacji.

Jego głos brzmiał mocno i pewnie. Była ogromnie wdzięczna losowi, że Richard poświęcił ponad miesiąc życia, aby przyjść jej na ratunek. Teraz zaś atakowała go w aptecę jak harpia.

Jednostajny stuk maszyny telegraficznej oznaczał, że wiadomość jest właśnie wysyłana w świat. Mollie czekała. Richard z pewnością nigdy nie potraktowałby swojego żołnierza z rozmyślnym okrucieństwem, jednak chyba nie do końca rozumiał, jak delikatnym człowiekiem jest Declan. Po prawdzie przed pożarem ona sama również nie potrafiła do końca pojąć lękowej natury swego pracownika, ale teraz miała już własne doświadczenia w tej materii. Jej nocne koszmary nasiliły się jeszcze wskutek śmierci Franka, wiedziała zatem, co oznacza permanentny, niczym nieuzasadniony niepokój.

Richard przeżył bitwę pod Winston Cliff. Wiedział, jak to jest stanąć oko w oko ze śmiercią, a następnie mierzyć się z koszmarowymi wspomnieniami. Być może rozumiał więcej, niż podejrzewała. Pragnęła mu się zwierzyć z własnych problemów ze snem i z paraliżującego ją strachu. Mógł ją nie tylko pocieszyć, ale także jakoś ochronić. Wierzyła w to.

Richard zapłacił kobiecie siedzącej przy maszynie i odszedł od lady. Wskazał odległy kąt sklepu, pełen półek z fiolkami, buteleczkami i puszkami.

– Muszę poczekać na odpowiedź – oznajmił. – Zajmie to od dwudziestu minut do godziny. Czego więc konkretnie się boisz?

Przełknęła gulę w gardle i spojrzała mu w oczy.

– Dręczą cię czasem koszmary? – zapytała.

– Co masz na myśli? – spytał zaintrygowany.

– Rozumiem, że ludzie niekoniecznie czują się prześladowani przez koszarne wydarzenia, w jakich brali udział. Mnie jednak dręczą wspomnienia o pożarze. Uczucie, że znajduję się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Coś podobnego nęka chyba Declana. Po wojnie zaczął się rozklejać z najblahszych powodów. Nie wiem dokładnie, co może wyzwać te jego demony, ale one są prawdziwe i nie znikną same z siebie. Zastanawiałam się, czy ty... czy też zmagales się z takim urojonym wrogiem.

Po raz pierwszy od początku ich znajomości Richard wyglądał na mocno zakłopotanego. Odwrócił wzrok, a stuk telegrafu podkreślał niezręczną ciszę, jaka między nimi zawisła. W końcu jednak się opanował – westchnął ciężko i spojrzał jej w oczy.

– Mollie, nawet gdybym przeżywał takie... męki... musisz zrozumieć, że to nie jest

coś, o czym mężczyzna chce rozmawiać. Z kimkolwiek.

Zack chciał. Wcale nie czuła się zażenowana tym, że podzielił się z nią swoim lękiem przed bijącymi dzwonami. Nawet przeciwnie: dzięki jego wyznaniu odważyła się podzielić z nim własnymi. Richard był jednak inny. Może lepszy. Nigdy nie obarczałby jej ciężarami z przeszłości.

– Wybacz mi – poprosiła. – Nie chciałam być wścibska. Zależy mi tylko na tym, żebyś zrozumiał, co przeżywa Declan. Obawiam się, że jeśli pojedzie do Milwaukee, załamie się na widok pierwszego realnego zagrożenia.

Richard bacznie się jej przyjrzał. Dopiero potem przemówił:

– Declan jest mężczyzną. Poradzi sobie. Musisz tylko przestać się nad nim użalać.

– Wcale się nie użalam! – zapewniła.

Na twarzy Richarda dostrzegła głęboki sceptycyzm. Wiedziała, że Declan uważa swoje życie za przegrane i pewnie nigdy nie zmieni tej opinii, jeśli nie wychyli nosa poza fabrykę zegarków. Skoro faktycznie chciał się wybrać z Richardem do Milwaukee, nie miała prawa go powstrzymywać.

Nałożyła rękawiczki. Przeraziła ją wizja długiego marszu do baraku. Już teraz czuła się wyczerpana.

– Skoro Declan się zgodził, udzielę mu oczywiście urlopu. Uważam jednak, że taka gra na jego emocjach to okrucieństwo z twojej strony. Teraz muszę wracać do domu.

Richard zerknął na telegrafistkę.

– Myślę, że niedługo powinienem odebrać informację zwrotną z Waukegan. Poczekaj chwilę. Odprowadzę cię.

Ale ona chciała zostać sama. Runąć na prycze i modlić się o spokojny sen, nawet jeśli miał się dla niej okazać nieosiągalny. Bawiła się tasiemką przy płaszczu, nie chcąc na niego patrzeć.

– Poradzę sobie.

– Mollie...

– Nieważne. Jestem tylko głupią babą. Na pewno wiesz, co robisz.

Zaczęła się przedzierać przez zatłoczony sklep w stronę wyjścia. Richard nie wykonał żadnego ruchu, by ją dogonić, za co była mu wdzięczna. Rozumiała, że on ma w pewnym sensie rację – nie powinien był jednak werbować Declana bez jej wiedzy.

Zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Właściwie dlaczego miał ją prosić o zgodę? Declan był dorosłym człowiekiem, zdolnym do podejmowania decyzji. Przez całe lata trzęsła się nad nim niczym matka, ochraniając go przed najmniejszym stresem. Może właśnie dlatego wciąż nękały go demony z przeszłości?

~
Kiedy Mollie dotarła wreszcie do baraku, jej stopy pulsowały bólem, a głowę rozsadzała migrena. Pierwszy śnieg leżał na chodnikach, wiatr zaś niósł ze sobą kłujące igielki zimna. Na szczęście piecyki działały bez zarzutu, więc duża sala sypialna była dobrze ogrzana. Mollie zdjęła płaszcz, otrzepując go z kryształków lodu.

– Słyszałam, że wieczorem doszło w warsztacie do jakiegoś zamieszania. – Alice z ociąganiem usiadła na swojej pryczy.

– Skąd o tym wiesz?

– Plotki szybko się roznoszą, Mollie. Będziecie mieć szczęście, jeśli cała sprawa nie dotrze do uszu Declana.

Kiedy opadła na materac obok koleżanki, cała energia ją opuściła.

– Może po prostu boję się wysłać ich wszystkich na spotkanie z tamtymi zbirami. Nie zniósłabym kolejnej straty.

Nie chciała tutaj o tym mówić. Barak zamieszkiwało wiele kobiet, które los doświadczył nawet bardziej niż ją. Czasami z trudem zносиła myśl, że sypia pośród tylu ludzkich nieszczęść.

Kilka dni wcześniej Alice własnoręcznie zrobiła szachownicę. W tej chwili Mollie podjęła grę z tajoną niechęcią. Parę innych kobiet przysiadło się, by popatrzeć. Mimowolnie zatęskniła za kościołem i owymi niemal beztruskimi wieczorami przy piecykach. W tamtym czasie wszyscy z pokorą przyjmowali do wiadomości fakt, że odbudowa miasta i ich własnego życia potrwa bardzo długo. Dlaczego więc teraz okazywało się to dla Mollie aż takie trudne?

Wtem usłyszała walenie do drzwi.

– Mollie!

Serce podeszło jej do gardła. Poznała głos Richarda.

– Nie wolno tu zapraszać mężczyzn – burknęła jakaś zaspana lokatorka z innej części sali.

Dziewczyna poderwała się z materaca. „Musiał zamarznąć na kość!”

Odrygłowała metalową zasuwę i otworzyła. Richard stał po drugiej stronie z uśmiechem na ustach i wielkim lizakiem w dłoniach.

– Przyszedłem powiedzieć ci, że mi przykro.

Zmarszczyła brwi.

– Naprawdę?

– Zamknąć drzwi! – wrzasnęła ta sama kobieta.

Richard przyciągnął ją do siebie; jego ręce stanowiły pewną ochronę przed chłodem. Policzki miał zaczerwienione od zimna, a oczy zdradzały podekscytowanie.

– Przepraszam, że potraktowałem cię znacznie gorzej, niż na to zasługujesz. Że zafundowałem ci dodatkową porcję lęku.

Nie mogła uwierzyć, że przyszedł tutaj, aby ją przeprosić. Przeprosić! Zack w takiej sytuacji natarłby na nią na ulicy, żeby kontynuować kłótnię w obecności tłumu obcych ludzi.

– Panienko, jeśli nie zamkniesz tych drzwi, wrzucę twój materac w ogień!

Alice ruszyła pędem w jej stronę, by podać koleżance płaszcz i rękawiczki.

– Ubierz się na zewnątrz i zamknij za sobą, bo inaczej dojdzie tu do linczu!

Mollie niedbale narzuciła na ramiona płaszcz. Powietrze było lodowate, ale przynajmniej padały teraz drobne płatki śniegu zamiast tamtej obrzydliwej marznącej mżawki. Mogła też wreszcie być sam na sam z Richardem.

Wciągała rękawiczki, on zaś włożył jej na głowę kaptur. Uśmiechał się, wiążąc delikatnie tasiemki pod jej brodą.

– Musimy ci znaleźć jakieś bardziej gościnne schronienie – powiedział ciepło.

Mollie westchnęła.

– Nie jest tak źle. Mam tu wszystko, czego naprawdę potrzebuję.

– Mollie, chciałbym ci podarować cały świat.

Wstrzymała oddech. Pułkownik Richard Lowe stanowił niewątpliwie obiekt westchnień wielu kobiet, ona jednak nie czuła się jeszcze gotowa. Ujawszy z czułością jej dłonie, kontynuował:

– Na pewno zdążyłaś już zauważyć, że myślę o tobie bardzo poważnie, więc zanim odejdę... chciałbym wiedzieć, czy istnieje ktoś, kto mógłby konkurować ze mną w walce o twoje względy.

Nie była w stanie złapać tchu. Uwolniła ręce z jego uścisku, czując przypływ nagłego lęku. Czyż nie tego właśnie oczekiwała? Oto otrzymała szansę zawarcia związku z mężczyzną stworzonym specjalnie dla niej.

Nie chciała powtarzać swoich błędów z Zackiem Kazmarkiem. W jej naturze leżało postępowanie roztropne i nieśpieszne. Rezygnując z niego na moment, przysporzyła tylko niepotrzebnego cierpienia sobie i Zackowi.

Odeszła nieco dalej w ciemność. Śnieg chrzęścił pod jej stopami, a lodowaty wiatr wdzierał się pod płaszcz. Otuliła się nim jeszcze szczelniej.

– Nie ma nikogo innego – zapewniła miękko. Czy była to jednak prawda? Skoro chciała poślubić Richarda Lowe'a, musiała się zdobyć wobec niego na absolutną szczerłość. Nie zamierzała niczego ukrywać w zakamarkach serca. – Swego czasu wydawało mi się, że jestem w kimś zakochana – powiedziała. Richard zamarł i spojrzał na nią bacznie. – On był... bardzo absorbującym człowiekiem. Wszystko toczyło się strasznie szybko, jak w pędzącym pociągu. To było dzikie i radosne... ale nie umiałam odzyskać kontroli nad sytuacją. Źle się to dla mnie skończyło.

Odważyła się spojrzeć Richardowi w oczy. Wpatrywał się w nią z uwagą, ale bez nagany.

– Nie chcę, żeby z nami było tak samo – podkreśliła. – Przyjechałeś do miasta w najgorszym momencie mojego życia, wraz z batalionem wojaków! Której kobiecie by to nie zaimponowało? Wydajesz się taki idealny, nie chciałabym więc popełnić swojego wcześniejszego błędu.

– Czego zatem ode mnie oczekujesz, Mollie?

Zapatrzyła się w płatki śniegu wirujące na wietrze. Richard będzie musiał niedługo wyjechać, ona zaś nadal nie umiała podjąć żadnej wiążącej decyzji. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy straciła dom, firmę i Franka. Nie chciała się angażować w nic poważnego, zanim nie stanie porządnie na nogi.

Poza tym Waukegan znajdowało się zaledwie godzinę drogi pociągiem od Chicago. Kiedy Richard pojedzie do domu, będzie mogła wpadać do niego w odwiedziny. I wracać przed zmierzchem.

– Potrzebuję czasu. Nie jestem lekkomyślna, nie potrafię podejmować decyzji natychmiast. Myślę o tobie bardzo poważnie, nie chcę jednak powielać własnych błędów z przeszłości.

Richard ujął jej dłoń z ufnością w oczach.

– Na dobre rzeczy warto czekać. – Dotknął ustami chłodnej rękawiczki. – Z przyjemnością dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz.

On był naprawdę cudowny. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby się kłócić czy licytować. Kiedy pochylił głowę, aby pocałować ją w czoło, nie wymagał żadnych deklaracji. Wtuliła się w jego ramiona i poczuła, jakby nagle wróciła do domu.

XXIII

W miarę upływu kolejnych tygodni Mollie coraz bardziej lubiła swoje nowe życie. Przywykła do niego niczym do pary starych, ulubionych butów. Każdego ranka wstawała z uśmiechem i docierała do fabryki o dziewiątej. Pomagała Gunnerowi rozpaść w piecu, a potem przeglądała bieżące rachunki. Towar dla nowojorskiego jubilera dotarł na miejsce trzy dni przed terminem, a uszczęśliwiony klient napisał w telegramie, że pierwsze dwa zegarki sprzedały się niemal natychmiast po wyłożeniu na wystawę. Mollie otrzymała od niego kolejne spore zamówienie. Fabryka działała już pełną parą.

Pewnego ranka, w przyływie entuzjazmu, wyszła przed swój budynek na East Street i postanowiła sprawdzić, czy sąsiedzi nie potrzebują pomocy. Bracia Kauffman nie ukończyli jeszcze stawiać octowni. Stwierdzili zgodnie, że dodatkowa para rąk do pracy z pewnością się im przyda. Mollie zaoferowała, że będzie wraz z nimi zbijać z desek regały, na których zwykle stawiano beczki octu do leżakowania. Przebrała się w tamte stare szmaty znalezione w koszu z darami i usiadła na podłodze. Podawała Archiemu Kauffmanowi pachnące żywicą deski, on zaś zbijał je ze sobą.

– Proszę mi obiecać, że będziecie robić ocet z cydru – powiedziała Mollie. – Zapachy z waszej wytwórni roznoszą się zawsze po całej ulicy, a ocet jabłkowy pachnie najlepiej.

Pan Kauffman od razu się rozpromienił, trzymając w zębach dwa gwoździe. Trzeci wbił w podaną mu przez dziewczynę belkę.

– Myślę, że zaczniemy od octu słodowego. Jego produkcja przebiega szybciej.

Mollie zmarszczyła nos.

– Słód śmierdzi niemiłosiernie! A ja przecież właśnie uciekłam z browaru! Jak tak dalej pójdzie, pochowają mnie cuchnącą niczym człowiek, który utopił się w beczce piwa.

Pan Kauffman skończył przybijać ostatnią deskę, Mollie zaś opuściła ramiona, które bolały od trzymania ich cały czas w tej samej pozycji.

– Bez obaw, jeszcze długo nie będziemy nic warzyć. Znalazłem kowala, który zrobi dla nas dwie wielkie kadzie, nie mogę jednak zacząć wytwarzać octu bez porządnej turbiny.

Mollie przytaknęła, w pełni świadoma wagi problemu. Caleb Magruder prowadził obecnie jedyną fabrykę produkującą tego typu sprzęt, ale jego ludzie nie wyrabiali już z ilością zamówień. Kauffmanom pozostawało ustawić się w kolejce albo szukać

szczęścia w którymś z sąsiednich miast.

– Jeszcze trzy belki, panno Mollie, i kończymy na dziś.

Mollie ustawiła deskę w takiej pozycji, aby towarzysz mógł zabrać się do zbijania najwyższej półki. Mięśnie momentalnie zareagowały bólem. Nie przejęła się jednak. To zajęcie było drobnostką w porównaniu z pracą wykonaną dla niej przez ochotników z Pięćdziesiątki Siódemki. Czuła się wdzięczna, że było jej dane podać przysługę dalej.

Pod budynkiem zapanowało jakieś poruszenie. Dziewczyna poczuła powiew zimnego powietrza z otwartych nagle na oścież drzwi i usłyszała znajomy głos.

– Mollie! Musisz natychmiast wracać ze mną do warsztatu! Potrzebujemy cię! – Odwróciła głowę i ujrzała Ulyssesa, rozpromienionego tak, jakby właśnie otrzymał prezent gwiazdkowy.

Zastygła, podtrzymując nad głową sosnową deskę, i uśmiechnęła się do niego.

– Daj mi jeszcze dziesięć minut. Pan Kauffman twierdzi, że jestem najlepszą asystentką w mieście i niepodobna mnie kimkolwiek zastąpić. – To powiedziawszy, puściła do Archiego oko.

– I proszę nigdy o tym nie zapominać! – zgodził się właściciel octowni, przystępując do energicznego stukania młotkiem.

– Mollie, ja nie żartuję – nalegał Ulysses. – Musisz to zobaczyć.

Pośpiech w głosie przyjaciela przekonał ją, że nie warto się droczyć. Nawet lekko się zaniepokoiła, choć Ulysses nie wyglądał na zasmuconego czy przestraszonego. Pan Kauffman poprosił jakiegoś majstra, aby zajął wakujące miejsce dziewczyny.

Otrzeпаła spódnice.

– Co się takiego stało? – zapytała.

Nie umiała rozszyfrować tajemniczego zachowania Ulyssesa. Czy kiedykolwiek przedtem widziała go jednocześnie szczęśliwego i wzburzonego? Kuśtykał na swych kulach z zadziwiającą prędkością, prowadząc ją przez ulicę.

W warsztacie zastali pułkownika Lowe'a wraz z Declanem oraz trzema innymi żołnierzami z Pięćdziesiątki Siódemki, którzy wyruszyli do Milwaukee. Oprócz nich dostrzegła też kilku policjantów. Wstrzymała oddech.

– Panno Knox – zaczął Richard oficjalnym tonem. – Z przyjemnością donoszę pani, że Jesse Coulter zmierza właśnie pociągiem do Chicago. W tym samym wagonie co on siedzi pięciu innych mężczyzn, którzy dopuścili się napaści na kościół. Wszyscy oni zostali przez nas ujęci i odpowiedzą za swą zbrodnię przed sądem.

Warsztat zawirował jej przed oczami. Richard natychmiast podbiegł, aby ochronić ją przed upadkiem. Przyłożyła rękę do serca bijącego jak oszalałe w obliczu niespodziewanych emocji. Owładnęła nią tak silna fala wyczerpania, że z pewnością wyładowałaby na podłodze, gdyby pułkownik nie trzymał jej mocno przy sobie.

– Nie wiem, czy powinnam się rozplakać, czy roześmiać – powiedziała bezradnie.

Śmiech wydawał się jej jednak czymś niestosownym. Schwytanie bandytów nie przywróci przecież życia Frankowi. Nie zmieni także okrutnych okoliczności jego śmierci. Mollie przytuliła się mocno do Richarda, dziękując Bogu, że zesłał jej prawdziwego bohatera.

~
Jeszcze tego samego dnia Mollie udała się na cmentarz, aby przekazać Frankowi nowiny. Mimo starań całej ekipy zegarmistrzów na razie nie udało się znaleźć w mieście ani jednego wolnego kamieniarza, który wykonałby ich przyjacielowi stosowny nagrobek. Declan wyrzeźbił zatem duży drewniany krzyż, który musiał wystarczyć do czasu, aż zamówią coś bardziej trwałego.

Cmentarz wydawał się opuszczony; tylko nagie gałęzie drzew wyciągały się ku niebu. Mollie uklękła na ośnieżonej ziemi, właściwie nie czując chłodu.

– Mamy go, Frank – szepnęła, a jej głos zamieniał się w strumień pary. – Pułkownik Lowe stanął na wysokości zadania, nie musisz się zatem obawiać, że zbrodniarze unikną kary.

Była przekonana, że Frank nie przebywa na tym posępnym cmentarzu, a jego dusza nie kłopotuje się bandą przestępców. Frank Spencer znajdował się obecnie w miejscu, do którego ziemskie troski nie miały już dostępu. Mollie miała jednak pewność, że przyjaciel byłby wzruszony, wiedząc, iż pułkownik Lowe po raz kolejny ocalił dobre imię 57. pułku.

– Zachował się jak prawdziwy bohater – wyszeptała Mollie, czując się nieco głupio, że rzuca słowa w pustkę.

Potrzebowała jednak rozmowy z kimś, kto po prostu by jej wysłuchał, nie zmuszając do natychmiastowego rzucenia się w otwarte ramiona Richarda. Nawet Alice nie zachowywała już neutralności. Oświadczyła, że Mollie musiała upaść na głowę, prosząc pułkownika o cierpliwość. Dziewczyna wiedziała, że Frank również

zaakceptowałyby to małżeństwo bez zastrzeżeń. Podobnie jak jej ojciec. I cała ekipa warsztatu. Dlaczego więc się wahała?

Związek z Richardem rozwiązałby szereg problemów. Której kobiety nie cieszyłaby perspektywa poślubienia tak dobrego człowieka? Odznaczał się pełnią chrześcijańskich cnót, był także zamożny i przystojny. W jego żyłach płynęła krew bardziej błękitna niż niebo w środku lata, ona zaś z pewnością potrafiłaby z czasem wkomponować się w tę znamienitą rodzinę. Analizowała sytuację na wszelkie sposoby i nieustannie powtarzała sobie, że to szaleństwo, by pozwalać komuś takiemu jak Richard drżeć z niepewności. Ku własnemu przerażeniu, pewnej nocy narysowała w zeszycie tabelkę z dwiema kolumnami przeznaczonymi dla pułkownika Lowe'a i Zacka Kazmarka. Wypisała wady i zalety każdego z nich, biorąc pod uwagę cechy, takie jak temperament, dobre maniery, zdolność do bycia życiowym partnerem oraz ojcem dla jej dziecka. Końcowy wynik podpowiadał, że Richard wygrywa ten pojedynek w cuglach.

Zawstydzona własnym wyrachowaniem, Mollie podarła kartkę na kawałeczki i wrzuciła do pieca. Nie potrzebowała żadnych kolumn, aby wiedzieć, że Richard to rozsądny wybór. Z czasem mogłaby go też naprawdę pokochać.

Ale to wszystko okazywało się okropnie trudne w obliczu myśli krążących nieustannie wokół osoby Zacka Kazmarka. Tak jak dziecko porusza rozchwianym zębem pomimo bólu, tak ona wciąż rozpamiętywała swoje liczne spotkania z Zackiem. Minął już miesiąc od tamtego wieczora w parku, kiedy oświadczyła mu, że nie chce go więcej oglądać. Co za bzdura! Kiedy tylko dowiedziała się, że jej zegarki robią furorę w Nowym Jorku, natychmiast zapragnęła podzielić się z nim tą wspaniałą wiadomością.

Wstała z kolan i otrzepała spódnicę ze śniegu. Musiała odrzucić od siebie te myśli. Postanowiła, że kiedy tylko Richard znowu zaprosi ją do domu swoich rodziców w Waukegan, przyjmie owo zaproszenie z promiennym uśmiechem. Nadszedł czas, aby zacząć traktować Zacka niczym panieński wybryk. Podjąwszy taką decyzję, ruszyła do cmentarnej bramy. Chciała zdążyć na ostatni tramwaj do domu.

Zack Kazmarek opierał się o stalowe kraty. Patrzył na nią stęsknionym wzrokiem.

Zbladła. Czyżby przywołała go samą siłą umysłu? Zdążyła już zapomnieć, jaki był niepokojąco przystojny – z włosom rozwianym przez wiatr wyglądał niczym Heathcliff [10] na wrzosowisku.

– Co ty tu robisz? – spytała.

Oderwał się od bramy i nieśpiesznie podszedł do niej.

– Usłyszałem o wydarzeniach w Milwaukee i stwierdziłem, że pewnie cię tu

zastanę.

Uniosła brwi.

– To kłamstwo. Powiedziałam wszystkim w fabryce, że idę na cmentarz. Ktoś ci na pewno o tym doniósł. Kto?

Spochmurniał.

– Myślałem, że zrezygnowałaś już z niedobrego nawyku nazywania mnie kłamcą, Mollie. A ty ciągle do niego wracasz.

Skrzyżowała ręce na piersi. Nie zamierzała wdawać się w kłótnie z Zackiem – zwłaszcza teraz, gdy postanowiła wyrzucić go raz na zawsze ze swojego serca, umysłu i wspomnień.

– Odejdę na bok i pozwolę ci oddać Frankowi należny mu hołd. Wiem, jak bardzo się szanowaliście.

Spróbowała przejść obok niego, zagroził jej jednak drogę.

– Naprawdę szanowałem Franka. Podziwiam także ciebie i z tego właśnie powodu nie zamierzam pozwolić ci tak po prostu zniknąć z mojego życia. Dałem ci miesiąc, Mollie.

– Nie prosiłam o miesiąc, prosiłam o dożywotni spokój. Zack, między nami koniec. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie umiem tego powiedzieć w bardziej dosadny sposób.

– Dlaczego nie patrzysz mi w oczy, wyrzucając z siebie te słowa?

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. Na tle proszącego lekko śniegu i szarego nieba wyglądał jak ciemny, niepokojący punkt. Jego twarz emanowała zdrowiem, zaś czarne, cygańskie oczy zerkały na Mollie z zachwytem. Widok Zacka okazał się nie do zniesienia. Poczowała ukłucie żalu w sercu. Miała ochotę rzucić mu się w ramiona, a potem snuć opowieść: o zegarkowym triumfie, o przemianie Sophie Durant i o planowanym połączeniu sił z doktorem Buchananem. Ale nade wszystko pragnęła słuchać śmiechu Zacka i pozwolić mu podrwiwać z jej warkoczy.

Uniosła podbródek i zmusiła się do zachowania spokoju.

– To koniec, Zack. Gdyby nie pożar, między nami nigdy do niczego by nie doszło.

Przeszła przez bramę. On ruszył za nią.

– Mój ptaszek doniósł mi, że na horyzoncie wciąż nie widać wesela. Ciekawe dlaczego.

– Być może dlatego, że pułkownik Lowe to porządny człowiek, który nie składa propozycji matrymonialnych niemal obcym kobietom. Powściągliwość to jedna z jego najlepszych cech.

Zaczął cicho chichotać.

– W takim razie powinnaś podziwiać mnie. Znałem cię przez trzy lata, zanim złożyłem propozycję małżeństwa.

Znowu wszczyła awanturę. Przyśpieszyła kroku, chcąc jak najszybciej dotrzeć na przystanek. „Nie zaczynaj z nim”. Cokolwiek by powiedziała, dostarczyłaby mu powodów do sprzeczki. Ileż to razy Zack tłumaczył jej, że uwielbia kłótnie oczyszczające atmosferę!

– Czyżbym zasługiwał już tylko na oziębłość? – zapytał, krocząc ciągle obok niej.
– Słuchaj, powiedziałaś ostatnio, że potrzebujesz trochę czasu, aby lepiej poznać pułkownika Lowe’a. Dałem ci ten czas. Nie zamierzam jednak rezygnować bez walki. – Położył swoją mocną rękę na jej ramieniu i przyciągnął dziewczynę do siebie, uśmiechając się przymilnie. – Wracam do gry. Lojalnie uprzedzam.

Wyszarpnęła się i szła niewzruszenie w stronę przystanku.

– Możesz już przestać? – wycedziła. – Pewnie myślisz, że to zabawne, ale ja wcale tak nie uważam.

– Zabawne? Właściwie nie użyłbym tego słowa w stosunku do ciebie, Mollie. Jesteś fascynująca, inspirująca, cudowna... ale zabawna? Wybacz, taki przymiotnik tu nie pasuje.

Dokładnie to samo mawiał Frank. Twierdził, że powinna się nauczyć czerpać radość z każdego dnia. Rozpuścić warkocze, które upinała na głowie niczym węzeł gordyjski. Wypić z przyjaciółmi lampkę szampana w sylwestra, zamiast ślęczeć do północy nad pracą, którą i tak zawsze uważała za wykonaną zbyt późno.

Frank miał prawo się z nią droczyć. Zack nie. Coś ścisnęło Mollie za serce. Tamtego sylwestrowego wieczoru powinna była wznieść toast ze starym przyjacielem. Nie umiała sobie już teraz przypomnieć, nad czym wtedy tak intensywnie pracowała. Straciła jednak okazję do odbycia jeszcze jednej rozmowy z najserdeczniejszym i najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek знаła.

Dotarli wreszcie do skrzyżowania, gdzie kilka osób czekało na tramwaj. Dwie zakonnice zajęły ławkę, Mollie zaczęła więc nerwowo dreptać tam i z powrotem. Czy Zack zdecyduje się ciągnąć tę głupią rozmowę w obecności obcych ludzi? Nie mogła stąd odejść. To był ostatni tramwaj w rozkładzie, a ośmiokilometrowy spacer do domu zupełnie jej się nie uśmiechał.

Zack podszedł do niej i nachylił się, aby szepnąć dziewczynie do ucha:

– Mollie, nie zamierzam cię zostawić, choćby miasto ponownie spłonęło. Choćby nastąpiło trzęsienie ziemi albo nawiedziła nas jakaś nowa plaga. Nie odejdę. Będę codziennie czatował u twoich drzwi, jeśli nic innego mi nie pozostanie.

Chciała, by Zack zniknął z jej życia. Na zawsze. Jak mogłaby się związać z pułkownikiem Lowe'em, jeśli inny mężczyzna nie daje jej spokoju?

– Nie masz ani krzty honoru? – syknęła.

Pobladł, ona jednak czuła w sobie narastającą falę złości.

– Jesteś jak bezpański pies, którego nie można się pozbyć. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Ani zawodowo, ani prywatnie. Po prostu sobie idź. Proszę, zostaw mnie w spokoju!

Tęgi robotnik zachichotał, a inny mężczyzna zaczął imitować szczekanie psa.

Zack wyglądał, jakby otrzymał właśnie cios w brzuch. Cofnął się, krew odpłynęła mu z twarzy. Nawet jeśli słyszał drwiące pomruki robotników, nie dawał nic po sobie poznać.

– A więc jednak pułkownik.

Z wysiłkiem spojrzała mu w oczy.

– To zawsze był pułkownik.

Zack stał się blady jak kreda. Oczy pociemniały mu z bólu. Dotknął jej ramienia i otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze dodać. Powstrzymał się jednak. Milcząco skinął głową i odwrócił się.

Chciała przywołać go z powrotem. Ostatnie słowa zabrzmiały nienawistnie, a ona przecież nie lubiła go ranić. Tak mocno zacisnęła pięści, że paznokcie wpijały jej się w skórę. Nie powinna już reagować. Musiał zrozumieć, że to naprawdę koniec,

a wcześniejsze uprzejme sygnały do niego nie docierały.

Wiedziała również co innego: ów widok samotnego, przybitego mężczyzny powoli sunącego ulicą będzie ją prześladował całym latami.

XXIV

Czy jakikolwiek rozsądny człowiek wybierał się w grudniu do Nowego Jorku? Zack poprawił na sobie płaszcz w naiwnej nadziei, że uchroni go to przed strumieniem lodowatego wiatru. Spotkanie z przedstawicielami firmy ubezpieczeniowej zakończyło się wprawdzie zgodnie z planem, ale tramwaj w śródmieściu nawalił. Oznaczało to, że Kazmarek brnął teraz po kostki w szarej brei, usiłując zdążyć na rozmowę z apodyktyczną Josephine Hartman.

Zack nie zdołał jeszcze odpokutować za tamto niespodziewane zniknięcie, wywołane rozpaczliwym telegramem od Mollie Knox. Hartmanowie jeszcze mu nie wybaczyli, jednak zamierzał odzyskać ich względy. Ostatni tydzień poświęcił na pertraktacje z ubezpieczycielami, które miały zapewnić sowite odszkodowania za utracony w pożarze towar. Ogień stopił biżuterię i pochłonął drogocenne futra. Cała dokumentacja również poszła z dymem, a próby odtworzenia jej przez Zacka spotykały się z pomrukami niezadowolenia bądź z otwartym sprzeciwem.

Z westchnieniem ulgi wszedł do hotelu Charen, którego holem zawładnęły świąteczne dekoracje. Na środku ustawiono wielką, pachnącą choinkę, natomiast kominek zdobiły zielone gałązki i świece. W powietrzu unosiła się woń gorącego cydru.

Louis Hartman i jego żona stali przy kominku, czekając na niego. Josephine niecierpliwie tupiała nogą.

– Spóźniłeś się.

Zack zaczął zdejmować szal, strzepując śnieg z ubrania.

– Tramwaj się zepsuł. Nadal mamy jednak trochę czasu, żeby dotrzeć do sklepu Bloomingdale’a, zanim go zamkną.

– Tego małego sklepu w Brooklynie? – Josephine wojowniczo uniosła podbródek.
– Oni nie są dla nas zagrożeniem.

Zdrętwiałymi z zimna palcami Zack próbował zdjąć rękawiczki. Westchnął z ulgą, wyciągając ręce w stronę buzującego ognia.

– Słyszałem co innego – oznajmił. – Podobno lada dzień mają rozpocząć budowę nowego, dużego obiektu na Third Street. Musimy mieć na nich oko.

Josephine zmarszczyła brwi.

– Nasz nowy sklep będzie większy i wspanialszy niż ten poprzedni. Nie muszę się zniżać do szpiegowania kogokolwiek. Poza tym zaplanowałam tę wycieczkę, aby nawiązać kontakty z nowymi jubilerami. Chcę, żebyś wynegocjował z nimi jak najsensowniejsze kontrakty.

Zack zerknął na Louisa, niemal niezauważalnie potrząsając głową. Umowy na wyłączność były kosztowne i zupełnie nie opłaciłyby się właścicielowi sklepu ulokowanego w innym stanie. Louis zrozumiał jego gest. Przewrócił oczami.

– Kochanie – mruknął do żony – pozwól Zackowi pracować samodzielnie. Obiecałaś mi, że znajdziesz dla nas towar, dzięki któremu będziemy śmiało konkurować z Paryżem. Jutro przejdziemy się po Ladies' Mile [11] i zobaczymy, jakie cudowności uda nam się tam wypatrzyć.

Następnego dnia cała trójka odwiedziła Ladies' Mile, dzielnicę rozciągającą się od Fifth Avenue aż do Madison Square. Na ulicach roiło się od powozów, najbardziej jednak fascynowali Zacka mijani przechodnie. Pomimo otaczającego go morza jednakowych czarnych płaszczy, Kazmarek potrafił ocenić wartość kapeluszy noszonych przez tutejsze kobiety oraz męskich lasek wykończonych gustownymi gałkami z mosiądzu. Sklepy po obu stronach ulicy kusiły towarami: różnymi odcieniami starannie wyselekcjonowanego jedwabiu oraz takimi ilościami biżuterii, jakich Zack nigdy jeszcze w jednym miejscu nie widział.

Josephine koniecznie chciała wysiąść z powozu, żeby przyjrzeć się każdej wystawie z bliska. Posiadała rzadki dar wnikliwej oceny detali. Umiała badać w skupieniu rząd trzydziestu par butów, które na robotnicze oko Zacka wyglądały identycznie, i wyłuskać z nich tę jedną, trzy razy droższą od pozostałych z powodu nadzwyczajnej staranności wykonania. Chodziła od sklepu do sklepu niczym rekin polujący na ofiarę. Testowała perfumy, badała dotykiem jakość materiałów, przymierzała biżuterię. Ocena danego produktu zajmowała jej przeważnie nie więcej niż dziesięć sekund. Żona Hartmana wszędzie chodziła z notesem i sporządzała w przelocie pośpieszne notatki, zapisując nazwy firm, z których właścicielami zamierzała się umówić na spotkania.

Na końcu ulicy znajdował się sklep dwa razy większy od pozostałych. Zack zdziwił się, że Josephine chciała tam zajrzeć, bo obiekt wyglądał na przestarzały, a wystawę urządzono tak niedbale, jakby chodziło o zwykłe bochenki chleba. Zwoje średniej jakości tkanin opierały się po prostu o ścianę, nie towarzyszyły im żadne elementy dekoracyjne.

Uwagę Zacka przykuła paleta zegarków, którą wystawiono tuż obok lady. Nie chciało mu się o tym myśleć, ale Hartmanowie będą przecież musieli znaleźć nowego dostawcę czasomierzy do sklepu. Po tamtej sprawie z aktem własności ziemi Louis z pewnością nie zechce już robić interesów z Mollie Knox.

Owładnęła nim znajoma fala bólu. Jak długo jeszcze będzie przeżywał stratę tej kobiety? Myślał o niej za każdym razem, gdy zerkał na swój zegarek. Tego jednak mógł się ostatecznie spodziewać. Gorzej, że twarz Mollie pojawiała mu się przed oczami także wtedy, kiedy zasiadał do suto nakrytego stołu. Zastanawiał się, co jadano w chicagowskim baraku dla kobiet. Zobaczywszy na jednej z wystaw wielkie pudełko malin w czekoladzie, zapragnął nagle je kupić i wysłać dziewczynie w prezencie.

Marzył, że być może za rok nie będzie już wcale o niej pamiętał, ale szczerze w to wątpił. Żył już na świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że dziewczyn takich jak Mollie nie spotyka się często. Odruchowo dotknął palcem najbliższego zegarka, wyłożonego na półce w ozdobnym pudełku.

– Nie kłopotz się – poradziła mu Josephine. – Za drogi i nieładny.

Zack trzymał go już jednak w dłoni. Żona Louisa miała rację: zegarek był nienaturalnie wielki i nieatrakcyjny, wykonany z taniego metalu. Mężczyzna obejrzał przedmiot dokładnie, ze wszystkich stron. W sumie nie aż taki zły. Właściwie...

Zerknął na subiekta zajętego składaniem chustek.

– Dlaczego trzymacie te zegarki w miejscu niewidocznym od strony lady? – spytał.
– One są zbyt cenne, żeby lekkomyślnie wystawiać je złodziejom na łup.

– Najdroższe zegarki umieszczamy w szklanych gablotach – odparł ekspedient. Odłożył chustki na bok i podszedł do Zacka. – Na wierzchu leżą egzemplarze wyprodukowane w Newburgh. Cenowo bardzo przystępne. Może pan sobie sprawić dobry, solidny zegarek już za trzy dolary.

Zack o mało nie upuścił towaru na ziemię.

– Trzy dolary!?

Nawet Hartmanowie wydawali się zaszokowani. Subiekt kiwnął głową.

– Powinni państwo zobaczyć, jak wygląda w tej fabryce cykl produkcyjny. Setki robotników składają części przy pomocy maszyn. Te zegarki sprzedają się tak szybko, że nie nadążamy z ich zamawianiem.

Zack uważnie przyjrzał się zegarkowi. Rzeczywiście, nie był zdobiony ani złotem, ani diamentami... Ale trzy dolary!?

– Czy są dostępne jakieś inne wersje? Inne typy?

– O tak! – Rozmówca przytaknął z ożywieniem. – Można nabyć model za pięć i dziesięć dolarów. Są trochę ładniejsze, choć zauważyliśmy już, że ludzie wolą te najtańsze. – Ekspedient przysunął się nieco bliżej i ściszył głos. – Między nami mówiąc, ta sama firma planuje niebawem wypuścić na rynek coś znacznie lepszego. Te nowe zegarki będą wyglądały jak towar Bloomingdale’a. Gdyby był pan zainteresowany, na zapleczu mam prototyp.

Zack przytaknął. Po chwili przeszli na tyły sklepu. Mężczyzna wyjął z szuflady proste białe pudełko i podał je dociekliwemu klientowi. Ten zegarek okazał się nieco mniejszy niż egzemplarze dostępne w sprzedaży, poza tym wykonano go też staranniej. Może nie był piękny, nie ulegało jednak wątpliwości, że z czasem firma nabierze wprawy. Zegarki produkowane fabrycznie okażą się w niedalekiej przyszłości strzałem w dziesiątkę.

Zack zamknął zimny metal w dłoni. Właśnie natknął się na przedmiot, który wkrótce zmiecie przedsiębiorstwo Mollie z powierzchni ziemi.

A ona nadal o niczym nie wiedziała.

Czerwiec 1872 roku

Najlepszą rzeczą w nowym domu Mollie okazał się widok z okna na lilie rosnące w ogródku przed budynkiem. Zawsze kochała patrzeć na kwiaty, ale tego roku miały one jeszcze więcej czaru niż zwykle. Cebulki zasadzono przed pożarem. Kiedy spokojnie zimowały w ziemi, Chicago niemal doszczętnie spłonęło. Ogień strawił wielki obszar, a teraz metropolia podnosiła się z ruin – zupełnie jak kwiaty na nowo ukazujące swój urok.

Zaraz po Bożym Narodzeniu Mollie przeprowadziła się do tego skromnego domu. Był mniejszy niż jej poprzednie lokum – składał się zaledwie z jednego pokoju – ale w całości należał do niej. Znajdowało się w nim łóżko, szafa z trzema szufladami oraz okno wychodzące na pasaż sklepów. Ta część miasta została oszczędzona przez kataklizm. Mollie co wieczór nawiedzała myśl, że po kilku miesiącach nocowania wśród tłumu ludzi samotny sen staje się czymś dziwnym. Ale cieszył ją oczywiście ów przejaw normalności. Baraki już zamknięto, dlatego chroniący się w nich ludzie musieli gdzie indziej szukać dachu nad głową. Część z nich opuściła miasto.

Odbudowa spalonych dzielnic posuwała się w oszałamiającym tempie. Część budynków miała mieć niespotykaną dotąd w Chicago wysokość. Mollie z trudem wierzyła własnym oczom: rusztowania znajdowały się dosłownie wszędzie, a budynki rosły i rosły w nieskończoność. Pan Durant wyjaśnił dziewczynie, że stało się to możliwe dzięki zastosowaniu konstrukcji ze stali.

– Pewnego dnia nasze budynki zaczną drapać chmury! – obiecał ze śmiechem.

Powietrze wibrowało energią, z jaką ludzie podnosili swoje miasto z ruin. Szczególną wagę przywiązywano do powstającej dzielnicy biznesowej. Jej pomysłodawcy chcieli, aby w niedalekiej przyszłości stała się wizytówką metropolii oraz obiektem zazdrości dla całego świata.

Poprzedniego wieczoru nad miastem przetoczyła się burza, oczyszczając powietrze z budowlanego pyłu. Po niej nastął piękny, ciepły czerwcowy dzień. Mollie śpieszyła się na tramwaj, który miał ją zawieźć do przeciwległej dzielnicy, gdzie mieścił się hotel Durantów. W każdy pierwszy wtorek miesiąca jadła tam z nimi obiad. Sophie nadal przychodziła dwa razy w tygodniu do fabryki, aby pomagać Declanowi czyścić metal, i zdążyła nabrać do Mollie prawdziwego szacunku. Podobnie zresztą jak jej rodzice. Państwo Durant nie mogli się nadziwić przemianie, jaka zaszła w tej małej, rozkapryszonej dziewczynce. Robienie „czegoś trudnego” uczyniło z niej młodą damę.

Durantowie wynajmowali najwyższe piętro hotelu mieszczącego się przy Michigan Avenue. Ich nowe lokum nie było tak duże jak poprzednie, znajdowało się za to niedaleko miejsca pracy ojca Sophie. Mollie lubiła te wspólne obiady: relacjonowała w ich trakcie postępy Sophie w fabryce, dzieliła się też z nimi uwagami na temat cudu odbudowy. Co prawda czuła się odrobinę dziwnie, wchodząc w relację z rodziną architekta-milionera, pan Durant nie przestawał jej jednak zapewniać, że jest ogromnie wdzięczny za pomoc okazaną Sophie – zarówno w czasie pożaru, jak i po nim.

Mollie miała nadzieję na kolejny mały profit z tytułu owej wdzięczności. Idąc przez Michigan Avenue, ścisnęła w ręce zegarek.

Doktor Buchanan wynajmował teraz pokój niedaleko warsztatu na East Street, gdzie mógł wreszcie otworzyć nowy gabinet dentystyczny. Na gwiazdkę podarował Mollie niedrogi zegarek, wyprodukowany przez Newburgh Watch Factory, wraz z pocztówką przedstawiającą pracowników firmy w ich fabryce. Na zdjęciu było widać ponure ludzkie sylwetki, które pochylały się nad skomplikowaną maszyną wypluwającą nową partię gotowych części.

Ten zegarek był nader dziwnym prezentem. Doktor nie chciał zdradzić, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie, jednak sam przedmiot wprowadził Mollie w lekki popłoch. Prosty i niewyszukany, mierzył czas co do sekundy, a kosztował zaledwie trzy dolary.

Zaraz po świętach Mollie podjęła wysiłki znalezienia jakichś dodatkowych informacji o tamtej firmie. Lektura ogłoszeń w gazetach na niewiele się zdała, lecz w końcu trafiła na wzmiankę, że Newburgh Watch Factory rozprawia swój towar głównie na terenie Topeki [12]. Mollie nie musiała się jeszcze bać o los własnego przedsiębiorstwa, ale niebawem wszystko mogło się zmienić. Należało znaleźć jakiś sposób na podniesienie konkurencyjności rodzinnego biznesu.

Właśnie z tego powodu zamierzała poważnie porozmawiać z panem Durantem. Czekala z tym aż do zakończenia posiłku, kiedy to, zgodnie z tradycją, przeszli do salonu. Ojciec Sophie opowiadał o postępach w pracy nad dziewięcioma budynkami, które zaprojektował. Charlotte, jego żona, rozłożyła się na szeszlunku, Sophie zaś usiadła na podłodze i zaczęła rysować kredkami po kartce.

– Lubię słuchać, jak dorośli rozmawiają – oświadczyła dziewczynka. – Moi mali bracia są tak głupi, że aż uszy puchną.

Sophie nadal nie należała do najlepiej ułożonych dziewczynek pod słońcem, ale przynajmniej przestała nienawidzić wszystkiego i wszystkich.

W salonie stała kanapa wraz z trzema fotelami, większą jego część zajmowały jednak dwa duże stoły ustawione pod oknem. Piętrzyły się na nich szkice pana Duranta.

Wszystkie przedstawiały projekty budynków użytkowych: dwóch banków, trzech hoteli, nowego gmachu teatru oraz kilku biurów. Mollie nie mogła się nadziwić ich nowoczesności. Najładniejszy, przeznaczony na potrzeby jakiegoś banku, miał stanąć na State Street. Na rysunku dostrzegła pięciopiętrową konstrukcję ze spadzistym dachem. Jediną dekoracją obiektu miała stanowić niewielka wieża zegarowa. Na fasadach dwóch innych budynków pana Duranta również przewidziano miejsce dla zegarów. Pozostałe będą zapewne posiadały duże czasomierze w holu.

– Jak idzie budowa banku? – zapytała Mollie, bardzo dumna z neutralnego tonu, jaki udało się jej przybrać.

– W zasadzie nieźle, choć nigdzie nie możemy zdobyć pewnych interesujących nas materiałów. Wypadałoby je sprowadzić z Indiany, ale to będzie oznaczać kolejne opóźnienie.

Mollie przejechała palcem po naszkicowanej wieżyczce.

– A u kogo zamówicie zegary?

– Tego nie wiem – przyznał. – Takimi sprawami zajmuje się jeden z moich podwładnych. Poza tym zegary to końcowy detal. Chyba jeszcze z nikim nie podpisaliśmy umowy na dostawę.

Mollie zaczerpnęła powietrza.

– Zegarki na rękę i zegary ściennie produkuje się w ten sam sposób – rzekła. – Mam wrażenie, że wasze budynki są bardzo odważne. Nowoczesne. Na pewno będziecie chcieli dopasować do nich zegary utrzymane w podobnym stylu.

– A pani zapewne zna odpowiedniego projektanta? – Architekt patrzył na nią swoimi przenikliwymi oczami, pykając fajkę.

To było właśnie to. Nadarzała się dla Mollie okazja, aby wprowadzić firmę na zupełnie nową ścieżkę.

– Pracują dla mnie najlepsi projektanci na świecie – oświadczyła z dumą. – Na pokrywach naszych zegarków można znaleźć zarówno elementy charakterystyczne dla stylu gotyckiego, jak i na przykład barokowego.

– Wiem, co to jest barok! – zawołała Sophie znad rysunku. – Ulysses pokazał mi takie zegarki. Powiedział, że jego zdaniem są zbyt krzykliwe, ale świetnie się sprzedają.

Pan Durant rzucił Mollie zaciekawione spojrzenie.

– Myśli pani, że powinienem umieścić taki barokowy zegar na naszym budynku?

– Absolutnie nie! – zaprzeczyła stanowczo. – Pańskie projekty są bardzo nowatorskie i zegary powinny zachowywać ten sam styl, odwołując się ewentualnie w sposób nienachalny do przeszłości. Współpracuję z grupą artystów, którzy potrafiliby wyczarować dla pana prawdziwe cuda.

Charlotte Durant machnęła od niechcienia ręką, rozsnuwając wokół siebie zapach lawendy.

– Chce się pani? – spytała, ziewając. – Na samą myśl o tak ciężkiej pracy miałabym ochotę usiąść... gdyby nie fakt, że i tak już siedzę.

Charlotte nie musiała się jednak martwić o los czterdziestu pracowników i ich rodzin. Tani zegarek w kieszeni Mollie nieustannie przypominał jej, że należy znaleźć nowe sposoby zarobkowania. Otwarta rywalizacja z Newburgh Watch Factory nie wchodziła w grę – konieczność zakupu maszyn przerosłaby rodzinną firmę Mollie. W najlepszym zaś wypadku oznaczałaby masowe zwolnienia, co również było nie do zaakceptowania.

Pan Durant odłożył fajkę na leżący obok niego spodeczek. Splótł dłonie w zamyśleniu.

– Takie kontrakty podpisuje się zazwyczaj według określonego klucza, nazwijmy to, klanowego – powiedział z lekkim wahaniem. – Chicago to hermetyczne miasto. Pewne środowiska czują się urażone tym, że zaproponowałem współpracę firmie spoza układów. W dodatku kierowanej przez kobietę. Tylko proszę się nie denerwować – dodał natychmiast, zanim zdążyła zmienić wyraz twarzy. – Wie pani, że bardzo cenię jej przedsiębiorstwo. Kupiłem nawet żonie wasz zegarek na Gwiazdkę.

– Ja go wybierałam! – podkreśliła z dumą Sophie.

Mollie rozumiała, że należy rozegrać tę partię ostrożnie. Pan Durant był silnym sprzymierzeńcem, którego nie mogła do siebie zrazić, wytykając mu dawny dług wdzięczności. Uśmiechnęła się do Sophie.

– Wiem, Sophie. Dobrze nam się z tobą pracowało w ostatnich miesiącach. Wszyscy w fabryce twierdzą, że jesteś nieoceniona.

Mollie mówiła szczerze. Ekipa nie mogła się nadziwić, jaka zmiana zaszła w tej małej, pyskatej dziewczynce, cudem uratowanej z katastrofy.

– Biedactwo – mruknęła Charlotte. – Obawiam się, że zaprzepaścisz młodość pośród huku i smrodu, zupełnie jak ci nieokrzesani Irlandczycy w fabrykach.

Charlotte Durant mogła już zapomnieć o przysłudze, jaką Mollie im wyświadczyła, jednak jej mąż z pewnością o niej pamiętał. Zapatrzył się w nieokreślony punkt na ścianie i pogrążył w rozmyślaniach. Ciszę, która zawisła w salonie, przerywał jedynie brzęk naczyń zbieranych ze stołu przez służbę. Żołądek Mollie skurczył się z napięcia.

W końcu pan Durant spojrzał na córkę.

– I co powiesz, robaczku? Powinniśmy pozwolić, żeby panna Knox zaopatrywała nasze budynki w zegary?

Sophie zareagowała w swoim stylu:

– Tak ogólnie to zegary są głupie, ale założę się, że Alice zrobi dla nas coś ładnego.

Pan Durant wziął do ust fajkę i wypuścił z niej kłęb dymu, zanim znów przemówił.

– Chyba dam pani szansę. Czy jest pani jednak pewna, że wasza fabryka poradzi sobie z produkcją na skalę masową? To będzie coś zupełnie innego niż wyrabianie zegarków kieszonkowych.

Nie mogła teraz okazać słabości. Zdążyła już przeprowadzić mały rekonesans, wiedziała więc, że zegary publiczne różnią się od małych czasomierzy właściwie wyłącznie rozmiarem. Należało także wytwarzać je z materiałów względnie odpornych na działanie wody czy wiatru. Pomijając to, zegar ścienny produkowało się wręcz łatwiej niż ozdobne cacuszko na użytek prywatny. Nie był przecież narażony na wstrząsy, trzymanie do góry nogami czy wręcz upadki z wysokości.

– Duże zegary są łatwiejsze w produkcji – zapewniła. – A moi pracownicy mają ogromne doświadczenie. Poradzą sobie bez problemu.

Pan Durant wstał z miejsca i podszedł do dziewczyny stojącej nad stołem z projektami banków. Wyciągnął do niej rękę.

– A zatem umowa stoi, panno Knox. Mój prawnik przygotuje warunki kontraktu oraz określi ramy czasowe. – Nagle z jego oczu zniknęło całe ciepło, wyparte przez stalowy wzrok biznesmena. – Proszę mnie nie zawieść.

≈

Wieczorem, zgodnie z piątkowym zwyczajem, Mollie wybrała się razem ze swoimi pracownikami do Krause Biergarten, żeby zaznać odrobiny relaksu po ciężkim tygodniu

w warsztacie. Zaprosiła także pułkownika Lowe'a, on jednak wymówił się uprzejmie, argumentując, iż niezbyt lubi tego typu lokale. Siedzieli więc przy stole w stałym składzie. Declan grał w kości z Oliverem, Ulysses zaś popisywał się, miażdżąc orzechy siłą własnych palców. Wszędzie roznosił się zapach pikantnych niemieckich kiełbasek, a wiatr łagodnie poruszał liśćmi drzew kasztanowca.

Atmosfera była znakomita do momentu, aż dziewczyna przedstawiła swój pomysł zaangażowania firmy w produkcję dużych zegarów. Co prawda spodziewała się, że będzie to dla reszty pewnym zaskoczeniem, nie przewidziała jednak płynącej z każdej strony fali oporu. Ulysses ponuro obwieścił pogrzebanie własnego talentu, nieodłącznie związanego z wyczarowywaniem ozdobnych pokryw zegarków kieszonkowych. Oliver mruknął, że tworzenie części do takich wielkich urządzeń to obraza jego technicznych kompetencji. Nawet Gunner wyglądał na niezadowolonego. Jego zdaniem wyrabianie zegarów na użytek miasta wymagało większej przestrzeni niż ta, którą dysponowali w warsztacie.

Mollie zaciskała palce na gorącym kubku z cydrem.

– To dla nas jedyna szansa, by nie wypaść z rynku – oznajmiła. – Nie wytrzymamy cenowej konkurencji Newburgh Watch Factory. Tym bardziej, że oni z pewnością niedługo znajdą sposób, żeby wytwarzać mniejsze, bardziej eleganckie zegarki za śmieszne pieniądze.

– A w czym pomogą nam te ściennie dziwolągi? – spytała Alice z niezadowoleniem w głosie.

– Nie żadne dziwolągi, tylko porządne czasomierze – poprawiła ją Mollie. – Istnieje spora różnica między zegarem umieszczonym na fasadzie budynku użyteczności publicznej a zwykłym domowym budzikiem. W związku z odbudową miasta każdy dworzec będzie potrzebował nowego zegara. Każdy teatr. Każda szkoła. A my z łatwością możemy wypełnić tę lukę. – Starła się brzmieć trzeźwo i przekonująco. – Zwróciliście kiedyś uwagę, jak brzydkie bywają zegary na budynkach? Z naszymi umiejętnościami i reputacją w ciągu kilku miesięcy możemy zdominować rynek. Środki z tego tytułu będą wspierały nasz dotychczasowy interes. Nadal będziemy robili to, co kochamy, a te duże zegary po prostu zabezpieczą nasze finanse.

Oliver wyglądał tak, jakby właśnie zjadł kwaśne jabłko.

– Zegary – prychnął. – Jesteśmy artystami. Każdy tłumok może wyrabiać takie wielkie zegary.

– To brzmi dość arogancko – zauważył Declan, bawiąc się parą kości do gry.

– Ty tylko polerujesz metal – zakpił Oliver. – Nic nie wiesz o prawdziwym

rękodziele.

Nim skończył, Declan zerwał się na równe nogi, przewracając przy okazji swój kubek z napojem. Wybiegł z lokalu, żegnany niechętnymi pomrukami kelnerki, która przez niego omal nie upuściła niesionej tacy z jedzeniem.

– Powinieneś się wstydzić – burknęła Mollie w stronę Olivera, a następnie wstała, by poszukać Declana.

Szedł szybkim krokiem i ignorował jej prośby o rozmowę. W końcu go jednak dogoniła i złapała za ramię.

– Oliver nie chciał tego powiedzieć. Nie bądź na niego zły.

Odwrócił się. Miał napięte mięśnie twarzy, a z całej jego postawy emanowała złość.

– Nie jestem zły na Olivera, jestem zły na ciebie!

– A co ja zrobiłam?

Nerwowo przejechał ręką po włosach.

– Mollie, musisz przestać mnie niańczyć. Nie jestem dzieckiem. Jestem dorosłym mężczyzną.

Zesztywniała.

– Ależ wiem o tym, Declanie.

– Dlaczego więc błagałaś pułkownika Lowe'a, żeby nie zabierał mnie ze sobą do Milwaukee? – Milczenie dziewczyny jeszcze bardziej go rozzłościło. – O tak, słyszałem o tym. Wiesz, jak mocno mnie zraniłaś, mówiąc pułkownikowi, że jestem zbyt delikatny na taką wyprawę? Mam już dosyć, Mollie. Odchodzę.

Te słowa spadły na nią jak grom z jasnego nieba. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Declan odwrócił się plecami i ruszył przed siebie. Dogoniła go.

– Chyba żartujesz – zaczęła, gdy znów znalazła się przy nim. – Co będziesz robił z dala od firmy?

Zatrzymał się. W oczach nadal miał tę samą złość.

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć. Dopóki ukrywam się u ciebie, jestem tylko nieudacznikiem. Całymi dniami poleruję metal, a ty trzymasz mnie wyłącznie z litości.

– Nie jesteś żadnym nieudacznikiem! Nazwałbyś tak również Ulyssesa? Albo Franka?

Declan wzdrygnął się. Sprawiał wrażenie, jakby za moment miał dostać jednego z tych swoich ataków paniki, jednak zdołał wziąć się w garść. Przełknął gulę w gardle i spojrzał Mollie w oczy.

– Nie interesuje mnie zdanie pozostałych na temat pracy tutaj. Ja już jej nie chcę. Kiedy pojechałem z pułkownikiem i resztą, żeby schwytać zabójców Franka, po raz pierwszy od czasu wojny poczułem się jak mężczyzna. – Nagle przestał drżeć. – Muszę odnaleźć własną drogę. Tę, na którą wstąpiłbym już dawno, gdyby wojna nie zepchnęła mnie na boczny tor.

– Rozumiem – zapewniła miękko.

Jednak wcale tego nie rozumiała. Przez tyle lat usiłowała zapewnić weteranom przyzwoite warunki życia, a teraz Declan wmawiał jej, że go ubezwłasnowolniła! Starła się po prostu zadośćuczynić życzeniu ojca, który nie wyobrażał sobie, aby jego towarzysze broni mieli cierpieć nędzę.

Nagle ogarnęło ją wyczerpanie. Dotknęła dłonią czoła.

– Możesz wrócić – rzekła. – Jeśli sprawy nie ułożą się po twojej myśli, zawsze masz możliwość...

– Nie wrócę. – W jego wzroku dostrzegła strach zmieszany z determinacją. – Nie wiem właściwie, co powinienem zrobić, ale moim przeznaczeniem na pewno nie było polerowanie metalu.

Stała nieruchomo i patrzyła, jak Declan znika w tłumie. Włożyła tyle trudu w przywrócenie przedsiębiorstwa do życia, a teraz odnosiła wrażenie, że sytuacja znowu wymyka jej się z rąk.

XXVI

Bogu dzięki, że Richard zdecydował się postawić tak przestronną fabrykę, bo teraz wykorzystywali w niej każdy skrawek miejsca. Wprawdzie ekipa produkująca części pracowała przy niskich, wąskich stolikach, ale zegar dla banku miał mieć trzy i pół metra średnicy. Konstruowali go zatem przy stole, przy którym cały oddział żołnierzy spokojnie mógłby spożywać obiad.

W powietrzu unosił się zapach sosnowej żywicy – Ulysses ciął drewno, z którego składał nowe skrzynie. Oliver Wilkes przyglądał się i stołom, i skrzyniom, marszcząc nos z dezaprobatą.

– W sam raz na części do pługa – prychnął.

Aktualne zajęcie wydawało się Oliverowi prawdziwym przekleństwem: ktoś o jego manualnej sprawności i bystrym oku musiał uważać wytwarzanie części do przerośniętego zegara za zawodową degradację. Ale Ulysses i Alice stopniowo przechodzili na stronę Mollie w tym zakładowym sporze.

– Albo nasza firma zginie, albo wyjdziemy z tarapatów silniejsi niż kiedykolwiek – zauważył Ulysses z typową dla siebie emfazą. – Ten gigantyczny zegar to dla nas rodzaj testu. Jak Termopile. Jak Waterloo. Jak Agincourt.

Przybił ostatni gwóźdź do skrzyni.

– Gdzie mam to postawić, Mollie?

– Tutaj nie ma już miejsca na pudła, trzeba je wynieść do piwnicy. – Ulysses bez problemu radził sobie ze zbijaniem desek, ale brak nogi uniemożliwiał mu ich noszenie.

– Oliverze, możesz zejść na dół? Pomogę ci, jeśli trzeba.

Oliver odłożył lupę i spojrzał na pudło, ale nadal się nie ruszał.

– Albo możesz poszukać innej pracy, jeśli masz ochotę – warknęła. Jej ton był ostrzejszy, niż zamierzała, ale zaczynała po prostu tracić cierpliwość.

Czy Oliver naprawdę nie rozumiał, co oznaczał ów tani zegarek, który nosiła w kieszeni? Wszyscy pracownicy już go widzieli, większość z nich uważała jednak, że produkty tej obcej firmy nie stanowią rzeczywistej konkurencji dla zasłużonego chicagowskiego przedsiębiorstwa.

Niegdyś Mollie obawiała się, że dawni żołnierze będą mieć ogromne problemy ze

znalezieniem nowej pracy, jeśli jej fabryka upadnie. Teraz dalej się o nich martwiła, ale już z innego powodu: ich opór przed dostosowaniem się do wymogów obecnego rynku mógł zamknąć im w niedalekiej przyszłości perspektywę normalnego życia.

Po chwili usłyszeli nerwowe kroki Olivera niosącego pudło po schodach. Mollie czuła na sobie baczny wzrok pozostałych członków ekipy.

Odłożyła trzymany w rękę śrubokręt i ruszyła za nim. Jej kroki odbijały się echem po pustej klatce schodowej. W piwnicy panował półmrok, słabe promyki światła wpadały jedynie przez małe okienka umieszczone tuż pod sufitem. Na podłodze stały równe rzędy identycznych drewnianych skrzyń.

Mollie zaczerpnęła powietrza. Oliver Wilkes był jednym z jej najlepszych i najbardziej oddanych pracowników, nie mogła jednak pozwolić, aby zatruwał atmosferę.

Pod jej butami chrzęścił żwir przypominający o tym, że podłoga w piwnicy nadal nie została wykończona. Mollie podeszła do mężczyzny zajętego ustawianiem nowej skrzyni obok dziesiątek innych.

– Muszę wiedzieć, czy weźmiesz udział w produkcji zegarów – odezwała się Mollie. – Jesteś świetnym specjalistą i wiem, że potrafisz to robić... Ale czy chcesz?

Oparł ręce o skrzynię. W słabym świetle dnia jego twarz wydawała się wyjątkowo wymizerowana.

– To jest najbardziej niedorzeczny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem – przyznał. – Twój ojciec rozslawił firmę dzięki pięknu wyrobów oraz ich wysokiej jakości. Nawet nie spojrzalby na te przerośnięte zegary. Już prędzej poradziłby nam, żebyśmy zaczęli produkować meble.

Mollie zamrugła, gdy tylko zdała sobie sprawę, że Oliver nie myli się w kwestii gustu jej ojca. Silas jednak nigdy nie słyszał o Newburgh Watch Factory. Mollie ciągle miała przed oczami tamtą fotografię przedstawiającą robotników, którzy stali przy maszynach i zdejmowali z taśmy kolejne części do zegarków. Jej ojciec należał do innej epoki. Ona musiała zatroszczyć się o przyszłość firmy w nowych warunkach.

– Nie możemy konkurować z Newburgh Watch Factory – powiedziała. – Nie stać mnie na nowoczesny sprzęt, a poza tym nie czuję się do niego przekonana. Musimy ich zaszachować inaczej. To prawda – wizerunek naszej firmy nieco się odmieni. Ale w ogólnym rozrachunku to z pewnością wyjdzie nam na dobre. Popyt na zegarki inkrustowane szlachetnymi kamieniami zawsze będzie ograniczony, ponieważ nie każdego na nie stać. A my przecież musimy z czegoś żyć. Tym czymś mogą się okazać

właśnie miejskie zegary.

Oliver poruszył się niespokojnie. Mollie czuła, że jej przemowa wreszcie do niego trafiła.

– Pomogę ci – rzekł w końcu. – Ale zamierzam bacznie obserwować każdy twój ruch, bo jestem to winien twojemu ojcu. Nadal uważam, że ta decyzja to dla nas początek końca.

Z całej postawy mężczyzny emanowała niechęć, Mollie zamierzała jednak skorzystać z jego pomocy. W tym momencie po prostu nie miała wyboru.

~
Mollie wytrzeszczyła oczy, słuchając sopranu wznoszącego się na niewiarygodną wręcz wysokość. Siedząc na twardym krześle w salonie pani Matildy Lowe Horner, w gronie pięćdziesięciu pięciu najznamienitszych obywateli Chicago, dziewczyna zaczynała pojmować, jak niewiele musi wiedzieć o muzyce, skoro ta śpiewaczka osiągnęła ponoć najwyższy artystyczny poziom. Obok niej Richard prezentował światu swój zwykły pogodny wyraz twarzy – nawet w momencie, kiedy ostry głos sopranistki zaczął dosłownie wwiercać się im w uszy podczas finału arii Wagnera. Nikt z obecnych nie zdradzał ani śladu dyskomfortu. Mollie uściśnęła mocniej dłoń Richarda, powstrzymując się przed zatkaniem uszu.

Takie spotkania były jednymi z ulubionych rozrywek siostry Richarda, która chętnie gościła go w swoim domu, kiedy przyjeżdżał do Chicago. Matilda skwapliwie wykorzystywała do celów towarzyskich fakt, że jej brat wslawił się bohaterstwem podczas wojny, on zaś nie miał nic przeciwko temu. Zwierzył się Mollie ze swojego głębokiego przywiązania do starszej siostry. Miało swój początek w czasach, gdy jako młody człowiek budował linie kolejowe w Dakocie. Niejedną zimę przeżył tam wyłącznie dzięki dobroci Matildy, która wysyłała mu morze listów oraz paczki z ciepłymi skarpetami i żywnością. Panna Lowe marzyła o karierze aktorki, ale wobec sprzeciwu ojca poślubiła w końcu Archibalda Hornera, bogatego producenta obuwia. Niespełnione ambicje artystyczne realizowała obecnie dzięki organizowaniu kameralnych przyjęć z udziałem artystów.

Sopranowa aria dobiegła wreszcie końca, a goście nagrodzili śpiewaczkę gromkimi brawami. Mollie przybliżyła twarz do ucha Richarda.

– To już koniec? – spytała szeptem.

Jego mina pozostawała niewzruszona.

– Jeszcze trzy arie. – Puścił do niej oko. – Bądź dzielna.

Westchnęła. Obok domu rozciągał się piękny ogród, zaś letni wieczór zachęcał do przycupnięcia na ławce i delectowania się zapachem kwiatów. Marzyła, by opuścić wreszcie ten pokój i wyjść z Richardem na zewnątrz, gdzie mogłaby mu się zwierzyć ze wszystkich swoich zmartwień. Tylko on zawsze umiał ją pocieszyć.

A Mollie naprawdę potrzebowała pomocy. Problemy z zaopatrzeniem fabryki nieco ją przytłaczały, prawdziwą zmorą okazała się jednak niechęć załogi wobec nadchodzących zmian.

Richard Lowe był urodzonym liderem – wszystko jedno, czy chodziło o dowodzenie oddziałem żołnierzy, czy o budowę torów kolejowych. Wiedział, jak zmobilizować ludzi do pracy na rzecz wspólnego dobra. Ta jego umiejętność bardzo przydałaby się teraz Mollie w warsztacie, którego ekipa z coraz większą rezerwą podchodziła do przywódczej roli kobiety w firmie Silasa Knoxa. Z każdego kąta zaczynały dobiegać pomruki, że to Oliver bardziej nadawałby się na szefa. Tylko Alice i Ulysses pozostawali całkowicie wierni przyjaciółce, ich głos gubił się jednak w gąszczu ogólnego niezadowolenia.

Sopran śpiewaczki zabrzmiał z nową siłą. Mollie zaczęła się mimowolnie zastanawiać, czy jej bębni to wytrzymają.

„Zack też na pewno by się tego obawiał”.

Wyprostowała się na krześle. Skąd coś takiego przyszło jej w ogóle do głowy? Zack kochał muzykę, choć zupełnie innego typu. Lubił zespoły grające polkę albo coś folkowego. Nieważne, jak mocno się opierała, wspomnienia o Zacku prześladowały ją w najdziwniejszych momentach. A jednak ich rozstanie okazało się definitywne – przestał ją nachodzić, a ona nie mogła go za to winić.

Wróciła do rzeczywistości. Richard z czułością ścisnął jej rękę. Ubiegłej zimy zaczął się do niej otwarcie zalecać, przyjeżdżając co tydzień do Chicago specjalnie po to, aby zabierać ją na wieczorki takie jak ten dzisiejszy. Przedstawił ją siostrze i szwagrowi, którzy z radością przyjmowali dziewczynę w swoim domu. Mollie żywiła nadzieję, że z czasem temperatura jej uczuć wobec Richarda wzrośnie na tyle, iż zdoła na zawsze wyrzucić z pamięci tamtego drugiego, aroganckiego i nieokrzesanego mężczyznę.

Ów plan przeważnie działał, czasami jednak pragnęła zwyczajnie wstać i uciec. Zostawić Chicago i firmę. Ukochane niegdyś przedsiębiorstwo stawało się dla niej coraz większym ciężarem. Kulą u nogi. Często budziła się w środku nocy, z lękiem myśląc o przyszłości.

Gdyby nie pożar, rzekłaby się pewnie firmy na rzecz Louisa Hartmana. Mając

w kieszeni sześćdziesiąt tysięcy dolarów, mogłaby czmychnąć na południe Francji, tak jak radził Zack. Zamiast tego została z ludźmi, którzy przestawali jej ufać, z rosnącymi lawinowo rachunkami oraz z ciężącym na niej kontraktem.

Kolejna męcząca aria właśnie się zakończyła, wywołując salwę oklasków. Niewiele myśląc, Mollie wstała i wyszła z pokoju.

≈

Nie chciała sobie nawet wyobrazić, co siostra Richarda pomyśli o jej nagłym zniknięciu. Mało ją to zresztą obchodziło. Ostatecznie nie należała do rodziny.

Wieczorne powietrze wypełniał zapach mchu, a zamiast sopranu słyszała teraz cykanie świerszczy. Jej pantofle lekko kroczyły po zielonym dywanie ze starannie przystrzyżonej trawy, gdy zbliżała się do metalowej bramy ochraniającej posiadłość na Prairie Avenue. Nagle przytłumiony głos śpiewaczki znowu zabrzmiał głośniejsz – Richard otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz, szukając Mollie wzrokiem. Po chwili stali już naprzeciw siebie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Przywołała na twarz uśmiech.

– Lepiej. Nigdy nie siedziałam tak blisko śpiewaczki operowej. Można się wręcz przestraszyć.

– No, powiedzmy – mruknął. – Ale przez cały wieczór byłaś jakby nieobecna. Powiedz mi, o co chodzi.

Rzucając przelotne spojrzenie na gwiazdziste niebo, zaczęła się zastanawiać, czy ma prawo obarczać Richarda ciężarem swoich problemów. Potrzebowała jednak jego porady. Był od niej starszy i mądrzejszy, potrafił też trzeźwo ocenić skalę każdego problemu. Niewiele myśląc, zaczęła opowiadać o wszystkim: o spłonięciu domu towarowego Hartmana, poszukiwaniu nowych klientów, dostawach zegarków dla jubilerów z Nowego Jorku i Filadelfii. Model upamiętniający wielki pożar sprzedawał się bardzo dobrze, ale po pierwszej fali zamówień interes zaczął zwalniać. Mollie zdawała sobie sprawę, że odruch sympatii i solidarności wobec mieszkańców ciężko doświadczonej przez los metropolii nie będzie się utrzymywał wiecznie. Tymczasem w całym kraju rosła im konkurencja. Duże domowe zegary od dawna wytwarzano w fabrykach, dziewczyna nie wyobrażała sobie jednak, aby kiedykolwiek wymyślono maszynę, która potrafiłaby precyzyjnie wykonywać maleńkie części do zegarków kieszonkowych. Z budowaniem wielkich czasomierzy instalowanych w miejscach publicznych było inaczej, ale Illinois Watch Company i tak miała do zaoferowania coś, czego inne firmy nie miały: oprócz doskonałości technicznej jej zegarki miały styl

i walory artystyczne. Skoro udało im się zyskać rozgłos w Chicago, po rozszerzeniu oferty mogliby szukać klientów również w sąsiednich miastach.

Niestety, Richard zgadzał się ze zdaniem Olivera Wilkesa.

– Nie rozumiem, w jaki sposób te zegary mają ci pomóc odzyskać płynność finansową – powiedział. Zerwał źdźbło trawy i bawił się nim w skupieniu. – Twój problem polega chyba na braku zmechanizowania. Nie poprawisz swojego położenia, ignorując jego źródło. Jeśli trzeba konkurować z firmami ze Wschodniego Wybrzeża, po prostu to rób. Kup maszyny.

Te słowa były dla niej niczym cios w brzuch.

– Musiałabym zwolnić połowę pracowników. A ten sprzęt kosztowałby fortunę.

– Ja mam fortunę.

Zabrakło jej tchu. Za każdym razem, gdy sugerował coś takiego, doznawała zawrotów głowy. I bynajmniej nie było to przyjemne uczucie. Silna ręka chwyciła ją za ramię.

– Mollie, może nadszedł czas, aby oddać ster w ręce Olivera. Jeśli kierowanie firmą nie przynosi ci już satysfakcji, po prostu stamtąd odejź. Masz wiele innych możliwości.

– Oliver jest zbyt ograniczony, by pojąć zmiany zachodzące w przemyśle – powiedziała. – A Ulysses zupełnie się nie zna na prowadzeniu biznesu. Tylko ja mogę zarządzać tą firmą.

Richard lekko podniósł głos.

– Słyszałaś, co właśnie powiedziałem? Jeśli nie czujesz się już tam szczęśliwa, po prostu to zostaw. Nie przekonuj mnie, że nie możesz. Stać mnie na to, aby kupić dla was maszyny i zatrudnić na kierowniczym stanowisku kogoś kompetentnego. Zatrąszczę się też o bezpieczeństwo chorych pracowników. Powiedz tylko słowo.

Poczuła skurcz w żołądku. Nie mogłaby przyjąć tych pieniędzy, nie stając się jednocześnie jego dozgonną dłużniczką. W ostatnich miesiącach Richard wielokrotnie dawał jej do zrozumienia, że chętnie się z nią ożeni, perspektywa wyjścia za niego budziła jednak w Mollie przede wszystkim lęk.

Jak długo jeszcze miała oczekiwać na wzrost temperatury własnych uczuć w stosunku do tego przystojnego mężczyzny? Kilka dni wcześniej po raz kolejny rozpiła sobie zestawienie zalet Richarda w porównaniu z cechami Zacka. Richard

oczywiście znowu wygrał. Dlaczego więc jej serce nie umiało tego zaakceptować?

Związek z Zackiem nie był już zresztą nawet możliwy, skoro jakiś czas temu Mollie zobaczyła go w Claxton Park z jakąś jasnowłosą kobietą. Uczucie zazdrości zalało ją na chwilę potężną falą, uratowała się jednak natychmiastową ucieczką. Wszystko to nie zmieniało faktu, że nadal nie widziała się w roli żony Richarda.

– Powinniśmy wracać – odezwała się, unikając jego wzroku.

Kolejne starcie ze śpiewaczką operową nie nęciło jej w najmniejszym stopniu, ale chciała to zrobić dla Richarda. On i jego siostra okazali Mollie wiele dobroci, nie zasłużyli sobie więc na taki afront. Żałowała tylko, że przez cały czas czuje się w tym towarzystwie nie na miejscu.

≈

– Nie, mamó – powiedział Zack. – Absolutnie nie.

Joanna Kazmarek posiadała cenny talent ignorowania oporu syna, kiedy jej na tym zależało. Wkładając mu w ręce butelkę wódki, próbowała wypchnąć go za drzwi.

– No, idź już – nalegała jego matka. – Przekaż tę flaszkę panu Jabłońskiemu wraz z naszymi serdecznymi gratulacjami.

Zack zerknął po raz kolejny na butelkę, a jego podejrzliwość rosła.

– Co oznacza ta czerwona wstążka?

Polacy należeli do najbardziej przywiązanych do tradycji nacji na świecie. Niemal każdy kolor, kwiat czy posiłek miał swoje ukryte znaczenie. Zack był pewien, że także i w tym wypadku jego matka coś knuje.

– Dlaczego wstążka miałaby coś oznaczać? – spytała kobieta niewinnym tonem.

Zack dobrze ją znał. Właściwie od samego początku domyślał się, jaki sens skrywa w sobie ten podarunek.

– To jest pewnie znak, że mężczyzna chce się starać o rękę córki gospodarza, tak?

Pani Kazmarek nie okazała śladu zmieszania. Uszczypnęła syna w policzek i uśmiechnęła się.

– Ależ ty jesteś bystry, mój synu! I cóż w tym złego? Anka Jabłoński to wspaniała dziewczyna.

W duchu przyznał jej rację. Doceniał każdą chwilę spędzoną w towarzystwie Anki. Ze swoimi długimi, jasnymi włosami i błękitnymi oczami wyglądała jak alpejska boginka. Była z natury uroczą, często wybuchała perlistym śmiechem i piekła najlepsze ciasto makowe, jakiego Zack kiedykolwiek próbował. Nie mówiła niestety po angielsku, co czyniłoby zaloty nieco problematycznymi.

Rodzice nie widzieli jednak powodu do obaw. Jabłońscy stali się częstymi gośćmi w ich domu, odkąd pięć miesięcy temu opuścili Polskę. Joanna chętnie pełniła funkcję tłumacza w rozmowach między Zackiem a panną Anką. Poza tym dziewczyna zaczęła się już uczyć angielskiego. Każde słowo brzmiało w jej ustach czarująco. Silny obcy akcent sprawiał, że Zack przeważnie nie miał pojęcia, co rozmówczyni stara się wyrazić, ale niezbyt mu to przeszkadzało. Był nią zachwycony. Mógłby słuchać tej łamanej angielszczyzny godzinami.

Nie oznaczało to jednak, że zamierzał się zgodzić na odwiedziny u ojca Anki z butelką wódki przewiązaną czerwoną wstążką. Dziewczyna z pewnością wiedziała, co się za tym kryje, on zaś szanował ją zbyt mocno, by rozbudzać płonne nadzieje. Lubił jej towarzystwo, ale nic ponadto.

Oddał matce butelkę.

– Jestem już spóźniony na ważne spotkanie. Nie zdążę zająć do Jabłońskich.

– Ciągle ta sprawa z ubezpieczeniami? – spytała z rozczarowaniem w głosie.

Nie odpowiedział. Sięgnął po płaszcz, spodziewając się, że spotkanie potrwa do późnych godzin nocnych, kiedy temperatura znacząco spada. Ostatnio zdarzało mu się przesiadywać w pracy do północy i dłużej.

– To ważna sprawa, mamó. Być może najważniejsza w mojej karierze.

Rodzice święcie wierzyli w nieomyślność Louisa Hartmana. Czas, jaki Zack poświęcał na odbudowywanie jego firmy, nie mógł być zatem czasem straconym. Znacznie bardziej nieufnie odnosili się do spotkań syna z przedstawicielami lokalnych władz.

Wielki pożar Chicago unaoczniał ludziom słabość firm ubezpieczeniowych działających obecnie na rynku. Jak dotąd wypłaciły one klientom zaledwie jedną trzecią należnych im kwot i nic nie wskazywało na to, aby suma ta miała się powiększyć. Gdzieś słyszało się historie o bohaterских agentach wyprzedających własny majątek w celu spłacenia roszczeń ludzi poszkodowanych w pożarze, takie wypadki należały jednak do rzadkości. Towarzystwa ubezpieczeniowe padały jedne po drugich,

pieniądze zaś przepadały wraz z nimi.

Aby zapobiec takim katastrofom w przyszłości, należało zmienić prawo. Zapowiadała się tutaj ostra batalia, Zack zacierał więc ręce z niecierpliwości. Uwielbiał takie wyzwania. Promieniał na samą myśl, że w niedalekiej przyszłości pojawią się przed nim problemy, które będzie musiał rozwiązać.

Poruszał się szybkim, pewnym krokiem, mijając tłumy przechodniów. Miasto zaludniało się na nowo, teraz przyjeżdżali do niego przeważnie robotnicy poszukujący pracy fizycznej. Każdy, kto posiadał jakąkolwiek praktyczną umiejętność, mógł liczyć na zatrudnienie, choć znalezienie przyzwoitego lokum nadal stanowiło pewien kłopot. Zack cieszył się, że przynajmniej te obrzydliwe wojskowe namioty zniknęły wreszcie z pola widzenia. I że Mollie Knox zamieszkała w normalnym domu.

Nie pozwalał sobie na zbyt częste rozmyślenia o tej dziewczynie, ale z chęcią przysłuchiwał się wieściom z fabryki, przynoszonym przez doktora Buchanana. Podobno wykonywano w niej teraz duże zegary. Przyznawał w duchu, że to dobre rozwiązanie, zważywszy na brak perspektyw dalszej współpracy ze sklepem Hartmana.

Duży kamienny budynek wyłonił się nagle z wieczornego mroku na skrzyżowaniu Hubbard i Wabash Avenue. Burmistrz i rada miejska spotykali się tutaj od czasu pożaru, nie mając chwilowo w zanadrzu nic lepszego. Przy wejściu Zack skinął głową dwóm znajomym radnym.

Zapowiadała się długa noc. Na sali siedziało dziwne zbiorowisko agentów ubezpieczeniowych, urzędników, prawników i szefów związków zawodowych. Zack nie bał się czekającej go pracy. Dopiero w chwilach takich jak ta czuł, jak mocno kocha swój zawód.

XXVII

Mollie zatkała dłońmi uszy, ale huk szlifierek do metalu i tak ją paraliżował. Wczorajszy koncert okropnie ją zmęczył, okazał się jednak całkiem niegroźny w porównaniu z jazgotem fabryki przemysłowej.

Spojrzała na swój niebieski kostium, wyrzucając sobie, że ubrała się jak na spotkanie z bankierem. Caleb Magruder prowadził najlepszą fabrykę w mieście, ale jego gabinet wyglądał jak pobożowisko. Czekala na niego od trzydziestu minut i już miała dać za wygraną, kiedy nagle wtargnął z hukiem do gabinetu. Twarz miał brudną i ociekającą potem, ona mimo to natychmiast wyciągnęła do niego rękę.

– Panie Magruder, bardzo dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Wytrzeł dłonie o fartuch, nie wydawał się jednak skory do formalnych powitań.

– Co mogę dla pani zrobić? – Jego ton był uprzejmy, choć zniecierpliwiony. Co rusz wyglądał przez otwarte drzwi do hali fabrycznej, gdzie dwaj chłopcy ładowali węgiel do pieca.

– Rozumiem, że wykonuje pan w zakładzie obróbkę metalu niezbędną do produkcji publicznych zegarów? – Starala się powstrzymać drżenie głosu.

Caleb Magruder był właścicielem jedynej fabryki mogącej podjąć takiemu zadaniu.

Oparł się o ścianę i zmierzył ją obojętnym wzrokiem.

– Może i tak – mruknął. – Czego pani chce?

Opisała mu dość dokładnie trzymetrową matrycę, na której zostałyby zainstalowany wewnętrzny mechanizm zegara. Musiała być mocna i idealnie gładka.

– Takie zegary produkowała zawsze firma Potter Clockworks – przypomniał sobie Magruder. – Dlaczego teraz nie dostali kontraktu?

Mollie nie dała się zastraszyć tym pytaniem.

– Po pożarze nic już nie jest jak dawniej. Mam kontrakt przy sobie. Płacę gotówką. Ile kosztowałyby taka matryca?

– Jeśli miałbym ją faktycznie zrobić... z naciskiem na „jeśli”... wyniosłoby to panią

jakieś sześćset dolarów.

Zaparło jej dech.

– To szaleństwo!

– Takie są ceny.

Dokonała w głowie pośpiesznego rachunku. Koszty co prawda wzrosną, ale może warto zainwestować w pierwszy zegar. Potem wymyśli coś innego. Teraz nie miała czasu na wahania.

– Na kiedy mógłby pan to zrobić?

– Proszę pani, nie wiem, czy w ogóle to zrobię. Muszę sprawdzić, co mamy w rozpisce na najbliższy czas.

Mollie zerknęła na znajdującą się za nimi tablicę z planami produkcyjnymi.

– A nie mógłby pan tego sprawdzić teraz?

Caleb Magruder ani nie spuścił wzroku, ani nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nie – burknął po prostu. Przestał się opierać o ścianę. – Proszę przyjść za dwa dni. Wtedy powiem pani, czy znajdę czas na tę robotę.

Dłonie Mollie zaczęły drżeć. Wiedziała, że gdyby tylko chciał, mógłby zrealizować zamówienie natychmiast. Odmówił z jakiegoś innego powodu.

– Czy gdybym wysłała do negocjacji mężczyznę, skróciłby pan ten termin?

Nawet nie mrugnął.

– Pomogłaby mi świadomość, że nie jest pani kobietą. Ani kimś obcym. Że nie przychodzi pani wprost z ulicy, by obarczać moich chłopców dodatkowym ciężarem. Proszę przyjść za dwa dni.

Odprawa z pustymi rękami nie była niczym przyjemnym, ale cóż mogła na to poradzić? Wróciwszy do warsztatu na East Street, została powitana przez znajome, uspokajające odgłosy montowania zegarków.

Alice zaprezentowała jej kolejny szkic czasomierza dla budynku banku. W ostatnich dniach wykonała przynajmniej kilkanaście takich projektów, starając się

dopasować wygląd zegara do stylu samego budynku. Ten dzisiejszy rysunek był wręcz cudowny. Cyfry rzymskie w neoklasycystycznej odsłonie prezentowały się pięknie z gotyckimi przewężeniami na wydłużonych elementach liter.

– Właśnie tak! – wyszeptała Mollie.

Projekt nawiązywał do historii, ale tchnął świeżością i nowoczesnością. Był wystarczająco prosty, by można było odczytać godziny z dużej odległości, ale też wystarczająco piękny, by rozślawić 57th Illinois Watch Company.

Dwa dni później Mollie wróciła do fabryki Magruderera. Nie wpuszczono jej jednak do środka. Jakiś nieznajomy mężczyzna w fartuchu oświadczył już od progu, że rozwścieczyła pół miasta, podpisując kontrakt z Raymondem Durantem.

– Nic z tego, panienko – prychnął robotnik. – Proszę sobie poszukać innego podwykonawcy.

~
Mollie siedziała w ciasnym gabinecie doktora Buchanana i nieskładnie opowiadała mu wydarzenia ostatnich dni. W przeciwieństwie do niej doktor zaczął już osiągać pierwsze sukcesy w prowadzeniu swojego interesu i dziewczyna musiała poczekać z tą rozmową aż do wieczora, gdy ostatni klient opuści gabinet. Powodzenie doktora ogromnie ją zresztą cieszyło – nie tylko ze względu na osobistą sympatię, ale także dlatego, że dochód z wynajmu przydawał się jej bardziej, niż byłaby skłonna przyznać sama przed sobą.

Przyjaciół siedział przy biurku i w skupieniu przysłuchiwał się jej zbolącej przemowie.

– Gdyby tylko widział pan wyraz twarzy tego Magruderera... taki kołtuński... taki...
– Nie znajdowała w głowie odpowiedniego określenia. – On chyba od razu założył, że w niczym mi nie pomoże, a te dwa dni oczekiwania były czystą złośliwością.

– Albo próbą podcięcia ci skrzydeł – zauważył doktor. – Całkiem możliwe, że Magruder miał jakieś układy z poprzednim producentem zegarów. W takim wypadku na pewno mocno go zirytowałaś, wygryzając konkurencję.

Mollie wyprostowała się na krześle.

– No ale przecież dokładnie o to chodzi! Potter Clockworks wypadli z rynku po pożarze. Oni nawet nie chcieliby tego kontraktu!

W sąsiednich miastach prawdopodobnie również działały fabryki produkujące

potrzebny jej sprzęt, ale nie wiedziała, gdzie ich szukać. Czas naglił. Pod koniec tygodnia pan Durant miał ją odwiedzić i sprawdzić postępy pracy, ona zaś nie mogła mu na razie nic pokazać. Przed podpisaniem umowy ostrzegł ją zresztą, że naraża się na ostracyzm ze strony branżowych środowisk. Wtedy to jednak zignorowała. Zwyczajnie nie mieściło się jej w głowie, że ludzie potrafią być tak nieuprzejmi.

Doktor Buchanan westchnął.

– Przykro mi to mówić, ale zdaje się, że Magruder oczekuje od ciebie łapówki. Albo jakiejś innej przysługi.

Mollie poruszyła się nerwowo na krześle.

– Nie mogę zapłacić ani centa więcej niż to, co określił mianem ceny rynkowej. Nie znam też nikogo będącego w stanie wyświadczyć mu jakkolwiek przysługę.

– A Zack Kazmarek? – spytał doktor. – Ten facet ma sieć kontaktów w całym Chicago. Na pewno potrafiłby jakoś obłaskawić Magruderę.

Na dźwięk imienia Zacka Mollie znieruchomiała. Nawet po pożarze zdołał utrzymać swoją opinię człowieka ze stali. Mówiono, że kiedy roboty publiczne w polskiej dzielnicy zaczęły się nieprzyzwoicie opóźniać, Zack pociągnął za sznurki i sparaliżował wyładunek materiałów budowlanych w porcie. Bojąc się problemów aprowizacyjnych w całym mieście, władze w ciągu tygodnia nakazały intensywniejszą pracę nad odbudową dzielnic zamieszkiwanych przez imigrantów.

Mollie bębniła palcami o biurko, starając się nie dać po sobie poznać przyływu gwałtownych emocji. Sama myśl o ponownym spotkaniu z Zackiem ją przytłaczała.

– To chyba nie jest... dobry pomysł – wyjąkała. Po tamtym okropnym rozstaniu na cmentarzu nie chciałby pewnie w ogóle z nią rozmawiać.

Doktor Buchanan zaczął skubać brodę w zamyśleniu.

– Wybacz, że ośmielam się poruszać tak delikatny temat, ale zgodnie z moim rozeznaniem nie musisz się obawiać dalszych zalotów ze strony Zacka. W jego życiu pojawiła się inna młoda dama.

Mollie zaschło w gardle.

– Czyżby?

– Nazywa się Anka Jabłoński. Jej rodzina nie posiada nawet przyzwoitej kuchni,

więc co wieczór przychodzą na kolację do Kazmarków. Panna Anka świetnie gotuje, a Zack uczestniczy w tych posiłkach znacznie częściej niż dawniej.

Mollie zapatrzyła się w sufit. Panna Anka to na pewno blondynka, którą widziała kiedyś z Zackiem w Claxton Park. Dlaczego tak ją to zabolalo? Czyż nie tego właśnie od niego oczekiwała?

– Mollie, Zack sprzedaje też tamten obraz Moneta – dodał miękko doktor. – Portret dziewczyny z zegarkiem.

Aż podskoczyła na krześle.

– Naprawdę?

Nie powinno jej to właściwie zaskoczyć... ale zaskoczyło. I zabolalo.

– W przyszłym miesiącu Hartman otwiera swój nowy dom towarowy, a Zack chce skorzystać z okazji i wystawić u niego obraz na sprzedaż. Portret zawisnie przy wejściu do sklepu.

Zakręciło się jej w głowie, ale doktor Buchanan jeszcze nie skończył.

– Mówię ci o tym wszystkim, bo jesteś moją przyjaciółką. Leży mi na sercu powodzenie twojej firmy, a widzę, że chyba potrzebujesz pomocy Zacka. On już nic do ciebie nie czuje. Nie należy także do ludzi zbyt długo żywiących urazę, więc z pewnością będzie chciał coś dla ciebie zrobić.

Teraz bębniła palcami o poręcz krzesła. Sytuacja była poważna: albo rozwiąże jakoś sprawę z matrycą, albo firma może zbankrutować. Musiała zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić.

Nawet za cenę odnowienia kontaktów z Zackiem Kazmarkiem.

≈

Mollie ubrała się na to spotkanie bardzo starannie: koralowy żakiet sprawdzał się idealnie w zestawieniu ze zgrabnym berecikiem z tego samego materiału. Włożyła też białe bawełniane rękawiczki, podarowane jej na gwiazdkę przez Richarda. Noszenie rękawiczek u progu lata wydawało się jej niedorzecznością, ale starała się sprostać gustowi pułkownika, który twierdził, że dama powinna o każdej porze roku chronić skórę dłoni. Tak czy inaczej, czuła się ubrana gustownie i nieco mniej przerażona perspektywą spaceru do nowego sklepu Hartmana.

Prace na Columbus Street posuwały się w zdumiewającym tempie. Mollie widziała

wokół siebie konstrukcje cztero- i pięciopiętrowych budynków, przy których krzątali się zmęczeni słońcem robotnicy. Większość tutejszych obiektów wymagała jeszcze dość znacznych nakładów pracy i czasu, jednak dom towarowy Hartmana wyróżniał się już na pierwszy rzut oka. Z zewnątrz sprawiał wrażenie całkowicie wykończonego. Na tle świeżej bieli odbijały się czyste szyby okienne, a lśniące drzwi stanowiły obietnicę kuszącego wnętrza. Kiedy jednak Mollie stanęła na pierwszym stopniu schodów, dostrzegła sporą zmianę.

Zamiast odzwiernego, który zazwyczaj stał w tym miejscu i uprzejmie witał nowych klientów, dziewczyna spotkała uzbrojonego strażnika. Groźnie pomrukujący mężczyzna zagroził jej wejście. Odruchowo cofnęła się o dwa kroki.

– Chciałabym się zobaczyć z panem Zackiem Kazmarkiem – powiedziała, nerwowo zerkając na strzelbę trzymaną przez draba. Kazał jej czekać, po czym zniknął w budynku na dwadzieścia minut.

Czy Zack zechce się z nią w ogóle zobaczyć? Z pewnością miał do roboty coś ciekawszego niż niesienie pomocy kobiecie, która do niedawna nim pomiatała. Musiała jednak spróbować. Jeśli nie dostarczy panu Durantowi zegarów, jej firma upadnie.

Drzwi znowu się otworzyły i wyjrzał zza nich strażnik.

– Ma pani pięć minut.

Ogarnęła ją fala ulgi. Skoro zgodził się z nią zobaczyć, nie może żywić przesadnie głębokiej nienawiści.

W środku było ciemno. Do wnętrza wpadało niewiele dziennego światła, a ozdobne żyrandole leżące pod ścianą oczekiwały dopiero na instalację. Kilku robotników kręciło się po korytarzu, nosząc pudła, narzędzia i kable.

Kiedy wdrapała się na piąte piętro, nie mogła złapać tchu. Wiedziała jednak, że drżenie nóg bierze się raczej ze strachu niż ze zmęczenia. Przeszła na koniec korytarza i zapukała do świeżo pomalowanych drzwi. Władczy głos rozkazał jej wejść.

Zack siedział przy dużym biurku i przeglądał jakieś dokumenty. Nie podniósł się, gdy weszła.

Nie miała odwagi patrzeć mu w oczy, rozejrzała się zatem po gabinecie. Nagie ściany wciąż czekały na jakąś dekorację, podobnie jak reszta pomieszczenia. Znajdowało się w nim na razie biurko z dwoma krzesłami i niska szafka. Na podłodze nie położono jeszcze dywanu.

– Cześć, Zack – zaczęła. Jej głos odbijał się echem od pustych ścian. – Wybacz, jestem trochę zdyszana od wchodzenia po schodach.

Rzucił przed siebie stos papierów.

– Czekają mnie dziś jeszcze cztery godziny roboty, a słońce zajdzie za trzy – powiedział. – Będę więc wdzięczny, jeśli załatwimy to szybko.

A zatem nie mogła liczyć na żadną taryfę ulgową. Zack nie poprosił nawet, by usiadła; zdjęła przynajmniej beret, chcąc czymś zająć ręce.

– Budowa posuwa się w imponującym tempie. Na pewno jesteście z siebie dumni.

Nadal patrzył na nią z gniewem. Nie miała pomysłu, jak rozluźnić atmosferę.

– A twoi rodzice? – spytała przymilnie. – Dobrze się czują?

– Panno Knox, zapewniam, że nie ma potrzeby celebrować tych wstępów. Prosiłbym, aby przeszła pani do sedna i przestała zadrećcać nas oboje.

Podeszła bliżej i usiadła na wolnym krześle. Zdawała sobie sprawę, że Zack to człowiek interesu, obojętny na puste uprzejmości. Oblizła wargi i przełknęła ślinę.

– Niedawno zdobył pan dla mnie proszek diamentowy – powiedziała, nadal nie patrząc mu w oczy. – Podejrzewam, że wyprodukowała go fabryka Caleba Magruder. Mam rację?

Lekko uniósł brwi.

– Całkowitą.

Wzięła głęboki oddech.

– Mój warsztat rozszerzył ostatnio działalność o produkcję dużych zegarów na potrzeby budynków użyteczności publicznej. Podpisaliśmy kontrakt na czasomierz dla banku na State Street, ale potrzebuję fachowej pomocy przy fabrykowaniu części. Pan Magruder to moja ostatnia deska ratunku. Wydaje się jednak... niezbyt chętny do pomocy.

– Caleb Magruder nigdy nie jest chętny do pomocy. Trzeba przywyknąć.

Znowu zaczęła się bawić beretem.

– Nie będzie ze mną negocjował, bo jestem kobietą. Wiem, że miał też jakieś

kontakty z poprzednim producentem zegarów, który zdążył zresztą w międzyczasie wypaść z rynku. – Spróbowała napotkać jego wzrok. – Potrafiłbyś go jakoś zmiękczyć?

Twarz Zacka pozostawała nieruchoma, choć oczy mu świeciły.

– Bezpański pies miałby mieć wpływ na Caleba Magrudera? Skąd ten pomysł?

Zamarła. Przypomniała sobie nagle scenę na przystanku pod cmentarzem. Zerwała się na nogi i zaczęła krążyć po pustym niemal pokoju.

– Masz prawo czuć do mnie urazę – powiedziała. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Mogła co najwyżej wyrzucić z siebie prawdę. – Tamtego dnia użyłam wyjątkowo nietrafnych sformułowań. Nie miałam żadnego doświadczenia w sprawach uczuciowych i po prostu nie wiedziałam, jak do tego podejść. Byłam głupia i przestraszona. Przepraszam cię.

Ani odrobinę nie zmienił twardego wyrazu twarzy.

– Co zatem dokładnie mam zrobić?

– Mógłbyś przekonać Magrudera, żeby przyjął moje zlecenie? W przeciwieństwie do mnie doskonale wiesz, jak poruszać się wśród elit tego miasta.

– Panno Knox, czy sugeruje pani, że powinienem użyć swoich silnych, ciężkich łap do załatwienia pani kontraktu? Co by na to powiedział złotowłosy pułkownik Lowe?

Odwróciła oczy i znowu zaczęła się przechadzać po gabinecie, stukając obcasami. Nie miała ochoty poruszać z Zackiem tematu Richarda.

– Pułkownik Lowe wyświadczył mi nieocenioną pomoc, ale nie zna Chicago tak dobrze jak ty. Na pewno nic by tu nie wymyślił.

– Może jeszcze mu się uda?

Zeszłego wieczoru zaprosiła Richarda do warsztatu. Spędzili tam wspólnie godzinę. Pokazała mu szkice nowych zegarów, a także gotowe na tę chwilę fragmenty mechanizmu. Nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia. Nadal uważał cały pomysł za chybiony i przyznał, że niezbyt chętnie wyłożyłby pieniądze na ewentualną pomoc.

Znowu spojrzała na Zacka.

– Richard nie ma znajomości w jakiejkolwiek chicagowskiej fabryce. Jest tu przecież obcy.

Wstał, położył ręce na biurku i zmierzył ją takim wzrokiem, jakby była muchą sunącą po kartce.

– Richard Lowe to jeden z najambitniejszych inżynierów w całym stanie. Projektuje mosty i tunele. Myślisz, że nie zna załogi żadnej fabryki przemysłowej?

Zwiesiła ramiona. Jeżeli oczekiwała pomocy, nie mogła zatem kłamać.

– Masz rację – oznajmiła. – Gdyby chciał, na pewno by mi pomógł. Ale on nie chce.

Uśmiechając się kącikiem ust, zaczął jej przypominać wilka.

– A więc złoty pułkownik zaczął się nagle stawiać i tobie się to nie podoba. Czego on chce, Mollie? Żebyś odeszła z firmy? Wyszła za niego za męża, osiadła w Waukegan i zapomniała o tych wszystkich niedorzecznościach?

Zamrugnęła. Richard dokładnie tego sobie życzył. Zaskoczyła ją trafność, z jaką Zack rozszyfrował sytuację. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podeszła do okna i zaczęła się przyglądać pracującym na dole robotnikom.

– Czy on wie, że tu przyszłaś? – spytał zza jej pleców.

– Nie.

Następne zdania wypowiedział w nowym porywie wściekłości:

– A więc nie powinnaś była przychodzić. Wynoś się, Mollie.

Odwróciła się gwałtownie, czując, że ostatnia nadzieja przepadła.

– Zack, nie przyszedłbym, gdyby to nie było ważne. – Starannie dobierała słowa, czując, że los firmy jej ojca wisi na włosku. – Pójdę z torbami, jeśli nie zaczniemy więcej zarabiać. Te zegary...

Przerwał jej gwałtownie.

– Doktor Buchanan opowiedział mi o waszym zegarowym przedsięwzięciu. Życzę wszystkiego najlepszego. Ale nie umiem pomóc.

Podszedł do drzwi gabinetu i otworzył je. Dziewczyna czuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg.

– I nie przychodź tu więcej, Mollie.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

XXVIII

Na Boga, ta kobieta naprawdę miała tupet!

Zack zapatrzył się w okno, czując, jak buzuje w nim złość. Cały ranek spędził nad lawiną rachunków, która runęła na nich bez uprzedzenia i w zasadzie nie wiadomo skąd. Wszyscy dostawcy przypomnieli sobie o ich przedsiębiorstwie w tym samym momencie. Grozili, że wycofają swój towar, jeżeli nie otrzymają natychmiastowej zapłaty. Na jego biurku wylądował jakiś podejrzany pozew sądowy, a jeszcze jedno towarzystwo ubezpieczeniowe akurat teraz odmówiło wypłaty pieniędzy. Rano odebrał przesyłkę: wielką skrzynię z pozłacanym żyrandolem, który pani Hartman zamówiła z Paryża za trzydzieści tysięcy dolarów. Sprzedawca domagał się swoich pieniędzy bezzwłocznie. Jakby tego było mało, robotnicy przekopujący Columbus Street uszkodzili hydrant i pomimo szybkiego opanowania sytuacji, przyczynili się do przesunięcia terminu otwarcia sklepu o kolejne dwa dni.

W środku tego wszystkiego pojawiła się nagle Mollie Knox.

Ona go dosłownie opętała. Wydawało mu się już, że zdołał raz na zawsze wyrzucić ją ze swoich myśli, ale wystarczyła ta jedna wizyta, aby obłęd zaczął się na nowo. Zamiast zgodnie z planem udać się do banku i przedyskutować restrukturyzację kolejnego długu Hartmana, pędził teraz wprost do fabryki Caleba Magruder.

Ten ostatni wydawał się szczerze rozbawiony prośbą Zacka.

– Tak, pamiętam ją – przyznał. – Niemal udało mi się wykiwać tę paniusią przy wycenie matrycy. Naprawdę żałuję, że nie robię interesów z kobietami.

Zack oparł się o szorstką ścianę, unosząc brwi.

– Chciałeś kogoś oszukać przy wycenie sprzętu? Jestem niepokieszony.

– Trzeba sobie jakoś radzić. – Magruder puścił oko.

– Może więc poradziłbyś sobie także z tą matrycą? – zapytał. – Jeśli się nie mylę, brałeś udział w ostatniej wojnie. Tamta pani zatrudnia w swoim warsztacie poszkodowanych weteranów.

Zack podejrzewał, że takie postawienie sprawy nieco zmiękczy opór rozmówcy. Ten jednak niezbyt zważał na jego słowa, pochłonięty nową myślą.

– Hej, czy ja ci przypadkiem nie załatwiłem woreczka proszku diamentowego

w zeszłym roku? Takiego, jakiego używa się w zakładach zegarmistrzowskich? – Jednak nie uzyskał odpowiedzi, więc pokiwał głową. – Teraz już doskonale rozumiem. Nawet zegarmistrz może w dzisiejszych czasach patrzeć na ciebie pięknymi niebieskimi oczkami. To będzie trochę kosztowało, przyjacielu.

Zack przestał podierać ścianę.

– Nie jestem twoim przyjacielem i doskonale wiem, że to będzie kosztowało. Pytanie brzmi: ile?

~
Walenie do drzwi poderwało Mollie na równe nogi. Lupa wypadła jej z oka. Cały warsztat przerwał pracę, dudnienie zaś nie ustawało. Mollie pobiegła, aby otworzyć, zanim nieznajomy zdoła wybić dziurę w drewnie.

– Na litość boską, czy nie można pukać jak człowiek? – zawołała z oburzeniem.

Po drugiej stronie stał Caleb Magruder, trzymając oburącz ogromną stalową matrycę.

– To dla pani – oświadczył. – Jeśli chce pani więcej, oczekuję przedpłaty. Dodatkowo będzie pani musiała spełnić pewne warunki.

Oniemiała z wrażenia. To musiała być sprawka Zacka. Matryca lśniła w słońcu, a dziewczyna od razu oceniła, że jej wymiary idealnie zgadzają się z wytycznymi. A zatem Zack przychylił się do jej prośby, choć w trakcie rozmowy nie okazał ani krzty zainteresowania.

– Litości, to jest strasznie ciężkie!

Cofnęła się.

– Pod ścianą znajdzie się trochę miejsca. Oliver, Alice, pomóżcie mi tu posprzątać!

Należało przenieść parę rzeczy do piwnicy, ale nawet nie zwróciła uwagi na piętrzące się przed nią kłamoty. Wielkie nieba, zdobyła matrycę! Nie mogła się nadziwić jej rozmiarom: okazała się większa niż ona sama!

Mollie poczuła nagły przyływ energii. Wreszcie ruszą z budową zegara dla banku. Kiedy Caleb Magruder postawił matrycę na podłodze, Mollie nie wytrzymała i rzuciła mu się w objęcia.

– Dziękuję! Och, dziękuję panu! – bełkotała.

– Proszę nie dziękować, zanim nie usłyszy pani warunków Kazmarka.

Zamarła na moment, po czym bezszelestnie się od niego odsunęła.

– Podał jakieś warunki?

– Tak, proszę pani. Tę pierwszą matrycę zrobiłem z dobrej woli. Jeśli chce pani otrzymać osiem kolejnych, musi pani się dostosować do warunków Kazmarka.

Ręka jej drżała, kiedy wskazywała nią drogę do swojego biura na tyłach budynku. Wiedziała, że Zackowi nie chodzi o pieniądze. Ostatnio patrzył na nią z taką pogardą, iż na pewno zażąda czegoś znacznie bardziej niewygodnego.

Gdy wreszcie usłyszała od Magruder, o co chodzi, na chwilę odjęło jej mowę.

– Oczekuje czego?

Magruder wzruszył potężnymi ramionami.

– Też mu powiedziałem, że zwariował, ale nie wydawał się tym specjalnie przejęty. Oczekuje, że zrobi pani dla niego czterdzieści zegarków z Kopernikiem. W innym wypadku kończymy współpracę.

Nogi odmówiły Mollie posłuszeństwa, oparła się więc o biurko. Zupełnie zapomniała już o tamtym jesiennym wieczorze w Krause Biergarten, gdzie Ulysses zaproponował znienacka, że mogliby zacząć produkować zegarki upamiętniające dokonania wielkiego polskiego astronoma. Nigdy do tego nie doszło ze względu na wybuch pożaru. Ów niezwykły wieczór wydawał się oddalony o całą wieczność, tymczasem nie minął od niego jeszcze nawet rok. Wspomniała o nim później Zackowi, nie wydawał się jednak zainteresowany zegarkami z Kopernikiem. Dlaczego raptem teraz zmienił zdanie?

– Powiedział po prostu, że zapłaci mi za te matryce, jeśli w zamian dostanie od pani zegarki. W innym wypadku nici z umowy – dodał Magruder, widząc jej zamyślenie.

Caleb Magruder nie miał żadnych dodatkowych informacji. Mollie nie wiedziała zatem, na kiedy zegarki miałyby być gotowe, nie знаła też ich przeznaczenia. Jeszcze nigdy nie robiła aż tylu jednakowych modeli – zwłaszcza nawiązujących do czegoś tak nieoczywistego jak upamiętnienie odkryć Kopernika!

Wolałaby handlować z Czyngis-chanem niż z Zackiem. Nie miała jednak wyboru. Należało jak najszybciej poznać szczegóły tego dziwaczного zamówienia.

≈
Kolejna wizyta u Zacka nie przyniosła żadnych zmian w jego zachowaniu. Znow siedział przy biurku z wrogim wyrazem twarzy i bezosobowo przedstawiał warunki umowy.

– Chcę dostać szkice zegarków z Kopernikiem w ciągu tygodnia. A samą produkcję macie zacząć do końca miesiąca.

Prośba wydała się Mollie zupełnie nierozsądna. Jeśli życzył sobie tak starannie wykończonego towaru, musiała wziąć od niego zaliczkę. Alice wymyśliła jesienią, że zegarek z Kopernikiem będzie wysadzany szlachetnymi kamieniami: rubin miał imitować Słońce, diamenty zaś planety i Księżyc. Takie cacko kosztowałoby fortunę. Mollie nie zamierzała narażać firmy na bankructwo z powodu kaprysu Zacka Kazmarka.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to ryzyko? – spytała. – Niewielu ludzi zechce wyłożyć ogromną sumę na zegarek z Mikołajem Kopernikiem.

– Jeszcze jesienią twierdziłaś, że ludzie na pewno pamiętają szalonego polskiego astronoma, który śmiało wierzył w obroty Ziemi.

– Wątpię, czy wielu Polaków stać na taki wydatek.

Zack zeszywniał.

– Sugerujesz, że jesteśmy bandą portowych zbirów i hodowców drobiu?

Zack często żartował ze swojego polskiego pochodzenia. Teraz po raz pierwszy zobaczyła, jak staje w obronie przodków. Podniosła się z krzesła i podeszła do okna.

– Zdarzało się nam produkować zegarki na wyjątkowe okazje, nigdy jednak więcej niż pięć czy sześć sztuk w danej serii. Taka taktyka zmniejsza rynkowe ryzyko, a także podnosi wartość samych zegarków. Ale czterdzieści? Gdzie ja je sprzedam?

Zack podrapał się po brodzie.

– W Europie mieszkają zamożni Polacy. W Szwajcarii, we Włoszech... Nie obchodzi mnie cena. Sprzedam te zegarki.

– W Europie? – parsknęła. – Dziękuję za wskazanie mi nowego rynku zbytu. Nie mam żadnych kontaktów w Europie i nie zdołałabym ich tak szybko zbudować.

– A ja owszem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Dlaczego miałbyś mi w tym pomóc?

– Robię to dla mojej matki, nie dla ciebie – odparł szorstko. – Od dawna chce poprawić reputację Polski i bardzo spodobał się jej pomysł z zegarkami. Zamierzam sprzedać je w Londynie i we Florencji. Do każdego egzemplarza będzie dołączona karta z biografią Kopernika. To on przygotował grunt dla Galileusza, on, Polak. Świat powinien o tym wiedzieć.

Oczy Zacka lśniły determinacją, której Mollie nigdy wcześniej u niego nie widziała. Nie robił tego wyłącznie dla swojej matki; w jego pomysłach dostrzegła coś głęboko osobistego. Nie mogła jednak narażać biznesu na szwank, pomagając Zackowi w gloryfikowaniu nawet najwybitniejszego polskiego uczonego.

– Mówisz poważnie? – spytała. – Los waszego dziedzictwa narodowego spoczywa w rękach Alice Adair i Illinois Watch Company?

Żaden mięsień twarzy mężczyzny się nie poruszył.

– Dziwne, nie?

Nie chciał zaprzepaścić tej szansy. Uczepił się pomysłu tak szaleńczego, że nawet Silas Knox puknąłby się w czoło, gdyby o nim usłyszał, i nie przemawiały do niego żadne argumenty. A robił to niewątpliwie w celu okazania jej swojej dominacji.

Spróbowała jeszcze raz.

– Zack, naprawdę mi przykro, że nazwałam cię bezpańskim psem. Wcale nie miałam tego na myśli.

Uśmiechnął się lekko, po czym wstał i szepnął jej na ucho:

– Nie martw się, Mollie. Trzymam w pysku wielką stalową matrycę, więc nie jest mi już smutno. A teraz wynoś się i rób zegarki.

To był obłąd. Ale i tak nie miała wyboru.

≈

Pułkownik Lowe aż poczerwieniał, gdy usłyszał o całej historii, ale – jak zawsze – powstrzymał się od jakichkolwiek kąśliwych uwag. Nie podniósł głosu ani o pół tonu, choć jego słowa brzmiały jak zgrzyt stali.

– To jakaś paskudna manipulacja – burknął, kiedy przechadzali się po zatłoczonym targu miejskim w poszukiwaniu świeżych owoców. Mollie cieszyła się na nie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Chwyciła morelę z pierwszego lepszego straganu i rozkoszowała się jej zapachem.

– Wolisz brzoskwinie czy morele? – zapytała. – Niektórym sprawia to ogromną różnicę.

– Weź i jedno, i drugie – nakazał Richard, niecierpliwie uderzając butem o asfalt. – A zatem, Mollie, kiedy spotkałaś się z Kazmarkiem w tej sprawie? Nie powinnaś przebywać sam na sam z takim człowiekiem.

Mollie wrzuciła do koszyka jeszcze kilka owoców.

– On tu dyktuje warunki – powiedziała. – Nie mogę liczyć na pomoc Magrudera, dopóki nie zrobię dla Zacka tych zegarków. Jeżeli muszę przez to przejść, żeby otrzymać matryce, po prostu zacisnę zęby.

W skupieniu przypatrywała się jabłkom, udając zafascynowanie. Woląta to niż widok napiętej twarzy Richarda.

– Ogólnie robisz głupotę – ocenił. – Te części mogą tymczasowo uratować ci skórę, ale... Mollie, pakowanie się w produkcję publicznych zegarów jest bez sensu. Kazmarek rzuca ci linę, na której możesz się co najwyżej powiesić.

Nie przestawała przebierać owoców.

– Ten sektor usług będzie się rozwijać i uratuje nasz budżet – powiedziała. – Chicago tworzy setki nowych budynków, przystanków i parków. Wszędzie potrzeba zegarów.

Sięgnęła po kolejną brzoskwinę, kiedy nagle Richard wyrwał jej koszyk z dłoni.

– Myślę, że popełniasz spory błąd, ale tak naprawdę interesuje mnie, dlaczego zdecydowałaś się pójść z tym do Zacka Kazmarka.

Nigdy nie słyszała w jego głosie takiego wzburzenia. Zamiast odpowiedzieć, ruszyła w stronę kolejnego straganu. Nienawidziła się kłócić.

– Między mną a panem Kazmarkiem nie istnieje żadna więź, jeśli o to ci chodzi.

Richard przypatrywał się jej bez słowa tak długo, że poczuła kropelki potu na

plecach. Wokół koszyka kręciła się muszka owocówka, którą odgoniła energicznym machnięciem. Kobieta sprzedająca pomidory przypatrywała się z uwagą całej scenie, jednak pod wpływem wzroku Mollie natychmiast odwróciła głowę.

– Żadnej więzi? – naciskał Richard. – Czyli Kazmarek nie jest ci bliższy od chłopaka rozwóżającego co rano mleko? A może to właśnie on jest owym tajemniczym mężczyzną, z powodu którego trzymałaś mnie na dystans przez pół roku? Wybacz moją natarczywość, ale umieram z ciekawości.

Straganiarka nadal nasłuchiwała, Mollie odeszła więc kawałek dalej.

– To tylko spotkanie w interesach – szeptała ze znużeniem. – W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zamieniłam z nim zaledwie kilka słów.

Richard nie dbał o to, czy ktoś ich podsłuchuje. Położył ręce na biodrach.

– Ale to musiały być istotne słowa, skoro rumienisz się na samo ich wspomnienie.

Przeszła do następnego straganu, aby pozbyć się wreszcie tamtej wścibskiej sprzedawczyni. Oglądała owoce, szukając ucieczki przed wiszącą w powietrzu awanturą.

– Wiśnie! – zawołała.

– Daj teraz spokój z wiśniami! – Richard rzucił koszyk na ziemię, wzbijając tumany kurzu. Siłą obrócił ją ku sobie. – Czy Kazmarek to człowiek, na którym ci kiedyś zależało? Muszę wiedzieć.

O tej porze na targ przychodziły tłumy. Ludzie napierali na nich ze wszystkich stron. Mollie nie mogła się jednak ruszyć, dopóki Richard nie zwolni uścisku.

– Czy musimy o tym rozmawiać właśnie tutaj? – spytała z wyrzutem. Zdawała sobie sprawę, że sprzedawczyni pomidorów ruszyła w ślad za nimi, żeby nadal podsłuchiwać. – Ta pani, która stoi za tobą, ma chyba problemy ze słuchem. Powinniśmy podejść do jej stoiska z pomidorami, żeby nie przegapiła żadnego szczegółu tej rozmowy.

Richard nie odwracał wzroku.

– Nie zmieniaj tematu. Zależy mi na tobie i nie pozwolę na manipulacje ze strony tamtego typu. Nie zniósłbym tego.

Mollie schyliła się, żeby podnieść koszyk. Nagle poczuła, jak jest gorąco. W duchu złościła się na Richarda za te wymówki. Pamiętała jednak także dzień, kiedy pojawił się znikąd wraz z całym oddziałem żołnierzy i dobrowolnie odbudował dla niej fabrykę. Jak

mogła teraz zachowywać się tak niewdzięcznie, odmawiając mu dostępu do swojej duszy?

– Tak, Richardzie. Zack to właśnie tamten mężczyzna, na którym mi kiedyś zależało. Ale to już przeszłość. Teraz łączą mnie z nim jedynie interesy.

Popatrzył jej w oczy. Chociaż nigdy nie widziała go podczas bitwy, domyślała się, że właśnie tak wyglądał, kiedy wydawał rozkazy.

– A zatem będę ci towarzyszył w trakcie kolejnych spotkań z panem Kazmarkiem. To chyba najlepsze rozwiązanie.

Ulżyło jej. Negocjacje z Zackiem na pewno okażą się łatwiejsze, jeśli Richard stanie przy niej. Posłała mu szczery, promienny uśmiech.

– Bardzo się cieszę.

~
Zack Kazmarek aż prychnął ze złości, kiedy Mollie pojawiła się w jego biurze ze szkicami zegarków, a także z pułkownikiem u boku. Ubrana w czarny kostium, z włosami upiętymi na głowie niczym korona, wyglądała jak arystokratka. Idealnie dopasowała się zatem do eleganckiego stylu byłego dowódcy pułku.

Mężczyzna wstał, kiedy para weszła do jego gabinetu. Zmierzył Richarda spojrzeniem.

– Ach, chodząca legenda.

Pułkownik strzepnął niewidoczny pyłek z koszuli.

– To rodzaj ciężaru. Ale noszę go z dumą.

Zack z powrotem usiadł, jednym ruchem spychając stos dokumentów na krawędź biurka. Wskazał im ruchem ręki, by zajęli miejsca naprzeciw niego. Od czasu ostatniej wizyty Mollie wzbogacił się zatem o jedno dodatkowe krzesło. Poza tym nic się tutaj nie zmieniło; firma nie mogła sobie na razie pozwolić na zbytki w rodzaju dywanów czy obrazów. Było to dość osobliwe, zważywszy na fakt, iż w tym samym budynku mieścił się luksusowy dom towarowy. Zack codziennie przeglądał księgi rachunkowe, rozumiał więc aktualną sytuację lepiej niż ktokolwiek inny. W tym momencie nie odważyłby się wydać ani jednego firmowego dolara na bzdury.

Zupełnie nie rozumiał, po co traci czas na Mollie i jej zegarki. Jeśli pragnął samoudręczenia, powinien wcisnąć głowę w imadło.

– Co mogłaby mi pani pokazać? – zapytał uprzejmie.

Mollie położyła szkic na biurku, żeby mógł mu się spokojnie przyjrzeć. Powróciły do niego wspomnienia tych wszystkich wizyt, jakie złożyła mu w ciągu ostatnich trzech lat. Ile ich było? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Za każdym razem siedział nieruchomo i zadawał pytania obojętnym tonem, udając, że nie działa na niego inteligencja i czar rozmówczyni.

Dzisiaj było podobnie. Mogłoby się wręcz wydawać, że pożar – ze wspólną przeprawą przez niszczące miasto, ucieczką przed szalejącym ogniem, uściskami wśród popiołów – nigdy się nie wydarzył. Pułkownik Lowe siedział obok Mollie, pilnując jej niczym dog angielski, zaś Zack z obojętną miną przypatrywał się rysunkom.

Same szkice ogromnie przypadły mu do gustu. Okazały się odważne, śmiałe i ze wszech miar nietuzinkowe. Jedyne takie słowa cisnęły mu się na usta, czuł także coś w rodzaju absurdalnej dumy. Kobieta zdolna inspirować swoich pracowników do tworzenia tak niezwykłych projektów zasługiwała w jego oczach na głębokie uznanie.

– Alice przeszła sama siebie – mruknął pod nosem.

– To zupełnie niedorzeczne – zaproponował Richard. – Tylko bogaczom może przyjść do głowy takie szastanie pieniędzmi.

Pułkownik się mylił. Co prawda rzeczywiście nie każdego było stać na produkowany przez Mollie zegarek, nie oznaczało to jednak, że owe cacuszka nie przedstawiają żadnej wartości. Zack podniósł szkic do oczu, aby bliżej przyjrzeć się delikatnym liniom sugerującym ruch planet wokół Słońca.

– Widzę w tych rysunkach coś niezwykłego – oświadczył. Podniósł głowę i spojrzał dziewczynie w twarz. – Nie wiem, na jakich zasadach funkcjonuje Układ Słoneczny, przyjmuję więc teorię Kopernika na wiarę. Nie rozumiem, jak Bóg stworzył wszechświat i wszystkie jego elementy, które następnie puścił w ruch. Nie muszę tego rozumieć, żeby wiedzieć. Te zegarki odzwierciedlają wspaniałość Boskiego wszechświata, a zarazem zachęcają do jego kontemplacji. Stanowią zatem hymn na cześć Stworzenia. Święto zaklęte w złoto i rubiny. – Oddał jej rysunek. – Proszę ruszać z produkcją. Nie martwcie się o sprzedaż. Coś wymyślę. Nawet gdybym miał osobiście przetransportować je do Europy i sprzedawać na ulicach, zrobię to.

Mollie wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Zack nigdy nie wyrażał większego zainteresowania jej pracą. Teraz zaś wypowiadał się o niej ze znanstwem, o jakie z pewnością nie można by posądzić Richarda. Uśmiechnął się do dziewczyny z takim entuzjazmem, że musiała mu się odwzajemnić.

Głos pułkownika podziałał na nich jak wiadro zimnej wody.

– Podczas gdy Mollie będzie wyrabiać zegarki, ja zajmę się kwestiami handlowymi. Panna Knox nie powinna się rozpraszać chodzeniem po kontrahentach.

Zack ukrył uśmiech. Kolejny taktyczny błąd Richarda. Mollie kochała ubijać interesy. Cień zniecierpliwienia przemknął jej po twarzy, szybko się jednak opanowała i obdarzyła pułkownika ciepłym uśmiechem.

– Znakomicie. Umówię się zatem z panem w późniejszym terminie, żeby ustalić szczegóły.

Rozwój wypadków mógł się okazać bardzo interesujący. Pułkownik Lowe miał opinię najlepszego wojaka w stanie Illinois, ale zupełnie nie rozumiał Mollie Knox.

XXIX

1 lipca 1872 roku

Zack ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, gdy wysiadał z tramwaju i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku domu. Dokładnie osiem miesięcy i trzy tygodnie po wielkim pożarze, który zmiotł z powierzchni ziemi znaczną część Chicago, dom towarowy Hartmana nareszcie wznowił działalność.

Josephine witała pierwszych klientów w balowej sukni, podczas gdy lokaj wręczał róże wszystkim paniom przekraczającym próg sklepu. Kelnerzy roznosili lampki schłodzonego szampana, nastrojowy dźwięk skrzypiec unosił się w powietrzu, a ludzie zmęczeni odbudową miasta z zachwytem wdychali zapach drogich perfum, tak różny od tego, do czego ich nozdrza przywykły w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. Ktoś przeciął wstęgę, ktoś inny zrobił zdjęcie. Pieniądze znowu zaczęły płynąć do kas nieprzerwanym strumieniem.

Louis Hartman promieniał ze szczęścia, bankierzy klepali Zacka po plecach, a prasa prosiła go o udzielenie wywiadu. To powinien być w zasadzie jeden z najszczęśliwszych dni w jego życiu. I rzeczywiście, bawił się doskonale aż do chwili, w której zobaczył paletę złotych zegarków wystawionych na poduszeczkach z atłasu. Nie mógł nie pomyśleć o Mollie. Właściwie nie miał pewności, czy postąpił właściwie, zlecając jej produkcję partii z Kopernikiem. Rozczulał go entuzjazm dziewczyny. Owa zadziwiająca radość, z jaką poświęcała każdy dzień na odbudowanie pozycji swojej fabryki po katastrofie.

Minęła już dwudziesta, kiedy wreszcie zdołał uciec ze sklepu. Teraz marzył już tylko o własnym łóżku i trzydziestodniowej dawce snu. Pamiętał jednak, że w domu czeka na niego kolejna impreza, przygotowana tym razem przez matkę. Joanna Kazmarek zdecydowała się uczcić zawodowy triumf syna, zapraszając na kolację niemal wszystkich Polaków, jacy mieszkali obecnie w Chicago. Jak mogłaby postąpić inaczej, skoro po raz kolejny okazało się, że dawny magazynier w pełni zasługiwał na pracę w jednej z najbogatszych firm w mieście?

Tłumek ludzi tłoczył się na werandzie. Jakaś jasnowłosa dziewczyna odłączyła się nagle od reszty i ruszyła w jego stronę. Musiała podskoczyć, aby ucałować go w policzek.

– Gratulacje! – zawołała Anka. W jej oczach dostrzegł najczystsza radość.

Dom pachniał pierogami i pieczoną kaczką.

– Jak poszło? – zapytała matka. – Słyszałam, że Columbus Street została całkiem

zakorkowana. Udało się sprzedać Moneta?

Zack skinął głową. Pozbył się obrazu z ciężkim sercem, choć wiedział, że takie rozwiązanie przyniesie mu w niedalekim czasie sporą ulgę.

– Sprzedał się w ciągu godziny – potwierdził. – Zyskałem trzydzieści procent w porównaniu z ceną w Paryżu.

Ojciec Anki poklepał go po plecach.

– Jesteś bogaty! – powiedział z uśmiechem.

Nie całkiem. Podobnie jak połowa innych dostawców towaru, musiał się przygotować na kilkumiesięczny okres oczekiwania na gotówkę. Interes gonił resztką sił. Dzisiejszy utarg ledwie pokryje koszty wynagrodzenia subiektów, a Zack jeszcze długo nie zobaczy pieniędzy należnych mu z tytułu sprzedaży obrazu. Nie miałby jednak serca odmówić Louisowi takiej formy reklamy. Gdyby nie Hartman, do dzisiaj wyładowywałyby skrzynie w porcie. Czuł się w obowiązku służyć firmie aż do zderzenia ostatniej koszuli.

Był tak zmęczony, że najchętniej natychmiast zamknąłby oczy, zapominając o pożarze, Mollie i piętrzących się na jego biurku rachunkach. Uciekł w kąt kuchni. Ze zdziwieniem zobaczył tam doktora Buchanana, który grzał się przy kominku i zajadał potrawkę z wołowiny trzymaną na kolanach.

Zack usiadł obok niego.

– Pan i ja jesteśmy tu chyba jedynymi ludźmi niemówiącymi po polsku.

Dentysta pokiwał głową.

– Lubię słuchać tych ich rozmów, choćby i bez zrozumienia. Dobrze czuć się częścią takiej wielkiej rodziny. – Odłożył opróżniony do czysta talerz.

Zack zapatrzył się na ludzi zgromadzonych przy stole w jadalni. Od czasu pożaru zaczął coraz bardziej doceniać swoje korzenie. Z dumą patrzył, jak polscy imigranci trzymają się razem, by jeszcze efektywniej działać na rzecz odbudowy własnych domów. To samo dotyczyło zresztą ogółu mieszkańców Chicago. Nie przetrwaliby tamtego koszmaru, gdyby nie poczucie wspólnoty i wola współpracy. Ludzie koczujący w kościele stali się na krótki czas braćmi i siostrami. Podobnie jak ekipa Illinois Watch Company.

Doktor Buchanan z tęsknotą zerkał na pusty talerz po potrawce.

– Słuchaj, ty tak naprawdę nie sprzedałeś tego Moneta, prawda? – zapytał.

– Owszem, sprzedałem. – Ostatecznie to nie był przecież portret Mollie. Mollie, z tą swoją siłą i niezmordowanym wycuciem logiki, okazała się znacznie bardziej fascynująca niż dziewczyna Moneta.

Doktor pokiwał głową.

– Może najwyższy czas. Pułkownik Lowe jest teraz stałym bywalcem w Chicago.

Zesztywniał. Przygotowywał się już w myślach na to, że pewnego dnia usłyszy o zaręczynach. Mollie stanie się wtedy dla niego ostatecznie stracona, zupełnie jak ten obraz.

Przyjaciel wskazał wieszak w holu, na którym oprócz płaszczy wisiał także na wpół spalony zielony szal.

– Może tego też powinieneś się już pozbyć?

Zack wzdrygnął się. Ten szal znaczył dla niego stokroć więcej niż wszystkie obrazy świata. Mollie miała go przecież na sobie tamtej nocy, gdy wybuchł pożar. Ów kawałek materiału stał się symbolem siły kobiety, która nigdy się nie poddawała.

– To przecież bzdura – mruknął.

Doktor Buchanan nie dał się zwieść.

– Trzymanie tego tutaj jest niezdrowe. Pozbądź się tej szmaty. Wyrzuć ją do jeziora. Trzeba żyć dalej. Mollie tak właśnie postąpiła.

Nagle wyrosła przed nimi Anka z talerzykiem pokrojonego piernika w dłoniach.

– Jedz. Ciężko pracuj – powiedziała.

Doktor Buchanan sięgnął po ciasto.

– Ty faktycznie ciężko pracowałaś! – powiedział z uznaniem. – Masz talent kulinarny. Taaak, pyszne!

Anka potrząsnęła głową.

– Nie! Ciężko pracuj. Ciężko pracuj, jedz.

Doktor podrapał się w głowę.

– Chyba mamy problem z tłumaczeniem.

Odstawił talerzyk i sięgnął po mały słownik polsko-angielski leżący na półce. Podał go Ance. Dziewczyna zajęła się przerzucaniem kartek. Po dłuższej chwili zebrała wystarczająco dużo słów, aby powiedzieć im, że pracowali bardzo ciężko, więc teraz zasługują na deser.

Doktor przytaknął.

– Zjem absolutnie wszystko, co dla mnie ugotujesz!

Anka usiadła z nimi przy kominku. Jej towarzystwo okazało się zbawienne. Była przemiłą osobą: sumienną, czarującą i absolutnie bezpretensjonalną.

Zack spojrział na zielony szal. Potem na Ankę.

Może doktor miał rację i należało rzucić szal za siebie.

~
– To mi wygląda na najdziwniejszy Czwarty Lipca w historii ludzkości – rzekł Ulysses, nie podnosząc oczu znad kawałka metalu.

Mollie w pełni się z nim zgadzała, choć nic nie mogła na to poradzić. Siostra pułkownika była niezwykle dumna ze swoich dorocznych przyjęć dobroczynnych, wspierających wojenne sieroty. Każdego roku Matilda Horner prosiła najbliższych przyjaciół, aby wybrali sobie jeden stan, reprezentujący którąś z trzynastu dawnych kolonii. Należało przynieść jakąś rzecz kojarzącą się z tym stanem. Goście obecni na przyjęciu nagradzali datkami najbardziej oryginalny pomysł. W tym roku, przez wzgląd na konkury Richarda, pani Horner pozwoliła Mollie dokonać wyboru stanu. W towarzystwie uważano ów fakt za prawdziwy zaszczyt, sama Mollie jednak ubolewała w duchu nad własnym losem: musiała upchnąć w grafik ten nowy obowiązek, tuż obok produkcji zegarków z Kopernikiem oraz pracy nad czasomierzem dla banku.

– Wzięłam Georgię – powiedziała Mollie. – Buntownicze stany są zawsze wybierane jako ostatnie, pomyślałam więc, że zyskam przychylność pani Horner, zdejmując z niej ten kłopot. Tylko nie wiem, co ze sobą przynieść. Może brzoskwinie?

– Przynies wiaderko naboii – poradził Gunner z drugiego końca warsztatu. – Podczas wojny Georgia zużyła ich mnóstwo. – Uniósł kikut lewego ramienia.

Mollie odsunęła sobie kosmyk włosów z czoła.

– Dobrze będzie, jeśli w ogóle się tam pojawię. Przyjęcie wypada dwa dni po terminie oddania do użytku bankowego zegara i pięć dni przed koniecznością skompletowania zamówienia na zegarki z Kopernikiem.

Ku jej zaskoczeniu, Zackowi udało się wcisnąć wszystkie zegarki jakiemuś jubilerowi z Florencji. Richard przekazał nowinę grobowym tonem, a Mollie zabłyszczały oczy. Tak oto stanie się znana również w Europie!

Tegoroczne Święto Niepodległości wypadało dla niej w wyjątkowo nieodpowiednim momencie. Ze znużeniem rozmasowała dłonią obolały kark.

– Nawet nie wiem, skąd wytrzasnąć te owoce. W sklepach stoją pewnie brzoskwinie w puszcze, ale świeżych mogę nigdzie nie dostać.

– To nawet lepiej – powiedział Ulysses. – Wypadniesz bardziej autentycznie. Bez puszkowanych owoców umarlibyśmy w trakcie wojny na szkorbut. – Widząc jej sceptycyzm, uściślił nieco własne stanowisko. – No, mówię ci, te owoce nas uratowały. Jak długo można jeść ryż i fasolę, nie zamieniając się w warzywo?

Mollie zdusiła wybuch śmiechu i wróciła do pracy. Ciągle nie wiedziała, co powinna zabrać na dobroczynne przyjęcie.

≈

Na skrzyżowaniu ulic West i Harrison stał czteropiętrowy, niemal całkowicie ukończony budynek. Pod względem wyglądu różnił się zdecydowanie od eleganckiego gmachu na Columbus Street – postawiono go przecież w dzielnicy zamieszkiwanej przez robotników, niezbyt daleko od portu. Kroki Zacka odbijały się echem w korytarzu na pierwszym piętrze.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zapytał doktor Buchanan, patrząc na nagie ściany kolejnych pokoi. Żaden z nich nie miał okna; co prawda w największym wycięto dwa otwory okienne, ale nie wstawiono w nie ani ram, ani tym bardziej szyb.

– Nie musi być ładny – odparł Zack. – Ważne, żeby był duży.

Na tyle duży, żeby pomieścić wszystkie szpargały rodziców, zbierane w czasie kolejnych fal polskiej imigracji do Stanów. Zack kazałby postawić w poszczególnych pokojach regały, na których można by umieścić posegregowane dokumenty. Te wszystkie świadectwa heroicznej drogi w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie i swoich bliskich. Zbiory dzienników, fotografii i książek na temat Polski. Skoro największe pomieszczenie posiadało otwory okienne, w przyszłości można by tu urządzić czytelną, gdzie każdy chętny w spokoju zagłębiałby się w materiały uzbierane przez Kazmarków.

– Moi rodzice wierzą, że ich zbiory to coś, na co świat czeka z utęsknieniem. Nie wiem, czy mają rację, ale owe „skarby” z całą pewnością zagracają mój dom. Tutaj będzie im znacznie lepiej. Całkiem możliwe, że zwrócą uwagę części mieszkańców Chicago.

W tym domu jego matka miałaby też warunki do ukończenia swojego dzieła o polskich wygnańcach. Zack nie wiedział, czy taka książka kiedykolwiek ujrzy światło dzienne, ale stanowiła ona najgłębsze marzenie pani Kazmarek. Pośród wynajętych ścian znalazłaby ciszę i spokój do pracy.

Doktor Buchanan spojrział na niego niepewnie.

– Czy twoja mama się zgodzi? Bardzo jej zależy na tych papierzyskach.

– Nie pozostawię jej wyboru.

– Mhm, dobrze, dobrze...

Ta roztargniona odpowiedź zaskoczyła Zacka. Doktor zawsze bardzo troszczył się o samopoczucie pani Joanny, ów nagły brak zainteresowania wydawał się zatem podejrzany.

Jakby odczytując myśli towarzysza, doktor znowu przemówił:

– Właściwie to chciałem z tobą porozmawiać. Przymierzałem się do tego już wczoraj wieczorem, ale wokół kręciło się za dużo ludzi.

Zack zamarł. Czyżby Mollie przyjęła wreszcie oświadczyzny pułkownika? Zacisnął pięści i pożałował nagle, że sprzedał tamtego Moneta. Jeśli Mollie faktycznie na zawsze zniknie z jego życia, chciałby przynajmniej dostać obraz z powrotem.

Doktor Buchanan wziął głęboki oddech i spojrział mu w oczy.

– Chcę cię zapytać o Ankę – zaczął. – Wszyscy wokół twierdzą, że jesteście dla siebie stworzeni, ale mijają miesiące i... cóż... ciągle nic się nie dzieje. Rozmawiałem z nią trochę wczoraj. To znaczy próbowałem z nią rozmawiać. Wydaje się mną w jakimś stopniu zainteresowana. Oczywiście musiałem się upewniać co chwila, czy dobrze rozumiem. Ostatecznie poprosiła brata o tłumaczenie. Pomyłki nie było: oświadczyła, że z radością przyjmie moje konkury.

Zack oparł się o ścianę, mocno zaskoczony.

– Taaak...

– Ale w żadnym wypadku nie chciałbym pokrzyżować twoich planów.

Kazmarek roześmiał się cicho. Bardzo lubił towarzystwo Anki, nie wyobrażał sobie jednak, aby między nimi mogło zdarzyć się coś więcej.

– Jak długo będziecie mnie zapraszać na ciasto migdałowe, pozostanę waszym najszczerzym przyjacielem.

Doktor wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

– Dzięki Bogu! – sapnął. – Twoi rodzice traktują mnie jak syna, a za nic w świecie nie chciałbym stracić kolejnej rodziny. I to z powodu kobiety. – Nagle spoważniał. – Nawet nie wiesz, jak to jest żyć w samotności, rok po roku. Ostatnie Boże Narodzenie było dla mnie ogromnie ważne, bo mogłem je spędzić z wami. Od czasu śmierci rodziców zawsze siedziałem w te dni sam jak palec.

Zack poklepał go po ramieniu.

– Dobrze, że jesteś z nami – powiedział całkowicie szczerze. – Oby Anka też to doceniła.

≈ Zack przetarł oczy i przysunął lampę nieco bliżej. Dlaczego książki prawnicze drukowano taką małą czcionką? Pomyślał, że niedługo nad nimi oślepie, nie przejął się tym jednak za bardzo. Jeszcze nic w karierze nie sprawiło mu tyle satysfakcji, co projekt całościowej przebudowy sektora ubezpieczeń. Wiązało się to oczywiście z burzliwymi dyskusjami w gronie agentów ubezpieczeniowych, prawników i polityków. Atmosfera bywała gęsta, on jednak czuł się w swoim żywiole. Nareszcie wiedział, że robi coś naprawdę ważnego.

Jeśli im się powiedzie, mali przedsiębiorcy w rodzaju Mollie czy doktora Buchanana już nigdy nie staną w obliczu bankructwa, nie uzyskawszy pomocy ze strony firm, którym wcześniej zawierzyli.

Kilka godzin temu mama położyła obok niego na stole talerzyk z upieczonym przez Ankę makowcem. Zack nie zdążył go na razie tknąć. Musiał przejrzeć jeszcze trzy sprawozdania przed jutrzejszym spotkaniem.

Nagle rozległo się głośnie walenie do drzwi przerywające kojącą nocną ciszę. Któż mógł chcieć się z nim zobaczyć w piątek po dwudziestej drugiej? Narzucił na siebie sweter i pobiegł sprawdzić.

Na dworze stał Louis Hartman, wściekły jak pies gryziony przez pchły. Cokolwiek go tutaj sprowadzało, z pewnością nie było miłe. Zack zaprosił przyjaciela gestem do środka i zaprowadził do jadalni. Odsunął dla niego krzesło.

– W czym mogę ci pomóc?

Louis bez słowa podał mu kartkę. Treść wiadomości była krótka i konkretna.

Warte trzydzieści tysięcy dolarów żyrandole, które Josephine ostatnio zamówiła, miały zostać odesłane do Paryża w poniedziałek, jeśli Louis za nie wcześniej nie zapłaci. Zackowi zapało dech. Sklep zaczął znowu przyciągać tłumy klientów i dochody wzrastały z każdym dniem, ale miną długie miesiące, zanim zdołają spłacić zobowiązania wobec głównych dostawców. Jeżeli ci ostatni zaczną wycofywać swój towar, grozi im kompromitacja.

– Powiedziałem agentowi, że jutro się z nim spotkamy, by coś ustalić – rzekł Louis.
– Pójdziemy do banku i spróbuję wziąć jeszcze jakąś pożyczkę.

Zebranie w sprawie towarzystw ubezpieczeniowych również miało się odbyć nazajutrz. Potrwa z pewnością do późnych godzin nocnych. Zack przygotowywał się do niego od miesiący.

– Nie mogę z tobą pójść – oświadczył. – Będę na spotkaniu dotyczącym ubezpieczeń. Kluczowym z punktu widzenia całej reformy.

– A ja w poniedziałek będę miał kable zwisające z sufitu zamiast żyrandoli, jeśli czegoś nie załatwimy!

Zack ciężko wypuścił powietrze.

– Co napadło twoją żonę, żeby wydać na żyrandole trzydzieści tysięcy? – zapytał.

Louis uśmiechnął się krzywo.

– Josephine lubi rzeczy najlepsze. Jak dotąd jej gust bardzo pomagał sklepowi.

– A więc zabierz ją jutro do banku. Spotkanie z ubezpieczycielami jest dla mnie zbyt ważne, żebym miał je opuścić.

Louis nic na to nie odpowiedział, ale ścisnął w dłoniach ołówek tak mocno, że zbiały mu palce. W jego oczach błysnęła stal.

– Nigdy nie sądziłem, że będę ci musiał przypominać, w jaki sposób zdobyłeś

wykształcenie – rzekł w końcu. – I jaki spotkałby cię koniec, gdybyś pozostał na stanowisku magazyniera w porcie. Odrobina lojalności na pewno tu nie zaszkodzi.

Zack pochylił się, a w jego głosie pobrzmiwała wstrzymywana od dawna agresja.

– Zachowałem pełną lojalność, usiłując odkupić od Mollie Knox jej firmę, choć zgodnie z prawem pozostawała właścicielką części naszego biznesu.

– To było całkowicie legalne – odrzekł spokojnie Hartman. – Złamałbyś zasadę poufności, gdybyś jej wtedy powiedział więcej.

– Może i było legalne, ale kosztowało mnie utratę kobiety, którą kocham – wybuchnął Zack. – Kobiety, którą kochałem od trzech lat. Nie mogę pozostawać wiecznie lojalny wobec jakiegoś sklepu! A już na pewno nie w momencie, kiedy pracuję nad ważną ustawą ochraniającą miejskich przedsiębiorców! – Zack rzucił Louisowi kartkę przez stół. – Znajdź sobie innego prawnika, żeby ci to załatwiał.

Louis skoczył na równe nogi.

– Zaciągnąłeś u mnie dług, którego nigdy nie spłacisz. Nigdy!

Zack również wstał.

– Zatrzymaj pieniądze ze sprzedaży Moneta. To powinno wystarczyć na spłatę stypendium, jakie ufundowałeś mi na studia w Yale. Jesteśmy kwita. Odchodzę, Louis.

Hartman oniemiał. Zaczął poprawiać kołnierzyk koszuli, która przestała na niego pasować, odkąd w ciągu ostatnich miesięcy stracił na wadze. Zack ciężko westchnął.

– Kontrahent oczekuje swoich pieniędzy, nie jakichś nędznych żyrandoli. Powiedzcie mu, że szybciej otrzyma zapłatę, jeśli pozwoli sklepowi normalnie pracować. Na ten moment nic więcej nie ustalicie.

Ręce Louisa drżały, kiedy sięgał po notatkę leżącą na stole. Zacka ogarnęły wyrzuty sumienia. Ten człowiek był dla niego niemal jak ojciec. Sprytny, niedoskonały ojciec, który często ryzykował i czasami przegrywał.

– Przykro mi, że to się tak zakończyło – powiedział sztywno Louis.

– Mnie też – odparł Zack bez wahania.

XXX

Mollie została poproszona przez załogę, aby nie patrzyła w górę w trakcie instalacji zegara na wieżyczce banku. Nie potrafiła jednak usłuchać. Drżała za każdym razem, kiedy lina zaczynała nieco szarpać zegarem zawieszonym dziesięć... dwadzieścia... pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Ogromny czasomierz wydawał się nieco mniejszy z tej perspektywy. Czterech roślących robotników stało na szczycie rusztowania i oczekiwało na zegar, który lada chwila miał trafić do ich rąk.

– Oddychaj, Mollie – polecił Ulysses.

– Nie mogę – jęknęła. – Moje ukochane dziecko wisi kilkadziesiąt metrów nad ziemią, a ta lina wygląda, jakby zaraz miała się zerwać.

Wygięła szyję, by lepiej widzieć. Musiała ochraniać oczy dłonią przed zbyt ostrym słońcem. O mało nie krzyknęła, patrząc, jak robotnicy „tańczyli” na rusztowaniu, usiłując umieścić ogromny zegar we właściwej pozycji. Podobne emocje towarzyszyły pozostałym pracownikom warsztatu, którzy pojawili się w komplecie, żeby podziwiać triumfalną drogę zegara. Oprócz nich zebrało się jeszcze sporo gapiów i majstrów z okolicznych placów budowy.

Aż do ostatniej chwili nie wierzyła, że to się powiedzie. Kiedy mężczyźni umieścili wreszcie zegar na wieży, ze wszystkich stron rozległy się oklaski. Gunner poklepał ją po plecach.

– Wygląda dobrze, Mollie – powiedział.

Przyjrzała się swojemu dziełu. Wokół zegara umieszczono ozdobne filary, przez co wyglądał, jakby był nawet nieco większy niż w rzeczywistości. Wewnątrz budynku stał Oliver Wilkes, czuwając nad poprawnym zamontowaniem ostatnich części oraz wprawieniem mechanizmu w ruch.

– To było ogromne wyzwanie, a ja pomagałam! – zawołała z dumą Sophie stojąca obok Alice. Mollie uśmiechnęła się do dziewczynki, która bynajmniej nie kłamała. Spędzała w warsztacie średnio sześć godzin w tygodniu, a jej entuzjazm na początku mocno kontrastował z rezerwą reszty ekipy.

Nagle Mollie dostrzegła kątem oka jakiegoś ciemnowłosego mężczyznę, który jednak natychmiast zniknął w tłumie. Wydawał się znajomy. Niewiele myśląc, ruszyła w tamtą stronę.

– Declan? – spytała samą siebie z niedowierzaniem.

Nabrawszy w duchu pewności, że to on, zaczęła się przeciskać przez tłum gapiów.

– Declan! – krzyknęła.

Przyśpieszył kroku. Nie rozumiała tego; dlaczego miałby przed nią uciekać? W miejscu, gdzie tłum odrobinę się przerzedził, dogoniła go już jednak bez trudu.

– Nie musisz się przede mną chować! – zawołała. – Nie jestem obrażona.

Zatrzymał się, patrząc na nią czujnie.

– Na pewno?

Kiedy wreszcie stanęła obok niego, nie mogła złapać tchu. Trąciła go łokciem po przyjacielsku.

– Nie bądź głupi. Dobrze cię widzieć.

– Wydawałaś się niepokieszona, kiedy odszedłem z firmy.

Westchnęła.

– Chciałam dla ciebie jak najlepiej. Ale... wielkie nieba... ty świetnie wyglądasz!

Rzeczywiście, nie dość, że promieniał zdrowiem, to jeszcze miał na sobie nowe ubranie i zdążył zapuścić bródkę. Mollie zebrało się na płacz, nie mogła jednak zalać się łzami w obecności Declana McNabba... Przeszło jej przez myśl, że bez niej przyjaciel faktycznie lepiej sobie radzi w życiu.

– Zegar jest imponujący, Mollie. Naprawdę imponujący.

– To zasługa Alice. Narysowała dwadzieścia różnych szkiców. Wybraliśmy spośród nich cztery, pokazaliśmy bankierom, a oni nie kryli zachwyty.

– Dobrze cię znowu zobaczyć. Właściwie nie miałem zamiaru tu przychodzić, bo przecież nijak nie przyczyniłem się do waszego sukcesu. Możesz przekazać pozostałym, że ich praca wywarła na mnie wielkie wrażenie?

– Jasne!

Nerwowo zastukał butem o asfalt.

– Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że posłuchałem twojej rady. Poszedłem do kościoła. Na początku źle znosiłem tłumy, ale to dość szybko minęło i czuję się lepiej. Nie wiem, czy kiedykolwiek pozbięram się do końca, jednak dzięki modlitwie i wsłuchiowaniu się w naukę Jezusa przestałem obsesyjnie bać się śmierci.

– Z drogi, ludzie! – Usłyszeli za sobą niespodziewanie. Jacyś majstrzy wieźli na taczkach cegły i zaprawę murarską.

Declan chwycił Mollie za rękę, ciągnąc ją na chodnik.

– Za rogiem sprzedają precle. Masz ochotę?

Ruszyła za nim z uśmiechem. Zaopatrzyli się w jedzenie i usiedli na jakiejś ławce. Mollie łapczywie pochłonięła pierwszego precla, myśląc już o następnym. Od pewnego czasu już ich nie kupowała, ponieważ Richard nie pochwalał jedzenia palcami. Declan opowiedział jej o swojej nowej pracy w banku. Na razie zajmował się drobnostkami, ale we wrześniu zamierzał rozpocząć kurs księgowości.

– Właśnie to chciałem robić przed wojną – zwierzył się jej. – Zabawa liczbami zawsze sprawiała mi radość. Zack Kazmarek powiedział, że napisze mi rekomendację, jeśli będę potrzebował.

Usłyszawszy to nazwisko, Mollie na moment straciła oddech.

– Nie wiedziałam, że utrzymujesz kontakt z Zackiem.

Declan rzucił kilka okruszków spacerującym po chodniku gołębom.

– W Milwaukee nawiązała się między nami przyjaźń. To porządny facet.

Spojrzała na niego uważnie.

– W Milwaukee?

– No, przecież spędziliśmy tam dłuższą chwilę – odparł. – Sporo czasu zajęła nam też jazda pociągiem. Z nudy bez przerwy gadaliśmy. A potem...

– W Milwaukee! – przerwała Mollie niecierpliwie. – Chodzi ci o tamtą wyprawę, podczas której złapano Coultera?

Declan się lekko zmieszał.

– No, tak.

– Nie miałam pojęcia, że Zack pojechał wtedy z wami.

Rozmówca w zamyśleniu kiwnął głową, przypominając sobie niedawne wypadki.

– To Zack wszystko zaplanował. Miał jakieś kontakty w tamtejszej policji, więc funkcjonariusze pomogli nam namierzyć gang Coultera.

– Myślałam, że to wszystko było zasługą pułkownika Lowe’a.

Declan zaprzeczył ruchem głowy.

– Pułkownik też pojechał, ale to Zack kierował akcją.

Przypatrywała się gołębiom, nie mogąc zebrać myśli. Declan mówił dalej, rozwodząc się nad detalami bohaterskiego przedsięwzięcia. Mollie nigdy nie zapytała Richarda o szczegóły; wydawało się jej oczywiste, że to on koordynował wyjazd i podejmował strategiczne decyzje. Sam pułkownik właściwie niewiele mówił na ten temat – dotąd sądziła, że kierowała nim po prostu skromność.

A Zack... Kiedy tylko dowiedziała się o aresztowaniu brata Raymonda Coultera, natychmiast poszła na cmentarz, by podzielić się tą wiadomością z Frankiem. Zack ją śledził. Zamiast podziękować za pomoc, wyzwalała go od bezpańskiego psa.

Poderwała się z ławki.

– Muszę się z kimś spotkać – wymamrotała, pozostawiając zdziwionego Declana z gołębiami.

~

Gdy dotarła do dzielnicy, w której mieszkał Zack, z trudem oddychała. Cała ta wyprawa była czystym szaleństwem: powinna teraz robić zakupy na przyjęcie siostry Richarda. Czowała jednak, że rozmowa z Zackiem nie może poczekać. Brzoskwinie zdobędzie później. Jeśli natychmiast nie porozmawia z młodym Kazmarkiem, spali się ze wstydu i przestanie przedstawiać dla świata jakąkolwiek wartość.

Wyskoczyła pędem z tramwaju, podwinęła sukienkę i ruszyła do domu Zacka. Czy on w ogóle zechce ją widzieć? Pomyślała, że nie zazna spokoju, dopóki nie zrzuci z siebie ciężaru winy. Zack pojechał do Milwaukee i ścigał bandę przestępców, którzy zamordowali jej najlepszego przyjaciela... ona zaś nawet za to nie podziękowała! Wręcz przeciwnie: w swej wspaniałomyślności wyjaśniła mu, jaki jest jego status w porównaniu z pułkownikiem Lowe’em. A potem kazała mu się wynosić.

Kiedy znalazła się na wprost jego posiadłości, stanęła jak wryta. Przed budynkiem dostrzegła dwa wozy zaprzężone w konie. Drzwi frontowe były otwarte na oścież, a jacyś ludzie wynosili z wnętrza wielkie kartonowe pudła.

Czyżby się wyprowadzał? Oba wozy wyglądały tak solidnie, że spokojnie można by na nie załadować cały asortyment dowolnego sklepu.

Poczuła motylki w brzuchu, zanim jeszcze zdążyła przejść przez ulicę. Z domu Zacka wyszła piękna blondynka i lekko sfrunęła po schodach. Mollie zacisnęła wargi. Włosy kobiety rozwiewały się na wietrze, pod pachą niosła kilka książek. Mollie odruchowo dotknęła własnej fryzury – prostego końskiego ogona, naprędce zebranego na głowie przed wyjściem z domu. Zack na pewno uwielbiał uczesanie tamtej obcej kobiety.

Anna? Anka? Mniejsza już nawet o imię. To właśnie ją widziała z Zackiem owego słonecznego popołudnia w Claxton Park na koncercie muzyki folkowej. Najpierw pod sceną, później przy jakimś stoliku. Przez cały czas śmiali się do rozpuku. Mollie miała nadzieję, że dusza kobiety dorównuje urodą ciała. Zack zasługiwał na wspaniałą towarzyszkę życia.

– Co ty tu robisz?

Zamarła. Stał u szczytu schodów z pudłem w rękach. Rozpięty kołnierz jego białej koszuli odsłaniał skrawek jasnej skóry. Mollie zaschło w gardle.

Zack zniósł pudło i podał je robotnikowi. Wytarł dłonie o koszulę, odwracając się do niej. W oczach miał ciekawość, bez śladu gniewu.

– Mollie? Co cię tutaj sprowadza?

Częściowo odzyskała mowę.

– Ja tylko...

Miała ochotę rzucić mu się do stóp w zamian za to, co zrobił dla Franka. Poświęcił swój cenny czas, a nawet ryzykował życie, i nie chciał nic w zamian. Jakiś facet popchnął ją niechcący, niosąc kolejne pudło. Czowała się oszołomiona. Było gorąco, bolały ją nogi, a Zack wydawał się wyższy i silniejszy niż dawniej.

Złapał ją za ramię.

– Wejdz do środka – powiedział. – Wyglądasz, jakbyś miała dostać zawału.

Na litość boską, co ona tutaj robiła? Nie widzieli się od miesiąca, czyli od czasu, kiedy w towarzystwie pułkownika Lowe'a prezentowała mu zegarki z Kopernikiem.

Zaprowadził ją do jadalni służącej mu od dawna także za gabinet. Zrzuciwszy z krzesła stos dokumentów w sprawie firm ubezpieczeniowych, nakazał jej gestem, by usiadła. Sam przysunął sobie drugie krzesło. Wolałby więcej nie widzieć tej dziewczyny. Łatwiej byłoby mu się pogodzić ze stratą.

Palce Mollie wydawały się bardzo długie i delikatne, gdy splotła je przed sobą na kolanach. Te palce umiały łączyć z sobą kawałki metalu w taki sposób, że powstawały z nich wspaniałe zegarki. Dziś jednak sprawiały, że wyglądała na spłoszoną niczym koliber. Na Boga, zaraz powie mu z pewnością, że wychodzi za pułkownika, za złotowłosego chłopca czyniącego cuda. Zack wziął do ręki ołówek, żeby się czymś zająć i przyjąć cios po męsku.

– Co się dzieje, Mollie? Po prostu mi powiedz. Przecież nie odgryzę ci głowy.

Wstrzymał oddech, bojąc się tego, co zaraz nastąpi. W końcu spojrzała mu w oczy.

– Przyszłam podziękować ci za to, co zrobiłeś w Milwaukee.

Rozdziawił usta z zaskoczenia. Chciała chyba coś jeszcze dodać, ale wtem jej piękne błękitne oczy zaszyły łzami. Musiał się siłą powstrzymać, aby nie chwycić jej w ramiona, kołyszając jak dziecko.

Zachowywał absolutny spokój.

– Zapomnij o tym, Mollie. To bez znaczenia.

– Zack, nie wiedziałam, że to ty! Nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mogłeś mieć coś wspólnego ze schwytniem tamtych zbirów. Declan mnie oświecił. Naprawdę nie wiedziałam. Cały sukces przypisałam Richardowi.

Przestał się bawić ołówkiem.

– Chwalił się?

– Nie, po prostu przyjąłem to za pewnik i wcale nie pytałem. Przepraszam cię za tamtą scenę na cmentarzu. Jest mi strasznie wstyd... – szeptała z rozgorączkowaniem.

– Zapomnij o tym. Stare dzieje – powtórzył. Czuł, że przypłaci tę rozmowę migreną. – Słuchaj, to nie jest najlepszy moment na rozmowę. Znalazłem miejsce, w którym moja matka będzie mogła przechowywać polskie skarby narodowe. Ich

transport potrwa pewnie do końca dnia, więc jeśli chciałabyś coś jeszcze powiedzieć...

Pociągnęła nosem.

– Nie, to wszystko. Ale nadal czuję...

– Zachariasz? – Usłyszeli. Anka wetknęła głowę przez szparę w drzwiach. – Matka mówi jeść. Pierogi. Pierogi na kuchnia.

– Nie teraz, Anka. Później.

Wyglądała na zmieszaną. Potrafiła już powiedzieć parę nieskładnych zdań po angielsku, niewiele jednak rozumiała. Wstał i pokazał jej obie dłonie.

– Dziesięć minut. Powiedz matce, że za dziesięć minut.

Powtórzyła dokładnie jego gesty.

– Dziesięć minut – wyjąkała z szerokim uśmiechem i kiepskim akcentem. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Mollie odchrząknęła.

– Jest urocza. Czy to ta pani, z którą widziałam cię wiosną?

– Tak. Ma na imię Anka.

– Wydaje się stworzona dla ciebie. Bardzo polska. Bardzo ładna. – Wstała. – Cóż, życzę wam zatem wszystkiego najlep... – Przerwała gwałtownie, patrząc na coś leżącego za nim. Nawet nie musiał pytać, o co chodzi. – Czy to mój... – Znowu nie dokończyła. Przeszła przez pokój i chwyciła zielony szal, który leżał na półce. – Skąd on się tutaj wziął?

Wbił wzrok w podłogę. Nie umiałby skłamać w kwestii szala. Mógł udawać, że jej odwiedziny nie budzą w nim głębszych emocji. Mógł przemilczeć nieadekwatność małżeńskich gratulacji Mollie. Nie umiał jednak łączyć o pastelowym kawałku materiału.

– Znalazłem szal w kościele i trzymam go tutaj, bo przypomina mi tamtą noc – powiedział po prostu. – Mollie, zachowywałaś się niesamowicie w czasie pożaru. Jak wojowniczką. Nawet gdybym miał żyć tysiąc lat, nigdy nie zapomnę, jak biegłaś w tym szalu przez płonące ulice.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem zaś pokręciła głową.

– Nie jestem tą osobą, którą właśnie opisałeś. Przerazenie chwyciło mnie za gardło mocniej niż dym. Przez ostatnie dziewięć miesięcy starałam się odbudować swoje stare życie, wciąż jednak rozpamiętuję wybuchające budynki i walące się ściany. Chciałabym cofnąć czas do siódmego października tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku i wysłać na ulice tysiące strażaków, żeby w porę zapobiegli katastrofie. Chciałabym, żeby wszystko było jak wcześniej.

Zack utkwiał wzrok w zieleni szala. Gdyby pożar nigdy nie wybuchł, nadal pracowałby u Hartmana i wypatrywał każdej kolejnej wizyty Mollie. Nie posunąłby się ani o krok dalej; mimo upływu lat ciągle podpisywałby z nią po prostu umowy na zegarki. I nigdy nie poznałby siły i determinacji tej kobiety.

– Ja nie żałuję niczego – oświadczył szczerze. – Świat nie będzie już taki sam, dla żadnego z nas. I myślę, że to dobrze.

Mollie zgarbiła się, jakby nagle się postarzała. Pod jej oczami pojawiły się cienie, a twarz wykrzywił grymas. W taki sposób odbiło się na niej dziewięć miesięcy ustawicznej walki o przetrwanie.

– Nie zgadzam się. Najchętniej wróciłabym do swojego dawnego świata. Już chyba nigdy nie poczuje się bezpieczna.

– Nadal dręczą cię koszmary? – zapytał miękko.

Skinęła głową.

– Co prawda nie są już związane z Frankiem, tylko z tymi zegarami. Wczoraj śniło mi się, że zegar na bankowej wieży zaczyna się chwiać, a ja wdrapuję się na górę, by go ratować. Pięłam się i pięłam, a szczyt cały czas był strasznie daleko. Wciąż czułam, że zaraz spadnę. – Przypatrzyła mu się uważniej. – A ty nadal tak reagujesz na dzwony?

– Tak.

Z jakichś niezrozumiałych powodów uradowało ją to.

– No cóż! Czyli dla ciebie pożar również nie był dziecinną igraszka.

Przygryzł wargę.

– Nigdy nie twierdziłem, że pożar to coś radosnego, Mollie, ale te najgorsze rzeczy czynią nas czasem lepszymi ludźmi.

Znowu na moment się „postarzała”. Pochyliła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Jestem już zmęczona. Bardzo zmęczona. Chcę się znowu czuć bezpiecznie.

Głos dziewczyny drżał z wyczerpania, on zaś zrobiłby wszystko, aby jej jakoś pomóc. Sprzedałby ostatnią koszulę, gdyby dzięki temu zaznała jednej nocy bez koszmarów.

Zack spuścił głowę. Nie mógł dać Mollie poczucia stabilizacji, którego tak bardzo potrzebowała. Nie miał już teraz nawet pracy. Pułkownik Lowe na pewno lepiej sprawdzi się w roli jej męża: będzie przy nim bezpieczna i wolna od trosk finansowych. Z Zackiem żyłoby się jej znacznie trudniej, jako że należał do ludzi ceniących sobie ponad wszystko nowe, poważne i nieszablonowe wyzwania, w rodzaju batalii o uporządkowanie systemu ubezpieczeń. Projektowana przy jego udziale zmiana prawa okaże się pionierska nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także na całym świecie – jednak nie zarobi na niej zapewne ani centa.

Przyznawał w duchu, że dziewczyna postąpiła bardzo rozsądnie, wybierając Richarda. Za bardzo kochał Mollie, aby ciągnąć ją ze sobą w nieznane.

– Wracaj do pułkownika Lowe’a – szepnął miękko. – Tylko zostaw mi szal.

W elegancko urządzonego saloniku Matildy Lowe Horner, otoczona setką najznakomitszych obywateli Chicago, Mollie miała ochotę zapaść się pod ziemię na wieki.

Najwyraźniej niezupełnie rozumiała, co oznaczało dla gospodyni pojęcie prezentowania dawnych kolonii. Pani Durant, matka Sophie, jako pierwsza przedstawiła zebranym swój pomysł. Zaprezentowała Delaware, zwany „pierwszym stanem” z powodu przodownictwa w ratyfikowaniu konstytucji. Charlotte Durant podarowała każdemu gościowi kopię ustawy zasadniczej w twardej oprawie, ze wspaniałymi reprintami oryginalnych dokumentów ojców założycieli. Księga spoczywała na kolanach Mollie, podczas gdy dziewczyna gryzła wargi ze zmartwienia.

Wydawało się jej, że każda kolejna prezentacja jest bardziej niezwykła od poprzedniej. Kobieta przedstawiająca Maryland przyniosła ostrygi. Mollie ogromnie podobał się ten pomysł, dopóki nie zauważyła, że wszystkie małże skrywają w środku najprawdziwsze perły. Z zazdrością patrzyła na aktorkę grającą Pocahontas [13], która prosiła Anglików o datki na budowę szkoły dla indiańskich dzieci. Jej monolog ilustrował stan Wirginia. Po krótkim spektaklu aktorka obdarowała wszystkich panów cygarami w ręcznie rzeźbionych humidorach.

A Mollie przyniosła puszkę brzoskwiń.

Richard nie posiadał się z przerażenia, gdy zajechał powozem pod jej dom i zobaczył w dłoniach dziewczyny dziewięciolitrowe opakowanie owoców. Pani Horner okazała znacznie więcej taktu – zabrała Mollie do kuchni i przelała zawartość puszek do wielkiej, ozdobnej misy z kryształu. Ale nawet w tak gustownym naczyniu brzoskwinie pozostawały zwykłymi brzoskwiniami.

Pokaz trwał w najlepsze. Starsza pani w sukni z błyszczącego jedwabiu wniosła na scenę duży prostokątny przedmiot okryty gustowną narzutą. Przypomniała zebranemu audytorium, że stan New Jersey utożsamiany bywa często ze szczygłem. Jednym ruchem odrzuciła narzutę i przedstawiła widowni akwarelę prezentującą szczygielka – oryginalne dzieło słynnego malarza, Johna Jamesa Audubona [14].

– Przekazuję ten obraz na rzecz fundacji naszej szanownej gospodyni. Dochód z jego sprzedaży z pewnością przyczyni się do skuteczniejszego niesienia pomocy wojennym sierotom – powiedziała.

Zewsząd rozległy się donośne oklaski. Mollie poczuła skurcz w gardle, gdyż nieuchronnie zbliżała się jej kolej. Jak zdoła z tego wybrnąć?

Misa z brzoskwiniami spoczywała smętnie na starannie nakrytym stole. Mollie podeszła do niej, czując się niczym skazaniec idący na szafot. Zaskoczył ją ciężar naczyń, gdy taszczyła je na podium. Sto par oczu wlepiało w nią wzrok, lecz nikt się nie odzywał.

Wszyscy ci ludzie wyglądali i zachowywali się nienagannie. A ona czuła się jak idiotka, stojąc przed nimi z miską brzoskwiń.

Odchrząknęła.

– Najlepsze brzoskwinie uprawia się w Georgii – oznajmiła. Cóż jeszcze mogła powiedzieć? W przeciągającej się ciszy przypomniała sobie nagle niedawne słowa Ulyssesa i chwyciła się ich jak tonący brzytwy. – Puszkowane owoce są bardzo pożywne – podkreśliła. – W czasie wojny pomagały zapobiegać szkorbutowi.

Richard siedział w pierwszym rzędzie. Jego spojrzenie mogłoby powalić konia. Występujące wcześniej panie patrzyły na Mollie ze zmieszaniem, Pocahontas zaś otwarcie chichotała w kącie. Pan Horner pochylił się nad żoną i powiedział jej do ucha teatralnym szeptem:

– Kto wie, jak bardzo zwiększyłaby się liczba sierot, gdyby nie brzoskwinie z puszek!

Jego głos wybrzmiał tak donośnie, że słyszano go w każdej części pokoju. Gospodarz musiał zakryć usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Mollie przybrała swój najmiłszy wyraz twarzy.

– Dobrze powiedziane, proszę pana!

Tym razem śmiech był już powszechny. Serdeczny i niepowstrzymany. Kiedy wracała na swoje miejsce, kilku dżentelmenów podeszło, by uścisnąć jej dłoń. Jakiś starszy jegomość pochylił się nad nią i rzekł:

– Dziękujemy za uświetnienie tego wieczoru!

W końcu znalazła się tuż obok Richarda.

– Nie było tak źle, prawda?

Z kamienną twarzą wpatrywał się w podium, na które wkraczała właśnie Miss Nowego Jorku.

≈ Jeszcze przed końcem wieczoru Mollie przestała sobie wyrzucać ową wpadkę z brzoskwiniami. Dyrektor banku na State Street również był obecny na przyjęciu i entuzjastycznie wypowiadał się o skonstruowanym w jej warsztacie zegarze.

– Co prawda nie wpuściłbym pani do mojej kuchni, ale może pani pracować nad każdym zegarem, którego bym w przyszłości potrzebował.

Mollie gawędziła z Durantami, wkrótce stała się też najbardziej rozpoznawalną osobą na sali. Wszystko dzięki zegarowi. Bank nie został jeszcze nawet otwarty, ale całe miasto mogło już podziwiać jego imponującą wieżę.

– Wszystko wraca do normalności – cieszyła się pani prezentująca wcześniej Maryland. – Kiedy jechałam przez State Street i patrzyłam na te wszystkie wysokie budynki, łązy same cisnęły mi się do oczu.

Richard bawił się znacznie gorzej niż ona. Gdy znowu usiedli obok siebie w powozie, poczekał, aż służący zatrzaśnie drzwiczki, zanim utkwił w Mollie nieprzychylnie spojrzenie.

– Szkorbut?

Dziewczyna nie okazywała skruchy.

– Tak, skorbut. Ulysses wspominał ostatnio coś na ten temat.

– Wyobrażam sobie – mruknął Richard i zapatrzył się w okno nieobecny wzrokiem.

Powóz trzął się na nierównej nawierzchni, Mollie zaś pomyślała, że być może zbyt lekko podeszła do zmiany nastroju Richarda. Ze wszystkich sił postarała się brzmieć kojąco:

– Przykro mi, jeśli wstydzisz się za mnie przed swoją siostrą. Powinnam była się lepiej przygotować. Przysięgam, że już nigdy nie pokażę się w towarzystwie z brzoskwiniami w puszcze.

– To nie ja powinienem się wstydzić, tylko ty. – Nawet na nią nie spojrzał, wypowiadając te słowa.

Ostatnie zdanie zawisło w mroku nocy. Na początku faktycznie wstydziała się, widząc, co przygotowały inne panie, ale ów nietakt prędko zatarł się w świadomości osób

obecnych na przyjęciu. Ostatecznie to tylko głupie nieporozumienie. Całymi miesiącami drżała o los firmy, sypiąc rozpaczliwymi pomysłami jak z rękawa, a Richard potrafił ją wyłącznie strofować.

Nie potrzebowała ciągłych nagan, potrzebowała wsparcia! Nigdy nie rozmawiała z nim na temat swoich obaw i marzeń związanych z firmą, wiedziała bowiem, że on ich nie zrozumie. Nagle przyszła jej do głowy smutna konstatacja: pięć minut spędzonych w jadalni Zacka przyniosło jej znacznie więcej pocieszenia niż wszystkie te miesiące u boku Richarda.

Pułkownik był zbyt dobrze wychowany, by się kłócić, ale nadal widziała na jego twarzy złość. Zraniło ją to. Wyrzała przez okno i natychmiast oczarował ją obraz domów skąpanych w księżycowym świetle. Jeśli wyjdzie za Richarda, nigdy już nie będzie się martwić o pieniądze. Prędzej czy później pewnie zostawi firmę, a dalszy byt zegarkowego interesu komu innemu zacznie spędzać sen z powiek.

Tyle że pieniądze nie rozwiązywały wszystkich problemów. Richard miał wiele zalet, nie rozumiał jednak porywów serca Mollie. Nigdy nie będzie czuła się tak do końca sobą w tym jego świecie obwarowanym sztywnymi regułami.

Zaczerpnęła powietrza i znowu odwróciła się do swojego towarzysza.

– Nie jestem pewna, czy mogę wyjść za człowieka, który ciska na mnie gromy z powodu puszek brzoskwiń.

– Co?

Teraz już przynajmniej na nią patrzył, ale to z kolei utrudniało jej ubieranie myśli w słowa.

– Przykro mi, że cię dziś rozczarowałam. Jesteś wspaniałym człowiekiem i powinnam się pewnie bardziej starać, ale daleko mi do ideału. Szybko przekonałbyś się o tym, gdybyśmy wzięli ślub, obawiam się więc, iż do niego nie dojdzie. Nie pasujemy do siebie.

– Nie mogę uwierzyć, że odrzucasz mnie z powodu puszek brzoskwiń – bąknął w osłupieniu.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie, nie o to chodzi.

Odrzucała jego oświadczenia, ponieważ nigdy nie czułaby się komfortowo jako

żona słynnego pułkownika Richarda Lowe'a. Chciała po prostu produkować swoje zegary. Pragnęła też mężczyzny, który kochałby w niej wszystko, łącznie z jej wadami.

Prawdopodobnie na zawsze straciła Zacka Kazmarka, lecz nie oznaczało to, że rzuci się w ramiona kogoś, kogo nie kocha. W ciągu ostatnich miesięcy rozpaczliwie starała się rozniecić w sobie płomień uczucia dla Richarda. Na próżno. Żywiła wobec niego wyłącznie wdzięczność.

Tak, pozostanie mu dogonnie wdzięczna za pomoc, jaką wyświadczył dla jej firmy. To było jednak za mało, aby zgodziła się zostać jego żoną.

XXXII

Mollie ułożyła główną sprężynę we właściwej pozycji. Ta część zadania była za każdym razem najtrudniejszym etapem produkcji zegarka, a dzisiejszego ranka już dwukrotnie wykonała ją nieprawidłowo. Wczoraj, po pośpiesznym pożegnaniu z Richardem, długo nie mogła zasnąć, więc oczy zamykały się jej teraz z wyczerpania.

Czy ubiegłego wieczoru popełniła największy błąd w życiu? Czy skazała samą siebie na pracę w warsztacie aż po kres swoich dni? Małżeństwo z Richardem na pewno okazałoby się rozsądnym posunięciem. Choć z drugiej strony... czy kiedykolwiek zaufała by do końca mężczyźnie, który boczył się na nią z powodu puszki brzoskwiń?

Sprężynka wyśliznęła się ze szczypiec. Najpierw upadła na stół, później na podłogę. Dziewczyna westchnęła. Teraz musi ją wygotować na parze, aby się upewnić, że nie osiadł na niej piasek.

Podnosząc sprężynę, poczuła nową falę zmęczenia. Wokół niej trwała nieprzerwana praca nad zegarkami z Kopernikiem. Wyłamywali się z niej jedynie Oliver i Gunner, przygotowujący nowy wielki zegar, tym razem dla hotelu. Niezbyt dobrze by to wyglądało, gdyby Mollie wróciła teraz do domu i nakryła głowę kołdrą. Czuła się jednak taka zmęczona... I psychicznie obolała... I samotna. Siedziała w warsztacie pełnym ludzi, a coś wewnątrz niej i tak łkało z samotności.

Zerknęła na Alice.

– Ząb mnie boli. Idę odwiedzić sąsiada.

– Serio? Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

Mollie wzruszyła ramionami.

– Żartuję. Muszę po prostu z kimś porozmawiać.

Nawet nie czuła się winna, opuszczając pracownię przed porą lunchu. Jeśli nie zrzuci ciężaru z serca, prędzej czy później załamie się nerwowo. Doktor Buchanan był natomiast zawsze znakomitym słuchaczem.

Zapukała do drzwi, ale weszła od razu, nie czekając na zaproszenie. Za biurkiem doktora Buchanana siedziała jakaś kobieta. Zanim odwróciła się w stronę Mollie, schowała coś pod książkę.

To ta blondynka, którą Zack tak wielbił. Doktora nie było w gabinecie, zaś

nieznajoma zarumieniła się, ukrywając najwidoczniej pod tą książką skrawek papieru.

– Co pani tu robi? – spytała Mollie, badając pomieszczenie wzrokiem w poszukiwaniu jakichś brakujących albo uszkodzonych przedmiotów.

Anka podniosła czarny, opasły tom.

– Uczę się angielskiego – oświadczyła.

Grzbiet książki sugerował, że jest to słownik polsko-angielski. Mollie zainteresowała się jednak karteluszkiem, który Anka tak starannie ukrywała.

– Co pani tu robi? – zapytała raz jeszcze, gdy podeszła bliżej. – Gdzie doktor Buchanan?

– Andrew – zaczęła, po czym wykonała dłonią ruch drapania twarzy żyłką.

Mollie usiłowała zrozumieć.

– Goli się? Poszedł się ogolić?

Anka skinęła głową.

– Tak. Golić.

To jednak nadal nie tłumaczyło jej obecności tutaj. Mollie wskazała ruchem głowy leżącą na biurku kartkę. Anka podążyła za jej spojrzeniem. Podnosząc papier, dziewczyna wyglądała tak, jakby szukała właściwych słów.

– Mój angielski... – Wykonała nieokreślony gest ręką. – Piszę angielski dla Andrew. Zły angielski. Pomóc?

– Prosisz mnie o pomoc w pisaniu?

Anka z ożywieniem przytaknęła. Wydało się to Mollie trochę dziwne, była jednak zaintrygowana wcześniejszym zmieszaniem rozmówczyni. Spojrzała na kartkę, a w miarę czytania oczy zaczęły jej wychodzić z orbit.

Drogi Andrew. Jesteśmy jednakowi. Ja samotna, tak jak i ty. Mam dużą nadzieję, jak ty. Proszę, poczekaj, aż znajdę angielski. Sprawiasz, że moje serce lata.

Mollie opadła na fotel dentystyczny, nie mogąc się nadziwić treści notatki. Czy

Zack wiedział, że jego wybranka flirtuje z innym? I to z mężczyzną, którego on uważa za najlepszego przyjaciela? Znów popatrzyła na Ankę. Kobieta położyła dłoń na sercu i zaczęła imitować jego przyspieszone bicie.

– Andrew – powiedziała z uśmiechem. – Potrzebuję Andrew. Andrew moja nadzieja.

– Czy Zack wie, jak się czujesz?

– Zack? – Kobieta wydawała się zmieszana.

Mollie próbowała mówić wyraźniej, ale ona jej nie rozumiała.

Nagle drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł doktor. Świeżo ogolony, wręcz tryskał zdrowiem.

– Dzień dobry, droga Mollie – powiedział serdecznie. – Mam nadzieję, że przyszłaś tylko pogadać i nie dręczą cię problemy z zębami.

– Tak, przyszłam porozmawiać – potwierdziła Mollie. – Zaskoczyło mnie, że zastałam tu Ankę.

Dentysta uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Uczę ją pomagać w gabinecie. Zapowiada się na świetną asystentkę stomatologiczną.

Anka przytaknęła ochoczo, biorąc do ręki obcęgi i wymachując nimi na wszystkie strony. Mollie zanotowała w pamięci, aby nigdy nie pozwolić jej zbliżyć się do siebie z tym okropnym sprzętem.

– Doktorze, czy mogę z panem porozmawiać na osobności?

– Możesz mówić w obecności Anki. Niebawem bierzemy ślub, nie powinniśmy więc niczego przed sobą ukrywać.

Mollie oniemiała. Przenosiła wzrok z doktora na Ankę i z Anki na doktora. Czyżby utrzymywali tę skandaliczną relację całkowicie otwarcie?

– Ale... Zack sprawiał wrażenie... – Co właściwie chciała powiedzieć? Kiedy szukała właściwych słów, doktor Buchanan nagle spoważniał i zdawał się podzielać jej zmieszanie.

– Zack nigdy nie żywił wobec Anki rzeczywistych zamiarów. Ona wobec niego też nie. Jeśli pozwolił ci wierzyć, że jest inaczej... cóż, nie byłby to pierwszy raz, kiedy mężczyzna z entuzjazmem pokazuje się na mieście z piękną dziewczyną.

Zabrakło jej powietrza. Bez sił opadła na fotel. Cóż z niej za idiotka! Zack miał więcej dumy niż wszyscy polscy królowie razem wzięci, a ona w ostatnich miesiącach bezustannie wystawiała go na ciężkie próby. Zakręciło jej się w głowie. Czyli między Zackiem i Anką nic się nie zdarzyło!

Na jego półce leżał zaś zielony szal. Zachowała się jak kretyńska, dając wiarę tamtym pokrętnym wytłumaczeniom o sentymencie Zacka do okresu pożaru.

Zerwała się z miejsca.

– Dziękuję za poświęcony mi czas! – rzuciła przez ramię, nie zdążywszy nawet zamknąć za sobą drzwi.

~
Mollie pędziła ile sił w nogach do domu towarowego Louisa Hartmana. Kiedy wreszcie dopadła schodów, zauważyła tego samego odźwiernego, który uchylał przed nią drzwi przez te wszystkie lata ubijania interesów z właścicielem firmy.

– Panie Kern, bardzo się cieszę, że wyszedł pan cało z pożaru! Czy mogłabym wejść i porozmawiać z panem Zackiem Kazmarkiem?

– Już go tu nie ma.

Coś ścisnęło ją ostrzegawczo za serce.

– Wyszedł na lunch? A powiedział może, kiedy wróci?

Odźwierny sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego. Przeształ z nogi na nogę i patrzył w drugą stronę.

– Słyszałem plotkę, że się zwolnił, choć złośliwcy twierdzą, że raczej został zwolniony. Tak czy inaczej, już go tu nie ma. Jego biuro zostało uprzątnięte w zeszłym tygodniu.

Z przerażeniem chwyciła mężczyznę za ramię.

– Co się stało? – spytała drżącym szeptem. Zack podążyłby za Hartmanem na kraniec świata. Ich rozstaniu musiały towarzyszyć jakieś straszliwe okoliczności.

– Nikt nic nie wie – odparł odźwierny. – Chyba tylko pan Kazmarek może wyjaśnić, co właściwie zaszło.

Mollie odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Dopiero kiedy weszła w jakiegoś robotnika, zdała sobie sprawę, że nie wie, co się wokół niej dzieje. Ostatkiem sił dowlokła się do tramwaju. Stojąc w najdalszym kącie pojazdu, rozpamiętywała swoją ostatnią rozmowę z Zackiem. Powiedział wówczas, że wozy, które stoją pod domem, mają za zadanie przetransportować gdzieś polonika jego rodziców.

Dlaczego tak łatwo zaakceptowała to wyjaśnienie? W tamtej chwili Zack nie pracował już u Hartmana – możliwe więc, że nie stać go było dłużej na opłacanie domowych rachunków i postanowił się wyprowadzić! Mollie załapała falę lęku. Przeklinała ślimacze tempo, w jakim tramwaj pokonywał kolejne etapy trasy.

Jeżeli Zack wpadł w finansowe tarapaty, postara się mu pomóc. Pożar nauczył ją głównie tego, że w trudnych okolicznościach warto trzymać się razem, ale musiała być ostrożna. Nie mogła po raz kolejny urazić jego męskiej dumy.

Wyskoczyła z tramwaju i od razu ruszyła biegiem w stronę domu Kazmarków. Kiedy wreszcie dopadła drzwi, zaczęła w nie walić bez opamiętania.

– Zack! Zack! Jesteś tu?

Nie słyszała wewnątrz najmniejszego szmeru, więc przyłożyła ucho do drzwi i niemal padła ze strachu, gdy nagle się otworzyły.

– Zack! – zawołała z ulgą. – Tak się martwiłam!

Patrzył na nią z lekkim rozbawieniem.

– Co robiłaś z moimi drzwiami? Lizałaś je czy jak?

Wyrównała oddech i poprawiła sukienkę. Uchylił drzwi nieco szerzej, ona zaś zobaczyła z przerażeniem, że dom niemal całkowicie opustoszał.

– Wyprowadzasz się?

Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

– Mówiłem ci. Wynająłem rodzicom nowy budynek, w którym mogą zmagazynować swoje skarby. Robią to właśnie teraz, w chwili naszej rozmowy. Od tego momentu zaczną ich pewnie tutaj coraz rzadziej widywać. Moja mama cieszy się jak świnka w korytku.

Nagle rozłożył szeroko ramiona.

– Pojęcia nie mam, co zrobić z tą odzyskaną przestrzenią. Chyba najpierw urządzę sobie przyzwoity salon. Usiądź, Mollie.

W pokoju, do którego weszli, znajdowała się tylko nieduża kanapa wraz z podnóżkiem. Dziewczyna usiadła na brzeжку sofy, gospodarz zaś zajął podnózek. Przy swoim potężnym wzroście wyglądał na nim przekomicznie.

– Czemu właściwie zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Owijanie w bawełnę miało się z celem.

– Chciałam cię odwiedzić u Hartmana, ale odzwierny poinformował mnie, że już tam nie pracujesz.

– Zgadza się.

– Ale dlaczego? Co się stało?

Zack nie wyglądał na załamane czy zażenowane. Patrzył na nią zupełnie zwyczajnie.

– Między Louistem a mną doszło do rozbieżności poglądów. Nadszedł czas, żebym ruszył własną drogą.

– Ale... ale... wcale się tym nie przejmujesz! Sam mi kiedyś powiedziałaś, że Louis jest dla ciebie jak ojciec. Dlaczego zachowujesz się tak spokojnie?

Spoważniał. Splótł palce na kolanach i zapatrzył się w podłogę.

– Zaciągnąłem u Louisa dług wdzięczności, którego nigdy nie uda mi się tak do końca spłacić. Ale lojalność względem niego wpędziła mnie w konflikty, w jakich nigdy nie wziąłbym udziału z własnej woli. W moim życiu istnieją także inni ludzie zasługujący na to, by być wobec nich lojalnym. Pozostając z Louistem, na zawsze ugrzązłbym w tej sprzeczności. – Położył rękę na jej kolanie. – Powinienem był lepiej rozwiązać sprawę twojego aktu własności ziemi. Wybacz mi, Mollie.

– Wybaczam – szepnęła. – Ale co zamierzasz teraz zrobić?

– Jeśli martwisz się o zegarki z Kopernikiem, nie ma takiej potrzeby. Moje odejście z firmy Hartmana niczego nie zmienia w tamtej umowie z Włochami.

Do tej chwili nawet nie pomyślała o zegarkach – a przecież faktycznie utopiła w nich fortunę! Zack chwycił ją za rękę i oboje wstali.

– Przejdźmy do jadalni. Pokażę ci dokumenty.

~
Każda jej wizyta okazywała się dla niego torturą. Będzie musiał to znosić, dopóki nie zamkną sprawy zegarków z Kopernikiem. Gdyby chociaż wiedział, że przyjdzie, zdążyłby się przygotować. W obecnej sytuacji mógł jedynie udawać opanowanie oraz cierpieć wewnętrzne męki, skazując własne serce na stratowanie przez eleganckie buciki Mollie.

Owe buciki podążały teraz za nim krok w krok, gdy prowadził ją do jadalni. Podniósł ze stołu okazały stos papierów.

– Usiądź i przejrzymy to razem.

Interesy stanowiły ostatnią rzecz, o jakiej miałby ochotę z nią rozmawiać, ale szybko odchrząknął i rozejrzał się w poszukiwaniu ołówka.

Mollie obrzuciła pokój baczny spojrzeniem, odnajdując własny szal na tej samej półce co poprzednio. Miał ochotę walnąć głową o ścianę. Dlaczego nie usunął tego głupiego kawałka materiału z pola widzenia? Teraz dziewczyna na pewno uzna, że on nadal za nią szaleje. I nie będzie to dalekie od prawdy.

Nie mógł już jednak nic na to poradzić. Zachowując profesjonalny ton, podsunął jej plik dokumentów.

– Umowę należy zmodyfikować tak, aby usunąć z niej moje nazwisko jako osoby pośredniczącej w transakcji. Kiedy tylko znajdziesz innego prawnika, który weźmie na siebie obowiązek reprezentowania twoich interesów, przeniesiemy na niego całą odpowiedzialność.

– Zack, widziałam dzisiaj, jak Anka pisała list miłosny do doktora Buchanana.

A więc teraz nie mógł się już nawet zasłaniać Anką. Świetnie! Na moment stracił wątek i bawił się bezmyślnie trzymanymi w rękach kartkami. Winszował doktorowi szczęścia, jednak Anka stanowiła dla niego rodzaj zasłony dymnej, za którą skrywał własną urażoną dumę.

– Rozumiem, że to cię zaskoczyło? – spytał.

Nie wykonywał żadnego ruchu, podczas gdy ona przedelfilowała przez całą jadalnię, aby stanąć naprzeciw niego. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, lecz... pełnej nadziei? Nawet nie drgnął, gdy położyła dłoń na jego piersi. Co ona najlepszego wyprawiała!?

– Tak, zaskoczyło mnie. Podobnie zresztą jak fakt, że nadal przechowujesz mój zielony szal. Ogromnie mnie to cieszy.

– Nie zamierzam go zwracać, jeśli o to ci chodzi.

Wytrzeszczył oczy, bo przysunęła się jeszcze bliżej, nadal trzymając mu rękę na piersi. Dlaczego patrzyła na niego lśnącymi oczyma? Zapamiętał to spojrzenie z czasu ubiegłej jesieni. Najchętniej porwałby ją w ramiona niczym nieokrzesany Wiking i wyrzucił z pamięci twarz pułkownika Lowe'a. Zamiast tego wciąż tkwił nieruchomo na środku jadalni.

– To coś nowego – zauważył miękko.

– Przestałeś mnie przerażać – odparła, kładąc drugą dłoń na jego klatce. – Kiedyś działałeś na mnie onieśmielająco, ale wszystko zmieniło się w trakcie pożaru. Umiem już być przy tobie sobą. Nie wstydzę się własnych wad.

– Ty nie masz żadnych wad.

Żadnych wymagających zniwelowania. I choć czasami kusiło go, aby utopić ją w jeziorze, pozostawała w jego oczach boginią. Pobiłby na kwaśne jabłko każdego faceta twierdzącego inaczej.

– Żadne z nas nie jest idealne, ale kocham cię, Zack.

Poczuł, jak serce przestaje mu bić. Miał ochotę przytulić ją z całych sił i krzyknąć wniebogłosy, jednak nagle przypomniał sobie, ile już razy zdążyła go zawieść. Ona tymczasem mówiła dalej, głosem łagodnym i nieco zdyszonym:

– Przepraszam, że tak długo nie umiałam zdać sobie z tego sprawy. Nie mam doświadczenia w sprawach sercowych. Musiałam się spokojnie rozeznąć we własnych uczuciach.

– A co z pułkownikiem?

Potrząsnęła głową.

– Richard to wspaniały człowiek, jednak nie potrafiłabym żyć w nieustannym lęku

przed jego oczekiwaniami. Wczoraj w nocy pojechał do Waukegan. I już nie wróci.

– Rozumiem. – Nadal mówił tonem obojętnym, bez śladu napięcia. W jego wnętrzu rozżarzyło się jednak czerwone słońce. Kiedy Mollie otoczyła go ramionami, przycisnął ją do siebie tak mocno, że pewnie zabrakło jej tchu w płucach. Nic nie umiał na to poradzić. Głęboko wdychał jej zapach i zaczął obsypywać czoło dziewczyny pocałunkami.

– Czuję się przy tobie bezpieczna – wyszeptała mu w policzek. – Nawet tamtej nocy, kiedy uciekaliśmy przed ogniem, czułam się bezpiecznie, mając cię u swojego boku.

Zamarł. Ogarnęło go nagle rozczarowanie, a jego ramiona opadły. To wszystko faktycznie było zbyt piękne, aby mogło trwać długo. Uwolnił się z jej uścisku i ostatkiem sił dowlókł się do okna.

– Mollie, nie jestem żadnym bezpiecznym wyborem. Nawet nie mam już pracy. Rozumiesz, co to oznacza?

– Przed chwilą rozmawialiśmy o sprzedaży florenckiemu jubilerowi trzydziestu sześciu zegarków.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– To jednorazowa umowa. W dodatku twoja, nie moja. Ja nie mam pracy. Nie zapewnię ci nic z tego, co mogłabyś otrzymać od pułkownika Lo...

Przerwała mu.

– Czuję się przy tobie bezpieczna – powtórzyła. – Mogę popełniać błędy i wiem, że mi je wybaczysz. Już to kilkakrotnie zrobiłeś. – Chciał odwrócić wzrok, ale złapała go za ramię i nie zamierzała puścić. – Pamiętam twoje wizyty w kościele. Byłam głodna, brudna i pozbawiona dachu nad głową, ale świat i tak wydawał się piękny, bo przychodziłeś mnie odwiedzać. Czułam się szczęśliwa. Dzięki tobie widziałam w życiu sens. Od nikogo innego nie mogłabym tego otrzymać.

Wstydził się drżenia własnych rąk, kiedy dotykał nimi twarzy Mollie.

– Nie zniósłbym kolejnego rozczarowania. Mam skórę nosorożca, ale przy tobie natychmiast mięknę. Jeśli chcesz wrócić do mojego życia, musisz to zrobić na dobre.

– Na dobre i złe, w bogactwie i w biedzie... To masz na myśli?

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy... Tak, właśnie o to mi chodziło.

Wyglądała pięknie i promiennie, i ufnie.

– Ja też tego chcę.

Teraz już zupełnie nie mógł oddychać. Na widok jej roziskrzonych niebieskich oczu poczuł jednocześnie zimno i gorąco. Obawiał się, że za moment wyjdzie na kompletnego idiotę. Potrzebował powietrza. Natychmiast. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, odwrócił się do okna i otworzył je. Zaczął pompować do płuc tlen, aż ośladnęła nim fala ulgi. Nie na długo jednak – po kilku sekundach pojął, że nadal drży na całym ciele. Zaczął się przelotnie zastanawiać, czy przypadkiem właśnie tak nie zaczyna się zawał serca.

– Wszystko w porządku? – zapytała Mollie w panice. – Może coś ci przynieść? Wody? Krzesło?

„Może nowy kręgosłup”.

Skulony przy parapecie, obawiał się, że już nigdy nie zdoła stanąć prosto. A przecież jego męki dobiegały końca: Mollie otrzymała szansę zawarcia bliższej znajomości z pułkownikiem Lowe'em, a mimo to wybrała Zacka. Nigdy więcej nie pozwoli jej odejść.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, patrząc w okno.

– Już dobrze, Mollie. Teraz już wszystko jest dobrze.

I wiedział, że tak pozostanie. Mieszkali w dynamicznym mieście, którego nic nie mogło zmieść z powierzchni ziemi. Smog i chmury wreszcie ustąpiły, zaświeciło słońce. Nie wiedział, co przyniesie przyszłość, ale ostatecznie cóż w tym złego? Bóg przecież nigdy nie obiecywał im łatwego życia. Wiara i nadzieja zdołały ich przeprowadzić przez okrutne, a zarazem wspaniałe dni katastrofy.

Zawroty głowy wreszcie ustąpiły i znowu mógł stanąć prosto, choć dla pewności nadal trzymał się parapetu. Mollie stała za nim i przytulała się do jego pleców. Kobieta, którą kochał, pragnęła z nim zostać w tym niezwykłym mieście, gdzie walka o byt stanowiła rodzaj inspirującego wyzwania. Ich więź przetrwała najmroczniejsze noce oraz przeszła przez słupy ognia, teraz zaś wchodzili razem w nowy, lepszy etap.

EPILOG

Dwa lata później

13 maja 1874 roku

– Chcę przetestować dzwon jeszcze raz – powiedziała Mollie, spoglądając na wieżę zegarową.

Oliver zmarszczył brwi.

– Sprawdzaliśmy go już dwukrotnie. Musimy to znowu powtarzać?

Promienie słońca oświetlały trybuny, które niebawem znów zapełnią tysiące ludzi wiwatujących na cześć White Stockings. Dokładnie dwa lata, siedem miesięcy i pięć dni temu wielki ogień opanował Chicago i doszczętnie zniszczył jego spory fragment. Za kilka godzin nowy stadion będzie świadkiem pierwszego od czasu tamtych wydarzeń profesjonalnego meczu baseballowego.

– Przyjedzie sam burmistrz! – naciskała Mollie. – Podobnie jak komendant policji i wielu innych oficjeli. Jeśli mój dzwon nie wybrzmi dokładnie o siedemnastej, doznam upokorzenia, które zabiorę ze sobą do grobu.

Oliver potrząsnął głową, choć jednocześnie uśmiechnął się, wchodząc po drabinie, aby przestawić zegar. W ciągu ostatnich dwóch lat zdążyli wykonać kilkanaście czasomierzy, do tej pory żaden nie był jednak zaopatrzony w dzwon bijący o określonej godzinie. Wielka biała fasada, która rozciągała się wokół trybun, stanowiła reprezentacyjny element nowego stadionu. Mieściła się na niej tablica wyników oraz równe rzędy krzeseł. Najbardziej zjawiskową ozdobą obiektu była jednak kopuła, umieszczona w samym środku, wraz z wieżą zegarową górującą nad tablicą wyników. Dzwon wybijał każdą pełną godzinę, dzisiaj zaś miał zwiastować początek sezonu baseballowego.

Mollie stała na zwirowej nawierzchni i obserwowała Olivera, który przestawił wskazówki w taki sposób, aby oznajmiały, że do pełnej godziny pozostaje jedna minuta.

– Dobra, to już ostatni raz – marudził, opuszczając wieżę.

Po pięćdziesięciu pięciu sekundach Mollie zatkała uszy. Chwilę później donośny gong pięciokrotnie przeszył powietrze.

Oliver zszedł na dół, bardzo z siebie zadowolony. Choć na początku niechętnie

przyjął na siebie rolę konstruktora zegarów, ich produkcja podarowała mu dosłownie drugą młodość.

– Zadowolona? – zapytał.

Wytarła mokre dłonie o spódnicę.

– Na tyle, na ile to możliwe.

Z pewnością poczuje się lepiej na widok Zacka. Życiowe zmiany nadal wywoływały w niej często popłoch, jednak – na szczęście – w ciągu ostatnich dwóch lat nie doświadczyła ich już zbyt wiele. Zdążyła się zresztą nauczyć, że życie nie niesie ze sobą żadnych gwarancji, i przygotowywała się psychicznie na kolejne niespodzianki od losu. Planowała, rozmyślała, modliła się... ale w ostatecznym rozrachunku i tak musiała pozwolić światu toczyć się własnym trybem. Doszła do tego w dużej mierze dzięki Zackowi.

Zważywszy na jego aktualny zawód, był to rodzaj cudu. Naprawdę upadła na głowę, wychodząc za męża za polityka.

Godzinę później siedzieli już obok siebie na trybunach. Mogliby w zasadzie dołączyć do burmistrza i komendanta, ale Zack nigdy nie marnował sposobności, aby spędzić wolną chwilę w towarzystwie swoich współpracowników. Niedługo po wejściu w życie ustawy o ubezpieczeniach zdecydował się kandydować na radnego, reprezentując polskie stronnictwo w północno-zachodniej części miasta. Okazał się urodzonym politykiem, doprowadzając do połączenia sił polskich i irlandzkich robotników oraz do stworzenia ustaw dotyczących budownictwa czy ochrony przeciwpożarowej. W dniu wielkiego święta baseballu Zack pragnął siedzieć obok ludzi, którym zawdzięczał zawodowe sukcesy.

Pogoda była wspaniała, a jedzenie pachniało wyśmienicie, więc Mollie tryskała radością, dołączając do Zacka na trybunach. Tak naprawdę nigdy nie lubiła baseballu, dziś jednak okazała się najwierniejszą wielbicielką White Stockings. Ten zespół to symbol nadziei i powrotu do normalności. Pięć tysięcy kibiców drżało z oczekiwania, zwłaszcza od momentu, gdy zawodnicy zaczęli się rozgrzewać na ich oczach.

Poszczególni gracze zajęli pozycje, sędzia zaś ustawił się obok bazy z piłką w dłoniach. Mollie zerknęła na zegar: wskazówka minutowa zbliżała się do pełnej godziny.

Poczuła dreszcz niepokoju. Czy Oliver nie zapomniał ustawić wszystkiego, jak należy? Testowali zegar kilkakrotnie i właśnie dlatego zachodziła obawa, że ostatecznie rozregulowali mechanizm.

– Spokojnie, Mollie. – Zack odgadł jej myśli. – Oliver na pewno o niczym nie zapomniał.

Zanim jeszcze skończył, wskazówka osiągnęła cel i do ich uszu dobiegło donośne, miarowe bicie dzwonu. Wzmagały je dodatkowo mury stadionu, a wiatr roznosił ów rozkoszny dźwięk na cztery strony świata. Ileż to razy Mollie wyobrażała sobie ten moment!

Nie przewidziała jedynie ciszy, jaka zapadła nagle na trybunach. Wszyscy zamarli. Wstrzymali oddech. Kiedy wybrzmiało drugie uderzenie dzwonu, ludzie zaczęli wstawać z miejsc. Potem trzecie uderzenie. I czwarte.

Rozgrywający gospodarzy rzucił się na środek pola. Łzy zamazały Mollie obraz, podczas gdy tłum aż zawirował z podniecenia. Wybrzmiał ostatni gong, po którym sędzia wystąpił naprzód. Głosem twardym i pewnym krzyknął:

– Piłka w grze!

Tłum natychmiast zawył z radości, a ten ryk dał się słyszeć w całym Chicago.

NOTA HISTORYCZNA

Wielki pożar Chicago z 1871 roku miał swój początek w stodole należącej do Catherine i Patricka O’Leary na DeKoven Street. Według legendy spowodowała go krowa, która potrąciła latarnię w trakcie dojenia. Reporter jednej z gazet przyznał jednak po latach, że akurat ta część historii została spreparowana przez niego. Pożar wybuchł w każdym razie w stodole [15]. Catherine O’Leary, dręczona poczuciem winy, do końca swoich dni wiodła żywot pustelniczy. Zmarła w 1895 roku.

Napędzany przez wiatr pożar zaczął pożerać miasto, nękanie wcześniej długotrwałą suszą. Szacuje się, że ściana ognia osiągnęła wysokość trzystu metrów, a wietrzne poddmuchy upodabniały ją do tornada. Wiatr zrywał z domostw dachy, roznosząc je w głąb miasta i tym samym rozprzestrzeniając kataklizm na północ i wschód, aż do jeziora Michigan.

W trakcie następnych trzydziestu sześciu godzin burmistrz Chicago rozsyłał do sąsiednich miast telegramy z prośbą o pomoc strażaków. Wielu z nich przybyło na miejsce, kiedy ogień jeszcze płonął. Przyjeżdżali z Milwaukee, Detroit i Cincinnati, poświęcając własne życie w walce z żywiołem. Jednakże dziewiątego października, o trzeciej nad ranem, zapalił się dach miejskich zakładów wodociągowych. Kiedy spadł na znajdującą się bezpośrednio pod nim stację pomp, miasto było stracone. Zarządzono ewakuację. Około trzysta trzydzieści tysięcy ludzi wyległo na ulicę, w panice uciekając przed płomieniami.

Nad ranem dziesiątego października pożar zakończył się samoistnie, do czego przyczyniło się też zbawienne nadejście burzy. Ogień strawił około sto piętnaście kilometrów ulic, osiemnaście tysięcy budynków i dwa tysiące miejskich latarni. Badacze oceniają, że w trakcie pożaru zginęło zaledwie około trzystu osób, choć ich rzeczywista liczba nigdy nie będzie znana.

Niektóre źródła donoszą o dziwacznej euforii, jaka miała ogarnąć ocalałych tuż po katastrofie. Nie trwała ona jednak długo. W kolejnych tygodniach i miesiącach znacząco wzrosła przestępczość i rozpacz, w miarę jak ludzie pojmowali skalę swojego nieszczęścia.

Przed pożarem w Chicago działało około dwustu towarzystw ubezpieczeniowych; kataklizm przyczynił się do upadku sześćdziesięciu ośmiu spośród nich. Poszkodowani zdolali od ubezpieczycieli zaledwie czterdzieści procent należnych im środków, nie wspominając o tych pechowcach, którzy nie dostali nic. Chicagowska katastrofa obnażyła słabość regulacji prawnych w kwestii ubezpieczeń. Doprowadziło to do reorganizacji wewnętrznych struktur ubezpieczycieli, miało również wpływ na zwiększenie oferty ubezpieczenia w zależności od położenia geograficznego danego

gospodarstwa bądź siedziby firmy.

Miejski „prorok”, który tuż po zakończeniu pożaru kroczył ulicami i niósł ludziom pocieszenie, jest dziełem literackiej fikcji. Jego kwestie zaczerpnęłam jednak wprost z drewnianych tablic, jakie mieszkańcy Chicago ustawiali przed swoimi domami z nadzieją i ufnością w przyszłość. Wiara nie okazała się bezzasadna. Chociaż dzielnice biznesowe zostały całkowicie zniszczone, odbudowa Chicago postępowała w oszałamiającym tempie. Większość linii kolejowych przetrwała kataklizm, co pozwoliło sprawnie wywozić gruz oraz sprowadzać do miasta materiały budowlane.

Pamięć o potędze żywiołu spowodowała, że nowe budynki opierały się często na konstrukcjach z żelaza i stali. Wraz ze wzrostem cen ziemi oraz umiejętności technicznych architektów, Chicago stało się idealnym miejscem do przetestowania prototypów drapaczy chmur. Pomysł ów frapował najtęższe umysły techniczne swoich czasów, opracowujące śmiałe projekty budynków o idealnych liniach, odpornych na działanie ognia. Zapoczątkowany w ten sposób trend przyjął się na całym świecie, do dzisiaj pozostaje jednak znany jako szkoła chicagowska.

PYTANIA DO DYSKUSJI

W końcowych partiach książki, kiedy Mollie zwierza się ze swojej tęsknoty za życiem sprzed pożaru, Zack odpowiada, iż „czasami najgorsze wydarzenia sprawiają, że stajemy się lepszymi ludźmi”. Jakie sprawy w Waszym życiu uważacie za naprawdę ciężkie? Czy wolałybyście ich nigdy nie doświadczyć?

Przed pożarem Sophie miała sporo rozrywek, ale nie musiała pracować. Czy jakakolwiek rozrywka może przynieść człowiekowi prawdziwą satysfakcję? Jak w naszych konsumpcjonistycznych czasach przekonać dzieci, że podejmowanie się trudnych zadań niesie z sobą głęboką radość?

Mollie ma dwóch zalotników. Czy dokonała właściwego wyboru?

Pułkownik Lowe kieruje się żelaznym kodeksem moralnym, podczas gdy Zack często nagina zasady dla własnych potrzeb. Czy podoba się Wam umowa, jaką Zack zawiera z Ralphem Coulterem: posłanie na studia bratanków Coultera w zamian za wyjawienie tożsamości zabójcy Franka? Czy taka postawa oznacza, że Zackowi brakuje zasad moralnych?

Dentysta Andrew Buchanan nie posiada żadnych krewnych, lecz znajduje zrozumienie w Kościele oraz w domu Kazmarków. Czy macie w Waszym otoczeniu kogoś, kto wydaje się bardzo samotny? Jak można go włączyć do lokalnej społeczności?

W czasie pożaru Mollie poznaje najgorsze i najlepsze spośród ludzkich cech. Co sprawia, że w obliczu kataklizmu jedni się upijają, inni zaś poświęcają własne domy dla ratowania bliźnich? Czy można przewidzieć, kto zostanie bohaterem, a kto zachowa się egoistycznie?

Zack żywi najgłębszą lojalność wobec Louisa Hartmana, który wyciągnął go z doków i wprowadził w świat wielkiego biznesu. Jednakże w kluczowym momencie Zack opuszcza Louisa i poświęca się pracy nad reformą ubezpieczeniową. Czy postępuje słusznie? Co się dzieje, kiedy osobista wdzięczność koliduje ze sprawami najwyższej wagi?

Mollie nie umie pokochać pułkownika Lowe'a, choć naprawdę się stara. Z czego to wynika? Co byście jej poradziły w takiej sytuacji? Czy doświadczyłyście kiedyś podobnego rozdźwięku pomiędzy umysłem a sercem?

Pod koniec książki Mollie zabiera puszkę brzoskwiń na eleganckie przyjęcie. Czy bardziej podoba się Wam postawa dziewczyny, czy pułkownika Lowe'a? I czy doświadczyłyście kiedyś sytuacji, w której towarzyskie zobowiązania odciągały Was od osobistych bądź zawodowych obowiązków? Czy istnieje lepszy sposób, aby dobrze

wybrnąć z podobnej sytuacji?

W miarę rozwoju fabuły Zack odczuwa coraz mocniejszą więź z Polską, krajem swojego pochodzenia. Z jakiego powodu? Czy któraś z Was również należy do mniejszości etnicznej, religijnej bądź narodowej? Czy Wasz stosunek do owego dziedzictwa w jakikolwiek sposób ewoluuje w czasie?

[1] Harrods – ekskluzywny londyński dom towarowy, otwarty przez Henry’ego Charlesa Harroda w 1849 roku i istniejący do dzisiaj (Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] *Sauerkraut* (niem.) – danie na bazie kiszzonej kapusty.

[3] *Bratwurst* (niem.) – rodzaj kiełbasy, najczęściej wieprzowej.

[4] Prerafaelici – londyńskie stowarzyszenie artystyczne założone w 1848 roku przez studentów The Royal Academy of Art. Jego członkowie występowali przeciwko obowiązującym w tych czasach kanonom sztuki wiktoriańskiej, wzorując się na twórczości przedstawicieli wczesnego renesansu włoskiego.

[5] Sun Tzu (544 p.n.e.-496 p.n.e.) – wybitny starożytny myśliciel Dalekiego Wschodu, autor traktatu zatytułowanego *Sztuka wojenna*.

[6] Ulysses S. Grant (1822-1885) – osiemnasty prezydent USA. W czasie wojny secesyjnej blisko współpracował z Abrahamem Lincolnem, przyczyniając się do ostatecznego zwycięstwa stanów północnych.

[7] *Ich spreche kein Englisch* (niem.) – Nie mówię po angielsku.

[8] Henry Bessemer (1813-1898) – brytyjski inżynier i wynalazca, twórca pierwszej metody otrzymywania stali na skalę przemysłową. W 1879 roku uzyskał tytuł szlachecki.

[9] Lancelot – postać z legend arturiańskich, najbardziej znany rycerz Okrągłego Stołu. Jego namiętność do Ginewry, żony króla Artura, doprowadziła do upadku monarchii, samemu Lancelotowi przysporzyła zaś wielu problemów.

[10] Bohater z powieści *Wichrowe Wzgórza* Emily Brontë.

[11] Ladies’ Mile – najważniejsza dzielnica handlowa na nowojorskim Manhattanie pod koniec XIX wieku. Obecnie jej oficjalna nazwa brzmi Ladies’ Mile Historic District, a sam teren posiada głównie wartość zabytkową.

[12] Topeka – stolica stanu Kansas. Obecnie liczy nieco ponad 120 tysięcy mieszkańców.

[13] Pocahontas (ok. 1595-1617) – córka indiańskiego wodza Powatana, urodzona na terenie obecnego stanu Wirginia. Jako nastoletnia dziewczyna została pojmana przez Anglików i ostatecznie wyszła za mąż za brytyjskiego plantatora tytoniu, Johna Rolfe’a. W 1616 roku odwiedziła kraj męża, gdzie zabiegała między innymi o środki na

wybudowanie chrześcijańskiej szkoły dla dzieci Indian. W drodze powrotnej zmarła na czarną ospę.

[14] John James Audubon (1785-1851) – amerykański ornitolog i malarz. Zasłynął czterotomowym albumem *Ptaki Ameryki*.

[15] Autorka podaje tu tylko jedną z prób wyjaśnienia przyczyn pożaru, podczas gdy jest ich kilka, a obecnie najbardziej popularne wydaje się przypuszczenie o spowodowaniu katastrofy przez deszcz meteorów, co wyjaśniałoby fakt zaistnienia kilku ognisk pożaru w samym Chicago, jak również jeszcze trzech innych wielkich pożarów wzdłuż brzegów jeziora Michigan w tym samym czasie (przyp. red.).